Małgorzata Klunder

# Każdy wschód słońca

## NIZIOŁKOWIE z ulicy Pamiątkowej

Replika

Małgorzata Klunder

# Każdy wschód słońca

## NIZIOŁKOWIE z ulicy Pamiątkowej

Replika

Małgorzata Klunder

# Każdy wschód słońca

## NIZIOŁKOWIE
z ulicy Pamiątkowej

Replika

Copyright © Małgorzata Klunder
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2016

**Wszelkie prawa zastrzeżone**

**Redakcja**
Monika Orłowska

**Projekt okładki**
Iza Szewczyk

**Zdjęcia na okładce**
http://pl.depositphotos.com/ quadrio
http://pl.depositphotos.com/ Maugli
http://pl.depositphotos.com/ Loraliu

**Skład, łamanie, wersja elektronichna**
Maciej Martin

**Wydanie I**

ISBN 978-83-7674-367-7

**Wydawnictwo Replika**
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 61 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

*Ojcu Janowi*

# KIRKCALDY 1

W czwartek trzeciego lipca dwa tysiące czternastego roku (dokładnie o godzinie jedenastej czterdzieści) dwaj księża podążali wijącym się a niekończącym korytarzem edynburskiego lotniska. Jeden z nich, starszy, odziany był w garnitur i księżowską koszulę z koloratką. Drugi, młodszy, występował w pełnym służbowym rynsztunku. Oglądało się za nimi całe lotnisko i trzeba sobie wprost powiedzieć, że ten starszy, czyli ksiądz Tadeusz Wieczorek, miał już wszystkiego powyżej uszu.

Cyrk zaczął się jeszcze na Ławicy, kiedy bramka zadzwoniła na przechodzącego przez nią Jana Peregryna, co spowodowało ożywioną interwencję celników. „Żeby tylko go nie zapytali, czy nie ma czegoś niebezpiecznego, bo ten mały drań gotów sobie zrobić benefis z wykorzystaniem mojej anegdoty!" – pomyślał z niepokojem proboszcz. „Trzeba było łobuzowi za dużo nie opowiadać!" A tak się składało, że w kieszeni sutanny, a więc poniżej pasa, miał Janeczek wetknięty mu w ostatniej chwili przez mamę srebrny różaniec po prababci Kotoń. Przez Janka jeszcze nie używany[1].

Różaniec włożono do skrzyneczki, ale pana celnika to nie satysfakcjonowało.

– Proszę zdjąć wierzchnie okrycie! – oznajmił surowo.

– Proszę? – zdziwił się grzecznie Jasiek. – Co mam zdjąć? – Fakt, było ciepło i kurtek żadnych na sobie nie mieli, jechały w bagażu nadawanym.

Celnik pokazał palcem. Dziwny jakiś był, chyba nie wiedział, jak takie coś się nazywa.

– Nie mogę – powiedział rozkosznie Janeczek.

– Co znaczy, nie może pan?! – najeżył się celnik. Aha, jak „pan”, to dużo wyjaśnia.

– Nie wolno mi zrzucić sutanny – odpowiedział Jasiek, uśmiechając się pogodnie. W sumie racja, ale w znaczeniu przenośnym, czego jednakże celnik nie wiedział. W odróżnieniu od księdza Tadeusza, w którym wszystko zaczęło się gotować. Perswadował swojemu wikariuszowi, żeby w czasie podróży ubrał się na krótko, ale on oczywiście zaczął się stawiać i zrobił po swojemu.

– W takim razie przechodzimy do rewizji osobistej! – zagroził celnik.

– My? – zdumiał się Janek. Otaksował celnika od góry do dołu i uśmiechnął się słodko. – Proszę bardzo!

„Od kogo on się nauczył takich tekstów?” – pomyślał wkurzony ksiądz Tadeusz. „Od ojca czy szwagra? A może od obydwóch?” – Jak widać, na weselu Bachów została mu opowiedziana ze szczegółami historia spisywania protokołu przedślubnego.

I w tym momencie, o dziwo, celnik się poddał. Być może miały na to wpływ rozbawione spojrzenia kolegi od taśmy i koleżanki-celniczki. Przegonił tylko ponownie Jaśka przez bramkę, która tym razem zajarzyła się na zielono, i dał spokój.

Wtedy przyszła kolej na proboszcza, któremu zakwestionowano zawartość saszetki podręcznej w postaci insulinówek. Jasne, ksiądz Tadeusz jako terrorysta żgający insulinówką stewardessę w oko… Sam miód! Teraz dla odmiany Jasiek popatrzył sobie z satysfakcją; ostrzegał szefa, żeby strzykawki przewozić w bagażu odprawianym, ale ten się bał, że zginą, że polecą innym samolotem i co on potem zrobi. No to teraz ma i musi się gimnastykować z zaświadczeniem lekarskim (wraz z jego wersją angielską sporządzoną przez tłumacza przysięgłego). I tak dobrze, że w związku z koniecznością zdobycia tegoż zaświadczenia został zmuszony do osobistego pofatygowania się przed oblicze doktora, czego dotąd unikał jak mógł, odświeżając sobie tylko recepty.

W samolocie sutanna Jaśka zadziałała zgodnie z wykładnią Cejrowskiego, że ksiądz poprzez strój służbowy winien prowokować sytuacje misyjne. Mianowicie dosiadł się do nich pewien Niemiec, z którym wikary pogawędził na tematy wyższe. Po niemiecku, tylko gdzieniegdzie sztukując sobie wypowiedź angielskim, jak stwierdził z podziwem i odrobiną zazdrości proboszcz. On sam z innych języków nowożytnych mógłby spróbować swoich sił jedynie w rosyjskim. Włoski w seminarium szedł mu jak z kamienia…

Wyszli przed terminal i utknęli. Nigdzie nie było tabliczki *pick up zone*. Ksiądz Tadeusz postanowił pokazać smarkaczowi, że też umie się obrócić, i swobodnie zagadnął do taksówkarza o drogę. Niestety, jego miłość własna została pohańbiona, bo w odpowiedzi usłyszał tylko coś całkowicie niezrozumiałego. Zażenowany wbił w Jaśka oczekujące spojrzenie.

– On mówi w *Scots*, proszę księdza – pośpieszył z wyjaśnieniami Janek. – Ja też mam problemy, a to dopiero przedsmak, czyli wersja *Lallans*. Jakbyśmy się przejechali do Aberdeen, to dopiero by się ksiądz poczuł jak w Norwegii! Zero zrozumienia!

Coś tam jednak chyba zrozumiał, bo pociągnął proboszcza na zadaszony parking. Faktycznie, tak jak się umawiali, czekał tam na nich ksiądz Błażej od salwatorianów, jeden z dwóch, którzy zostawali w Kirkcaldy w parafii świętego Niniana. Księża Wieczorek i Niziołek mieli posługiwać w St Marie's z doskokiem do St Pius.

Gospodarz, odziany po cywilnemu, przyjrzał się im, a szczególnie Jankowi, z sympatią i lekkim pobłażaniem.

– Od razu można poznać, że jesteście z Polski – powiedział wesoło. – Tutaj poza kościołem nie widuje się księdza w sutannie.

Janeczek już otwierał gębę, ale proboszcz całkowicie w stylu don Camilla kopnął go pod osłoną wkładanej właśnie do bagażnika walizki i łobuz się przymknął. Do czasu.

Przy przejeździe przez zatokę ksiądz Tadeusz zajął się podziwianiem znanego mu z internetu Forth Bridge, przez co Jasiek mógł bezkarnie dorwać się do głosu. Z prowadzonej przez całą drogę

dyskusji wynikało, że faktycznie w pewnych dziedzinach życia czeka ich jeśli nie szok kulturowy, to twarda adaptacja.

„Narobi sobie kłopotów, cholerny uparciuch" – pomyślał z obawą proboszcz. Brzydkie słowo niech mu będzie wybaczone przez wzgląd na ojcowskie uczucia do podwładnego.

W Kirkcaldy ksiądz Błażej zajechał pod małą, sympatyczną restaurację i zaprosił ich na lunch. Przyjęli propozycję z radością; byli już solidnie głodni, wydawało im się, że od ostatniego zjedzonego na Jarosławskiej śniadania minęły wieki całe.

Gospodarz nie męczył ich długaśnym menu i od razu zadysponował *spécialité de la maison* w postaci *fish and chips*. Jak się okazało, każdy znał tu każdego, a uśmiechnięty od ucha do ucha kelner, najwyraźniej uprzedzony o ich przyjeździe, próbował konwersować po polsku: najpierw zebrał staranny wywiad, jak w języku gości mówi się *delicious*, a potem począł zachwalać, że danie jest „pyszny".

Rzeczywiście, ryba była pyszna. Najwspanialsza, jaką ksiądz Tadeusz jadł jeżeli nie w życiu, to na pewno przez ostatnie półtora roku, kiedy to pani Teresa raczyła ich wyłącznie łososiem gotowanym w folii. Każdy, kto dania takiego próbował, wie, jak smakuje. I każdy, kto był na Wyspach Brytyjskich lub choćby dysponuje wyobraźnią, potrafi porównać je z porządnym *fish and chips*…

Jan Peregryn, człowiek może i lekko szalony, lecz dobry i odpowiedzialny, a proboszcza, jak wiemy, szczerze noszący w sercu, przeżywał straszliwe męki. Tona panierki. Frytki i danie główne smażone w głębokim oleju. A szef pożera to wszystko jak wołoduch, tylko oczy mu się śmieją.

– Szczepił się ksiądz? – wyszeptał najdyskretniej jak mógł kącikiem ust. W odpowiedzi proboszcz tylko radośnie przytaknął. „Szczepić się" oznaczało w ich domowym języku oczywiście wstrzyknięcie insuliny, co delikwent uczynił przy okazji wizyty w kibelku.

– Może dokładkę? – zapytał promiennie ksiądz Błażej, zadowolony, że gościom tak smakuje.

Proboszcz zaczerpnął oddechu.

Janeczek pierwej by się własnym językiem udławił, niżby publicznie zwrócił uwagę starszemu, że ma sobie dać już spokój, i w dodatku, że jest wstrętnym obżartuchem. Poza tym, jak wiemy, odrobinkę się szefa bał. Na domiar złego obaj siedzieli twarzami do gospodarza, a bokiem do siebie, więc wszelkie sygnały wzrokowe odpadały. „Rany boskie, cukier mu skoczy na trzysta albo i więcej!" – pomyślał ze zgrozą.

Na szczęście układy pomiędzy obu panami były, jakkolwiek głupio by to nie brzmiało, prawdziwie partnerskie. Ksiądz Tadeusz również szanował i szczerze lubił swojego wikarego, a także odrobinkę się go bał. W końcu obaj wzajemnie mieli nad sobą spowiedziową jurysdykcję, czyli mówiąc wprost, jeden drugiemu mógł przywalić taką pokutę, że buty spadają, o czym czytelnik doskonale wie. Poza tym proboszcz był świadomy, że Janeczek ma talenty nie tylko muzyczne, ale i aktorskie, i w razie czego gotów jest odstawić atak wyrostka robaczkowego lub coś w tym rodzaju, byleby do repety nie doszło.

– Nie, dziękuję, powinienem przestrzegać diety – odpowiedział z uśmiechem ku niebywałej uldze Janka.

Rozmowa potoczyła się na tematy służbowe; w St Marie's odprawiane były w niedzielę trzy msze, w tym jedna po polsku, i postanowili podzielić się nimi tak jak w Poznaniu, to znaczy Jasiek zdeklarował się na poranną i rzecz jasna na wieczorną w świętym Piusie. W tygodniu w obu kościołach msze były o dziesiątej. „Kto na nie przychodzi, emeryci?" – zastanowił się przelotnie ksiądz Tadeusz.

Zostali potem zawiezieni do swojej nowej siedziby, Bank West przy Reminder Street, tuż obok kościoła. W hallu czekały kartony z całym ich dobytkiem.

„Niechby ten przemiły ksiądz Błażej już sobie poszedł, muszę koniecznie położyć się choć na pół godzinki" – pomyślał całkiem jak

pan Łęcki ksiądz Tadeusz. „Maksymalnie godzinę! A potem pomogę Jankowi to wszystko porozkładać…”

– Mam prośbę: czy zawiózłby mnie ksiądz jeszcze tylko do świętego Piusa i pokazał wszystko? – zapytał dokładnie w tym samym momencie Janek. – Ksiądz proboszcz ma coś do załatwienia, a my przez ten czas obrócimy…

„Wie, jak zawsze” – pomyślał z uśmiechem w duszy ksiądz Tadeusz. „I przetrzyma go tam nie godzinę, ale dwie! Będzie opowiadał o mszy trydenckiej i owinie go sobie dookoła małego palca…”

Proboszcz też dużo wiedział o swoim wikarym, bo wszystko odbyło się dokładnie jak przewidział, a nawet lepiej, bo trwało nie dwie, lecz trzy godziny. W tym czasie starszy z księży odpoczął i nawet zdążył rozpakować jeden karton (ten z powieściami fantasy), a młodszy otrzymał dokładną, wyczerpującą instrukcję co do posługi u Piusa. W niedzielę mógł startować sam.

Zaraz następnego dnia odbyli maleńką dyskusję dotyczącą sposobu przemieszczania się. Samochodu oczywiście nie mieli, volkswagen został zabrany przez nowego właściciela w przeddzień ich wyjazdu; mieli zamiar coś tu sobie na miejscu kupić, ale to musiało odrobinę potrwać. Wobec tego przez najbliższy, powiedzmy, tydzień, może dwa, wikary skazany był na własne nogi. Ksiądz Tadeusz usiłował mu zatem perswadować, żeby na trasie z St Marie’s do St Pius sutannę niósł w torbie, a nie na grzbiecie. Jasiek… cóż, czytelnik doskonale wie, co powiedział Jasiek. Przyciskany zaś, zadeklarował rozkosznie:

– Mogę jeździć na rowerze, kupię sobie damkę!

Na takie dictum proboszcz machnął ręką, wyimaginowawszy sobie bowiem Janeczka pedałującego po Kirkcaldy z rozwianymi połami sutanny jak skrzyżowanie don Camilla z ojcem Mateuszem, uznał, że z dwojga złego wersja per pedes jest lepsza.

W niedzielę o dziewiętnastej msza trwała długo, jak to msza łacińska, ze śpiewami, do których wszyscy włączali się ochoczo;

kazanie w sumie było najkrótsze, chociaż dwujęzyczne, po polsku i angielsku. Potem Jasiek jeszcze gadał na schodkach z wychodzącymi, przeciągnęło się to przez kolejną godzinę i w rezultacie dopiero po wpół do dziesiątej ruszył z powrotem na Reminder Street. Z Piusa było raptem półtorej mili, czyli niecałe dwa i pół kilometra, ruszył więc nieśpiesznie w dół, napawając się długim, ciepłym wieczorem. Nie doszedł nawet do pierwszego skrzyżowania, kiedy stanęła mu na drodze wataha napitych, a może i naćpanych chłopiąt z sąsiedniego klubu, przypierając go do murka flankującego przystanek autobusowy. Co gorsza, byli to rodacy, bo odezwali się w rozczulającym ojczystym narzeczu:

– Patrz, k…., aż tutaj za tobą ten czarny k…. przylazł! Z…… mu w ryj?

Jasiek obejrzał ich sobie dokładnie, ocenił szanse i westchnął w duszy: „Święci patroni, pomóżcie, bo sam nie dam rady!”.

Na tak szczerze wyrażoną prośbę wszyscy święci Janowie, od Jana Chrzciciela i Jana Ewangelisty począwszy, na Janie Pawle skończywszy, pospołu ze świętym Peregrynem i sługą Bożym Jordanem, zareagowali w trybie natychmiastowym, podsuwając mu pod rękę połamany zderzak, który w normalnych warunkach absolutnie nie miałby prawa się poniewierać na schludnej uliczce w wypielęgnowanym miasteczku. Janek zrobił zamach jak Farloon w *Najlepszym*, usłyszał analogiczny wrzask, a potem już niczego nie analizował i nie oglądał się za siebie, dziękując patronom także za sprawność nóg, nabytą od czasu, kiedy pozbył się motoru, a która teraz dawała mu niewątpliwą przewagę przed osiłkami w stanie nieważkości. W Bank West był w dziesięć minut zamiast w pół godziny, co było czasem bardzo dobrym, zważywszy na poruszanie się w stroju służbowym.

Ksiądz Tadeusz zdumionym wzrokiem zmierzył zdyszanego wikarego. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy Jasiek, wyskoczywszy z sutanny, wrzucił ją do pralki, a potem sam zniknął w łazience,

dokonując tajemniczych ablucji. Gdzie się tak utytłał, podczas odprawiania starej mszy u świętego Piusa?

Ale kiedy Jasiek z miną niewiniątka usiadł do kolacji, szef już wiedział, co się stało: właśnie to, czego cały czas się bał, bo trudno było nie zauważyć podrapanego policzka i pozdzieranych do krwi kostek u rąk Janeczka.

– Synu?… – powiedział z naciskiem. Więcej nie trzeba było, wbrew pozorom wikary idiotą nie był.

– Miałem dyskusję światopoglądową z młodzieżą – odpowiedział beztrosko.

– Janku, ale mówiłem, przestrzegałem!… – uniósł się proboszcz. – Inny kraj, inne obyczaje! Swoim zachowaniem prowokujesz tutejszych łobuzów!

– Proszę księdza, to byli nasi…

– Co takiego?

– No, Polacy. Trudno powiedzieć, co próbowali sobie odreagować.

– Bez różnicy, gdybyś dostosował się do lokalnych zwyczajów, nie byłoby tego! Słyszałeś, co mówił ksiądz Błażej, tu ludzie nie są przyzwyczajeni do widoku księdza w sutannie. Twoja ostentacja jest niestosowna!

– Przepraszam bardzo, proszę księdza, ale niech ksiądz, z całym szacunkiem, powtórzy to jeszcze trzy razy, tylko powoli. Ostentacja? Niestosowna? Zachowuję się niestosownie, bo noszę strój duchowny? Jestem ostentacyjny, bo wypełniam zobowiązania nałożone na mnie podczas obłóczyn?

– Janku, krótki strój tych zobowiązań nie łamie! Czy ja ci bronię chodzić w koloratce? Jeszcze raz powiem: tu wszyscy księża, anglikańscy też, noszą garnitury, bo nie chcą być demonstracyjni.

– „Tu” to prezbiteriańscy – mruknął pod nosem Janeczek. – Poza tym ja już nie umiem chodzić w garniturze – dodał głośniej. – Nigdy nie umiałem. Na występach w muzycznej strasznie się w nim męczyłem. Ostatni raz założyłem garnitur właśnie na obłóczyny, po

to, żeby go natychmiast zdjąć. A w ogóle dlaczego nie można być demonstracyjnym?

Księdzu Tadeuszowi opadły ręce.

– To nie tak, że nie można. To jest trochę związane z obyczajowością Brytyjczyków, jak by tu powiedzieć?… Nie wypada, jest w złym tonie, jest nachalne. Koloratka jest wystarczająco zauważalna. Nie chodzi o religię, tylko o obyczaj ogólny, rozumiesz?

– Nie – powiedział z uporem Jasiek. – Czador jest nachalny, a mnie nie przeszkadza. Oczekuję symetrii.

– To sobie oczekuj! – rozgniewał się proboszcz. – Będziesz miał symetrycznie obitą gębę! Albo gorzej!

– Jestem żołnierzem i sutanna to mój mundur – odpyskował Janek. – *I'll give you my uniform when you take it off my cold, dead body!*[2]

Ksiądz Tadeusz, jak wiemy, nie był tak dobry w angielskim, jak jego wikary, przykładowo przerastały go niekiedy tajniki stosowania odpowiednich czasów, ale tym razem zrozumiał wystarczająco dużo, żeby wkurzyć się maksymalnie, szczególnie że rozszyfrował źródło. Dość, nie będzie tolerował tego absurdalnego uporu!

– Proszę księdza, niech ksiądz przestanie dyskutować i zastosuje się do polecenia! – powiedział z całym służbowym chłodem i stanowczością, na jakie było go stać.

Janeczek uśmiechnął się pod wąsem, rozsiadł wygodnie w fotelu, zakładając nogę na nogę, i zapytał bezczelnie:

– Od kiedy mówi pan do mnie „Potter", panie profesorze?

Proboszcz zamarł zdruzgotany. Jego upodobanie do fantasy było w środowisku księżowskim tajemnicą poliszynela, ale nie obnosił się z tym bynajmniej, był dyskretny, a publikował pod pseudonimem. Przy tym przyznawał się wyłącznie do literatury może nie tyle poważniejszej, ile… jak by to ująć… namaszczonej towarzysko: Tolkien, Pratchett, *Wiedźmin*… Cóż, nikt nie jest doskonały, a profesor Gąsowski z *Szatana z siódmej klasy* też się wstydził, że

czyta *Hrabiego Monte Christo*. Aż do chwili obecnej wydawało się zatem księdzu Tadeuszowi, iż fakt skrupulatnego przeczytania całego siedmioksięgu *Harry'ego* jest jego słodką tajemnicą. Przeczytania z satysfakcją, trzeba dodać; bawił się świetnie i odmłodniał przy tym jak Róża Niziołek.

„Jak ten mały drań się domyślił?!" – bezradnie zapytał samego siebie. „Kilka cierpkich słów pod adresem Tekielego, dawno temu… Nie, to nie może być to. Kilka jeszcze bardziej cierpkich słów pod adresem kolegi po fachu, ojca Posackiego… Ale to trzeba by być geniuszem, żeby wychwycić, że chodziło mi o *Pottera*!… Kiedyś opowiadał o siostrze, jak niechcący uśmierciła szwagra. Zaśmiewaliśmy się wtedy obaj, może zorientował się, że jestem za bardzo, hm, kompetentny?…"

Nagle przyszło olśnienie, które spowodowało tak raptowny rumieniec na jego twarzy, że aż odwrócił się do okna, żeby go ukryć. To było wtedy, kiedy przyszły dwa mandaty: jeden za jazdę sto dwadzieścia po trasie katowickiej, drugi za przejechanie na tak zwanym późnym żółtym, czyli de facto na czerwonym na skrzyżowaniu Jana Pawła z biskupa Baraniaka. Janeczek wyczuł pismo nosem, pewnie chciał zapłacić, wetknął sobie mandaty do kieszeni, a on wtedy powiedział:

– Zostaw, synu, te wyjce, ja to załatwię!

Jedno słowo nie w porę i taka dekonspiracja, połączona z całkowitym upadkiem autorytetu!…

Jak on ma teraz cokolwiek mu nakazać? Będzie łaził po swojemu i go zatłuką!…

Przypomniał sobie epizod sprzed półtora roku, kiedy ledwo żywego Janka przynieśli na plebanię, i poczuł niemęską słabość. „Muszę wziąć leki" – pomyślał.

Wtedy poczuł, że mały drań całkowicie przedsoborowo całuje go w rękę ze słowami:

– Przepraszam! Niech ksiądz będzie spokojny, od jutra chodzę w garniturze!

Żeby chodzić w garniturze, trzeba było go sobie najpierw kupić. Jak bowiem Jasiek powiedział, założył po raz ostatni swoje maturalne ubranie na obłóczyny. Figura się wprawdzie księdzu Niziołkowi nie zmieniła, na przekór proroctwu książkowego imiennika („Ja już nie urosnę, chyba że wszerz”), ale garnitur wisiał w szafie na Pamiątkowej ku wiecznej pamiątce.

Janek zatem, założywszy koszulę z koloratką i czarny polar, udał się do tesco przy Hunter Street, ale na widok wystawionego tam asortymentu doznał wstrząsu. „Jak już mam paradować w takim czymś, niechby to było chociaż porządne” – pomyślał sobie całkiem praktycznie jak na księżyka-pięknoducha. Oj, narrator przeprasza za tę kąśliwość. To miał być akt obiektywizmu, ale przecież nieraz było powiedziane, że ksiądz wikary był i do różańca, i do tańca.

Obiekt naszych zainteresowań skręcił tedy w Kirk Wynd, wypatrując sklepów z odpowiednią konfekcją. Ani chybi pierwszy raz w życiu absorbowały go takie czynności. Do tej pory, jak czegoś potrzebował, wpadał do sklepu, brał, co było, i znikał, bo twierdził, że mu w marketach duszno, całkiem jak Davidowi. W takim samym stylu zresztą kupował też Jasiek sutannę: ekspresowo, bez grymasów, w Paramentum na Tumie, przy czym raz pozwolił sobie przy rodzinie ponabijać się z kolegów-kleryków, którzy sutannę szyli na zamówienie u specjalnego krawca, a asystowały przy tym przejęte matki. Swojej rodzicielce Janeczek w każdym razie oszczędził czy też pozbawił ją, zależy jak na to spojrzeć, tychże przyjemności. Ciekawe, czy spowiadał się z kpin wobec kolegów albo własnej abnegacji, też zależy, jak spojrzeć…

W śródmiejskich sklepikach dla odmiany odrzuciły Jaśka ceny. Spowodowało to szybką rewizję planów; postanowił kupić tylko marynarkę, w końcu spodnie miał, i to w rozrzutnej ilości par trzech: na niedzielę, na co dzień i na wyciery. Postał chwilkę przed sklepem z kiltami zaraz na początku High Street, przyglądając się im z upodobaniem.

„Co by powiedział ksiądz proboszcz, gdybym sprawił sobie kilt z *Polish tartan* i do tego marynarkę Argyll?” – pomyślał z satysfakcją. „Plus koloratka, rzecz jasna! Może w tym i byłaby odrobina ostentacji, ale za to całkowicie zgodnej z lokalnym obyczajem! Zresztą kilt w barwach Fife też mi przysługuje…”

Porzucił ze smutkiem te kuszące myśli i ruszył dalej. W połowie ulicy jego uwagę przykuł mały, sympatyczny sklepik z ciemnoszarą marynarką na wystawie. Jasiek nie miał pojęcia, jak się nazywa materiał, z którego była uszyta, ale wydał mu się na oko przyjemnie miękki. Ceny nie było, postanowił zaryzykować i wszedł do środka.

Nieco speszony zaczął tłumaczyć, o co mu chodzi, a wtedy pani sprzedawczyni odezwała się w te słowa:

– Ale dlaczego ksiądz do mnie po angielsku mówi? Jestem Mariola, znam księdza ze świętego Piusa.

Janeczek się ożywił, już bez krępacji wyłożył swój problem, pani podeszła do niego z dużym zrozumieniem i przystąpiła do działania.

– Ta z wystawy będzie na księdza za duża, zaraz wyszukam mniejszy rozmiar… o, proszę. Idealnie, jak na księdza szyta! Może przydałoby się odrobinę skrócić rękawy, gdyby ksiądz poczekał, zajmie to nie więcej niż pół godziny. Proszę tu spocząć, czego się ksiądz napije?

Oszołomiony jej operatywnością i gościnnością Janek poprosił o herbatę. Pani Mariola zasiadła do maszyny, opowiadając mu jednocześnie swoją historię.

W Kirkcaldy mieszkał jej syn, który tutaj znalazł sobie dziewczynę i ożenił się. To samo uczynił w Polsce mąż pani Marioli, to znaczy znalazł sobie dziewczynę i ożenił się, oczywiście uprzednio się rozwiódłszy. Jaśkowi już w tym momencie wszystkie wątpia przewróciły się na lewą stronę, bo pomimo trzyletniej księżowskiej praktyki, no, dwuletniej, odjąwszy rok pobytu na cmentarzu, podczas której nasłuchał się i napatrzył sporo, nie mógł się jakoś uodpornić na takie casusy. Może zawiniło tu za dobre wychowanie i zbyt pozytywne wzorce, jak by powiedziała ciotka Anioł. W każdym razie

ksiądz Niziołek, mając przed oczami swojego własnego tatę (plus dziadków, wujów rodzonych i przyszywanych w osobie Brendana i pana Szczęsnego oraz szwagrów) z jednej strony, a pana Nowaka, ojca Wioli, z drugiej, na temat powinności małżeńskich poglądy sprecyzował sobie bardzo dokładnie. Gdyby mu przyszedł do spowiedzi niecnota, który porzucił żonę z dzieckiem, i to niepełnosprawnym może na dodatek, na bank nie dostałby rozgrzeszenia. No, ale tacy osobnicy do spowiedzi raczej nie chodzą.

Problem pani Marioli dotyczył jednakże innej materii.

– Jacek to dobry chłopak – opowiadała, terkocąc maszyną – tyle że przestał chodzić do kościoła jeszcze w liceum. Co ja się naprosiłam, natłumaczyłam! W końcu dałam spokój, pomyślałam: jesteś dorosły, bierz odpowiedzialność za siebie. Jego żona też przemiła dziewczyna, ale chyba nawet niechrzczona, nie wiem, nie pytałam. Ślub był tylko cywilny, bo jakby inaczej, skoro Jackowi nie zależało. A teraz ma się urodzić dziecko. No i mój Jacuś przychodzi do mnie i powiada: a może by mama tak po cichu je ochrzciła? Na co ja kategorycznie powiedziałam nie, bo dziecko musi być chowane w wierze przez rodziców. Ale już sama nie wiem, proszę księdza, dobrze zrobiłam?

– Dobrze – odpowiedział stanowczo Janek. – Niech pani przy nim trwa, niech pani będzie dla niego cały czas jak latarnia morska. Trzeba wierzyć, że przemyśli i dojrzeje.

Pani Mariola westchnęła i podała mu marynarkę.

– Proszę teraz przymierzyć… Doskonale! Ale wie ksiądz co? Niech ksiądz się nie obrazi, ale te spodnie do niej nie pasują.

– Nie?… – speszył się Janek, popatrując na swój codzienny przyodziewek, do tej pory zawsze ukryty pod fałdami sutanny.

– Zaraz coś dopasujemy, proszę poczekać. O, te będą dobre, może ksiądz przymierzy.

Janek pokornie zniknął za zasłonką, by po chwili zaprezentować się w całej krasie.

– Idealnie! – ucieszyła się pani Mariola. – Ociupinkę tylko ściągnę po bokach, bo ksiądz to chyba nie ma czasu na jedzenie, co?

Jasiek zarumienił się, zniknął na powrót w przymierzalni, przekazał pani Marioli spodnie do przeróbki, a podczas następnych dwudziestu minut, popijając dla odmiany kawę, wysłuchał opowieści numer dwa, o starszym synu.

– Jurek to znowu zakochał się w Angielce i świata poza nią nie widział, też się chciał żenić, ale ona nie chciała i było po herbacie. Jakby się wystraszyła deklaracji! A Jurek zapomnieć nie może, nie pogadasz z nim, nie przetłumaczysz. Kompletnie nie do życia! Ja bym już, proszę księdza, ucieszyła się, jakby mi nawet i czarną przyprowadził! Co się stało, oparzył się ksiądz o dzbanek?

– Nie, nie, nic mi nie jest – pośpieszył zapewnić Jasiek, bohatersko przygryzając język, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Proszę teraz założyć całość – rozkazała pani Mariola. – Pięknie! Niech ksiądz tak zostanie, spakuję stare rzeczy. Trzewiki jakieś ksiądz ma?

– Co takiego? – spłoszył się Janek. Na co dzień chodził w swoich ulubionych, czarnych nubukowych butach á la MacGyver.

– Półbuty, proszę księdza. Mogę podać adres bardzo dobrego sklepu…

– Nie, dziękuję, nie trzeba – zapewnił szybko Jasiek. Do niedzielnej posługi zakładał obuwie z Ecco, nawiasem mówiąc prezent dziadka Niziołka, który tak jak niegdyś swego syna, tak teraz wnuka zaopatrzył odpowiednio, zgodnie z dewizą, że biedny na butach oszczędzać nie może.

– Ale wie ksiądz co? – Pani Mariola miała ostatnie słowo. – Ta flanela jest ładna, tyle że dobre to na lato. Ja zamówię dla księdza porządny wełniany garnitur, będzie jak znalazł, kiedy się zrobi zimniej.

Jak to mówią, trafił swój na swego.

Jest taki dość niewybredny *Polish joke*: ten Johnny z drugstore'u to prawdziwy as! Nawet Polakowi sprzeda szczoteczkę

do zębów!

Pani Mariola była lepsza: w ciągu godziny sprawiła, że abnegat ksiądz Niziołek wyszedł od niej w ciuchach, co do których jeszcze poprzedniego dnia zarzekał się, że nigdy ich na grzbiet nie założy. Ba, zamówił dodatkowo drugi komplet! Poza tym całkowicie z własnej inicjatywy przyrzekł spotkać się z Jackiem, a może i z Jurkiem, jakby się dało, w celach reedukacyjnych.

Ale to jeszcze nie koniec. Kiedy Jasiek wrócił do Bank West, księdzu Tadeuszowi na jego widok wymknęło się spontaniczne:

– Janku, jak ty ładnie wyglądasz! – przy czym proboszcz siłą powstrzymał się, żeby po babsku nie pomacać nowego ciucha, bo wydawał się taki kusząco miękki i miły w dotyku… Dodał więc tylko:

– Zaprowadziłbyś mnie do tamtego sklepu? Też bym sobie kupił takie ubranie.

W taki oto sposób na dobry początek polscy księża nabyli mundurki służbowe ze szkockiej wełnianej flaneli u polskiej mistrzyni marketingu, przeradzając się w jej stałych klientów.

# JEEP 2

Jeep stał na parkingu Kirkcaldy Motor Company przy Reminder Street, sto pięćdziesiąt metrów od plebanii. Ksiądz Tadeusz przechodził tamtędy zupełnie przypadkowo, bo zasadniczo wszelki ruch do centrum i nad morze odbywał się w drugą stronę. Tak go jakoś poniosło, przechodził obok biało-buraczkowego muru z dumnym napisem, za którym skrywał się komis samochodowy, spojrzał machinalnie na plac i wtedy jeep do niego mrugnął. To znaczy, bzdura, oczywiście, że to nie było miejsce i czas na jakieś dziecinne plagiaty z Broszkiewicza; po prostu słońce odbiło się od reflektorów i tyle. Proboszcz zerknął i powędrował dalej.

Wieczorem z premedytacją poszedł upewnić się, czy jeep stoi w tym samym miejscu: nieduży, zgrabny, ciemnozielony. Brama była już zamknięta, więc nawet nie mógł sprawdzić, ile kosztuje. Zresztą w ogóle nie miał takiego zamiaru; jeep dla księdza? Dla księdza żyjącego w mieście, gdzie nie są przewidziane żadne ekstremalne dojazdy? Głupota.

Następnego dnia, zaraz po odprawieniu mszy o dziesiątej, jeszcze zanim Janek wrócił z Piusa, proboszcz znowu się przespacerował. Nie mieli do tej pory wielu obowiązków, ciągle byli tu jakby na wakacjach; jak im powiedział ksiądz Błażej, właściwa robota zacznie się dopiero w drugiej połowie sierpnia. Więc mógł bez grzechu trochę się powłóczyć. Tym razem brama była gościnnie otwarta, wszedł tak sobie, dla sportu, bez zobowiązań. Dwa tysiące siedemset funtów. Pokiwał tylko głową i zawrócił. Skręcił za kościołem w lewo w Dunnikier Road i powędrował nieśpiesznie w kierunku morza. Przez ten tydzień zdążył polubić spacery nad zatokę, zapach wody, nawet wrzaski mew. Przed mewami został ostrzeżony, żeby ich nie karmić, bo mogą być agresywne.

Szedł i automatycznie liczył. Za volkswagena dostał jedenaście tysięcy, złotych oczywiście, bo sprzedawał na chybcika, no i rzecz jasna nie był to model z ostatniego sezonu – dostał go w spadku po tacie ładnych parę lat temu. To wypadało niemal dokładnie dwa tysiące funtów i za tyle powinni coś kupić. Widział tam przy murku takiego citroena w wieku golfa za tysiąc siedemset. Akurat dla nich. Nawet kolorek ten sam. W Poznaniu odkładał sobie na nowy samochód, ale… mniejsza z tym. „Więc nie kombinuj, chłopie, więcej skromności by ci się przydało" – powiedział sam do siebie.

A wieczorem znowu nogi zaniosły go we wschodnią część ulicy. Tym razem jeep mrugnął na sto procent. Słońca nie było, nawet lekko popadywało, a ludzie tutaj jeździli bez świateł aż do zmroku, więc nic nie miało prawa się odbijać w reflektorach. No, chyba że w fitness klubie naprzeciwko ktoś zapalił neon.

Przypomniał sobie, jak kiedyś przed wiekami, między maturą pisemną a ustną, wpadł do niego Leszek, ten sam, który później drukował „Obserwatora". Powinni się uczyć, ale Leszek, roześmiany od ucha, do ucha, zaprosił go na przejażdżkę łazikiem; stareńkim, tyle że pięknie wymalowanym na biało. Nie na zielono, zielony był zastrzeżony dla wojska. Jeździli wtedy po Rusałce i Golęcinie w absolutnie niedozwolonych miejscach, zaśmiewając się jak idioci. Maturę zdali obaj, nawet całkiem nieźle.

Po osiemdziesiątym dziewiątym przyjaźń z Leszkiem się rozluźniła. Nie, nie pokłócili się, skąd, po prostu życie poszło swoją drogą. Widywali się raz na dwa, trzy lata, czasami rzadziej, wysyłali sobie tylko życzenia na święta. Teraz, po śmierci żony i córki, Leszek w ogóle nie szukał kontaktu z ludźmi, a szczególnie z nim, i nawet nie można się temu za bardzo dziwić. Został tylko w pamięci jako nieustanny wyrzut sumienia…

Robiło się ciemno, zawrócił na plebanię. Jasiek czekał na niego z kolacją. Była to całkiem dietetyczna sałatka grecka z fetą, ale smakowała doskonale i doskonale zapychała, nawet nie dojadł swojej porcji. A przy kubkach aromatycznej herbaty Janek ni stąd, ni

zowąd położył na stole przezroczystą kosmetyczkę – taką, jaką trzeba zabierać do samolotu – i zaczął nawijać w te słowa:

– Proszę księdza, tutaj jest prawie tysiąc funtów. Było więcej, ale wydałem na te głupie garnitury… – Zerknął na szefa i przymknął się momentalnie. – Tata mi dał w przeddzień wyjazdu, nie chciałem brać, ale wepchnął mi na siłę. Bierz, powiada, zaoszczędziłem dzięki operatywności Beaty. Zacząłem coś gadać o Elce, a tata na to, żebym przestał chrzanić, Elce krzywda się nie dzieje. I że mam sobie kupić nową sutannę, bo wstyd w takim czymś łazić. Sutanny już nie potrzebuję, więc proszę… Zróbmy zrzutkę, kupmy auto raz dwa, żeby jeszcze teraz, w wakacje, gdzieś sobie skoczyć i żeby ksiądz nauczył się prowadzić lewą stroną…

„Ty draniu" – pomyślał ksiądz Tadeusz trochę bezradnie. „Jak zwykle wszystko wiesz! Jakżeś mnie namierzył, przecież czaiłem się niczym Zorro?!" – ale szybko doszedł do wniosku, że wystarczyło, żeby Jasiek, zerknąwszy zza rogu, zobaczył go tęsknie wpatrzonego w plac za biało-buraczkowym murkiem.

Poszli tam razem następnego dnia. Słuchał, jak Jasiek po drodze papla o rodzicach, zagadując jego wątpliwości:

– Oni są w porządku, proszę księdza, i mama, i tata wiedzą, co trzeba i jak trzeba. I stosują w praktyce metodę „ufaj Bogu, a strzelbę trzymaj w pogotowiu", dzieląc się rolami na bieżąco. Tym razem załatwili to klasycznie i konserwatywnie, matka różaniec, ojciec kasa…

Na placu pokazał mu jeepa i z zażenowaniem, ale szczerze do bólu spytał:

– Janku, czy to nie idiotyzm? Nie pomyślisz sobie, że mi odbiło?

– Zaraz odbiło! – uśmiechnął się Janek. – A co sobie ksiądz pomyślał, jak mnie zobaczył na motorze, w kasku, goglach i z przytrzaśniętą sutanną do tego?

– Że komuś tu odbiło – przyznał uczciwie proboszcz.

– Otóż to – dopowiedział wikary. – Ale wie ksiądz, jak fajnie ta honda zasuwała?

„I oddałeś ją w jednej chwili, z uśmiechem i bez żalu” – pomyślał ksiądz Tadeusz zupełnie jak Elka, ale nic więcej nie mówił, bo nie chciał Jaśka zawstydzać.

Ten już pertraktował ze sprzedawcą, dostali kluczyki i ruszyli na jazdę próbną.

– Na razie ja poprowadzę – tłumaczył Jasiek. – Ale jak tylko wykupimy ubezpieczenie, ksiądz przejmie stery. Zobaczy ksiądz, to nic wielkiego, tylko trzeba zgodnie z logiką trzymać się osi jezdni. Jak u nas. I za dużo nie myśleć. Samo się będzie jechało. Poza tym to automat, nawet ksiądz nie będzie się musiał szarpać z biegami przy drzwiach, jak moja siostrzyczka – zakpił beztrosko.

– Janku, tak mówisz, jakbyśmy go już kupili! – próbował protestować, ale z każdym kolejnym kilometrem jego opór słabł. Jeep jechał jak złoto, bezszelestnie i mięciutko, a kiedy Jasiek poderwał go spod świateł, zostawił inne wozy za sobą daleko w tyle. Też chciał pokazać, co potrafi.

Po powrocie na Reminder Street proboszcz stał jeszcze chwilę z ręką na masce. „Kup mnie” – prosił jeep.

– Proszę księdza, o co właściwie księdzu chodzi? – przyszpilił go wikary. – W czym problem?

– Janku, to kupa forsy – powiedział cichutko. – Czy mi wypada? Tak od razu, na wejściu?

Janeczek uśmiechnął się z ciepłą pobłażliwością.

– Proszę księdza, naprawdę nie musi mieć ksiądz wyrzutów sumienia z powodu dziewięcioletniego auta! Wielka mi rozpusta! Niechże się ksiądz trochę ucieszy! Pojedziemy w góry, poszwendamy się gruntowymi drogami… – dodał z błyskiem w oku całkiem jak swój własny szwagier. I już był przy obsłudze.

– Chcemy złożyć ofertę na dwa czterysta – powiedział obojętnym tonem. – Proszę skontaktować się ze sprzedającym, poczekamy. – I wskazał proboszczowi wygodny fotel w recepcji.

– Nie przesadzasz? – spytał konspiracyjnie ksiądz Tadeusz. Nagle zaczęło mu zależeć.

– Spoko, on powie dwa sześćset i stanie na dwa pięćset pięćdziesiąt – odparł beztrosko Jasiek. – Będziemy mieć na opłaty. No, może nie na wszystkie, ale chociaż trochę. – Ciekawe, w branży motoryzacyjnej umiał się obrócić, głupiał tylko w sklepie z ciuchami, jak każdy chłop.

W kwadrans później pojawił się sprzedawca.

– Klient zgadza się na dwa sześćset – powiedział do nich czysto po polsku i uniósł odrobinkę brew. Musiał słyszeć ich dialog. Ale proboszczowi było już wszystko jedno.

W trzy godziny później wszystkie możliwe formalności zostały załatwione, a jeep stał na dziedzińcu w Bank West. „Możemy jechać choćby zaraz" – mrugnął. To jest, oczywiście, wikary zapalił jarzeniówkę w kuchni i światło odbiło się od lusterka.

Przez następnych kilka dni ksiądz Tadeusz pilnie trenował pod okiem Janka; pojechali na północ, dotarli do uroczego miasteczka Pitlochry, a potem zgodnie z zapowiedzią włóczyli się bardzo bocznymi drogami. Może niezupełnie gruntowymi, ale dzikimi i wąskimi. Nawet nauczył się zbaczać do zatoczek, bał się tylko z początku dziwnych kratek na środku szosy; kiedy pierwszy raz przejechał po czymś takim pełnym gazem, zadudniło jak na moście i wystraszył się, że coś zbroił.

– Po co oni to robią? – zdziwił się. – Kanalizacja jakaś? Przepusty? Nie mogą tego zabetonować?

– To na owce – usłyszał momentalnie od Jaśka. – Żeby nie przełaziły z pastwiska na pastwisko, po tych kratkach nie dadzą rady. – Musiał zrobić minę pod tytułem „To też wiesz?", bo zaraz padło: – Elka z Davidem opowiadali.

Do niedzieli poczuł się na tyle pewnie, że kiedy tylko wikary poszedł do Piusa, jego poniosło za kierownicę. W zasadzie wyczuwał Jaśkowe błogosławieństwo, bo przecież ten mógł wykorzystać nowy nabytek w drodze na Brodick Road, w końcu po to kupowali wóz, także dla bezpieczeństwa. Ale skoro wolał młokos zasuwać na piechotę…

Jeep mrugnął kierunkowskazem – jasne, po prostu zahaczyło się łokciem o kokpit – i pojechali na północny wschód. To znaczy, on pojechał, sam, dość tych idiotycznych personifikacji! Postanowił poszukać jakiejś dzikiej plaży i przejść się trochę, może uda mu się zobaczyć foki. Teoretycznie powinny tu być nawet walenie, ale foki całkowicie by go satysfakcjonowały.

Już po dwudziestu minutach znalazł sympatyczną plażę, na którą wiodła z parkingu wąska ścieżka w poprzek skalistego klifu. Fok oczywiście nie było, musiałyby mieć nerwy jak postronki, bo w wodzie po brzuch biegał rozszczekany labrador, utytłany i radosny. Psiak miał niespożyte siły, ledwo właściciel zdążył mu rzucić gumowe kółko, już był z powrotem i ziając, domagał się dalszej zabawy.

Ksiądz Tadeusz zdjął marynarkę, bo było bardzo ciepło, i w samej koszuli ruszył ścieżką w dół, a potem dalej wzdłuż brzegu, przeskakując po kamieniach. „Kupię sobie takie trapery, jak Janek" – postanowił. „Będę chodził codziennie po kilka kilometrów, dobrze mi to zrobi". Faktycznie, już te dwa tygodnie dobrze mu posłużyły, czuł się silny, nic mu nie dokuczało, insuliny brał dużo mniej niż w Poznaniu… „Może udałoby mi się w ogóle przejść tylko na dietę i doustne?" – zamarzył.

Labrador przemknął obok jak burza, ochlapując go wodą, skrobiąc pazurami po skałach i naszczekując przyjacielsko. Kółko utkwiło między dwoma kamieniami, psie zęby nie mogły sobie z nim poradzić. Zawahał się przez chwilę, popatrzył na buty, wreszcie machnął ręką, przeskoczył na skałkę i wydobywszy zabawkę, wręczył ją szczęśliwemu zwierzakowi, a kiedy ten pognał do swojego pana, z uśmiechem odprowadził go oczami. Potem odwrócił się w kierunku ścieżki, wziął zamach do skoku, lewa noga mu się obsunęła i…

Pani Teresa miała takie niechrześcijańskie powiedzonko, którego nie udało jej się oduczyć: dobre uczynki zawsze się mszczą.

Poczuł ból tak straszny, że nagle w jednej chwili zrobiło mu się ciemno przed oczami i całkowicie zaparło dech, nawet gdyby chciał krzyknąć, nic by z tego nie wyszło. Tyle tylko wiedział, że coś się

stało z nogą, ale wolał nie analizować i nawet za bardzo się nie przyglądać. Ostrożnie spróbował zaczerpnąć powietrza. Udało się. Kręciło mu się w głowie i zbierało na wymioty. „Weź się w garść!" – warknął z gniewem. Powolutku usiadł, zerkając po sobie.

Czasami rzeczy trywialne mobilizują człowieka do wyczynów niezwykłych. Don Camillo przeszedł przez pole minowe, żeby tylko banda Peppona nie zobaczyła go w gatkach. Babcia Kotoń natomiast niczym James Bond sama się wyprowadziła ze stanu przedzawałowego,[3] bo skonstatowała, że ma w rajstopach kompromitujące dziury, które w szpitalnej izbie przyjęć zobaczyłyby światło dzienne.

Teraz i on się zmobilizował, widząc, że ma mokre spodnie, i to bynajmniej nie od wilgotnych kamieni. Broniąc godności własnej i swojego stanu, zrobił rzecz najlepszą w danym momencie: po prostu chlupnął do morza. Lodowata woda z jednej strony zadziałała jak dobroczynny kompres, że niech się wszystkie krioterapie schowają, a poza tym otrzeźwiła go w mgnieniu oka i spowodowała przypływ męstwa. Przeczołgał się odrobinę wyżej i zaciskając zęby, ostrożnie podwinął nogawkę. Bardziej niż bólu bał się tego, co może zobaczyć. „Najwyżej rzygnę do morza!" – pomyślał z determinacją.

Noga była dziwnie wygięta, ale otwarte złamanie zostało mu zaoszczędzone. „Dobrze" – odetchnął. „Teraz trzeba się stąd ruszyć. Tylko jak?"

Plaża była pusta, właściciel labradora zniknął. W takim układzie najprościej było zadzwonić na pogotowie. Albo do Janka, msza się już pewnie skończyła. Był tylko jeden mały problem: nie miał pojęcia, gdzie jest. Gdzieś na północny wschód od Kirkcaldy. Nazwa osady tylko mu mignęła, nawet nie próbował jej zapamiętać. Jakieś Ferry. „I co, mam powiedzieć: jedź, Janeczku, wzdłuż wybrzeża i wypatruj starego idioty, któremu zachciało się skakać po skałach? Zresztą czym miałby jechać, taksówką czy autem zarekwirowanym jakiejś owieczce?"

Potem zaś stwierdził, że nawet gdyby dokonał niesamowitego wysiłku umysłowego i odtworzył drogę do tej dziury, to i tak nic z tego, komórka bowiem została w marynarce, a marynarka w jeepie. Do jeepa zatem należało dotrzeć.

Pomiędzy kamieniami zaklinowany był uszkodzony kijek trekkingowy. Za trzecim razem udało się go wyciągnąć. Podpierając się plecami i bokiem o skałę, a nogę odciążając za pomocą kijka, spróbował wstać. Dobrze. Teraz trudniejsze: trzeba oderwać się od zbawczej skały i przejść te niekończące się kilkadziesiąt metrów. Gotowy? To raz, dwa, trzy!

Znowu zabolało jak jasna cholera, ale teraz był już przygotowany i potrafił się opanować. Powoli, powolusieńku przesuwał się w kierunku ścieżki. Tam będzie poręcz. Jeszcze trochę. Jeszcze dziesięć kroków. Pięć. Już!

Spocony jak mysz, odpoczywał dobre dziesięć minut. „Dobra, rusz się, jazda, nie będziesz tu czekał do zmroku" – pogonił sam siebie. Opierając się lewym bokiem o poręcz, a kijkiem odpychając z prawej, dotarł wreszcie do samochodu i klapnął bez siły na fotel. Znowu zapragnął zadzwonić do Janka i znowu poskromił tę chętkę. Rozwalił sobie lewą nogę? No i co z tego? Przecież ma automat! Prawa mu wystarczy!

Poprawił się na fotelu, zapuścił silnik i ostrożnie ruszył. Każdy wstrząs na szutrowej drodze promieniował aż do mózgu, ale po chwili zaczął się asfalt i poszło sprawniej. Uwaga, włączamy się do ruchu… Nie za ostro hamulec, bo stuknie chorą nogą w obudowę i wtedy może nie wyrobić! Teraz spokojnie przed siebie. Jak chcą, niech wyprzedzają. Trzeba dojechać do drogi głównej, przed Kirkcaldy będzie rondo, a potem już za drogowskazem do szpitala. O, jest, na rondzie prosto. I prosto cały czas. Teraz chyba w lewo, tak, dobrze, Victoria Hospital. Już! Jak tu się wjeżdża? Chyba tutaj? Tak, tutaj. A teraz staje byle gdzie i róbcie sobie, co chcecie!

Jasiek wrócił z kościoła, a nie zastawszy szefa, wziął się za produkcję dietetycznej, ale smacznej kolacji. Kończył, kiedy

zadzwonił telefon.

– Janku? – usłyszał. – Posłuchaj, nic mi nie jest, to znaczy nic z sercem… Ale czy mógłbyś podskoczyć do szpitala? Na izbę przyjęć?

Ten kilometr z małym hakiem z Reminder Street do Victoria Hospital wikary przefrunął dokładnie w siedem minut i nawet nie zasapany wpadł na ostry dyżur. Akurat zabierali proboszcza na chirurgię, a ten zdążył mu wyszeptać:

– Nic się nie martw, to tylko noga. W informacji wszystko ci powiedzą, upoważniłem cię jako pełnomocnika…

W trakcie oczekiwania Jasiek zdążył się dowiedzieć wielu interesujących rzeczy.

– *Your partner is a cool guy* – powiedziała do niego z uznaniem dziewczyna z recepcji.

– *He's my parson*[4] – powiedział stanowczo i z naciskiem Jasiek.

– *Okay!* – zgodziła się panienka. – Ale i tak jest klasa! Zajechał sam pod szpital ze złamaniem kości piszczelowej i jeszcze się wykłócał, że nie chce narkozy, bo po narkozie robi mu się niedobrze!…

– Wykłócał się, mówisz? – zdziwił się ostrożnie Janek. – W jakim języku?

– Po angielsku, oczywiście, a co? – Recepcjonistka otworzyła szeroko oczy. – Ale ochroniarza, co się czepiał, że zaparkował na miejscu dla personelu, to wyzwał po szkocku.

– Naprawdę?… – zainteresował się Janeczek. – A jak?

– Powiedział, że jest *white settler*[5] – wyjaśniła skrupulatnie dziewczyna. – I jeszcze, że ma *git tae fuck* – szepnęła dyskretnie, a widząc, że Janek tylko uniósł brwi w podziwie, dodała: – Mówiłam, że jest klasa!

– O, tak! – powiedział gorąco Jasiek. Szef zdał właśnie egzamin z języka obcego na celujący. Ciekawe, gdzie pobierał nauki, u ministrantów?

Po godzinie poproszono go do środka; ksiądz Tadeusz leżał na wózku zagipsowany do uda.

– Proszę księdza o małą konsultację – odezwał się po polsku dyżurny chirurg, a Jasiek nawet się nie zdziwił, bo w ciągu dwóch tygodni przywykł, że rodaków spotyka się tu na każdym kroku. – Zasadniczo pacjent powinien zostać przyjęty na oddział na co najmniej kilka dni, ale… – urwał i popatrzył znacząco, co miało znaczyć: „ale ten pacjent jest tak upierdliwy, że najchętniej wykopałbym go od razu!”.

Ksiądz Tadeusz milczał jak zaklęty. Nie chciał tu zostać za skarby świata, w szpitalu zawsze mu śmierdziało i odrzucało go. Ale był doskonale świadomy, że jeżeli się uprze co do wypisu, skakać wokół niego będzie musiał nie kto inny, jak wikary. Tutaj przynajmniej miałby obsługę od a do zet.

– Zabieram księdza proboszcza do domu – powiedział Jasiek stanowczo. – Nakazuje nam to nasza reguła.

Chirurg nawet się ucieszył, przekazał ich w ręce siostry, która przez kolejne pół godziny niezwykle skrupulatnie wydawała zalecenia dotyczące pielęgnacji. Proboszcz miał leżeć plackiem przez dwa tygodnie z nogą na podpórce, żadnego łażenia i chojrakowania.

– Sprzęt można wypożyczyć przy izbie przyjęć – dodała na końcu, a księdzu Tadeuszowi robiło się coraz bardziej głupio.

– Coś ty chrzanił o jakiejś regule? – burknął, kiedy wieźli go na wózku do samochodu.

– Oto jestem, przecież mnie wołałeś – odpowiedział zwięźle Janek, a jemu zrobiło się jeszcze bardziej głupio i przyjemnie zarazem.

Na plebanii Jasiek ułożył go na parterze w pokoju gościnnym przylegającym do living roomu.

– Jutro pokombinujemy tak, żeby w dzień leżał ksiądz na kanapie w salonie, będzie księdzu przyjemniej – perorował, instalując ten cały wypożyczony, hm, sprzęt. – Na razie ja się tam położę, jakby co, wystarczy zawołać.

– Janku – bąknął – przepraszam za to wszystko… Będziesz się teraz musiał mną opiekować jak dzieckiem…

– Proszę księdza! – oburzył się Janek. – Co też ksiądz opowiada! A jak mi dali po pysku, to ksiądz przy mnie nie skakał? Poza tym – dodał, uśmiechając się szelmowsko – ja mam ekstrapatent na salowego. Kiedy Merry połamał się na stoku, pielęgniarki tak mnie wyćwiczyły, że mucha nie siada! Zresztą było im to na rękę, one mnie nie przeganiały od Merry'ego, a ja odwalałem za nie robotę w dwóch salach przy sześciu pacjentach. Nie chwaląc się, tak mi to dobrze szło, że co rusz słyszałem: „Jasieńku, podaj mi kaczkę! Zmień mi pampersa!". Więc niech sobie ksiądz daruje krępacje, ludzka rzecz!

„Ma drań słuszność" – pomyślał bezsilnie. Zresztą w głowie tak mu się kręciło po tych wszystkich dragach, które mu zaaplikowali, że nie miał już siły się z nim kłócić. Zasnął jak dziecko, z radością, że jest w domu, a nie gdzieś w jakimś głupim szpitalu.

Śniło mu się, jak zawołany do pobitego Janka doktor burczy na nich obu: „O szpitalu to nawet nie pomyśleliście, co? To teraz ta ofiara losu musi leżeć plackiem co najmniej dwa dni, siku do wiaderka, a na coś więcej w obstawie księdza proboszcza! I niech ksiądz przy nim czuwa całą noc, co godzinę budzi i sprawdza, czy przytomny. *Pater noster* niech mu ksiądz każe powiedzieć". „*Pater noster* to ja umiem nawet w śpiączce" – wyszczerzył zęby ten mały drań. „Niechby mnie ksiądz przepytał z sześciu żon Henryka Ósmego!"… „To słucham!" – zainteresował się doktor. „Katarzyna, Anna, Joanna… Anna… Katarzyna… Katarzyna…" – wyszeptał Jasiek. „No, ładnie!" – pokiwał frasobliwie głową medyk. „Tak jak mówiłem, księże proboszczu: sprawdzać z zegarkiem w ręku, a jakby tylko coś się działo, natychmiast pogotowie; skierowanie zostawiam, żeby się nie rzucali!…"

Następnego dnia czuł się dobrze, nawet aż tak nie bolało; Janek zgodnie z zapowiedzią ułożył go w salonie i zrobili krótką naradę, jak ma funkcjonować parafia. Księdza Błażeja o pomoc proboszcz prosić

nie chciał, bo czułby się idiotycznie. Fakt, ledwo się zainstalowali, a tu takie coś…

– Spokojnie, dzisiaj sobie poradzę, bo u nas msza jest o dziewiętnastej, nie muszę się bilokować – uspokajał go z przekornym uśmiechem Janek. – I wie ksiądz co? W Piusie już mnie zaczepiali, że woleliby rano o siódmej, nie o dziesiątej. Że tak by było bardziej tradycyjnie. No to czemu nie skorzystać z okazji?

– Tradycyjnie, tak? – westchnął z rezygnacją. – A nie masz ty czasem pozwolenia tylko na niedzielę?

– Ja? W życiu! – oburzył się wikary. – Pomyliło się księdzu z franciszkanami!

Na tak bezczelną supozycję powinien smarkacza pacnąć, ale machnął tylko ręką i drążył dalej:

– A w niedzielę? Na upartego byś obskoczył wszystko, ale kwadrynacji to ja ci załatwiać nie będę!

– Ja też i nie mam zamiaru się zarobić – odpalił Janek. – Mamy sześć dni, ściągnę jakiegoś kumpla do nas na wakacje, i cześć. Jeszcze dzisiaj podzwonię. A teraz muszę lecieć, wszystko ma ksiądz pod ręką, najpóźniej o wpół do dwunastej jestem z powrotem.

Ledwo się drzwi zamknęły za wikarym, zadzwoniła komórka. Brytyjski numer. Chciał sobie odpuścić, pomyślał, że to pewnie jakiś dealer, ale zupełnie jak Jaśkowi „coś" kazało mu odebrać.

– Przepraszam bardzo… – usłyszał polskie słowa. – Czy ja mógłbym się umówić na spowiedź?

W kościele przy konfesjonale wywiesili kartkę z numerami telefonów i prośbą, żeby przywoływać księdza według potrzeby. Zawahał się przez sekundę, ale powiedział pewnym głosem:

– Jestem przykuty do łóżka, ale zapraszam na plebanię, drzwi są otwarte, proszę wejść bez dzwonienia, bo ja i tak nie mogę się ruszyć. Prosto korytarzem i zaraz pan będzie widział.

Rozejrzał się szybko, czy nie ma czegoś kompromitującego na wierzchu, ale wszystko było w porządku. Po pięciu minutach na

progu pojawił się sprzedawca z Kirkcaldy Motor Company, który dość niepewnym wzrokiem obrzucił jego zagipsowaną kończynę.

– Co się księdzu stało? – zapytał ze współczuciem.

– Przewróciłem się na skałach – odpowiedział beztrosko proboszcz. – Nieważne, podaj mi proszę stułę z tamtej szuflady, dobrze. A teraz weź krzesło, odwróć je oparciem do kanapy, o tak… Proszę, mamy konfesjonał. To jazda.

– A nie można by tak jakoś… mniej formalnie?… – zająknął się penitent.

– Nie – powiedział stanowczo spowiednik. – Pozycja klęcząca znakomicie pomaga w akcie skruchy. Dalej, nie ma co się zastanawiać, cieszę się bardzo, że tu jesteś.

Jasiek wrócił po jedenastej, energicznym krokiem pośpieszył do salonu, ale z daleka już oceniwszy sytuację, wycofał się, jakby go nigdy nie było, uśmiechając się tylko lekko pod wąsem. Poza unieruchomieniem nic szefowi nie przeszkadzało w normalnym funkcjonowaniu.

W ciągu dnia Janek wydzwaniał po seminaryjnych kolegach i stanęło w końcu na Jędrzeju z Gostynia, który nie miał jeszcze żadnych konkretnych planów, więc bez trudu dało się go zarazić szaleństwem, żeby w najbliższy czwartek po prostu przyleciał do Edynburga. Nawet samolot mu Jasiek od razu zabukował i opłacił, no i nie było odwrotu.

Wieczorem, kiedy wikary wybył do kościoła, proboszcz zatopił się w rozmyślaniach.

Jeszcze dzisiaj rano wydawało mu się, że start w Kirkcaldy był najgłupszy, jaki tylko mógł się przytrafić. Stary niezguła na dzień dobry łamie sobie nogę i wypada z gry na dobrych kilka tygodni. I jeszcze ten jeep kupiony za wszystkie możliwe zaskórniaki, po co właściwie? Tego lata i tak już nigdzie nie pojadą. Szkoda, bo w Pitlochry bardzo mu się spodobało, a to przecież był dopiero przedsmak prawdziwej Szkocji. Ela tak fajnie opowiadała o Highlandzie…

A potem przyszedł ten facet z komisu. Dobrze, że przyszedł, z której by tylko strony nie spojrzeć. Tamtemu to było potrzebne, nawet bardzo, i jemu samemu też.

„Mogę przecież teraz mieć tutaj stały dyżur!" – zaśmiał się w duchu. „Trochę dziwnie, ale co tam. Zawiesi się w kościele nową kartkę i już".

Podumał jeszcze przez chwilę.

„Tylko po co, Panie Jezu, potrzebna była ta złamana noga?" – zapytał zupełnie jak don Camillo. „Tak, tak, wiem, to wyłącznie moja głupota i niezdarność. Ale jednak… Nie mogłeś ustawić tam na czas jakiegoś anioła stróża? Do czego Ci jestem potrzebny tak idiotycznie unieruchomiony, bezradny jak dziecko? Tamten gość i tak by przyszedł…"

Chrystus znad Padu zawsze zwracał się do don Camilla oficjalnie, z dodatkiem tego „don" właśnie, ale tutejszy miał dużo więcej posoborowo-zachodniego luzu.

„Tadziu, przestań chrzanić, facet z komisu przyszedłby na dziesiątą i odbił się od pustego konfesjonału, bo ty byś fruwał gdzieś na wybrzeżu" – powiedział Jezus z St Marie's. „Drugi raz już by się na to nie zdobył. Więc przestań się wymądrzać i niech ci się nie wydaje, że wiesz lepiej ode mnie, co jest potrzebne, a co nie".

W tejże chwili proboszcz usłyszał kroki w korytarzu. W drzwiach salonu stanął chirurg z izby przyjęć. Na nie swoim terenie był wybitnie spięty.

– Dobry wieczór – powiedział z niejakim wysiłkiem. – Ksiądz wikary mnie tu skierował, kazał wchodzić bez pukania… Bo przed mszą już nie zdążył… Czy mógłbym z księdzem proboszczem porozmawiać?…

„Zadowolony?" – zapytał Jezus. „Teraz jasne?"

„Tak, Panie!" – westchnął tylko ksiądz Tadeusz.

# BOGLILY 3

Dokładnie w pierwsze urodziny Jagódki, czyli siódmego sierpnia, Elunia poinformowała rodzinę, że jest w ciąży. Na czole miała wypisane wielkimi literami: jeżeli ktoś ośmieli się powiedzieć cokolwiek w rodzaju „czemu tak szybko", w sekundę legnie u moich stóp z przegryzionym gardłem! Wobec tego bliscy nie dość, że nie pisnęli ani słowa, to nawet nie zadali tradycyjnego pytania: „A na kiedy masz termin?". W końcu, czy to istotne, tydzień w tę czy w tamtą?

Bachowie postanowili zrobić wszystkim niespodziankę i podskoczyć do Poznania, chociaż ani się tak nie umawiali, ani nie przymuszały ich żadne urzędowe sprawy; jak tylko tata przesłał odpis aktu małżeństwa, z tłumaczeniem przysięgłym, rzecz jasna, Elka wymieniła sobie paszport w konsulacie w Edynburgu, i to całkowicie nowocześnie, przez internet, tylko odebrała go osobiście. I właśnie kiedy już go miała w ręku, zapadła krótka decyzja: lecimy!

Najpierw rodziców zatkało, kiedy w południe pojawili się na Pamiątkowej. Byli chytrzy i przezorni, zadzwonili przedtem, czy w ogóle ktoś będzie w domu, ale mama miała przecież wakacje, a tata kiedy tylko mógł, pracował u siebie.

Potem, kiedy po południu poszli razem do Gośki i Freda, po odśpiewaniu *Sto lat* i zdmuchnięciu świeczki (co Jagódka zrobiła tak entuzjastycznie, że przy okazji zrujnowała pół tortu), Elka wyskoczyła z Wielką Nowiną.

„Właściwie powinnam zorientować się od razu, ona cała aż kwitnie!" – pomyślała mama. „Ale stawiałam na to, że po prostu jest szczęśliwa w małżeństwie… No i David tak samo, pijany radością!"

– Termin porodu wypada na dwudziesty marca! – obwieściła Elka gromko i dumnym spojrzeniem powiodła po rodzince. Panie były

niezwykle biegłe w obliczeniach, jedna z racji zawodu, druga, bo niedawno to przerabiała, więc było dla nich oczywistością, że dziecię jest owocem nocy poślubnej, ale nawet nie mrugnęły okiem. Nie zadawały też głupich pytań w stylu: „Czy to aby pewne?", bo podobne impertynencje również były karane śmiercią. Tata na szczęście całokształtu za bardzo nie ogarniał i po prostu cieszył się razem ze swoją córeczką. Tyle tylko wiedział, że jest stanowczo za wcześnie, żeby pytać o płeć i planowane imię. A Fred, jak to Fred, momentalnie zaofiarował się, że podskoczy do szwagrostwa i pomoże urządzić chatę przed narodzinami potomka.

Jego propozycja została przyjęta ochoczo, bo przy okazji wyszła sprawa nowego lokum: w Edynburgu mogli siedzieć tylko do połowy września.

– A co z waszą chatką w Achtoty? – zaciekawiła się Gośka.

– Ona jest dla nas dobra tylko na wakacje – wyjaśnił David. – Po sezonie będzie tam mieszkał i pilnował jej Greg z hostelu, Ela wam pewnie opowiadała o nim… – „Powiedział »Ela«, po polsku" – zauważyła mama. – To Polak, właśnie on pomógł mi wszystko przygotować, napis, kwiaty i tak dalej. Fajny facet, a jemu też będzie tak wygodnie, bo od listopada hostel się zwija.

W tym momencie zgromadzeni mieli okazję raz jeszcze ze szczegółami usłyszeć historię Taktoi. Kurczę, jak odmienić nazwę chatki, to znika kalambur. Zatem: historię domku o nazwie Taktoja.

Otóż babcia Davida, ta z Bangor, wprawdzie nie przyjechała na ślub, ale bynajmniej nie dlatego, że miała jakieś obiekcje. Przeciwnie, wybranką wnuka była zachwycona, szczególnie gdy ta obdarowała ją kompletem tkanych własnoręcznie serwetek do herbaty, które wzbudzały zawiść wszystkich jej przyjaciółek przy każdym babskim zlocie. A w ogóle była szczęśliwa, że Davidek wreszcie trafił na dziewczynę, która potrafi odpłacić sercem za serce. Gdzieś tak koło Wielkiejnocy wzięła tedy wnuka na stronę i kazała wybrać, co woli na prezent ślubny: domek letniskowy na Anglesey czy równowartość w gotówce.

– Miałam ci to zapisać w testamencie, ale o wiele bardziej wolę zrobić wam prezent za życia! – oświadczyła nadzwyczaj rozsądnie.

Wnuk najpierw osłupiał, a potem szybko zadeklarował, że prosi o forsę. I jeszcze tego samego wieczora zaczął szukać w internecie chaty na sprzedaż gdzieś w dzikich ostępach Highlandu. Prawie już zdecydował się na takie coś na północ od Ullapool, ale wtedy wpadło mu w oko ogłoszenie spod Tongue. Osada nazywała się Achtoty. David pomyślał, bo tak mu to jakoś dziwnie znajomo brzmiało, wpisał nazwę do tłumacza Google, kombinując odrobinę ze spacjami, i faktycznie, przeczucie się potwierdziło. Chciał kupować od razu bez oglądania, ale Brendan mu to wyperswadował, pojechali razem, obejrzeli, zaakceptowali… Resztę załatwił Greg, czyli Grzegorz, który służył konsultacją językową i przygotował wszystko na ich przyjazd, a każdy detal fotografował i wysyłał Davidowi mailem.

– Zaczynam robotę za dwa tygodnie – tłumaczył David. – A Ela oczywiście od października. Chcieliśmy coś wynająć, ale nie w Edynburgu…

– …tylko po północnej stronie Firth of Forth – dodała Elka.

– Z dala od wielkiego miasta… – wyjaśnił David.

– …w jakiejś małej osadzie – sekundowała jego młoda małżonka.

– I właśnie znaleźliśmy coś takiego! – dokończył młody małżonek, stukając w klawiaturę komputera Freda.

Oferta przedstawiała pomysłowo i urokliwie przerobioną stodołę przytuloną do zadbanej farmy.

– Moglibyśmy mieć kota – wyskoczyła Elka.

– Albo psa – dodał David.

– I będziemy tam mieć święty spokój i ładne widoki – dodali jednym głosem.

Mama uśmiechnęła się w duchu, a tata zapytał:

– A gdzie to jest? Pokażcie na mapie!

„Oj, Robert, co się głupio pytasz, w promieniu góra dziesięciu mil od Kirkcaldy” – pomyślała mama.

– O, tu – powiedział David, wyświetlając mapę. – Nazywa się Boglily.

– Dwieście jardów w bok od drogi wylotowej z Kirkcaldy na zachód – dodała Ela, a mama uśmiechnęła się już otwarcie.

Potem Fred z Davidem zaczęli uzgadniać, co należałoby w tej stodole zrobić – praktycznie wszystko poza kuchnią, ze szczególnym uwzględnieniem pracowni dla Elki, a tata udawał, że przy naradzie asystuje. Bardzo szybko doszli do wniosku, że po prostu zabiorą się z powrotem do Szkocji w piątkę z Podgórnymi; panie będą zwiedzać okolice, a panowie urządzą wnętrza. Tydzień wystarczy, w końcu to świeżo wyremontowana chata, trzeba ją tylko umeblować.

– A na początku marca, dajmy na to, kopnę się jeszcze raz i przygotuję co trzeba dla dziecka – obiecał gorliwie szwagier. I jak tu go nie lubić?

W tym samym czasie mama na stronie ośmieliła się w końcu zapytać Elkę, jak się czuje. Córeczka zmierzyła ją dumnym spojrzeniem.

– Doskonale! – powiedziała pewnie i przygwoździła Gośkę stalowym wzrokiem, żeby tylko nie próbowała drążyć tematu. A co się będzie przyznawać, że od kilku dni chce jej się rzygać. Jeszcze byłoby gadanie!

Następnego dnia Elanor Piękna musiała jednakowoż poczynić pewne ustępstwa od swoich zasad na rzecz przyjaciółki, do której wpadła na babskie ploteczki. (David z Fredem w tym czasie naszkicowali plany, a potem razem z tatą ględzili o polityce).

– A dlaczego tak szybko? – zapytała bezpośrednio Dominika.

Elunia popatrzyła na nią powłóczyście. Każdy inny, jak było powiedziane, zostałby za takie coś rozszarpany na strzępy, ale Dominika funkcjonowała na specjalnych prawach.

– Żadne z nas nigdy nie miało nic przeciwko dzieciom – odparła powściągliwie. Potrójne to zaprzeczenie miało wzmocnić przekaz zaprzeczenia pojedynczego. Zaraz, czy aby nie było to zaprzeczenie

poczwórne? Tylko w języku polskim można się wyrazić w ten sposób! Spróbujcie to samo powiedzieć po angielsku!

– No dobrze – nie ustępowała Dominika. – Ale jak to właściwie było? Zaplanowaliście czy tak przez przypadek?

Gdyby to był ktokolwiek inny… Jednakże Dominice należała się szczerość. No to już!

– Czekaliśmy na siebie z Davidem cały długi rok – powiedziała Elka po prostu – i nie mieliśmy zamiaru czekać ani jednego dnia dłużej. To było nasze święto.

– I wiedziałaś, że możesz zajść w ciążę? – padło kolejne dociekliwe pytanie.

– Oczywiście! – prychnęła Ela. – Ja wiedziałam i on wiedział! W stu procentach braliśmy to pod uwagę!

– A… – tu jednak Dominika się zająknęła – który to był dzień?

Tym razem Elka przyjrzała się przyjaciółce z refleksyjnym namysłem. „No, moja miła" – podumała. „Skoro zaczynają padać takie pytania, to znaczy, że twoja znajomość z Miłoszem weszła w druga fazę!"

– Siedemnasty – powiedziała krótko i natychmiast odbiła piłeczkę: – Ale pamiętaj, że korzystanie ze strony kalbi.pl jest obarczone trzydziestoprocentowym ryzykiem błędu! – W życiu by się nie przyznała, że właśnie przy pomocy tej witryny obliczyła sobie termin porodu. Lekarz nie postawił jeszcze kropki nad i, coś tam mruczał, że jemu wypada później. I dodała czarująco: – A co tam słychać u mojego kuzyna?

Elki było na wierzchu, Dominika spłonęła krwistym rumieńcem. Mimo to drążyła dalej:

– I jak mu o tym powiedziałaś?

Czyżby to nie była faza druga, ale od razu trzecia?

– Tak koło dwudziestego lipca zapytał mnie z niewinną miną, kiedy spodziewam się miesiączki. A ja mu na to, że jeżeli uwzględnić standardowy czas karmienia piersią, to na przyszłoroczne Boże Narodzenie…

Atmosfera szczerej, acz pełnej samozaparcia rozmowy uległa odprężeniu, Dominika roześmiała się z ulgą.

– A David jak zareagował?

– Zaczął się śmiać jak wariat, złapał mnie na ręce i obnosił po całym domu, a teraz codziennie dostaję śniadanie do łóżka – powiedziała z rozanielonym uśmiechem Elka.

– No dobra. – Dominika tylko w połowie była usatysfakcjonowana. – To teraz jak planujecie sobie ułożyć życie? Co z twoimi studiami?

Elka powolutku zaczynała mieć dosyć. Gdyby to nie była Dominika…

– A co ma być? – odszczeknęła się bojowo. – Normalnie zaczynam w Edynburgu od jesieni. Tak się dogadam z promotorem, żebym mogła mu do połowy marca pokazać licencjat. A obronię w czerwcu, jak dziecko już będzie trochę odchowane.

– Zaraz, ja nie do końca rozumiem. – Dominika była uparta. – W Edynburgu będziesz w ramach Erasmusa, tak? Jeden semestr czy cały rok?

– Semestr zimowy z możliwością przedłużenia za bardzo dobre wyniki – wyjaśniła Ela. – No to się postaram. Licencjat zrobię w Edynburgu, a w Poznaniu mi go zatwierdzą, rozumiesz? Z odpowiednią adnotacją. W sumie będę miała tak jakby podwójny dyplom. A potem się zobaczy.

Dominika przemilczała ostatnie zdanie, bo nie chciała przyjaciółki rozdrażniać, a jeszcze o parę spraw się chciała dopytać.

– Jak wy w ogóle stoicie finansowo? Ile David będzie zarabiał? Ile będziecie płacić za mieszkanie?

Ela ponownie się zamyśliła, analizując wszelkie możliwe podteksty tych bezpośrednich, ba, obcesowych pytań. Ciekawe, bardzo ciekawe… Jeżeli dobrze sobie interpretuje, to kuzynkowi z przyjaciółką poszło migiem, może nawet szybciej niż jej samej! I trzeba przecież pamiętać, że oboje są od niej młodsi prawie o rok.

– Dwa trzysta miesięcznie na początek, przez pierwsze pół roku, potem może liczyć na podwyżkę – zrelacjonowała skrupulatnie. – Za

chatkę w Achtoty będziemy dostawać dwieście, to niedużo, ale i tak się cieszymy, że ten Greg miał ochotę tam mieszkać. Obu stronom to na rękę, on ma tanie lokum, my wiemy, że ktoś się nim opiekuje… My z kolei za stodołę przy Boglily będziemy płacić czterysta pięćdziesiąt plus jakieś tam podatki od oddychania, prąd, ścieki, internet… nie martw się, na żarcie wystarczy. „I na benzynę, żeby sobie gdzieś skoczyć" – dodała w myślach. – Musimy zapłacić kaucję, no i umeblować, ale na to mamy od rodziny, w ramach prezentów ślubnych.

– A reszta? Czesne za studia?

– Na to już uzbierałam! – oświadczyła z dumą Ela. – Zarobiłam na cały rok! I mam pełno nowych zamówień!

– Dasz z tym wszystkim radę? – zatroskała się Dominika.

– Czemu nie! – powiedziała niefrasobliwie Elunia – Wiesz, jak się fajnie szyje albo tka, kiedy mąż cię drapie po plecach do wtóru *Koncertu brandenburskiego*?

Parsknęły obie śmiechem, przy czym szare komórki Dominiki pracowały tak szybko, że powinno być słychać ich trzeszczenie. Więcej już jednak nie chciała drążyć tematu w obawie przed kompletną dekonspiracją. Wobec tego zainteresowała się produkcją artystyczną przyjaciółki, ta zaczęła opowiadać, pokazywać w internecie i tak im zeszło do wieczora.

W następny czwartek całą bandą polecieli z powrotem. Ledwo się Podgórni upchnęli w daihatsu Davida, pokpiwając sobie z niego przy okazji, że do marca musi się postarać o coś nowego. David tylko się uśmiechał, za to Elka skoczyła:

– Sami sobie kupcie coś lepszego, mądrale! – Gośka i Fred jeździli skromnym oplem. – My nie potrzebujemy! Nasz Syriusz ciągnie jak rakieta!

„Aha!" – pomyślała Gośka. „Miłe wspomnienia zaowocowały potterowskim pseudonimem i nawet nie pytam, kto go wymyślił, bo to trzeba mieć narąbane, żeby siriona na Syriusza przerobić!" – Jak

widać, Perełka ciągle jeszcze nie mogła zapomnieć siostrze uśmiercenia Freda.

Podjechali najpierw na Kirkhill Gardens, panie wysiadły, a panowie ruszyli na wizję lokalną i ewentualne zakupy. Jagódka została nakarmiona i uśpiona i wtedy w końcu Gośka ośmieliła się wziąć siostrzyczkę na spytki.

– Ty byłaś w ogóle u lekarza, mała? Czy tylko robiłaś sobie test ciążowy?

Ciekawe, że Elka nabierała cech drapieżnika jedynie we własnym gnieździe rodzinnym. Tu, na swojej Ziemi Szczęśliwej, łagodniała i potrafiła porozmawiać z siostrą jak człowiek.

– Robiłam test i byłam u lekarza! – wyliczyła skrupulatnie. – Posprawdzał wszystko na wszystkie strony i możesz być spokojna, będziesz ciocią! Chociaż sugerował, że się przeliczyłam i że jemu wypada dwa tygodnie później. I śmiał się ze mnie, że chyba bardzo, ale to bardzo mi zależy, skoro tak szybko do niego przybiegłam!…

Gośka też miała ochotę prychnąć, ale nie chciała hańbić miłości własnej najdroższej siostrzyczki.

– I co mu powiedziałaś?

– Że chyba ja wiem najlepiej! A on dalej się śmiał i powiedział, że nie ja pierwsza sobie wyobrażam, że wiem najlepiej. Wtedy wyciągnęłam swój zeszyt i mu pokazałam…

Tym razem Gośka nie opanowała drgania ust, ale Elka się nie przejęła.

– A doktor na to, że organizm ludzki potrafi wprawić w zakłopotanie najlepszego praktyka, a co dopiero nowicjusza…

Teraz Gośka śmiała się już na całego.

– To prawda, mała. Słuchaj doktora!

– Ale, Gosia, dwa tygodnie później to absolutnie niemożliwe!

– Bo co? Z tego, co wiem, to wszelkie warunki niezbędne zostały spełnione?

Zaiste, *Terra Felix* miała błogosławiony wpływ na Elunię, bo ta zamiast warczeć, też zaczęła się śmiać.

– Dobra, niech wam będzie. On mówił tak samo, że to wpływ stresu i podróży. Chociaż przysięgam, stresu przed ślubem nie odczuwałam żadnego! I co to za podróż, dwie godziny samolotem?

„Aha, siostrzyczko, gadaj to komu innemu!" – pomyślała Gośka. „A kto nie mógł spać dwa tygodnie wcześniej? Aż dziw, że sesję zaliczyłaś z marszu i w pierwszym terminie! To i nie dziwota, że zegar biologiczny ci się przestawił od tych wszystkich atrakcji…"

– Macie plany co do imienia? – zapytała zamiast tego zupełnie jak tata.

Elka popatrzyła na nią w skupieniu, ale w końcu postanowiła dopuścić siostrę do konfidencji.

– Na razie tylko dla chłopca – wyjaśniła. – Planowaliśmy to od zawsze – dodała szczerze, a na widok jednego wielkiego „no i?…" w oczach Gośki powiedziała dumnie:

– Angus!

Gośka była stuprocentowo pewna, że usłyszy „Boromir", więc szczęka jej opadła.

– To stare celtyckie imię i znaczy „wybraniec" – powiedziała dumnie Elka, po czym zerknęła na siostrę i w jednej chwili przejrzawszy jej konsternację, zadeklarowała pośpiesznie: – Boromira postanowiliśmy zostawić tobie i Fredowi! Nie będziemy wam kraść pomysłów!

Gośka, o dziwo, leciutko się speszyła.

– Tylko, mała, my dla chłopaka przewidzieliśmy Tomasza, żeby pasowało do Złotej Jagody…

Elka z błyskiem w oku otaksowała siostrę i zapytała:

– Słuchaj, stara, czy ja aby tobie nie podebrałam nowiny?

– Nie, jeszcze nie – z rozbawieniem odpowiedziała Gośka. – Ale chyba będziemy musieli nad tym popracować, żeby nie zostać za wami w tyle…

Rozchichotały się obie, Jagódka otworzyła oczy i trzeba się było nią zająć, więc dopiero po jakimś czasie, kiedy poszły zobaczyć Kopiec Artura, Gośka zawyrokowała melancholijnie:

– Biedny tata, jego Boromir znowu oddalił się w siną dal! – na co Elka udzieliła błyskawicznej riposty:

– Czy my powiedziałyśmy ostatnie słowo? A nawet jak nie my, to jest jeszcze… – Gośka spojrzała na nią zdumiona – …Merry i Wiola – dokończyła Ela i zerknąwszy na siostrę, zdziwiła się pruderyjnie: – A co miałaś na myśli?

– Absolutnie nic! – zarzekła się Gośka i na jednym oddechu dodała: – A jak już przy tym jesteśmy, to co u Janka?

Zaczęły się znowu obie śmiać, aż obejrzeli się za nimi przechodzący ludzie, a Jagódka im zawtórowała srebrnym głosikiem. Elka plastycznie przedstawiła przypadek księdza Tadeusza.

– Teraz już zaczął chodzić po domu o kulach, rwał się nawet do kościoła, ale Jasiek go przegonił, bardzo pilnuje, żeby ksiądz się nie przesilił, jeszcze by mu się coś tam źle zrosło!… Więc proboszcz dyżuruje na plebanii i wiesz co? – Elka znowu zachichotała. – Nasz braciszek wstawił mu do salonu taki zwykły konfesjonał, samą kratkę, i poszło w lud, że w St Marie's na plebanii spowiada taki fajny ksiądz w gipsie. Nawet dostał ksywkę *Plastered*…

Gośkę z lekka zatkało.

– Że jak proszę?

– No, *Plastered*. A co, źle wymówiłam?

– Nie, nie, dobrze, ale mała… Ty wiesz, co to znaczy?

– Jak to co, Zagipsowany.

Siostra-anglistka odchrząknęła.

– Elka, słuchaj… To taki idiom… I znaczy tyle, co nawalony. Kto to wymyślił?!

Tym razem zatchnęła się Ela.

– O rany, naprawdę? To już wiem, czemu ten cholerny drań tak rechotał na Skypie, jak mi to opowiadał!

– Janek?

– No a kto? Jezu, ale się porobiło! Bo słuchaj, to było tak: ksiądz Tadeusz zadzwonił do szkoły i umówił się z dyrektorką na rozmowę.

Przepraszał za swoją niedyspozycję i tłumaczył, że jest w gipsie. Znaczy, *plastered*…

Anglistka nie wytrzymała i zaczęła śmiać się jak dzika. Elka spojrzała z wyrzutem; Gośka spróbowała opanować żywioły.

– Mam nadzieję, że nasz ukochany braciszek jakoś to odkręcił? Wytłumaczył?

– Chyba tak, w każdym razie w niczym to proboszczowi nie zaszkodziło. Bez przerwy teraz ktoś do niego zagląda. Nie tylko do spowiedzi, ale żeby po prostu porozmawiać. Wygadują mu się ze swoich kłopotów, nasi i Szkoci też. A on już nawet po szkocku zaczął mówić! – powiedziała z satysfakcją Szkotka z wyboru.

– To może my też go odwiedzimy? – zastanowiła się Gośka.

– Koniecznie! – gorąco zadeklarowała Ela. Księdza Tadeusza bardzo, ale to bardzo lubiła. – Postanowiliśmy z Davidem, że do kościoła będziemy chodzić raz do Janka na mszę trydencką, a raz do księdza Tadeusza. Bo David chce się uczyć polskiego – wyznała z rozanielonym uśmiechem.

W tym samym czasie David pobierał od szwagra praktyczne nauki języka polskiego budowlanego. To znaczy nie do końca tak, jak czytelnik myśli, chociaż raz, kiedy Fredowi zleciała na nogi skrzyneczka z narzędziami, miał okazję usłyszeć rewelacyjną artykulację r. Przede wszystkim chodziło jednak o piękne słowa ojczyste typu „śrrubokrręt”.

Panowie okazali się tytanami pracy i w ciągu popołudnia zdążyli przywieźć z MKM w Kirkcaldy wszystko, co było potrzebne do machnięcia systemu półek i ścianek działowych na parterze. Tak miała powstać pracownia dla Elki i jeszcze coś w rodzaju pokoju gościnnego. Kiedy materiały zostały zwałowane na środku stodoły, David uśmiechnął się pod wąsem i powiedział:

– No, *brother-in-law*, wyduś wreszcie to, co masz od czterech godzin na końcu języka, będziemy to mieli z głowy!

Fred nie należał do tych, których można zdetonować byle czym, ale tym razem jednak z lekka się zachłysnął, bo ten szczeniak pięć

lat młodszy czytał w jego głowie jak w otwartej księdze.

– Ja? Niby co? – spróbował udawać głupka.

– Pierwszy strzał i od razu trafiony-zatopiony…

Małżonek Eli, całkiem jak jej brat, miał dar wyczuwania ludzkich życzeń – przypadek to czy świadomy wybór zainteresowanej? – i tym razem również nie pomylił się ani o jotę. Fred pokraśniał, ale że był człowiekiem tak samo dzielnym, jak zaradnym, więc zrobił rzecz najlepszą w danym momencie: roześmiał się i walnął Davida przez plecy tak, że ten przygiął się do podłogi.

– Zgadza się – powiedział, szczerząc zęby. – Gratulacje, stary. – A skoro i tak wszystko się wydało, zapytał po męsku i bezpośrednio:

– Dobrze wam ze sobą?

– O, tak – odpowiedział natychmiast David i twarz mu się rozpromieniła. – Aż czasami się boję, że mam za dużo szczęścia. Ela jest… no, sam rozumiesz…

Co miał za dużo gadać, Fred zresztą i tak już chwytał. A on oczami duszy ujrzał, jak w gołuchowskim zamku delikatnie rozplótł Eli warkocze i nieswoim głosem powiedział:

– Pozwól, że pierwszy pójdę wziąć prysznic, a potem zaczekam na ciebie…

Uwinął się błyskawicznie w kilka minut, owinął biodra ręcznikiem i wyszedł do niej speszony i szczęśliwy. Ela, tak samo jak on rozdygotana, tylko w halce, mignęła do łazienki, rzucając w przelocie:

– Pośpieszę się!

Na stoliczku zobaczył aparaty w pudełeczkach; zdjęła je, tak jak się umówili na plaży koło lotniska wojskowego pod Cardiff, gdzie przeprowadzali próbę generalną, czy w warunkach zbliżonych do rzeczywistych Eli będą piszczały aparaty. Piszczały, więc uznali, że w dniu premiery wystąpi bez nich…

Zdążył zapalić świece, kiedy była z powrotem, z kroplami nie wytartej do końca wody na skórze, też okryta białym ręcznikiem,

tylko że jej sięgał od ramion po kolana; wpadli sobie w objęcia jak wystrzeleni z katapulty, a on zaszeptał jej gorąco wprost do ucha:

– Tak długo na ciebie czekałem!…

– Ja też!… – usłyszał niczym echo.

Potem w środku nocy głaskał uśpioną, wtuloną w niego Elkę, a ona z cudownym, delikatnym uśmiechem westchnęła po polsku: „Kocham cię”…

Otworzył teraz usta, żeby zapytać jeszcze szwagra o pewne tajne męskie sprawy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołał razem z Fredem, próbując wrócić do rzeczywistości.

Do środka weszła trzynastoletnia może dziewczynka z koszykiem w rękach. Kto by oczekiwał, że znajdzie w nim zgodnie z kanonem literatury klasycznej wino i ciasto, srodze by się zawiódł. W środku bowiem coś się ruszało.

– Cześć – odezwała się bezpośrednio do Davida. – Jestem Emily Hay. Mama mi mówiła, że szykujesz mieszkanie dla swojej żony. – „Ela jest moją żoną!” – pomyślał David. Ciągle jeszcze nie mógł się przyzwyczaić i za każdym razem robił się dumny i rozanielony jednocześnie. – A nie chciałbyś dla niej kotka? – I odchyliła wieko. – Mama pozwoliła mi zostawić sobie tylko jednego, drugiego muszę wydać…

W koszyku spoczywały dwa kociaki rzadkiej urody. Jeden był rudy z białym krawatem i łapkami, drugi trzykolorowy. Nawet gdyby David nie wiedział, że szylkretowe są tylko kotki, to i tak odgadłby bez trudu płeć istotki, bo jako żywo przypominała mu jego ślubną małżonkę: po prostu mała, krucha kobietka w każdym calu, ale z żelaznym charakterem!

Kociczka jak na zawołanie przeciągnęła się, pacnęła braciszka w pyszczek i śmignęła na ziemię. Tyle że jako chucherko trzymiesięczne coś tam sobie źle obliczyła i grzmotnęła o podłogę, aż jęknęło. Niezrażona otrząsnęła się i ruszyła z szybkością rakiety na zwiady. Rudy za nią. Koci kłębek przetoczył się po całej stodole, by

wreszcie rozdzielić się ponownie u ich stóp. Szylkretka zmierzyła Davida lekko pijanym, hipnotycznym spojrzeniem.

David zdecydował się momentalnie, ale zerknął na Emily, która dzielnie skrywała emocje, i zapytał:

– A którego ty wolisz?

– Gingera – powiedziała bez namysłu, pokazując na rudzielca.

– No to interes ubity! – roześmiał się z ulgą David. – Tylko wiesz co? Dałoby się poczekać jeszcze trzy dni? Kiedy skończymy tutaj robotę i przyjedzie moja żona – przeciągnął to słowo z prawdziwą satysfakcją.

Emily radośnie przytaknęła. Załatwiła, co chciała, mama nie będzie jej suszyła głowy, a i tak oba kociaki zostaną na jednym podwórku.

– To coś wam jeszcze poradzę – powiedziała na odchodne. – Nasi znajomi z Raith Drive, tutaj niedaleko, likwidują dom i wyprzedają meble. Może by się wam coś przydało?

Namiary od Emily okazały się bezcenne; chcieli zrobić zakupy po prostu w IKEI w Edynburgu, ale tak było o wiele prościej, no i nie czarujmy się, meble od znajomych gospodarzy były ładniejsze i z duszą, choćby cudowna zielona sofa w białe margaretki. A i tamci byli zachwyceni, że tak łatwo pozbyli się kłopotu.

Kolejne dwa dni panowie przepracowali nadzwyczaj solidnie i w sobotę koło ósmej mogły wreszcie zjechać dziewczyny. W sama porę, bo Elunia zdążyła się już baaardzo stęsknić.

W niedzielę całkowicie bez ostrzeżenia zrobili nalot Jankowi – uprosili rodziców, żeby nic a nic mu nie zakablowali, więc choć mamę i tatę aż skręcało, dotrzymali słowa i pozwolili im załatwić wszystko osobiście. Udało się w stu procentach: Jaśka na ich widok najpierw zatkało, potem rozpromienił się tak, że aż w kościele jaśniej się zrobiło, a jeszcze potem, kiedy zdradzili mu nowiny, porwał ich w ramiona i długo nie chciał puścić.

I chyba tylko Fred zauważył, że jego szwagrowie wymienili długie, a bardzo znaczące spojrzenie.

„To co, stary, doczekałeś się” – mówiły oczy Janka. „Pilnuj teraz tego szczęścia, nie pozwól mu zgasnąć”.

„Nic się nie bój” – odpowiedział wzrokiem David.

# ŚRODEK WYCHOWAWCZY 4

Księża Wieczorek i Niziołek od drugiej połowy sierpnia zaczynali robotę w dwóch katolickich szkołach, wobec czego postanowili dokonać podziału pracy według sprawdzonego, krzesińskiego modelu: dla starszego podstawówka, dla młodszego *high school*. Jak czytelnik dobrze wie, wcale nie oznaczało to, że wariant pierwszy był łatwiejszy. Był po prostu inny, a do każdego trzeba było mieć dar i praktykę.

Za pełną zgodą parafian poprzenosili też codzienne msze na wcześniejsze godziny. Jasiek u Piusa zrobił to już wcześniej, teraz tak samo pokombinowali w głównym kościele. Dawniej trzech salwatorianów dzieliło między siebie obowiązki w kościele i w szkole, oni we dwóch nie daliby rady funkcjonować w tym stylu. Koniec końców stanęło na ósmej w St Marie's, żeby w razie czego jeden z nich dał radę z posługą w obu kościołach. Przez swoją wpadkę proboszcz wolał być ostrożny. Poza tym miał pewne plany i maleńką wizję, więc ósma dużo bardziej mu pasowała niż dziesiąta.

Tak naprawdę to powinien był kurować się jeszcze co najmniej dwa tygodnie, ale czytelnik łatwo zgadnie, jaki był jego stosunek do tejże kuracji i co uczynił w rzeczywistości. Jasna sprawa, że kiedy tylko po czterech tygodniach dostał od chirurga pozwolenie na krótki gips (hm, pozwolenie? Czy to aby dobre słowo? Może należałoby zmodyfikować nieco znany nam już cytat: Ten pacjent jest tak upierdliwy, że skoro koniecznie mu zależy na tym, żeby fruwać ze złamanym odnóżem, to niechże to zrobi i będzie spokój!), zastosował metodę, nomen omen, nogi w drzwiach i zafundował sobie bardzo zgrabny plastikowy usztywniacz. Co nijak nie wpłynęło na zmianę jego nowego pseudonimu, autoryzowanego zresztą przez głównego bohatera nie bez odrobiny zażenowania, ale też i w pełni

pogody ducha. Lepsza taka wizytówka niż żadna, a ta przynajmniej była wyrazista, nie mówiąc już o tym, że można ją było potraktować jako dyscyplinujące memento.

Poza tym nie noga zakłócała mu spokój, kiedy osiemnastego sierpnia wkraczał pierwszy raz o kulach do St Marie's Primary School; na razie tylko na coś w rodzaju rady pedagogicznej, bo uczniowie startowali od środy. Mianowicie ksiądz Błażej opowiedział im, a może raczej należałoby powiedzieć, że ich postraszył, choć w pełni nieświadomie, jakie metody wychowawcze stosowane są w obu szkołach. Niby wszystko było cacy: promocja wartości, zaufanie, tolerancja, solidna edukacja… I tylko kompletnie walnięci faceci, mianowicie proboszcz z wikarym, mogli wypatrzyć w tymże edenie taki oto kwiatek:

– Młodzież od najmłodszych lat wdrażana jest do samowychowania i poczucia odpowiedzialności jeden za drugiego – opowiadał ze swadą ksiądz Błażej.

„Czy ty myślisz o tym samym, co ja?" – Proboszcz spojrzał pytająco w oczy Janeczka. „Myśleć myślę, ale mam nadzieję, że się mylę!" – odpowiedziały prostolinijne oczęta Jaśka.

Myśleli tak sobie do woli przez pierwsze dwa dni robocze. Pani dyrektor była osobą przemiłą, kompetentną i energiczną, która twardą ręką trzymała swoje sfeminizowane grono. Przeciwko sfeminizowaniu ksiądz Tadeusz, rzecz jasna, nic nie miał, w krzesińskiej podstawówce też uczył poza nim tylko jeden chłop, jego czujność wzbudziły jedynie następujące instrukcje:

– Proszę być wyczulonym na wszelkie sygnały płynące od uczniów co do dyscypliny i wzajemnej formacji!

Coś bardzo podobnego usłyszał Janek w St Andrew's, ale po naradzie doszli do wniosku, że są przewrażliwieni i powinni się cieszyć, że będą uczyć w takich dobrych szkołach, a nie szukać dziury w całym. Ksiądz Tadeusz poza tym aż promieniał, że rozumie już w zasadzie wszystko i nie ma problemów z konwersacją, za co jako wdzięczny uczeń nie omieszkał natychmiast podziękować

swojemu nauczycielowi. Nauczyciel się speszył, bąknął coś tam niewyraźnie, ale było widać, że też go cieszą sukcesy szefa.

A w środę zaczęły się normalne zajęcia.

Zaraz po mszy proboszcz pokuśtykał pośpiesznie do warczącego pod kościołem jeepa, w którym czekał Jasiek, potknął się o kępkę trawy, zerknął na zaniedbany nieco trawnik, któremu dawno należało się strzyżenie, machnął ręką i już siedział obok wikarego. Pojechali razem; obie szkoły były położone w jednym zaułku, wciśniętym między rzeczkę i obwodnicę, tylko adresy miały inne. Zaparkowali przy Macindoe Crescent i Janek poszedł na szagę przez boiska do gimnazjum, a on do swojej podstawówki, czyli w paszczę lwa na weryfikację obaw i przeczuć.

No i zaraz na samym początku, jeszcze na korytarzu, dziecię może dziewięcioletnie płci męskiej podbiegło do proboszcza i zaraportowało gorliwie:

– Proszę księdza, proszę księdza, a Jack mówi na księdza *Plastered*!

„Wdrażanie do samowychowania i poczucia wzajemnej odpowiedzialności" – pomyślał sardonicznie proboszcz. Uśmiechnął się szeroko i w te słowa odezwał do młodocianego kapusia… to jest do osobnika wdrażającego praktycznie postulat autoformacji:

– *Praised be Jesus Christ!* Powtórz, synku! – A widząc, że adepta szkoły katolickiej z lekka zatkało, wyjaśnił: – Najpierw trzeba się przywitać, a potem załatwiać wszystkie inne sprawy.

Chłopczyk powtórzył wpatrzony w księdza Tadeusza jak w przybysza z Marsa.

– *Forever!* Amen – odpowiedział radośnie ksiądz prefekt i dodał: – Teraz słucham, co powiedziałeś? Tylko mów, proszę, głośno i wyraźnie, bo ja już jestem stary, a poza tym przyjechałem z Polski i mogę nie wszystko rozumieć. Wiesz, gdzie jest Polska?

Wokół nich powolutku rósł wianuszek ciekawskich.

– W Europie? – powiedział delikwent z ewidentnym znakiem zapytania na końcu. Ktoś zachichotał.

– W Europie – przytaknął proboszcz. – Wiesz co? Panna Smith pokazywała mi wczoraj waszą bibliotekę, bardzo ładna. To idź teraz, proszę, i poszukaj w atlasie Polski. W atlasie, nie na Wikipedii. A na następnej przerwie spotkamy się w tym samym miejscu, opowiesz mi, czego się dowiedziałeś, i wtedy spokojnie dokończymy rozmowę. No, ruszaj, bo nie zdążysz przed dzwonkiem! – I zagarnął ogłupiałą ofiarę systemu wychowawczego w kierunku przeciwnym do kątka, w którym, jak się domyślał, przywarował Jack.

„Ciekawe, czy przyjdziesz?" – powiedział sobie w duchu. „Stawiam *fish and chips* przeciw kalafiorowi bez zasmażki, że nie! Ale to nie szkodzi, ja znajdę ciebie! Wyjaśnię ci, kochasiu, że z gipsu wyskoczyłem cztery dni temu, a teraz używam ortezy. I każę ci sprawdzić w bibliotece, co to jest orteza…" – Z takimi czarownymi planami przekroczył podwoje klasy trzeciej, czyli komunijnej.

Zaczął normalnie, od modlitwy, a potem miał zamiar się przedstawić i opowiedzieć dzieciom, jak wygląda pierwsza komunia w Polsce, ale wyszło inaczej. Otóż ledwo przebrzmiało „amen", dla odmiany pewna dziewczynka ochoczo obwieściła:

– Proszę księdza, George to udawał, że mówi pacierz, a tak naprawdę tylko mruczał!

– On nie umie, proszę księdza! – pośpieszył jej w sukurs kolega.

Co księdzu Tadeuszowi w tym momencie przeleciało przez głowę, niech czytelnik sam się domyśli. Po co przytaczać oczywistości, a może nawet je wykropkowywać?

– Ja jestem *father Thaddaeus*, a wy, moi drodzy? – zapytał z uroczym uśmiechem. – Zanim się zacznie z kimś rozmawiać, trzeba się przedstawić.

– Sophie!

– Aaron! – odrobinę mniej entuzjastycznie, choć ciągle nic nie podejrzewając, powiedziały dzieciątka.

– Aaron! – rozpromienił się proboszcz. – Jakie ładne imię! A wiesz, co oznacza?

Chłopiec pokręcił głową. Cięgle jeszcze nie zwęszył podstępu.

– Nie wiesz? – zdumiał się ksiądz Tadeusz. – Rodzice nigdy nie mówili, dlaczego nadali ci to imię?

– Mamie się podobało – oznajmiło chłopię po krótkim zastanowieniu, i to już znacznie mniej pewnym głosem, co z satysfakcją odnotował jego rozmówca.

– No dobrze – westchnął – to zrobimy tak: dzisiaj w domu porozmawiasz z rodzicami i dowiesz się, kto to był Aaron.

– Ale… – próbował zaprotestować delikwent, lecz proboszcz nie dał się przegadać. Co to, to nie.

– Jak rodzice też nie będą wiedzieć, to wspólnie poszukacie w encyklopedii – powiedział nie bez pewnej złośliwości.

– A można w internecie? – zapytał niepewnie właściciel biblijnego imienia.

– Nieee… – odpowiedział z lekkim niesmakiem ksiądz Tadeusz. – To musi być źródło katolickie. Wiesz co? Poproś rodziców, przyjdźcie na plebanię… Zapisz sobie: St Marie's, Reminder Street… Piszże, synku! Nie, „Marie's" piszemy z apostrofem. Wiesz, co to jest apostrof?…

Jak czytelnik przewiduje, chłopiec nie wiedział. I jak czytelnik łatwo może się domyślić, otrzymał następujące zalecenie:

– Poproś panią Robertson, żeby wytłumaczyła wszystkim, co to jest apostrof. I na następnej lekcji ładnie mi to opowiesz. – Na tym czymś w rodzaju rady pedagogicznej pani Robertson szczególnie gorliwie wykładała proboszczowi, na czym polega wyższość edukacji w szkole katolickiej. – Zapamiętałeś? To powtórz!

– Mam zapytać rodziców o moje imię – wybąkał ogłupiały Aaron. – I panią Robertson o apa… apo…

– Apostrof! – nie wytrzymała Sophie. Ciekawe, jak niektórym brak instynktu samozachowawczego. Za nic nie są w stanie przymknąć jadaczki.

– Jak ładnie potrafisz powtórzyć! – uradował się ksiądz Tadeusz. – I na pewno znasz już cały katechizm! To powiedz nam, proszę, skład apostolski i dziesięć przykazań…

Jak było do przewidzenia, Sophie zacięła się na *He suffered under Pontius Pilate, was crucified, died, and was buried. He descended into hell. On the third day he rose again*… Ze strony proboszcza było to doprawdy wyrafinowane świństwo, bo mały Tadzik zawsze, ale to zawsze potykał się dokładnie w tym samym miejscu, usiłując zjeść „zstąpił do piekieł", bez żadnych podtekstów, bo przecież jako ośmiolatek nie mógł być świadomy różnic między wersją grecką a łacińską. A i teraz podczas lekcji z Jaśkiem nie co innego przyprawiło go o kilka siwych włosów więcej, jak naprzemienne wkuwanie *Apostles´* i *Nicene Creed* (w komunistycznej szkole wszak takich kawałków nie uczyli, a w seminarium tylko po łacinie). W żaden sposób jednakże nie skruszyło to jego serca, bo przepytał jeszcze skrupulatnie Sophie z dziesięciu przykazań, prawd wiary i przykazań kościelnych, a wyhamował nie wcześniej jak na grzechach głównych, kiedy zmaltretowane dziewczątko resztką sił wyrzęziło:

– Pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, małżeństwo, kapłaństwo… – i dodało prawie z płaczem: – Nie pamiętam siódmego!

Wtedy to dopiero ksiądz Tadeusz uznał, że Zwierzchność wzywa go niewinnymi usty do opamiętania, i ponurą zabawę zakończył. Zerknął w dziennik, odszukał na liście George'a, chwilę mu to zajęło, wreszcie znalazłszy „Jurij Osipiuk" zagadnął po polsku:

– Jurko… tak do ciebie mówi mama? – Nie miał co się silić na ukraiński, jeszcze by mu się pomyliło z rosyjskim i dzieciak by się obraził, a „Jurka" pamiętał z *Ogniem i mieczem*.

– Tak – potwierdził chłopiec, uśmiechając się wstydliwie, i dodał już po angielsku, zupełnie poprawnie, choć obcy akcent dało się bez trudu odczytać: – Ja umiem pacierz, proszę księdza, tylko nie mogłem nadążyć, bo oni mówią za szybko…

– Oczywiście – zapewnił pogodnie. – Masz rację, trochę za szybko, ja też się mało co nie pogubiłem. Słuchaj, to zrobimy tak: od następnej lekcji będziesz przewodniczył modlitwie i nadawał tempo,

zgoda? – A widząc, że Jurko vel George potakuje, zapytał z bezpośrednią ciekawością: – Jesteś prawosławny?

– Mama jest prawosławna, tata nie chodzi do kościoła – usłyszał szczerą odpowiedź. – Ale zapisali mnie do tej szkoły, bo znajomi mówili rodzicom, że jest porządna, a było miejsce. – Jurko zerknął na proboszcza i spontanicznie dodał jeszcze: – Raz w miesiącu jeździmy z mamą do Edynburga, a tak to co niedzielę chodzimy do kościoła katolickiego przy Brodick Road, bo mieszkamy zaraz obok. Tam odprawia mszę po łacinie taki fajny ksiądz, mama go lubi, mówi, że robi to prawie tak dobrze jak w cerkwi.

„No proszę" – pomyślał proboszcz. „Muszę powiedzieć Janeczkowi, że znalazł uznanie nawet w oczach chrześcijan ortodoksyjnych. Nieomalże".

W tym samym czasie wyżej wzmiankowany przeżywał to samo, co szef, a trzeba zaznaczyć, że reagował jak brat bliźniak, i to syjamski. Skąd im się to brało, nawiasem mówiąc, i kto tu kogo bardziej deprawował, pozostaje rozstrzygnąć czytelnikowi.

Jasiek mianowicie przeżył wejście smoka również z marszu na pierwszej lekcji w klasie piątej, czyli z grubsza rzecz biorąc, odpowiedniku naszej trzeciej gimnazjalnej: jeszcze dobrze nie wszedł, jak pewien młodzieniec wyskoczył z rewelacją:

– Proszę księdza, a Adam powiedział, że ksiądz jest kumplem arcybiskupa i umie to robić na dwa sposoby!

Przez klasę przebiegł podekscytowany chichot. Ktoś syknął:

– Ale żeś zajechał, Ethan!

Adam poderwał się jak na sprężynach, zapewne celem zgłoszenia dementi, ale Janek spokojnym ruchem ręki dał mu znak, żeby siedział. Następnie przyjrzał się inkryminowanemu delikwentowi uważnie, niczym naciąganej na haczyk gliździe (narrator wie, że powinno być „gliście", ale czytelnik przecież sam widzi i słyszy, jak sobie przeczyta na głos, że co innego glista, a zupełnie, ale to zupełnie co innego glizda.)[6] Pomyślał: „Dobrzy jesteście, na dzień

dobry przebiliście na głowę moją pierwszą b!”, po czym odezwał się w te słowa:

– To bardzo ciekawe, co mówisz. Chodź, proszę, na środek i wyjaśnij wszystkim przystępnie, ale literacko, co masz na myśli i dlaczego czujesz się tak zbulwersowany.

Ethan uśmiechnął się głupawo i spróbował zaprotestować:

– Ale, proszę księdza, przecież wszyscy wiedzą! To co ja mam mówić?

– Właśnie sam jestem tego ciekaw – z zimnym uśmiechem powiedział Janeczek. – Chodź, chodź. Dalej, długo czekać nie będę.

Cóż miał robić nieszczęsny, poszedł. Stanął na środku, jak mu okrutny kler katolicki kazał, i zaczął z siebie wyduszać:

– Eee… bo… no…

– Mój drogi, prosiłem: przystępnie i literacko. – Janek przypominał w tym momencie czającego się do skoku jaguara.

Pod wpływem ponagleń księdza katechety, w pełni świadomy, że w razie niespełnienia żądań nauczyciela może wylądować na dywaniku u dyrektora, a mobilizowany dodatkowo coraz mniej skrępowanym rechotem klasy, Ethan wziął się w garść. Jednakże wygłoszone przez niego zdanie, aczkolwiek przystępne, o czym świadczyły kolejne śmiechy, niewątpliwie nie spełniało kryterium drugiego. Z przyczyn oczywistych zatem cytować go nie sposób, Janeczek natomiast miał minę jaguara, który zaczyna właśnie wyżerać ofierze mózg. Leniwy spokój i satysfakcja – to właśnie aż biło od katechety. Adam siedział w napiętym bezruchu, interweniować nie próbował i tylko wpatrywał się w księdza z żarliwą ciekawością, jak dziecko, które pierwszy raz dorwało się do Animal Planet i od razu trafiło na co trzeba, niczym doktor Lamia. (Czytelnik nie zna *Seksmisji*? No, jak te zwierzaczki dwa…)

Ethan tedy został przynaglony do korekty wypowiedzi. Tym razem wysłowił się literacko.

– To ksiądz nie słyszał, że arcybiskup O’Brien został zmuszony przez papieża do rezygnacji, bo był zamieszany w aferę

homoseksualną?

– Nieważne, co ja słyszałem, ważne, co ty o tym sądzisz – powiedział słodko ksiądz prefekt młodszy. – I co to ma wspólnego z drugą częścią twojej wcześniejszej wypowiedzi. Mam ci przypomnieć? – A ponieważ Ethan znowu się zatchnął, okazał ofierze miłosierdzie i sprecyzował polecenie w jak najbardziej literacki sposób: – Wyjaśnij klasie, dlaczego zinterpretowawszy słowa kolegi jako aluzję do homoseksualizmu, uznałeś rzecz za naganną na tyle, że postanowiłeś mi o tym donieść?

Aaa, tym się jednak różni fachowość księdza starego od młodego! Jasieniek nie wytrzymał i przywalił z donosem, zaś ksiądz Tadeusz przez calutki czas słowa tego nie użył, gnębiąc konfidentów w sposób perfidnie zawoalowany!

– Bo przecież tak nie można! – zdobył się na odwagę Ethan.

– W porządku, ale dlaczego? – Ksiądz młody nie zamierzał popuścić. Stary zresztą też.

– Bo tak jest napisane w Piśmie Świętym! – Nieszczęśnik wytoczył najcięższe działa, a tak był sponiewierany, że nie reagował nawet na prychania kumpli.

– W którym miejscu? – przyszpilił go Jasiek, a widząc, że Ethan tylko bezradnie kręci głową, po raz drugi okazując mu miłosierdzie, zaproponował: – Może Lucy ci pomoże? Prawda, Lucy?

Solidnie wyglądająca koleżanka swobodnie przejechała się po całym Starym i Nowym Testamencie, od Księgi Rodzaju począwszy, poprzez Księgi Kapłańską, Sędziów i Mądrości, na Listach do Rzymian i Koryntian skończywszy. Janek potakiwał z ukontentowaniem, wreszcie dobił delikwenta:

– Trochę wstyd, nieprawdaż, Ethan? Kiedy prezbiterianie muszą nas, katolików, uczyć Biblii? – a Ethan był w tym momencie już tak pognębiony, że nawet się nie zastanawiał, skąd nowy ksiądz wie, że Lucy należy do Kościoła Szkocji. Swoją drogą narrator też się dziwi. Pewnie mu powiedzieli na radzie pedagogicznej. – Dziękuję, Lucy, bardzo ładnie!

Ale nie był to bynajmniej koniec, o nie!

– Czy potrafisz mi może zamiast tego powiedzieć, jakie jest współczesne stanowisko Kościoła odnośnie do homoseksualizmu? – powiedział z naciskiem Jasiek, akcentując w sposób szczególny „zamiast tego".

– No, eee… – ponownie zaczął się jąkać Ethan – jest przeciw!

– Coś więcej? – zasugerował ksiądz. – Jakieś encykliki? Czyjego autorstwa? – A widząc, że ofiara jest już całkowicie wyssana i nic się z niej więcej nie wyciśnie, przeszedł do zwięzłych instrukcji: – Wpiszesz sobie w wyszukiwarkę „Joseph Ratzinger – homoseksualizm"… Wiesz, kto to jest Joseph Ratzinger? – To było świństwo, ksiądz doprawdy nie miał sumienia. Nawet kapusia nie należy aż tak hańbić publicznie. Bo, jak łatwo przewidzieć, Ethan nie wiedział. Przyjmijmy miłosiernie, że na skutek działań katechety przestał myśleć.

– Nie? To przy okazji poszukasz. Znajdziesz uwagi Kongregacji Nauki Wiary, zapisz sobie! – Doprawdy, z kim poprzestajesz, takim się stajesz! Bliźniacze podobieństwo zachowań! – Pod spodem będziesz miał bibliografię. Wiesz, co to jest bibliografia? – Sadysta! – Nie? To zapytasz panią Duncan. – A nie mówił narrator?! Sadysta! Dwóch sadystów! – Tam będziesz miał wymienione wszystkie potrzebne źródła. I na następną lekcję napiszesz esej pod tytułem „Kościół a homoseksualizm"… na pięćset słów. – Chciał powiedzieć „tysiąc", ale chyba i jemu Pan Jezus z krucyfiksu coś dał do zrozumienia, więc odrobinę spuścił z tonu.

– Ale ja nie zdążę! Mam mecz! – próbował protestować Ethan całkiem jak Harry Potter.

– No co ty? – uśmiechnął się bezlitośnie Jasiek; Snape, kurczę blade. – Na kogo mam liczyć, jak nie na ciebie? Skoro jesteś tak uwrażliwiony na te problemy? Dziękuję ci, możesz usiąść.

Ethan bez sił klapnął na krzesło, a Janek zwrócił się do Adama:

– Wytłumacz teraz klasie, co miałeś na myśli.

Adam poderwał się energicznie.

– Proszę księdza, bardzo przepraszam, to tylko był taki zgryw! Ja wiem, że ksiądz nie jest kumplem arcybiskupa… – Ethan na moment odzyskał werwę i spojrzał chciwie – …Lefebvre'a…

Jasiek już otwierał usta i na bank chciał zapytać Ethana, czy ten wie, kto to był arcybiskup Lefebvre, ale się przymknął, bo, jak można przypuszczać, Duch Święty kopnął go lewą nogą. Wobec tego pozwolił kontynuować Adamowi.

– …tylko że ksiądz odprawia u świętego Piusa mszę po staremu, a na Reminder Street normalną, dzisiejszą, więc sobie zażartowałem, że ksiądz umie tak i tak…

Ile z tych dość hermetycznych wyjaśnień dotarło do Ethana i reszty, nie za bardzo było wiadomo, więc Jasiek postanowił spuentować:

– Żeby wszystko było jasne, proponuję zrobić tak: połowa klasy, niech będzie od A do K, przyjdzie w niedzielę rano do St Marie's, a od L do W… – zerknął do dziennika – przepraszam, Przemku, nie zauważyłem ciebie, do Z – uśmiechnął się do właściciela dźwięcznego nazwiska Zieliński – wieczorem do Piusa, potem zrobimy zmianę i w szkole sobie porównamy i przedyskutujemy. A Adam będzie moderatorem. Dobrze?

Wszyscy przytaknęli, bo cóż mieli zrobić, chociaż ci od A do K pewnie ubolewali, że będą musieli wstać w niedzielę o jakiejś nieprzytomnie wczesnej godzinie.

Przy wychodzeniu z klasy Janek zdążył szepnąć Adamowi:

– A na drugi raz, chłopie, uważaj, co mówisz i do kogo! – czym wywołał uśmiech od ucha do ucha na twarzy delikwenta.

Ostatnie słowo tego dnia należało jednak do proboszcza. Kiedy bowiem, wchodząc na lekcję do klasy szóstej, myślał, że dzień chyli się ku końcowi, pewna dziewczynka wystrzeliła ciężką amunicję:

– Proszę księdza, a Chloe powiedziała, że panna Grant jest głupia!

„Nie mam siły!" – pomyślał ksiądz Tadeusz, otarł uznojone czoło i przystąpił do wypełnienia obowiązku według znanego już czytelnikowi schematu, to jest najpierw przećwiczył dziewczę

z chrześcijańskiego pozdrowienia, potem kazał się przedstawić, następnie przez kwadrans egzekwował wypowiedź: „Dlaczego powinniśmy szanować naszych nauczycieli i pod jakie przykazanie to podpada", by wreszcie zadać całej klasie do domu wypracowanie na sto pięćdziesiąt słów (w końcu to była podstawówka): „Czy Harry Potter był posłuszny swoim nauczycielom – omów na co najmniej trzech przykładach". Należy przy tym zaznaczyć, że kiedy dzieciątka zapiszczały:

– Myśmy tego nie czytali!

Zgasił ich pragmatycznie:

– Ale filmy oglądaliście? – czym zamknął dyskusję raz na zawsze.

Po lekcji, kiedy mozolnie kuśtykał do wyjścia, podeszły do niego dwie dziewczynki.

– Proszę księdza, jestem Olivia, a to Chloe. Chloe mnie prosiła, żebym księdzu wytłumaczyła, dlaczego ona tak brzydko powiedziała na pannę Grant… – Proboszcz zerknął na Chloe, zobaczył resztkę rozmazanych łez i nie upierał się przy tłumaczeniu osobistym.

– Bo, proszę księdza, jej zdechł pies i ona płakała, a panna Grant powiedziała, że płakać wolno tylko po człowieku, bo… – Olivia zająknęła się odrobinę, ale odważnie dokończyła – zwierzęta nie mają duszy, umierają raz na zawsze i nie idą do nieba!

„Ty stara, głupia kretynko!" – pomyślał ksiądz Tadeusz, dając tym samym swojemu spowiednikowi okazję, by w najbliższą sobotę nieco więcej popracował.

– Chloe – powiedział ciepło – spójrz na mnie.

Chloe podniosła na proboszcza mokre oczy.

– Powiedz, kochasz Pana Boga? – zapytał prosto z mostu. Chloe pokiwała głową.

– Ufasz Mu? – Ponowne skinięcie. – To o nic się nie martw. Nie wiem, jak On to urządzi, ale na sto procent ci gwarantuję, że będzie dobrze. Rozumiesz?

– Tak – szepnęła Chloe i leciuteńko, nieśmiało się uśmiechnęła.

– A na drugi raz, dziewczyno, pilnuj się, co mówisz i do kogo – powiedział półgłosem. – Rozumiemy się? – dodał z naciskiem. Tym razem Chloe przytaknęła z entuzjazmem, uśmiechając się szeroko. Czytelnik chciał coś powiedzieć? Że niby narrator za bardzo się powtarza? A co on może za dwóch porąbanych księży, co to nie wiadomo, który którego bardziej deprawuje? On tylko wiernie opowiada, co tamci nawystwarzali!

Po powrocie do domu ksiądz Tadeusz padł jak kawka i obudził się dopiero wtedy, kiedy wikary zawołał go na pierwsze danie dietetycznego lunchu, czyli zupę szczawiową z jajkiem.

– Skądeś ty wytrzasnął szczaw? – zdumiał się, zerknąwszy na talerz.

– Zerwałem na nasypie kolejowym – powiedział bezczelnie ten młokos, uchylił się precyzyjnie, żeby nie oberwać za głupie dowcipy, i zniknął w kuchni. – Mirabelek niestety nie było – zaanonsował, wystawiając głowę przez okienko do podawania jedzenia. – Szkoda, zrobiłbym kompot…

Na drugie danie przewidziana była pierś kurczaka, obtoczona grubo w majeranku i usmażona na oliwie z oliwek. Majeranek zakupiono w polskim sklepie przy High Street.

Przy smakowitym posiłku wymieniali doświadczenia pierwszego dnia, a im bardziej zagłębiali się w szczegóły, tym bardziej wikary się wiercił. Wreszcie nie wytrzymał i zadał drażliwe pytanie:

– Proszę księdza… Czy ksiądz nie uważa, że od czasu do czasu powinniśmy jednak spowiadać się komuś z zewnątrz?

– Jeżeli masz na myśli współuczestnictwo w grzechu – zauważył bystro proboszcz – to miej na względzie, że robiliśmy to bez porozumienia i każdy na własny rachunek!

– A… – zająknął się nie do końca przekonany Janek – czy my mamy słuszność?

– Tak – odpowiedział stanowczo ksiądz Tadeusz. I popatrzywszy na swojego szczerze zatroskanego wikarego, dodał: – Synu, kapowanie musi im się źle kojarzyć. Musi być czymś nieprzyjemnym.

Tylko wtedy możesz się spodziewać, że sięgną po ten oręż jedynie w najwyższej konieczności, do obrony zdrowia i życia. I uwierz mi, w swojej księżowskiej karierze, albo i wcześniej, spotkałem tylko dwóch szczerych donosicieli, którzy robili to całkowicie bez korzyści osobistej. Choćby tą korzyścią była tylko malutka, parszywa satysfakcja własna, że się jest lepszym. A ty?

– Jednego – powiedział cichutko Jasiek. – Moją mamę. – A widząc zdumione spojrzenie proboszcza, który w układy rodzinne dość dobrze był wprowadzony, wyjaśnił: – Elka leżała wtedy w szpitalu z astronomiczną leukocytozą, złapała koklusz, bo nie była szczepiona ze względu na różyczkę wrodzoną. Miała dostawać na przemian dwa różne antybiotyki co trzy godziny, ale pielęgniarki sobie olewały. Mama chodziła, prosiła, przypominała. Za którymś razem warknęły na nią, że antybiotyk to nie lek nasercowy i nie musi być na gwizdek. A Elka się dusiła. To mama poszła z donosem do ordynatora… Mówiła mi, że czuła się wtedy, jakby się miała wyrzygać.

– No właśnie – westchnął proboszcz. – Czasami coś trzeba zrobić, chociaż fatalnie się z tym czujemy. To nas zabezpiecza przed nadużyciem, rozumiesz? Twoja mama ma idealny azymut duchowy…

Siedzieli dobrą chwilę w milczeniu, wreszcie proboszcz, żeby zająć czymś ręce, zaczął przeglądać listy. Na samym wierzchu leżało pismo z nadrukiem urzędu miejskiego; rozdarł kopertę, zaczął czytać, otworzył szeroko oczy, a potem przekazał go Jankowi, mówiąc:

– Spójrz no, synu, czy ja aby dobrze rozumiem?…

A w liście było napisane mniej więcej tak:

„W związku z donosem Mr X, wzywa się do natychmiastowego skoszenia trawnika na posesji Bank West, Reminder Street. W przeciwnym razie zostanie to uczynione przez służby komunalne, a adresat obciążony rachunkiem…”

Janeczek poderwał się, jakby go szydłem żgnęli:

– Już koszę, proszę księdza!

Co uczynił niezwłocznie, zrzucając po drodze marynarkę, bo sutannę wszak zrzucił wcześniej.

# KONFLIKT STARY JAK ŚWIAT 5

W niedzielny wieczór Miłosz wpadł na Pamiątkową jak bomba, odmówił kawy i herbaty, a także czegoś na ząb, co było o tyle dziwne, że zawsze dotąd charakteryzował go zdrowy apetyt młodego mężczyzny. Usiadł w kuchni przy stole, bo tam właśnie Robert i Róża spożywali kolację, jednocześnie czytając sobotnią „Rzeczpospolitą" i świeżo zakupiony u białych wrześniowy numer „W drodze" oraz przeszkadzając sobie przy tym wzajemnie, bo co rusz albo jednemu, albo drugiemu przychodziły do głowy najrozmaitsze refleksje, czasem dość odległe od pierwotnych tekstów. Byli właśnie przy obgadywaniu Merry'ego, Wiolki i księdza Ryszarda i doszli do wniosku, że trzeba koniecznie w przyszły weekend zrobić im w Gołuchowie nalot, kiedy spokój wieczoru zakłócił bratanek, któremu dym leciał spod czupryny.

– Z ojcem to już naprawdę nie można normalnie porozmawiać! – obwieścił tragicznie i popatrzył na wujostwo oczami pełnymi rozgoryczenia i jednocześnie ufnej nadziei w ich omnipotencję.

Róża przyjrzała mu się z namysłem. Stosunki Miłosza z ojcem pogarszały się systematycznie od wiosny, o czym była skrupulatnie i boleśnie przez najdroższego braciszka informowana na bieżąco. Z drugiej strony sytuację naświetlał bratanek, co dawało szkoleniowy nieomalże zapis starego jak świat konfliktu międzypokoleniowego.

Zaczęło się jeszcze w marcu i jak na rodzinę historyka przystało, poszło o ojczyste dzieje. A ściślej biorąc, o *Kamienie na szaniec*. Zaś scenariusz waśni był jakiś taki, powiedzmy, znajomy…

Do premiery filmowej brakowało mianowicie jeszcze ze dwa tygodnie, a już wujaszek ział oburzeniem na reżysera.

– Co on zrobił z Zośki, histerycznego bufona jakiegoś! Gdzie się podział etos harcerstwa? Zero wyczucia realiów historycznych! Jakby

nie było dość dokumentów i relacji!

– A skąd wiesz? – zapytał dociekliwie Miłosz.

– O co ci chodzi? Skąd znam historię drugiej wojny?! Z książek, tu na półce stoją, inteligencjo techniczna! – warknął poirytowany na cały świat Marek. Był zły, bo właśnie poprawiał sprawdziany pierwszej klasy matematyczno-fizycznej, a pewien rozkoszny uczeń w odpowiedzi na pytanie: „Kto kolaborował z okupantem sowieckim we Lwowie" wyjaśnił krótko: Piłsudski i Grabski.

– Skąd wiesz, co zrobił reżyser, jak jeszcze nie widziałeś filmu? – przygwoździł go z żelazną logiką syn.

– Wystarczy spojrzeć na trailer i przeczytać wypowiedź konsultanta! – wściekał się dalej Marek.

Miłosz prychnął. Nie zdążył jednakże zabluźnić, że trzeba być geniuszem, żeby ocenić film na podstawie minutowego zwiastuna, kiedy Edyta postanowiła polać oliwę na wzburzone wody.

– Marek, poczekaj, nie denerwuj się, zobaczymy, może będzie dobrze – koiła atmosferę zupełnie jak swoja własna bratowa piętnaście lat wcześniej.

– A może ja w ogóle nie chcę tego oglądać! – burknął jeszcze Marek, ale do czasu dał spokój, bo sam w duchu przyznawał, że trzeba dać podsądnemu szansę na obronę.

Obejrzał, i reżyser Gliński miał definitywnie prze…chlapane.

– A nie mówiłem?! Jak on ukazał Orszę, wyszedł z niego kompletnie rozmamłany dupek! To była charyzmatyczna postać, niekwestionowany autorytet młodzieży, człowiek wielkiej odwagi, mądrości i prawości! Co jest?! – warknął na syna, widząc jego dwuznaczny uśmieszek.

– Nic, gadasz kropka w kropkę jak w recenzji z „Niezależnej" – doładował mu paskudnie Miłosz.

– Bardzo się cieszę w takim razie, że inni myślą tak samo jak ja! – nie pozostał mu dłużny ojciec. – Powtarzam, nie wolno się posługiwać autentycznymi nazwiskami, jednocześnie wymyślając swoją własną fabułę!

– O, to ciekawe, co mówisz! – odszczeknął się Miłosz. – Jak cioci Róży nie podobało się *Królestwo niebieskie*, bo z Baliana z Ibelinu zrobili bękarta, a z Gwidona Lizyniusza ścierwojada z rogami w dodatku, to żeś się z niej śmiał, że to tylko film i że powinna mieć większy dystans!

Swoją drogą, Miłosz miał genialną pamięć, bo dyskusja miedzy rodzeństwem o pohańbionych baronach Królestwa Jerozolimskiego odbyła się wieki całe temu, jeszcze przed powrotem Jaśka z Anglii, a sam Miłosz miał wtedy nie więcej niż dwanaście lat.

– Ale masz porównania! – oburzył się Marek. – Gdzie Rzym, gdzie Krym! Chyba jest jakaś różnica między wydarzeniami sprzed ośmiuset lat a najnowszą historią własnego kraju! Chyba że ciebie to nic nie obchodzi!

To ostatnie było niepotrzebne, bo Miłosz wyleciał z domu z pianą na pysku i potem koił wzburzenie w ramionach ciotki. A lepiej trafić nie mógł, bo choć Różyczka wobec własnego brata starała się być stuprocentowo lojalna, to w żaden sposób nie mogła ukryć, że filmem się zachłysnęła. Co obecny wuj Robert mógł tylko potwierdzić, bo po seansie holował do domu żonę kompletnie pijaną od emocji. Oczywiście, oboje doskonale wiedzieli, choć ani jedno, ani drugie się do tego nie przyznało, co tak bardzo trzepnęło Różę. Mianowicie tak jak Elka w Kílim dopatrzyła się podobieństwa do Davida, tak ona zryczała się, bo młodziutki aktor grający Rudego przypominał jej Janka…

Akt trzeci był tajny i rozegrał się w jakiś miesiąc później. Otóż Róża po kryjomu przed wszystkimi poszła na *Kamienie na szaniec* po raz drugi. Po kryjomu, bo nie chciała, żeby nawet ukochany Robert czynił jej uwagi w rodzaju: „Czemu ty chcesz jeszcze raz oglądać takie straszne rzeczy?”. Przycupnęła cichutko z boku w ostatnim rzędzie, żeby nie pchać się nikomu w oczy ze swoimi egzaltacjami. Było już ciemno, kończyły się reklamy, kiedy w ostatniej chwili trochę niżej zajęły miejsca dwie osoby, z których jedna była ewidentnym

małolatem. „Jak można ciągnąć dziecko na taki film?” – zdziwiła się przelotnie Róża, ale machnęła ręką i dała się pochłonąć akcji.

W najgorszym momencie zauważyła, że u tamtych trzy rzędy niżej dzieje się coś dziwnego. Dziecko zakrywało twarz rękami, jęcząc równocześnie: „Wytrzymaj, Rudy! Jesteś dzielny, wytrzymaj!”. Matczyne i nauczycielskie nawyki poderwały ją do interwencji, ale zaraz usiadła z powrotem, bo cóż właściwie miałaby zrobić, wywlec z kina oboje, czy może pocieszyć istotkę, że to tylko film? Sęk w tym, że to nie był tylko film…

W tym samym momencie ten ktoś starszy otoczył dziecko ramionami i przytulił z całej siły. Zamiast na ekran co rusz zerkała na nich, aż do momentu, kiedy zapaliło się światło.

I wtedy zdrętwiała. To był Miłosz z Wisią.

Różą miotały sprzeczne uczucia. Z jednej strony akceptowała film w stu… no, może w osiemdziesięciu procentach. Nie zgadzała się z obiekcjami brata, że nie sposób w nim dostrzec idei, motywacji ani przeżyć autentycznych bohaterów – bo tak właśnie argumentował Marek, cytując zapewne nieświadomie protest harcerzy – i uważała, że przekaz jest jasny, prosty i oczywisty. Z drugiej strony osłupiała ze zgrozy, że jej dziewięcioletnia siostrzenica oglądała sceny bestialskich tortur. Czuła się zobowiązana wobec brata, ale nie wiedziała, jak załatwić sprawę z Miłoszem, żeby go publicznie i przy siostrze nie zawstydzać.

Przeczekała, aż wyjdą, żeby jej nie zobaczyli, a potem, już w domu, zadzwoniła do bratanka i wezwała go na dywanik, to jest na pogawędkę z ciotką. Przyszedł nazajutrz, nie wiedząc, co go czeka, i wtedy na niego wsiadła:

– Czyś ty kompletnie zgłupiał? Jak mogłeś zabrać Wisię na taki film?

Miłosz nawet się nie zdziwił, jak został namierzony, tylko od razu zripostował:

– Bo co? Zgorszyła się kawałkiem gołego tyłka?

W Róży się zagotowało.

– Ty młody kretynie! Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi!

– A o co? Że może oglądać tylko takie filmy, gdzie bohater co dwie minuty krzyczy: „Za Polskę!”?

Róża przyjrzała mu się uważnie. Miłosz był wściekły, smutny i rozżalony.

– Co jest, Miłosz? – zapytała zwięźle. – Czym ci znowu ojciec na odcisk nadepnął?

– Bo powiedział, że reżyser przekroczył granice dobrego smaku i odarł bohaterów z należnego im szacunku. I że właściwie nie wiadomo, po co oni to robili, bo niby z akcji to nie wynika.

Mama tylko westchnęła. Miłosz popatrzył i pośpieszył z deklaracją:

– Nie, ciociu, jeszcze wtedy próbowałem mu tłumaczyć spokojnie. Zapytałem, czy wie, że Fieldorf chciał rozwiązać Grupy Szturmowe, a młodzież rozbrojoną oddać do harcerstwa. Powiedział, że nie pamięta, i zaczął warczeć, że nieposłuszeństwo Zośki jest absolutnie niemożliwe i niedopuszczalne. To ja na to, że po zamachu na Kutscherę Juno i Sokół nie posłuchali rozkazu i przejechali samochodem po moście Kierbedzia…

Spokojna dyskusja, tak? Jak widać, inteligent techniczny obkuł się na blachę.

– …wtedy tata się przyczepił, że oni są za bardzo rozchichotani, a to była młodzież poważna i myśląca, i zaczął truć o Dziś-Jutro-Pojutrze…

Wtedy Miłosz zrobił coś absolutnie karygodnego. Mianowicie wziął monografię batalionu Parasol i odczytał na głos frywolny wiersz Ziutka Szczepańskiego *Dziadobójca*. Reakcja audytorium doprowadziła jego ojca do szewskiej pasji, bo Wisia i Herbert rechotali w głos, a pani domu w pewnym momencie uciekła do kuchni, skąd było słychać jakieś prychania.

– …to na koniec wyskoczył, że… – Tu Miłosza nieco zatkało.

– Tak? – uparcie drążyła ciotka.

– …że ta erotyzacja woła o pomstę do nieba i chłopiec z dobrego domu nie mógłby mieszkać ze swoją dziewczyną…

Mama zastygła w drżącym przeczuciu.

– A ja na to: co takiego? Wydawało mi się, że Kotonie to bardzo dobry dom!

Przeczucie Róży nie zawiodło. Tak się bowiem złożyło, że Miłosz i Herbert urodzili się w pół roku po ślubie swoich rodziców. Mimo wszystko była panna Kotoń nie chciała odpuścić.

– No i co, zabrałeś Wisię do kina na złość ojcu?

Miłosz popatrzył z urazą.

– Ciociu, ciocia też? Zabrałem, bo uważam, że to dobry film i że moja siostra powinna wiedzieć o pewnych rzeczach. Przygotować się psychicznie. Bo jeszcze nie wiadomo, co ją może spotkać.

– Miłosz, ale ona ma dziewięć lat! Przesadziłeś trochę!

– Tak? A ile lat miała Elka, jak popatrzyła sobie na obcinane głowy orków i Boromira przeszytego strzałami?

Cios był celny. Tak to już jest, własne grzeszki zawsze cię dogonią.

– *Władca Pierścieni* jest fikcją literacką! – próbowała zawalczyć mama Elki. – Ty Wisi pokazałeś coś, co wydarzyło się naprawdę!

– Katastrofa Titanica też wydarzyła się naprawdę!

– Co takiego?

– A co, nie wiedziała ciocia? To *sorry*, nie chciałem wkopywać moich najdroższych starszych kuzynów!

– Miłosz, litości, w roku premiery *Titanica* Ela miała z pięć lat!

– Czy ja mówię, że oni ją zabrali do kina? Wideo jej pokazali pod pretekstem nauki angielskiego…

Miłosz miał rację, Gośka z Jankiem mieli kolekcjonerskie VHS z napisami, bo lektor w tym domu był w powszechnej pogardzie, to i podzielili się z siostrzyczką tym, co i ich fascynowało, fakt, że początkowo tylko do połowy, to znaczy do pocałunku na dziobie. Dalszy ciąg Elunia obejrzała sobie sama w ciemnym kątku. A jak raz się sprawa rypła, to potem oglądali już wspólnie. Z rozpędu Gośka pokazała jej też *Co gryzie Gilberta Grape'a* i *Romea i Julię* z Leonkiem. Tylko *Całkowite zaćmienie* przed nią chowali, a Jasiek posunął się nawet do rzeczy niewiarygodnej i wymazał z taśmy co

bardziej obrzydliwe momenty. Nie tylko przed Elką, z obawy przed słuszną reakcją rodziców też.

– Miłosz – spróbowała ciotka raz jeszcze. – Przecież Wisia to strasznie przeżyła!…

– Wiem – odpowiedział. – Wczoraj wieczorem godzinę modliła się za Zośkę i Rudego. Właśnie to wyniosła z tego pozbawionego wartości filmu!…

Wtedy Róża się poddała, nie miała dość siły i samozaparcia, żeby walczyć z tym młodym szaleńcem, i to wbrew własnym odczuciom.

A teraz ów młody szaleniec znowu coś zbroił i szuka u nich wsparcia.

– Znowu pożarłeś się z tatą? – życzliwie zainteresował się Robert. – Miłosz, tak nie można, jakiś tam film nie może być przyczyną wojny domowej!…

Róża dostała ataku kaszlu. Widać zaprawili ją na dzień dobry w tej świętej Marii Magdalenie.

– Nie, wujku – odrzekł poważnie Miłosz. – Teraz chodzi o coś zupełnie innego. Żenię się.

Wujostwo patrzyli na bratanka osłupiałymi oczami. Coraz więcej swoją drogą takich sytuacji w rodzinie. Jak raz ktoś zacznie…

– Z kim?! – oprzytomniała pierwsza Róża. – Kiedy?

– Z Dominiką, oczywiście, a z kim? – obruszył się Miłosz. – Jak najszybciej. Nauki zrobiliśmy, protokół przedślubny spisaliśmy miesiąc temu…

– A rodzice wiedzą? – zainteresował się bardzo roztropnie Robert, pomny doświadczeń własnych.

– Teraz już wiedzą – odpowiedział Miłosz i westchnął z głębi trzewi. – Właśnie dzisiaj im powiedziałem. – A widząc, że wujostwo mają wypisane na twarzach: „No i co?!”, kontynuował swoją fascynującą historię.

Trzeba w tym miejscu uczynić dygresję, że biedaczek znowu trafił na złą chwilę. Tym razem bowiem Marek zrobił kartkówkę w klasie humanistycznej, którą zachciało mu się dla odmiany indagować, jak

społeczeństwo polskie stawiało opór okupantowi niemieckiemu. No i załamał się, kiedy przeczytał: „Młodzież zapisywała się do różnych organizacji, na przykład AK i SS". Próżno mu żona perswadowała, że delikwent miał na myśli Szare Szeregi, on i tak wiedział swoje.

– Tata się wkurzył, zaczął krzyczeć, że jestem nieodpowiedzialnym gówniarzem i jak ja to sobie wyobrażam. Gdzie będziemy mieszkać, za co żyć! To ja na to, że jestem starszy od wujka i cioci, kiedy się żenili…

No właśnie, prędzej czy później będziemy się musieli skonfrontować z naszymi poczynaniami.

Marek, jak łatwo się domyślić, poszedł w perswazyjny banał, że wtedy to były inne czasy. Ale Miłosz doskonale znał historię rodzinną, a o taktyce Robercika i Różyczki i ich determinacji słyszał nie raz. Teraz więc nie zamierzał ani odpuścić, ani dać się zbyć kitem. Miał jednak lekko nieczyste sumienie, bo riposty udzielił poniżej pasa i teraz wił się przed wujostwem niczym Kmicic przed Oleńką.

– Wtedy ja… eee… powiedziałem mu, że… – Popatrzył na nich zapłoniony i bohatersko dokończył: – On to by się do czterdziestki nie zdecydował, gdyby go mama na dziecko nie złapała!…

O, tu Róża poczuła się w obowiązku bronić honoru rodziny.

– Cóż – powiedziała ironicznie. – Tym się właśnie różniły stare, dobre czasy od obecnych. W pewnych okolicznościach mężczyzna umiał podjąć odpowiedzialność. Dzisiaj po prostu ma to gdzieś i co najwyżej raz na ruski rok zwizytuje potomka jako dochodzący partner mamusi. W sumie powinieneś się cieszyć. Twój tata zawsze cię chciał i zawsze opiekował się twoją mamą.

Miłosz był czerwony jak piwonia. Robert postanowił miłosiernie wkroczyć do akcji.

– To, mówiąc krótko i zwięźle, na czym stanęło?

„Wybacz, aniele, jeszczem wszystkiego nie wyznał!" – kwilił Kmicic.

– Że jak mi się tak wujek podoba, to mam do niego iść i wisieć mu na karku…

Robert nigdy nie palił, ale teraz cholernie brakowało mu czegoś, czym mógłby się zająć. Wstał, przeszedł się po kuchni.

– Miłosz – powiedział poważnie – znasz nas i wiesz, że przyjęlibyśmy pod dach ciebie i twoją żonę bez chwili wahania. Ale nie mogę, nie wolno mi podejmować takich kroków, które skłóciłyby cię z ojcem. Rozumiesz?

– Rozumiem – mruknął Miłosz, patrząc na czubki butów. – Dobra, weźmiemy z Niką urlopy dziekańskie, pojedziemy do Wielkiej Brytanii, zarobimy na chatę…

– Czekaj, gorąca głowo, jeszcze nie skończyłem – żachnął się Robert, a Róża pomyślała: „Do Wielkiej Brytanii, tak? Czemu nie powiesz bez ogródek: do Szkocji, albo po prostu: do Kirkcaldy?”. – Powiedziałem, że nie chcę, żeby ci się rodzina rozlatywała. Wobec tego pozwól, że pójdę do twojego taty uzyskać jakiś konsensus.

Och, ten pan Niziołek i jego barokowy sposób wysławiania się. Nie mógł gadać po ludzku: pójdę do twojego starego, strzelimy po jednym i wyklaruję mu, że ma sobie odpuścić?

W oczach Miłosza błysnęła nadzieja.

– Mógłby wujek?…

– Ale pewne rzeczy trzeba dopowiedzieć do końca. – Robert był pragmatyczny. – Bo muszę wiedzieć, jak mam z Markiem rozmawiać i czy jeszcze jest czas na jakąkolwiek dyplomację. Czy Dominika jest w ciąży?

Miłosz patrzył przez chwilę na ciotkę i wuja, jakby oceniał, na ile można ich dopuścić do konfidencji.

– Nie – powiedział krótko i dodał z rozbrajającą szczerością: – Wydawało nam się, że jest, ale to była pomyłka. A teraz już nie chcemy się wycofywać.

Niziołkowie tylko po sobie popatrzyli. Róża westchnęła.

– No co, no co? – najeżył się momentalnie Miłosz. – Kto bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem!

Tłuczek z marmurowego moździerza (tak jak widelczyki do ciasta będącego prezentem od Thorina Dębowej Tarczy), trącony

w ferworze łokciem przez Roberta, spadł z hukiem na podłogę.

– Mówiłam ci, Robercie, żebyś się nie wtrącał! – powiedziała półgłosem Róża.

Miłosz spojrzał nieco zdziwiony, bo przecież wuj miał zrobić nie co innego, jak trochę się powtrącać. Biedak był tak rozgorączkowany, że ani odrobinę nie skojarzył dialogu ze starym seminaryjnym kawałem, który po kątach opowiadają sobie klerycy.[7]

– Dobrze, już wiem, na czym stoję – podsumował niezastąpiony wuj. – Teraz sprawa druga: macie jakieś dochody? – A widząc, że Miłosz znowu zesztywniał, powiedział stanowczo: – Miłosz, od ilu lat nas znasz? Słyszałeś, co powiedziałem: możesz przyjść do nas w każdej chwili bez żadnych warunków. Miejsca aż za dużo się tutaj zrobiło, prądu ani wody w kiblu ci wyliczać nie będziemy. Ale musisz mi dać argumenty do rozmowy z twoim tatą. Więc?…

Szalony bratanek wyznał więc, że oboje z Dominiką zarobkują w weekendy w M1. Ona przy kasie, on pilnuje placu. Poza tym jak tylko nadarzy się okazja, reperuje ludziom komputery, tyle że to dorywcze. Dużo z tego nie mają, ale na jedzenie wystarczy.

– I bardzo dobrze – uznał Robert, pamiętny swojej młodości. – To teraz: kiedy ślub? Dokładnie?

– Piętnastego listopada – odpowiedział zwięźle Miłosz.

– Dlaczego właśnie wtedy? – zainteresowała się po kobiecemu Róża.

– Bo protokół przedślubny spisywaliśmy piętnastego sierpnia… – Miłosz walił prosto z mostu.

„W dzień po wyjeździe Elki i Davida” – pomyślała Róża. „Nie ma to jak dobra motywacja!”

– …a ksiądz upierał się przy trzech miesiącach. Więc to był pierwszy możliwy termin. Nie było problemu, bo nikt nie chce wesela w listopadzie. Przesądy. Ale my się nie boimy. – Mimo całej szczerości nie przyznał się, że proboszcz ze świętego Łukasza bardzo sceptycznie podszedł do ich krótkiej znajomości. Potraktowawszy

bowiem przyrzeczenie na Biblię niezwykle poważnie, nie ukrywali, że znają się od dwudziestego ósmego czerwca. I że to była miłość od pierwszego wejrzenia, z obu stron.

Matematyczka asystująca przy rozmowie dokonała błyskawicznych obliczeń, doszła do jedynie prawidłowych wniosków, ale absolutnie niczego nie komentowała. W odróżnieniu od swojego męża wcale a wcale nie miała ochoty rzucać kamieniem. To jest skąd, Robert niczym nie rzucał, to był zbieg okoliczności! A ona po prostu doskonale pamiętała epizod z własnej młodości, jak to jej rodzice wybierali się na Wielkanoc w góry. Postawiła weto, że ona nie może, bo na pierwszym roku ma strasznie dużo nauki, więc pojechali tylko z Beatką i Mareczkiem. Ona zaś skorzystała z niepowtarzalnej okazji i złożyła Robertowi propozycję wydawałoby się nie do odrzucenia. Wydawałoby się. Bo Robert ją odrzucił. Zrobił to w stylu jedynie dla siebie właściwym, to jest padł na kolana i błagał o przebaczenie, że odrzuca. Znaczy się, propozycję, nie Różę. No i właśnie wtedy dotarło do nich, że czekać cztery lata do końca studiów to niedorzeczność, co Robert wyraził krótko i węzłowato:

– Bierzemy ślub we wrześniu, bo drugi raz czegoś takiego to ja już nie przetrzymam!

– To rozgość się w pokoju Eli, a ja ubieram się i idę! – zadysponował teraz ten sam osobnik, starszy o lat trzydzieści cztery.

– Tak od razu? – Bratanek wlepił w niego pełne uwielbienia spojrzenie.

– A na co tu czekać? – usłyszał niezwykle rozsądną ripostę. – O ósmej chyba jeszcze nie śpią?

Gdzieżby tam mieli spać. Marek też nie palił, jeżeli nie liczyć dwumiesięcznego epizodu w pierwszej licealnej, i również jak kania dżdżu łaknął jakiegoś uspokajacza, wyżalał się więc żonie, która, jak to kobieta, pragnęła ponad wszystko miru domowego i niezwykle trudno jej było wysłuchiwać mężowskich: „No przecież co ja jeszcze miałem zrobić?!”. Bo była zdania, że i owszem, coś jeszcze zrobić

mógł. Szwagra powitali więc z otwartymi ramionami; Edyta wycofała się do kuchni, Marek zaczął swoje, a wtedy Robert go powstrzymał:

– Nie trzeba, jeżeli nawet nie wiem wszystkiego, to i tak wystarczająco dużo! – Widząc zaś, że Marek ma na twarzy wypisane oburzone i żałosne jednocześnie „zakablował na mnie!", pośpieszył z perswazją:

– Stary, daj spokój, popatrz, Edyta ledwo się na nogach trzyma! Odpuść choć na chwilę!

Marek zerknął na żonę, która właśnie stawiała na stole filiżanki, zobaczył cienie pod jej oczami i przyznał mu rację. Zamilkł więc i postanowił wysłuchać, co ma do powiedzenia. Tym bardziej że szwagra zawsze szanował, a sumienie dokuczało mu za pochopny wybuch („Idźże do tego wuja, jakeś się w niego tak zapatrzył!"). Poza tym siedział frontem do korytarza i widział doskonale, że przy futrynie przyczaiło się coś małego, nadzwyczaj ciekawego przebiegu rozmowy. I niewykluczone, że za plecami małego ukryło się też coś większego. „Kretynizm!" – pomyślał z goryczą i powiedział głośno:

– Chodźcie tu do nas, nie uczyła was mama, że się nie podsłuchuje?

– Ja nie podsłuchuję, tylko słucham – obwieścił godnie Herbert, wkraczając razem z Wisią do pokoju. I oboje wlepili w wuja pełne nadziei spojrzenie.

Robert zakasłał. Zamierzał po biblijnemu perswadować Markowi, że lepiej jest się ożenić niż gorzeć, używając może nieco bardziej współczesnych sformułowań. („Stary, spójrz prawdzie w oczy, oni i tak będą robić swoje! To niechże to robią po Bożemu!") Jak ma to powiedzieć przy Wisi?

Na szczęście Wisia należała do młodzieży otwartej na świat, całkiem jak mała Elunia, którą niegdysiejsze siostrzane tłumaczenie, co to konsumpcja małżeństwa, całkowicie satysfakcjonowało.

– Miłosz wujkowi się przyznał, że będzie miał dziecko? – zapytała szczerze do bólu.

Marek i Edyta znieruchomieli. Nawet nie mieli siły zapytać: „Skąd wiesz?!”.

Mąż opatrznościowy (i najdroższy mąż swej żony) zdecydował się w jednej chwili.

– Tak – powiedział spokojnie, patrząc jej prosto w oczy. – Wyjaśniliśmy sobie wszystko, policzyliśmy, ile ma pieniędzy, i wyszło nam, że najlepiej by było, gdyby zamieszkał u nas. Mamy wolne pół chaty. A ze ślubem dałoby się zdążyć do połowy listopada, ksiądz się zgodził.

Jak było powiedziane, własne grzeszki ciągną się za nami po wieki wieków! Nie inną metodę zastosował całkowicie niewinny Niziołek wobec własnej rodziny trzydzieści cztery lata wcześniej! I ta dyplomacja osobliwa, żeby nie skłamać, a prawdy do końca nie powiedzieć! Cóż, na Biblię nie przyrzekał, że będzie mówił całą prawdę…

– To… kiedy? – odchrząknął dziadek in spe. – Piętnastego?… To sobota?

– Chyba tak, nawet nie patrzyłem w kalendarz – odpowiedział beztrosko Robert i odwrócił się do Edyty: – Obiad zrobimy u nas, prosta sprawa, tylko najbliższa rodzina i świadkowie bez żadnych cudów. Nic się nie martw, będzie dobrze – uśmiechnął się do szwagierki pokrzepiająco – myśmy z Różą też tak zrobili i patrz, ile lat już się tak męczymy!…

Edyta runęła mu w ramiona, chlipiąc „dziękuję!”. Szwagrowie popatrzyli na siebie ponad jej ramieniem; Marka coś jeszcze męczyło.

– Stary – zaczął serdecznie Robert. – Głowa do góry, Miłosz to wspaniały mężczyzna. Coś ci powiem, ale niech to zostanie miedzy nami. Janek jest najlepszym synem pod słońcem, ale ma jedną wadę. Chociaż jest księdzem, nie umie powiedzieć na głos, co mu w sercu siedzi…

– Robert, nie słowa, ale czyny decydują! – Wuj poczuł się w obowiązku bronić siostrzeńca.

– Jasne, ale uwierz mi, czasami też chcielibyśmy coś usłyszeć. A Janek nigdy nie powiedział mi wprost tego najważniejszego: dlaczego?…

Cała czwórka Kotoniów patrzyła na gościa ze zdziwieniem, jakby chcieli zapytać: „Po co nam to mówisz?”.

„Bo mi tego brakuje” – pomyślał Robert. „Pewnie, że Janek sprawdza się w działaniu. Ale ja chciałbym usłyszeć, tak właśnie, usłyszeć te trzy proste słowa. I nikomu, nawet Róży nigdy się nie przyznałem, że jestem zazdrosny o księdza Tadeusza. Bo jemu chyba powiedział…”

Odchrząknął.

– A Miłosz… To było tak: przyszedł do nas, gadaliśmy o *Kamieniach na szaniec*… – Marek lekko zesztywniał. – Na stole leżało „Do Rzeczy” z napisem na okładce: „Czy jesteśmy gotowi umrzeć za Polskę?”. I naraz w środku rozmowy Miłosz powiedział: „No pewnie! W każdej chwili!”. Stary, mówię ci, masz świetnego syna!

I wtedy rozmazał się Marek, dzieci przyskoczyły do niego, a Robert przyszpilił bratanicę wzrokiem, żeby czasami za dużo nie wyklepała. Chyba zrozumiała, bo tylko głaskała ojca po ręce.

Późnym wieczorem emisariusz mógł zameldować czekającemu nań niecierpliwie bratankowi o wykonaniu zadania. Z dementi pewnych faktów nakazał mu przeczekać jakieś dwa tygodnie, do wizyty i rewizyty przyszłych teściów.

# NA KAŻDYM SKRZYŻOWANIU 6

W sobotni wieczór proboszcz skrupulatnie przepowiadał sobie pod nosem kazanie, a Janek paplał na Skypie z Merrym i Wiolą. Potem wikary zdał szefowi szczegółowy raport ze stanu zdrowia swojej imienniczki – wszystko było w porządku, chociaż nie należało się spodziewać, że na roczek zacznie sama chodzić, ale co tam, miała prawo jako wcześniak, no i pewnie trzeba będzie jej sprawić okularki, ale bez paniki, to nic wielkiego, ma chyba tylko leciutką nadwzroczność, jak stwierdzili kaliscy doktorzy, ale to się da korygować. Merry był w parafii figurą ważną i szanowaną, zdążył już umuzykalnić pół Gołuchowa z przyległościami, prowadził warsztaty dla starszych i młodzieży…

– Znaczy, chór? – doprecyzował ksiądz Tadeusz.

– Nie-e – przeciągnął po poznańsku Jasiek. – Merry od zawsze nie cierpiał chóru. Ja zresztą tak samo, przecież ksiądz się napatrzył…

Fakt, za Jankowych czasów w Krzesinach chór nieuchronnie popadł w rozsypkę, za to na obu jego mszach, szczególnie na tej młodzieżowej, nikt płuc nie żałował. Jasiek bowiem po ojcu Górze przejął poglądy, że śpiewać ma cały kościół, a jak tylko chór produkuje swoje ambitne wokalizy, to do bani z taka wspólnotą. Raz nawet popełnił plagiat absolutny, a było to na samym początku jego posługi: kiedy wybitnie sfeminizowana schola zawodziła smętnie „Tylko w Twoim miłosierdziu, Panie mój, nadzieja maaa…", huknął bez ceregieli od ambonki:

– Dosyć tego miauczenia! Po rycersku, z ogniem! – I w trzy minuty nauczył młódź śpiewać *Zawitajże, królowo, w słońca blasku*. Ksiądz Tadeusz próbował go po tym incydencie co nieco zmitygować – nie, nie doniósł mu nikt, skąd! Siedział po prostu w konfesjonale i wszystko słyszał; co prawda był to jego prywatny sposób na

kontrolę świeżego narybku, potem dał sobie już spokój, bo uznał, że nie trzeba – ale Janeczek zripostował błyskotliwie:

– Miłosierdzie Boże kluczowa rzecz, bez niego ani rusz, ale nie uważa ksiądz, że odrobina wysiłku własnego też się Panu Bogu należy? Więc zwalanie na Niego całej nadziei to czyste lenistwo, nic więcej? – A potem, jak wiemy, dokonał błyskawicznej roszady płci, przesuwając dziewczyny na ministrantów, a chłopaków do chórku, przez co w obu podmiotach poziom wykonawstwa poszedł w górę. Przynajmniej on sam tak twierdził.

Proboszcz zapytał jeszcze, co z Wiolą, usłyszał z satysfakcją, że postawiła na nogi całą parafialną księgowość, i chciał tak à propos porozmawiać z Jaśkiem na temat ich administracji, ale chytry wikary zaanonsował:

– A w ogóle to Bachy kazały powtórzyć, żeby ksiądz ich zaszczycił jutro swoją obecnością. I żeby ksiądz przyszedł ze sprzętem, znaczy z kubełkiem i pędzlem, bo trzeba będzie coś tam pokropić.

Ksiądz Tadeusz też czytał *Don Camilla*, więc rozpoznał dosłowny niemalże passus, nie obraził się, a wręcz przeciwnie, zrobiło mu się przyjemnie i tylko z ciekawością zapytał:

– A ty nie mogłeś? Czemu chcą, żebym przyszedł osobiście?

– Bo znają hierarchię i wiedzą, z czym do kogo trzeba – krótko i dobitnie wyjaśnił Janek.

Proboszcz zrozumiał, że po pierwsze, Elce i Davidowi bardzo na tym czymś zależy. Bo drugie, że chcą go uhonorować. Z czego wynikało trzecie, że chyba go lubią. A to z kolei spowodowało, że się speszył, ale i rozpromienił jak słońce.

Zaraz po polskiej mszy pojechali do Boglily. Szli beztrosko i pełni zapału przez podwórze, wedle życzenia z formalnym kropidłem i kociołkiem na wodę święconą, chociaż w dzisiejszych czasach funkcje te pełni zasadniczo wihajster w kształcie mikrofonu.

Nagle usłyszeli podniesiony męski głos artykułujący bezbłędnie polskie r w powszechnie znanym na całym świecie słowie. Po słowie tym nastąpiła już angielska inwektywa, sprowadzająca się do groźby:

„Łeb ci ukręcę, mała łajzo!”. W odpowiedzi damski głosik zajazgotał również w mowie Szekspira, wyrażając obiekcje co do poczytalności adwersarza. Mówiąc wprost, aczkolwiek nadal lekko cenzorując, brzmiało to jak: „Pogięło cię?!”.

Osoby duchowne zastygły na środku podwórka ze zgrozy i zażenowania, nie bardzo wiedząc, co mają teraz zrobić, i nie śmiąc spojrzeć na siebie nawzajem.

W tym samym momencie drzwi się otworzyły, prysnął przez nie trzykolorowy futrzany kłębek, a w progu stanęło zwaśnione stadło. Przez sekundę Elka z Davidem trwali jak grupa Laokoona, a potem natychmiast, z marszu, w idealnym porozumieniu nastąpiła konsolidacja: z radosnymi uśmiechami i ukłonem do pasa zaprosili przybyszów na pokoje.

Uśmiechnął się też ksiądz Tadeusz. „Dobrze to rokuje” – powiedział sam do siebie w duchu. „Będą żyć długo, szczęśliwie i zgodnie. Bardzo, ale to bardzo chcieli zrobić dobre wrażenie i żebyśmy się nie domyślili starcia. Do tej pory myślałem, że zależy im na Janku, Robert też tak mówił…” – Przypomniał sobie długie weselne opowieści rodziców. „Ale chyba też trochę mają wzgląd na mnie, może nawet więcej niż trochę…” – I po raz trzeci zrobiło mu się radośnie na duszy.

Miał rację, bo Bachowie poczęli na wyścigi wyjaśniać szczegóły incydentu. Otóż wszystko wzięło się, jak to zwykle bywa, od rzeczy banalnej: ich maleńka, urocza koteczka miała potężne ADHD.

– Felusia jest słodka, mięciutka i rozkoszna – opowiadała Ela. Kto? Ach, kotka została nazwana Fela. Kot to po łacinie *Felis catus*, stąd już krok do Felci. Fajnie. – Ale chwili na miejscu spokojnie usiedzieć nie może. Jak nie śpi, szaleje.

– Pół biedy, kiedy sama – dodał z lekkim sarkazmem David. – Jak zaczynają grandzić razem z Gingerem, to nie ma zmiłuj. Kompletnie nie wiadomo, co i jak przed nimi chować.

Tak się dowiedzieli, że Felusia najpierw hycnęła na warsztat tkacki Eli, zawiesiła się pazurami na gobelinie, a przegoniona (mniejsza

o to, jakimi słowy) skoczyła prosto na biurko Davida, przewracając colę na laptop. David nie wytrzymał nerwowo, dał świadectwo swoich możliwości lingwistycznych, a jego ukochana żona uznała za stosowne wyartykułować, co o tym sądzi. Sama zresztą była wściekła, bo Fela upodobała sobie krosna i wdrapywanie się na nie było jej ulubioną rozrywką. Mało tego, kocica zdeprawowała Gingera i nauczyła go tego procederu. Zabawnie wyglądało, jak podprowadziwszy go na miejsce, podskakiwała w pionie, wdrapywała się jak wiewiórka na sam szczyt i balansując na ramie, patrzyła triumfalnie na braciszka: „Aha, ja tak umiem, a ty nie!".

Jednakowoż Ginger uczył się bardzo szybko i po kilku dniach robił to samo. Mało tego, metoda została rozwinięta. Rudzielec skakał z krosien na drzwi, które siłą ciężkości rozwierały się w stronę regału. Wtedy zaczynał przemieszczać się po półkach, niczym alpinista wyszukując każdego skrawka miejsca na postawienie łap. Trzeba odnotować, że tym razem perfidna Fela nie podążyła w jego ślady. Jak typowa przedstawicielka płci pięknej obserwowała wysiłki samca, mając wypisane w ogromnych, zielonych oczętach: „Chcesz się męczyć, to się męcz, a ja popatrzę, jak zaraz polecisz na pysk!".

Wszystko to zostało im opowiedziane przy kawie i sałatce owocowej, stanowiącej zwieńczenie dietetycznego obiadu na cześć proboszcza. Elka zrobiłaby placek z jeżynami, których wszędzie było mnóstwo, albo sernik, ale przecież doskonale wiedziała, że mu nie wolno. Więc stanęło na mieszance owoców, i to tak dobranych, żeby była przewaga jagodowych, niskocukrowych: truskawek, malin i borówek kanadyjskich, no i tych dzikich jeżyn, tylko dla koloru na wierzchu wrzuciła odrobinę banana. Smakowało doskonale, a przy okazji pochwalił im się, że insulinę stosuje teraz tylko tę długo działającą, na wieczór. Przed posiłkami już nie musi. I ma nadzieję, że z tej nocnej też będzie mógł zrezygnować, bo wystarczają coraz mniejsze dawki.

Elka i David wiedzieli, że się tym cieszy, że traktuje to jak triumf nad własnym ciałem i własną słabością, więc chwalili go, ile się dało

i zachęcali do dalszych wysiłków. Opowiedział im, że codziennie wieczorem chodzi wzdłuż plaży – remont nabrzeża nareszcie się skończył, więc można było spacerować w samym Kirkcaldy, ale w sumie wolał znaleźć sobie jakąś dziką plażę i tam łazić.

Tylko fok ciągle nie udawało mu się zaobserwować. Może dlatego, że prawie zawsze ktoś się do niego przyłączył. Doprawdy, ludzie chyba radarki mieli, a może po prostu stało się wiadomością publiczną, że wieczorem idzie nad morze. I że nikomu nie odmówi rozmowy. Więc ci, co to woleli przy akompaniamencie krzyku mew, a nie w odorze kruchty, zupełnie jak Jaśkowi licealiści z Krzesin, przyłączali się do niego na plaży. Swoją drogą chyba na niego czatowali i już po miesiącu mieli doskonale rozpracowane jego szlaki. Że jak nie na plaży miejskiej, to na bank w Kinghorn albo Lower Largo.

Prawdę mówiąc, był charakterystyczny, bo na początku poruszał się jeszcze o kulach, a potem przerzucił na kijki trekkingowe. No, nie tak charakterystyczny, jak by sobie życzył jego radykalny wikariusz, ale i tak księżowska koszula z koloratką robiła swoje. Przychodzili do niego najróżniejsi ludzie: Szkoci i Polacy, katolicy i prezbiterianie, wierzący i niewierzący. Porozmawiać. Czasami kończyło się to spowiedzią. Szczególnie jedna taka ławeczka awansowała do roli konfesjonału; bardzo dogodnie słuchało się tam spowiedzi, nikt nie przeszkadzał, z boków i z tyłu zasłaniał ostrokrzew, a z przodu roztaczał się widok na zatokę. Cięższe przypadki starał się zaholować do kościoła, żeby było tradycyjnie, ale nie naciskał, był elastyczny, chociaż cały czas trwał w przekonaniu, któremu dał wyraz w kontakcie ze sprzedawcą z Kirkcaldy Motor, że pozycja klęcząca ułatwia pewne sprawy. Sam to wiedział najlepiej z własnego doświadczenia: kiedy klękał przed Jankiem, już nie było proboszcza i wikarego, rozpoczynał się inny układ i inna relacja. Więc teraz tylko kazał klękać na samo rozgrzeszenie, a po pewnym czasie zauważył, że ludzie już wiedzą, że nie musi nic mówić. Czuł się wtedy dziwnie rozanielony i usatysfakcjonowany; w Poznaniu po tych dwudziestu

latach był ze swoją trzódka bardzo zżyty i zaprzyjaźniony, ot choćby z Anią i Romkiem, ale tutaj poczuł się trochę jak… Bo ja wiem?… Misjonarz? Ojciec na pustyni? Na jakiej pustyni, przecież to morze!

W każdym razie te wieczorne niezwykłe spacery radowały go do tego stopnia, że aż się z niego wylewało. Aż promieniał. Ciekawe, kto tu się do kogo tak przy okazji upodabniał? Bo Janek z kolei bez gadania i absolutnie bez żadnych grymasów przejął robotę przy biurku, cud nad cudy. Proboszcz nad morze, a on siedzi w Bank West i pilnuje interesu. I tylko oczy mu się śmieją, kiedy patrzy na szefa. Gdzie te czasy, kiedy ksiądz Tadeusz bał się wyjazdu za granicę i konwersacji w obcym języku? Czy naprawdę kiedyś tak było? Teraz gada swobodnie i bez żadnego skrępowania. I tak wszyscy wiedzą, że przyjechał z końca świata, to i ma prawo do obcego akcentu i od czasu do czasu do zabawnych lapsusów językowych. Gafy na wejście byle co przebić nie mogło, ale drobne, pocieszne wpadki mu się zdarzały. Razu pewnego na przykład, zapytany, gdzie kupił takie fajne trapery, odpowiedział, że w Surykatce, czyli w Meerkat Centre. O jedno „e" nie chodzi, a galeria nazywała się w istocie Mercat Centre. Co w żaden sposób go nie deprecjonowało, wręcz przeciwnie. Akcent, gips, kule, a potem kijki – wszystko to dodało mu kolorytu i przyciągało… ciekawych? Czy raczej potrzebujących?

Co prawda raz jeden jedyny wykorzystał swoją pozycję cudzoziemca do niezwykle subtelnej złośliwości. Mianowicie wkraczając do pokoju nauczycielskiego, powiedział:

– Witam wszystkie piękne panie. Dzień dobry, panno Smith.

Czy którakolwiek z pięknych pań zrozumiała aluzję, trudno orzec; w każdym razie został delikatnie pouczony, że wschodnioeuropejski, szarmancki styl może być na Zachodzie poczytany za seksizm, i już. Panna Smith w każdym razie nie chwyciła na pewno. Za to spowiednik proboszcza miał ubaw po pachy i na bank nie utrzymał powagi należnej szafarzowi sakramentu.

Kiedy Jasiek wpadał do Boglily albo Ela z Davidem zostawali dłużej na Brodick Road, zawsze tak jakoś wyszło, że po dwóch-trzech

zdaniach schodziło na księdza Tadeusza. Nie na ciążę Elki, nie na uzależnionych Davida, nawet nie na Jankowych gimnazjalistów i ich dociekliwe pytania. Aż raz, kiedy Ela paplała jak nakręcona o proboszczu („A wiecie, nasza sąsiadka opowiadała, że po plaży chodzi taki jeden ksiądz katolicki, ona jest protestantką, a właściwie to po prostu nie chodzi do kościoła, ale to nic, podeszła do niego i…"), David z właściwą sobie przenikliwością zapytał wprost:

– Słuchaj, stary, ty nie jesteś zazdrosny, że to właśnie do niego tak ludzie ciągną?

Elka przerwała, spojrzała na brata ciekawie, a ten uśmiechnął się z leciutkim zawstydzeniem.

– No co wy, o niego?! W życiu! Wiecie, jak fajnie się na to patrzy? Jak ciągle ktoś nowy do niego przychodzi? I zdrowszy jest teraz, ruchliwy… Poza tym ja mam swoją działkę, o co miałbym być zazdrosny? Dzieciaków kupa przyłazi do St Marie's, trzeba to wszystko ogarnąć, dać im robotę, planujemy latem pieszą wędrówkę z Glasgow do Fort William, może dałoby się ściągnąć chociaż kilku moich z Poznania… – rozmarzył się i po oczach widać było, że jest ostatni, którego by *invidia sacerdotalis*[8] miała kąsać, jak by powiedział pan Zagłoba. Bez tego *sacerdotalis*, oczywiście, bo Zagłoba miał na myśli księcia Janusza.

Teraz zresztą było tak samo: ksiądz Tadeusz fachowo dyskutował z Davidem o tym, co każdego z nich na swój sposób bolało i dotykało, a mianowicie jak nie tracić zapału i wiary, kiedy na dwudziestu wyciąga się z dołka jednego, a Jasiek i Ela patrzyli to na rozmówców, to po sobie, i uśmiechali się porozumiewawczo. Bo proboszcz tak się zagadał, że prawie zapomniał, po co tutaj dzisiaj przyszedł.

W końcu jednak i to się wyjaśniło. Bachowie zaprowadzili go na skraj posesji, już na rozstaju dróg, i pokazali niewielką kapliczkę na drzewie wtuloną w żywopłot.

Stał, patrzył i napatrzeć się nie mógł. Na szkockim lądzie, tysiące kilometrów od Polski, spoglądała na niego Matka Boska Niezawodnej Nadziei z Jamnej, młoda, zatroskana kobieta w chuście na głowie, z maleńkim Niemowlęciem na rękach. Zerknął na Elę; w luźnej bluzce nie było po niej widać ciąży, chociaż to już były równo cztery miesiące, a proboszcz trochę się na tym znał, bo w biurze parafialnym napatrzył się dziesiątkom dziewczyn w podobnej fazie rozwojowej. Tyle że Ela miała w oczach ten błysk, tę radość, która bezbłędnie pozwala rozpoznać stan błogosławiony. Przy niej to staroświeckie określenie nabierało sensu.

Poświęcił kapliczkę, wrócili do stodoły, pogadali jeszcze trochę, ale wreszcie się ruszyli, bo trzeba było iść do Piusa. Janek zabrał się z Bachami, proboszcz wracał jeepem sam. Podjechał oczywiście na plażę. Tym razem nikt się do niego nie przyłączył, może to i dobrze, więc szedł i myślał. Wiedział oczywiście, że cała rodzina Niziołków to odwieczni i wierni pretorianie ojca Góry, więc ta Matka Boska Jamneńska go nie zdziwiła. Ale naraz ni stąd, ni zowąd poczuł się jakby przynaglany, nakłaniany do czegoś, czego jeszcze nie rozumiał. Powoli, powolutku myśli nabierały realnych kształtów.

Wieczorem przy kolacji zaczęli z Jaśkiem rozmawiać o ojcu Górze i Lednicy, tak pewnie ta kapliczka ich nastroiła. Jeżeli Jaśkowi się wydawało, że jest weteranem (fakt, startował w dziewięćdziesiątym siódmym, nie mając jeszcze dwunastu lat), to się zdziwił: proboszcz był w tych przebiegach starszy od jego rodziców! No, może nie od obojga, ale od mamy bez dwóch zdań!

To było na początku siedemdziesiątego ósmego, chodziły słuchy, że w duszpasterstwie młodzieży u dominikanów nastał nowy ojciec, dużo się o nim gadało, że śpiewy piękne, a kościół trzeszczy w szwach, więc wybrali się z Tumu małą grupką, żeby popatrzeć, posłuchać, nauczyć się czegoś, raz i drugi. Właśnie tam po raz pierwszy Tadeusz usłyszał *O Christe, Domine Jesu*, to samo, które posłużyło Merry'emu za motyw na ślubie Elki, tyle że Merry je

rozbudował, dodał swoje wariacje i ten góralski zaśpiew. Pomyśleć, że teoretycznie mógł się Tadek mijać w kościele z Robertem…

– Na zakończenie śpiewało się *Pieśń konfederatów* – opowiadał Jankowi. Jasiek znał to doskonale ze wspomnień rodziców, ale słuchał chętnie, ciekawy spojrzenia pod innym kątem, okiem fachowca, jeżeli tak można powiedzieć. – Tyle że długo to nie potrwało, jak dostaliśmy szlaban.

– Dlaczego? – zdumiał się wikary jak pierwszy naiwny. Co to, nigdy w seminarium nie był?

– Bo arcybiskup Stroba zawołał Górę do kurii, opierniczył, że młodzież z parafii odciąga, a przez to i nam na wszelki wypadek zabronili. Tak sobie, dla asekuracji… – Chciał coś jeszcze powiedzieć, pewnie o Darze Pomorza, bo taką ksywkę nosił w owym czasie arcybiskup, ale sumienie kazało mu milczeć i nie gorszyć młodzianka świętego.

Niestety, młodzianek w niezwykły sposób zainteresował się incydentem. Przez analogię?

– I co, przestał ksiądz chodzić? – zapytał chciwie.

– Nie. – Prawdomówny Tadeusz musiał się przyznać do grzechów młodości. – Wyskakiwaliśmy z sutann… sutann? – powtórzył, smakując słowo, i pojechał dalej – i łaziliśmy po cywilnemu, ja i jeszcze dwóch kolegów. – Janeczek uśmiechnął się szeroko i z satysfakcją. – Pamiętaj, synu, że ślub posłuszeństwa składałem dopiero rok później! – dodał proboszcz surowo, ale nie wytrzymał i też się uśmiechnął.

Chwilę się namyślał, wreszcie postanowił Jaśka dopuścić do konfidencji i wyjawić wszystko do końca.

– Na początku nowego roku szkolnego zakablował nas taki jeden wzorowy alumn – powiedział otwarcie, pewny, że tym Janeczka nie zdeprawuje. Zgorszonego wszak zgorszyć nie można.

Wikaremu oczy się zajarzyły.

– Ach, tak!… – powiedział przeciągle. – Siedzi tu ksiądz obok mnie, więc nie wyleciał ksiądz z hukiem, wobec tego proszę mi

wyjaśnić, jak mu się to udało?

„Jak to przy tym małym draniu trzeba uważać na każdy wyraz” – pomyślał z goryczą proboszcz, pamiętny dyskusji o cierpieniu w kapłaństwie, i kontynuował:

– Rektor pro forma chyba spytał, czy znaliśmy zakaz, pewny był, że zaprzeczymy. Ale myśmy we trzech jak jeden mąż potwierdzili. Ręce mu opadły i chyba nie bardzo wiedział, co z nami zrobić. Przeczołgali nas na dywaniku, dali miesiąc karniaka na przemyślenie powołania… – Jasiek sczytywał każde słowo z jego ust, pewnie już zaczynał się domyślać finału, w końcu rachować umiał. – I wtedy, w październiku, stał się cud. Wybór papieża… Podpadliśmy pod amnestię, kto by miał wtedy głowę do takich głupot – uśmiechnął się już całkowicie jawnie do wikarego, a ten odwzajemnił się, wyszczerzając bezczelnie zęby. – A trzeciego czerwca, tuż po święceniach diakonatu, staliśmy z Górą ramię w ramię na Wzgórzu Lecha w Gnieźnie, papież improwizował przemówienie do młodzieży, a myśmy szaleli… – Zamyślił się, rozmarzył. – A ty? – zapytał nagle. – Co pamiętasz ze swoich święceń? – I natychmiast pomyślał o sobie „idiota”, bo też liczyć umiał, a opowieściom Roberta i Róży dobrze się przysłuchiwał.

Jasiek popatrzył na niego tak, jakby chciał powiedzieć „przepraszam”.

– Chorobę taty i katastrofę smoleńską – odpowiedział po prostu, właśnie w takiej kolejności.

„I zupełnie tego po tobie nie widać” – pomyślał ksiądz Tadeusz. „Taki jesteś… spokojny, radosny…” – Przypomniał sobie fotografię, pokazaną mu przez opiekuna Jaśka, prawda, że o rok późniejszą, ze święceń kapłańskich. „Jeżeli siedzi ci to gdzieś w głębi duszy, a siedzi na pewno, to w żaden sposób cię nie złamało. Czy to dobre słowo? Może zachwiało, poruszyło? No powiedzże coś, nie milcz tak i nie patrz, jakbyś mnie chciał na wylot przewiercić!”

Janek zaczerpnął powietrza i wypuścił je z powrotem. Siedzieli chwilę bez słowa. „Dobra, trzeba iść spać, bo jutro nie wstaniemy” –

powiedział sobie, ale nie zdążył się ruszyć, kiedy usłyszał:

– Mogę za to opowiedzieć księdzu, jak moje dwie kochane dziewczyny, Elka i Wiola, pomogły mi się wymigać od spaceru w prymicyjnym wieńcu. Ksiądz na pewno też to przecierpiał, prawda?

O, tak, dom Wieczorków od kościoła dzieliła raptem jedna przecznica, a i tak Tadeusz spocił się z zażenowania jak mysz, kiedy rozchichotane dziewczyny z duszpasterstwa prowadziły go w laurowym wieńcu, tak jak to wymarzyła sobie mama.

– No to kiedy przepłynęliśmy promem na Ostrów, wzięły mnie najzwyczajniej z dwóch stron pod mankiet, a każda miała w ręku białą lilię. Przy okazji Wiola i Merry coś mi w ten sposób chcieli powiedzieć… Bo nie ma to jak z uśmiechem…

Następnego dnia w szkole był normalny zapieprz, dzieci rozrabiały, ale z autoformacją nieco dały sobie spokój, przynajmniej na jego zajęciach. Wieczorem na plaży przyłączył się do niego pewien wysoki, żwawy Szkot, który opowiadał o skałkarstwie i zdobywaniu munrosów. Dał mu nawet telefon do Janka, bo znał marzenia wikarego, który chciał latem pójść ze swoimi dzieciakami na wędrówkę West Highland Way. Niech sobie pogadają, może mu się ten skałkarz na coś przyda, podpowie to i owo.

A wieczorem Jasiek zagadnął znienacka:

– Co się stało z tymi dwoma, którzy z księdzem chodzili do białych?

„A mnie się, naiwnemu, wydawało, że jak wczoraj o to nie zapytałeś, to mam spokój” – pomyślał bezradnie.

– Maksymilian jest proboszczem w Grodzisku, chyba go lubią – wyjaśnił ściśle. – Tomek… – Zawahał się, spojrzał uważnie na Janka, który niby siedział spokojnie, ale z jego przyczajonej sylwetki można było wyczytać: „Tomek? Tak przypuszczałem!”. – Nie, synu, to przypadkowa zbieżność imion, od tamtego byłem rok niżej. – Jasiek błysnął oczami w uznaniu dla wnikliwości szefa. – Ale poniekąd masz rację… Nie chciałem o tym gadać, bo mnie cholera bierze, kiedy

sobie o tym pomyślę… – I dodał z bezwzględną szczerością: – Zrzucił sutannę pięć lat temu. Też taka przypadkowa zbieżność.

– Ale przez dwóch Tomków ksiądz chyba wiary nie straci? – z leciutką kpiną w głosie powiedział Janek. – Coś księdzu opowiem, tak à propos naszej wczorajszej rozmowy. To było w zeszłym roku, wracałem z dzieciakami z Krakowa, porozdzielaliśmy się po kilkoro w trzech przedziałach, żeby było wygodnie. – Z Jaśkiem pojechało wtedy siedmiu chłopaków i sześć dziewczyn, akurat pasowało im w schroniskach na dwie standardowe zbiorówki. – Oni mieli taki system, udawali antypatycznych, żeby inni dali nam spokój. – A jakże, „Wojtuś", mówili, „udawaj idiotę!", a ten ochoczo spełniał rozkaz. – Ale tym razem nie wyszło, bo w Bytomiu dosiadł się taki jeden… no, powiedzmy w stylu naszego Stasika. – Proboszcz odniósł wrażenie, że Janeczek ugryzł się w język, żeby nie poprzedzić tego miana jakimś nieprzystojnym epitetem, ale o zmarłym wszak nie wypadało. – Otworzył drzwi, zobaczył moją koloratkę, zawahał się, mieliśmy nadzieję, że się wycofa, ale nie, wszedł, no i się zaczęło, pełen zestaw: od mercedesów, co nimi ujeżdżają tłuści purpuraci, do pedofilii. I wie ksiądz co? – uśmiechnął się Janek. – Jak zaczął pieprzyć o prześladowaniu ateistów w Polsce… – Ksiądz Tadeusz udał, że nie usłyszał brzydkiego wyrazu – …te moje kochane dzieciaki zachowały się po prostu genialnie! Najpierw Wojtuś z Marcinkiem położyli się na podłodze i wyli ze śmiechu. Ja ich niby to mitygowałem, ale te dranie co na siebie spojrzeli, zaczynali rechotać od nowa. Potem Tośka… wie ksiądz która? – Proboszcz przytaknął, Tosia była osóbką nadzwyczaj barwną i charakterystyczną. – Zaczęła opowiadać kawał o ateiście, który poszedł do nieba, zna to ksiądz? – A widząc, że szef kręci głową przecząco, acz z zainteresowaniem, kontynuował: – Święty Piotr go nie chciał wpuścić, więc powiada, że chce się widzieć z Panem Bogiem. Święty Piotr idzie i mówi: Panie Boże, taki jeden ateista do Ciebie. – Ksiądz Tadeusz już zwęszył puentę. – Na to Pan Bóg: powiedz mu, że mnie nie ma!

– I co na to tamten gość? – zaśmiał się proboszcz.

– Jeszcze udawał kulturę i uśmiechał się krzywo, chociaż Wojtek z Marcinem działali mu na nerwy, że hej. Tylko że w tym momencie zaczął się festiwal, każde jedno dołożyło swoje, przybiegli inni z sąsiednich przedziałów… No i jak poleciało coś takiego: „Puk, puk, kto tam? Lotny patrol katechetyczny do walki z ateizmem! Nie wierzę!… No właśnie my w tej sprawie!", to gość się wściekł i wybył, mieliśmy spokój. A mógł przecież podjąć rękawicę, kawałów antyklerykalnych jest co niemiara. Wtedy się nauczyłem, że to najlepsza metoda, do TVN-u na zwarcia z Ryfińskim i Hartmanem powinni wołać jakiegoś kabareciarza, Górskiego choćby, a nie święte dziewice, dopiero by mieli oglądalność!…

Proboszcz śmiał się, patrząc na Jaśka, a jednocześnie myślał:

„Właśnie tym się różnisz od tego drugiego Tomka. Tamten miał łeb większy od twojego, boś ty się przecież mimo wszystko na trzecim roku do tłumaczenia z hebrajskiego nie brał. Ale ty jesteś od niego dużo silniejszy. Może dlatego, że perfekcyjnie wprost trzymasz się z daleka od wszystkich pokus Pierścienia. Żadnych doktoratów, żadnych funkcji. No i nigdy cię nie pociągała wiwisekcja własnych bebechów. Zasłaniasz się śmiechem, nie ascezą. Tylko wytrwaj, synu, nie daj się złamać…"

– Dobrze, proszę księdza! – usłyszał na to i aż go otrząsnęło, bo to już naprawdę było przegięcie ze strony tego smarkacza! Intuicja intuicją, ale…

– Już robię tę herbatę – dokończył smarkacz, błysnął niewinnie oczami i poszedł do kuchni.

Kiedy wrócił, ksiądz Tadeusz pochrząkał, powzdychał i wreszcie, przełamawszy nieśmiałość, położył przed nim karteczkę z pięciowierszem, mówiąc:

– Spójrz, Janeczku, czy tak będzie dobrze?…

Jasiek spojrzał i przeczytał:

*Mary, the Queen of Poland,*

*Mary, the Queen of Scotland,*
*I'm by your side, I remember*
*I'm by your side, I remember*
*I stay awake!*

Uśmiechnął się pod wąsem, na co proboszcz z czujnie wysuniętymi antenkami momentalnie skoczył:

– No co, no co, że niby jestem kumplem swojego imiennika, tak? Ci twoi biali też mają narąbane, *Apel Jasnogórski* to dla nich obciach, śpiewają tylko po łacinie i tylko *Regina mundi*, wyrodki! – I ugodowym już tonem dodał: – Ale może tak być?

– Z gramatycznego punktu widzenia jak najbardziej – powiedział pogodnie Janek. – Tylko ksiądz zapomniał, że dla tubylców „Mary the Queen of Scotland" to Maria Stuart…

– Racja!… – speszył się ksiądz Tadeusz. – Nie pomyślałem o tym!

– Niechby było „*our Lady*" – podpowiedział Jasiek, na co proboszcz się rozpogodził i zaczął tłumaczyć:

– Bo wiesz, Janku, ta kapliczka u twojej siostry była taka piękna, że cały czas po mnie chodzi, jak to zrobić, żeby zaprotegować Najświętszej Pannie też i Szkocję…

Po czym nastąpił półgodzinny, klarowny, metodyczny wykład, który nudziarze zamknęliby w tytule „Transpozycja pierwiastków kultu maryjnego" albo coś równie niezjadliwego, ale w wykonaniu proboszcza rozpalało umysł, serce i duszę. Jasiek słuchał i uśmiechał się coraz szerzej.

– …a w każdym miasteczku na rozstaju dróg kapliczka Matki Boskiej!… – zakończył w rozmarzeniu ksiądz Tadeusz.

– Tylko że to jest niezgodne z obyczajem ogólnym – wtrącił perfidnie swoje trzy grosze Jasiek. – Nie mówiąc już o tym, że byłaby to ostentacyjna i niestosowna demonstracyjność – dodał bezczelnie. – Albo może demonstracyjna ostentacja i niestosowność, ewentualnie…

Nie zdążył powiedzieć „ostentacyjnie demonstracyjna niestosowność", kiedy dostał w pysk, aż zagrzmiało.

– O Jezu, synu, przepraszam, nie chciałem! – jęknął z przerażeniem proboszcz.

– To czemu mi ksiądz przyłożył?! – zdumiał się spostponowany wikary, obmacując policzek.

– Bo myślałem, że zdążysz zrobić unik!… Do tej pory zawsze ci się udawało!

– *Nobody's perfect* – odpowiedział z wyrzutem Janek, ale oczy jarzyły mu się wesoło.

Następnego dnia, kiedy po kolei na każdej lekcji jego uczniowie pytali: „Co się księdzu stało?", Janeczek odpowiadał niecnie, aczkolwiek całkowicie zgodnie z prawdą:

– Dostałem od mojego proboszcza! – Czego skutek był taki, że oczywiście absolutnie nikt w to nie uwierzył, ale, o paradoksie, akcje księdza Tadeusza skoczyły na niebotyczne wyżyny.

A główny bohater mógł przystąpić do realizacji swych planów.

# RAFAŁ 7

Po porannej mszy proboszczowi wydawało się, że przed kościołem mignęła znajoma twarz, ale dzieci zaraz ją zasłoniły, a potem trzeba było jak zawsze śpieszyć się do szkoły. Z dzieciakami umawiał się według receptury pewnego szwajcarskiego księdza, o którym wyczytał w jednej z książek Góry: codziennie od wtorku do piątku miała się stawiać w świątyni inna klasa, począwszy od trzeciej komunijnej, co akurat dawało rotację raz na dwa tygodnie, nic wielkiego, a kościół od razu przestał straszyć pustkami i poweselał. Mało tego, rodzice chętnie przyłączali się do pociech, a potem podwozili je do szkoły, nic na tym nie tracąc, ot, musieli wstać odrobinę wcześniej, bo do pracy chodziło się tu na dziewiątą albo później. A tych kilku wolnych strzelców zawsze można było przecież wcisnąć do jeepa; zrobił się zresztą z tego rytuał, szczególny honor i nawet maleńka konkurencja pod hasłem: a mnie dzisiaj *father Thaddeaus* ze swoim wikarym samochodem wieźli! Więc niektórzy specjalnie spławiali rodziców, żeby tylko się z nimi zabrać.

Po południu na plaży wydało mu się, że podążająca za nim w pewnej odległości sylwetka jest jakaś znajoma. Zawsze miał pamięć do ludzi, i to nie tylko do twarzy, ale też głosów, wyglądu i charakterystycznych gestów; bardzo mu to ułatwiało robotę, a wiernych ośmielało i pewnie sprawiało przyjemność, że nie jest się anonimowym wśród dziesiątków innych.

Przystanął, zaczął rzucać kamykami, czekał, co ten ktoś zrobi. Też się zatrzymał, schował za załomkiem skał.

„Trudno” – pomyślał proboszcz. – „Jeszcze nie dojrzałeś, w porządku, poczekamy”.

Na trzeci dzień zobaczył, że tamten już czeka na plaży i nie chowa się. Podszedł i zobaczył Rafała Anioła.

– Szczęść Boże, Rafał – zagadnął jakby nigdy nic. – Miło cię widzieć, skąd się tutaj wziąłeś? Myślałem, że mieszkasz w Walii.

Rafał jednocześnie się ucieszył, i to w wyraźny sposób, że go pamięta, ale jednocześnie nachmurzył.

– W Cardiff miałem kontrakt tylko do wiosny – powiedział beznamiętnie. – Potem próbowałem w Aberdeen, to też były zlecenia na pół roku. Ale przygniotło mnie tam, szaro, buro i bez przerwy korki. Skończyłem i przyjechałem tutaj, mieszkam na Ramsay Road. Złapałem nawet podobną robotę, będę jeździł takim busem, co robi zdjęcia do Google Maps, widział pewnie ksiądz?

– Raz widziałem, nawet mnie obfotografował – przytaknął. – Bardzo lubię łazić ludzikiem po mapie, schodziłem już pół Szkocji – przyznał się z uśmiechem. Nie śpieszył się, wiedział, że takim jak Rafał trzeba dać czas, żeby się rozgadali.

– Ksiądz mnie pamięta – stwierdził Rafał bez znaku zapytania, za to z lekkim uznaniem w głosie.

– No pewnie, przecież widziałem cię na ślubie Eli – przypomniał mu. Po prawdzie, to dziwił się trochę, że Rafał nawet nie próbował porozmawiać z kuzynem.

– Opiekowałem się w Aberdeen mewą – mówił dalej Rafał, pozornie bez związku, obserwując pokrzykujące ptaki. – Chyba miała przetrącone skrzydło, siedziała na ulicy i nie odlatywała. Nosiłem jej wodę, jedzenie. Najpierw się bała, poiłem ją w ten sposób, że wylewałem do rynsztoka wiadro wody. A był wtedy upał jak na Szkocję, bez wody by zdechła. Potem już się trochę oswoiła, mogłem jej dawać z korytka po lodach. A jeszcze później poznawała mnie z daleka i przychodziła albo siedziała na moim samochodzie, wiedziała, który to! W końcu wyzdrowiała i odleciała…

– No to chyba dobrze? – podpowiedział delikatnie proboszcz.

– Pewnie, że dobrze, ale wtedy zostałem już zupełnie sam. Bo inni to traktują człowieka jak powietrze – podsumował z rozgoryczeniem Rafał. – Co im tam się odezwać do Polaka jakiegoś. I specjalnie nawijają tak, żeby zrozumieć nic nie można było.

– Przecież w Aberdeen mnóstwo Polaków! – oburzył się ksiądz. – Nie mogłeś poszukać w jakimś klubie, w kościele?

– Nawet nie wiem, gdzie tam jest kościół – mruknął Rafał i dodał z bolesną szczerością: – Nie byłem w kościele od poprzedniego Bożego Narodzenia, wtedy też bym nie poszedł, ale jechała cała rodzina Davida. – Przez chwilę omijał głazy, patrząc pilnie pod nogi. – Głupio mi było, bo nie tylko Ela, ale i David poszedł do komunii, a ja nie… – i wreszcie wydusił rozpaczliwie: – Nie byłem u spowiedzi od dwóch lat, ostatni raz jeszcze przed wyjazdem do Walii, przed wypadkiem. Potem… nie mogłem…

I nagle, bez zapowiedzi, bez żadnego przejścia zaczął przekrzykiwać mewy, wyrzucając z siebie to, z czym naprawdę przyszedł:

– Dlaczego Bóg mi to zrobił?! Dlaczego się mną zabawił?! Ja uważałem! Przestrzegałem wszystkich ograniczeń jak świeży kursant, wiedziałem, że w ruchu lewostronnym muszę być ostrożny! To Janek miał z głową na tej swojej hondzie, jeździł w sutannie, przecież to przeszkadzało, mogła mu się wkręcić, mógł o coś zahaczyć! I nic! No jasne, że nie życzę mu niczego złego, ale dlaczego ja?! I potem jeszcze to gadanie bez przerwy: no tak, motocyklista, Polak, pewnie pędził jak szalony, oni tak zawsze! Pielęgniarki, lekarze, policja, agent ubezpieczeniowy, wszyscy tylko jedno w kółko, że jechałem niebezpiecznie! A ja uważałem! To tamta ciężarówka wymusiła pierwszeństwo! Ale nikt mi nie uwierzył, nawet… rodzice… – dodał rozpaczliwie. – Tak, wiem, wiem, przyjechali, wuj opłacił leczenie, skakali wokół mnie, troszczyli się… Ale na twarzach mieli wypisane: tak się kończy jazda na motorze! A ja uważałem! – powtórzył po raz trzeci desperacko. – I teraz co? Dożyję czterdziestki, a potem jak ktoś będzie miał mniej szczęścia ode mnie, to dadzą mi jego serce? Albo nie dadzą, bo ile razy można, inni też będą czekali!…

Ksiądz Tadeusz słuchał uważnie, nie próbując się wtrącać. Doskonale wiedział z doświadczenia, że w tym momencie do Rafała nie przemówią żadne argumenty. Zasadniczo były trzy metody

perswazji: zaufaj Bożej woli, ofiaruj swoje cierpienie w czyjejś intencji i żyj dla innych, nie dla siebie. W przypadku bolesnego kłębka żalu, jakim był teraz Rafał, wszystkie trzy do maku. Była jeszcze metoda czwarta: a Murzyni somalijscy mają gorzej, ale tej akurat nienawidził proboszcz żywiołowo od najwcześniejszych swoich lat. Zbyt często serwowała mu ją jego rodzona ciotka. Nie tylko jemu zresztą. Pamiętał doskonale, jak zgrzytała matka, kiedy przy każdej okazji była częstowana tą budującą formułą w różnych wersjach. Mama na ten przykład żaliła się siostrze, że dopadły ją jakieś reumatyzmy, a momentalnie słyszała kontrę: to jeszcze nic, Kowalska z Cetniewskiej ma raka kości! Pewnie dlatego tak go lubiły dzieci, bo zawsze razem z nimi przejmował się dziurą w nowych komunijnych rajstopach albo śmiercią chomika.

Co nie znaczy, że umiał tak od początku. Kiedyś dawno temu w Środzie odprawiał swoją pierwszą mszę pogrzebową. Przyłożył się pieczołowicie, wygłosił piękne kazanie… A po wszystkim ksiądz Wincenty wziął go na stronę i powiedział:

– Tadziu, tak to możesz gadać na pogrzebie dziewięćdziesięcioletniej babci, co swoje przeżyła, ale nie jak nagle umrze ojciec rodziny! Przecież oni wszyscy ledwo na nogach stoją, napchani prochami, żeby to przetrzymać, z nimi tylko płakać można, a mszę zrobić jak najszybszą, żeby krócej cierpieli i prędzej mogli zagrzebać się w domu! A głodne kawałki o nowym, lepszym świecie zostaw sobie na inną okazję!

Słuchał tego lekko zgorszony i obrażony, musiało minąć trochę czasu, zanim dojrzał do tej bezceremonialnej lekcji swojego mistrza.

A Janek wiedział od razu, jeszcze jako diakon. Skąd?

– …wie ksiądz, jak ja się cieszyłem, kiedy pierwszy raz jechałem do Walii! Cały świat stał przede mną otworem! Chciałem studiować fotografię, moja polibuda to była pomyłka, skończyłem dla świętego spokoju, żeby starzy nie truli. Wszystko tak rozsądnie sobie zaplanowałem, przez pół roku miałem zarobić na czesne i zacząć od października w Newport. Chciałem robić zdjęcia i pokazać innym

piękny świat, zachęcić… Bo ja wiem zresztą, co mi wtedy chodziło po głowie?… I co? Ledwo przyjechałem, ledwo tam nogę postawiłem, dostałem od Boga kopniaka!… Och, jak ja bym chciał tak Mu wykrzyczeć prosto w twarz, co sobie o Nim myślę!… – Rafałowi plątały się słowa, ale mimo to było w namacalny sposób słychać te duże litery zaimków.

– To już – usłyszał.

Rafała zatkało.

– Co proszę?

– Krzycz. Teraz. Tutaj – zadysponował ksiądz Tadeusz beznamiętnie.

I wtedy Rafał wykrzyczał. Dobrze, że mewy zagłuszyły wszystko i mógł go usłyszeć tylko Adwersarz, bo nawet proboszcz nie do końca zrozumiał, a może i nie chciał zrozumieć.

A potem zrobiło się zupełnie cicho, ucichło nawet morze. Rafał stał bez ruchu jak wmurowany.

– Teraz to już tylko piorun – powiedział zupełnie spokojnie i roześmiał się krótko z desperackim poczuciem dojścia do krawędzi, jak człowiek, który nie ma nic do stracenia.

– Czy ty aby, synku, za bardzo zarozumiały nie jesteś? – zagadnął dobrotliwie proboszcz. – Naprawdę ci się zdaje, że Pan Bóg niczego lepszego nie słyszał? – A widząc ogłupiały wzrok Rafała, dodał: – Wymieniliście poglądy jak mężczyzna z mężczyzną – trzeba otwarcie powiedzieć, że tu wkroczył na grząskie obszary herezji; no, chyba że miał na myśli Syna – i teraz możecie zaczynać od początku. Usiądziemy?

Byli właśnie o dwa kroki od ławeczki w ostrokrzewie. Rafał pokiwał głową.

– Ile ksiądz ma lat? – zapytał niespodziewanie.

– Pięćdziesiąt dziewięć – odpowiedział proboszcz pogodnie. – Sześćdziesiąt będę miał na samą Wielkanoc – dodał skrupulatnie.

– Nie wygląda ksiądz na tyle – usłyszał odrobinę wątpliwy komplement, bo nie wiedział, czy akcent padł bardziej na dobry

wygląd czy że prawie sześćdziesiąt to „aż tyle”. – Nieźle tu księdzu idzie, ludzie opowiadają same dobre rzeczy.

Faktycznie, *landlady* Rafała, zobaczywszy jego paszport, skrupulatnie zrelacjonowała mu układy w katolickim światku: że dwaj księża z St Marie’s, starszy i młodszy, zapieprzają przez cały boski dzień w dwóch szkołach normalnych, dwóch sobotnich polskich, chodzą równo ubrani jak w zgromadzeniu zakonnym i jeżdżą razem jednym starym autem, a dla każdego mają czas. Poza tym na obiad nie chodzą do restauracji, tylko gotują w domu, sami też sprzątają, strzygą trawnik i mają taką regułę, że im do szpitala nie wolno, tylko jeden drugiego pielęgnuje. Co do tego ostatniego Rafał miał pewne wątpliwości, czy gospodyni coś się nie pomyliło, całej reszty wysłuchał z uznaniem i satysfakcją. A na końcu zdradził, że ten młodszy to jego kuzyn, co być może przyczyniło się do tego, że mieszkanie dostał to lepsze, z widokiem na ogród, a kaucji wpłacić musiał tylko połowę.

– Proszę mi powiedzieć, o czym ksiądz marzy? Żeby być tu z dziesięć lat, odwalić kawał roboty, a potem zostać rezydentem u Janka? – chciał wiedzieć teraz.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedział proboszcz, zaskoczony przenikliwością Rafała. O kapliczkach jakoś nie miał odwagi wspomnieć, to była sprawa osobista. Na razie postawił dwie, przy boisku szkolnym i niedaleko plaży w Kinghorn, na skraju posiadłości pewnego parafianina.

– A jeżeli, powiedzmy… biskup by księdza odwołał, tak z dnia na dzień, a Janka przerzucił zupełnie gdzie indziej, to co wtedy? – indagował Rafał.

– Synu, to nie jest tak, jak się naczytałeś w gazetach – zaripostował. – Biskup najpierw woła na rozmowę, proponuje pewne ruchy. Mógłbym prosić, tłumaczyć.

– Ale gdyby biskup się zawziął? – Rafał też był zawzięty.

– Wtedy bym posłuchał, tak ślubowałem – odpowiedział po prostu.

– I nie byłoby księdzu żal? Nie buntowałby się ksiądz, chociaż w duchu?

Proboszcz przyjrzał się uważnie swojemu rozmówcy. Trochę to wszystko robiło się jakoś mało profesjonalne, bo to Rafał miał się spowiadać, a nie on, ale święty Juda Tadeusz, patron spraw trudnych i beznadziejnych, no i rzecz jasna jego własny patron, szeptał mu do ucha, żeby profesjonalizm miał w tej chwili w tyłku.

– Jasne, że byłoby, zawsze nam czegoś żal – odpowiedział, świadomie lub nieświadomie cytując Janka. – I pewnie też bym się buntował. Ale im krócej, tym lepiej dla mnie. Po co sobie duszę zatruwać kwasem? Nikt mi nie kazał być księdzem, wiedziałem, na co się decyduję, składając śluby. To teraz muszę być konsekwentny i koniec. – A widząc, że Rafał kręci nieprzekonany głową, dodał: – Nie chciałem wyjeżdżać z Poznania za skarby świata. Było mi tam dobrze, miałem swoją parafię, z ludźmi byłem zaprzyjaźniony, czułem się już stary… Popchnął mnie biskup, Janek i jego opiekun z seminarium. – W detale mimo wszystko postanowił nie wchodzić, tego mu Juda Tadeusz nie mógł mieć za złe. – A teraz sam widzisz. Jestem tu szczęśliwy…

– A gdyby ksiądz zachorował – drążył zawzięcie Rafał. – Nie, nie mam na myśli nic takiego… szczególnego… – zastrzegł się oględnie – ale na przykład gdyby ksiądz zaniewidział albo dostał Parkinsona, jak papież, to co? Miałby ksiądz żal do Pana Boga? Że teraz, kiedy wszystko tak się fajnie układa, robi mu taki numer?

Zastanowił się do bólu uczciwie, przypominając sobie swoją dyskusję o złamanej nodze. Wtedy miał okazję zaznać malutkiego, maleńkiego cudu. A gdyby faktycznie zdarzyło się coś takiego, jak mówi Rafał?

– Mam cukrzycę – powiedział dla zwłoki.

– Ale gdyby to było coś całkowicie z tym niezwiązanego, takie coś absolutnie przez księdza niezawinione, nie z zaniedbania, że do lekarza ksiądz nie chodził albo bo ja wiem… nie przestrzegał diety, nie dbał o siebie?…

„Dalej, Tadziu, powiedz mu!” – pogonił go Juda Tadeusz.

– Po pierwsze, za dużo się *House'a* naoglądałeś – powiedział roztropnie. – W życiu rzadko zdarzają się takie sterylne przypadki, jesteśmy systemem naczyń połączonych. Gdyby jednak coś takiego zaszło… Pewnie mi nie uwierzysz – uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem – ale daję ci słowo, że nie jest to żadne księżowskie trucie z mojej strony… Chyba byłoby mi lżej, niż gdyby biskup kazał mi pakować manatki i zwijać się do Polski do domu księży emerytów. Ludziom trudniej się podporządkować… i trudniej zaufać… Ale oczywiście nie wiem. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć własnych zachowań. Jeden taki się zarzekał i wiadomo, co z tego wynikło. Więc ja ci się zaklinać nie będę. To tylko taka… intuicja, a czy dobra?…

Rafał chwilę przeżuwał to, co usłyszał. A on czekał cierpliwie, mimo że już się robiło ciemno i podwiewało na tej ławeczce, w końcu mieli najgorszą porę roku, chociaż i tak listopad w Szkocji był przyjemniejszy od polskiego.

– Zna ksiądz trochę Harry'ego Pottera? – zapytał nagle Rafał. – Dzieci księdzu w szkole coś tam opowiadały?

Dzięki tak postawionemu pytaniu prawdomówny Tadek nie musiał się gimnastykować, wystarczyło pokiwać głową.

– Tam był taki upiór – wyjaśniał skrupulatnie anielski, choć upierdliwy rozmówca. – Przybierał postać tego, czego ktoś najbardziej się obawiał. Pani Weasley zobaczyła swoje martwe dzieci… A ksiądz? Czego ksiądz się najbardziej boi?

„Święty patronie, czy ty jednak za dużo ode mnie nie wymagasz?” – pomyślał proboszcz.

Juda Tadeusz udzielił mu krótkiej nauki niezbyt nadającej się do cytowania. Można ewentualnie wyretuszować jego wypowiedź jako: „Nie miej wątpliwości, synu!”.

– O Janka – odpowiedział krótko. – Żeby się nie zmienił.

Rafał podniósł na proboszcza zdumione spojrzenie, potem coś mu w oczach błysnęło, jakby podziw i zrozumienie jednocześnie.

– Właśnie dlatego od półtora roku przed nim uciekam – powiedział gwałtownie. – Bałem się… jak by tu powiedzieć… Wie ksiądz, on jest taki… radosny, uśmiechnięty… Do niego by bardziej pasowało moje nazwisko… Co mu miałem duszę zatruwać moimi bólami. Jeszcze bym go miał na sumieniu. Jeszcze by przeze mnie zwątpił.

„No, nareszcie!" – pomyślał ksiądz Tadeusz. „Nareszcie zacząłeś gadać! Wprawdzie sensu w tym nie ma za grosz, ale zawsze!"

– Chodź! – powiedział energicznie. – Musimy się stąd zabierać, bo wilka złapiemy. Jedziemy do St Marie's, tam dokończymy.

Rafał bez oporu dał się zgarnąć do jeepa i ruszyli.

Prowadząc, korzystał z okazji, że nie musi patrzeć Rafałowi w twarz, bo Juda Tadeusz zaprowadził go w rewiry tak intymne, że wstydził się, czy aby mu oczy nie świecą, i mówił przyciszonym głosem:

– Synu, to nie tak. Gadasz, jakbyś kompletnie go nie znał. Janek to nie jakiś tam rozkoszny animatorek z oazy… – Czyżby ksiądz Tadeusz miał złe doświadczenia w tym względzie? Animator skończył w Ruchu Palikota? – …to twardy facet, widział przez te trzy i pół roku niejedno i niejednego na śmierć dysponował. Zapewniam cię, już w wieku dwudziestu lat doskonale wiedział, w co się ładuje, nie znałem przedtem nikogo, kto by równie twardo stąpał po ziemi. – Fakt, Jankowa taktyka na wymiganie się od funkcji niepożądanych była jedyna w swoim rodzaju.

Jechali na północ wzdłuż wybrzeża, Rafał słuchał chciwie, sczytując mu z ust każde słowo.

– Nikomu o tym nie opowiadałem – ciągnął proboszcz, widać święty patron cały czas go poszturchiwał. – W klasie Janka była dziewczyna z białaczką, Patrycja. Długo się to ciągnęło, w końcu umarła. Jej rodzice przyszli do mnie załatwić pogrzeb. I wiesz, co mi powiedzieli? On przez cały czas jej towarzyszył, cały czas pomagał jej w chorobie i w umieraniu. Nie miałem o tym pojęcia, tak to dyskretnie robił. I ani na chwilę nie stracił tej, jak to mówiłeś… radości… pogody… Rodzice Patrycji mi opowiadali, że gdyby nie

Janek, załamaliby się na pewno. A z niego biła taka jakaś siła… i spokój… Dziękowali mi, czułem się głupio, bo nie było w tym krzty mojej zasługi, on sam wiedział, co trzeba… I jednocześnie byłem z niego dumny… To samo zresztą mówiła twoja ciocia. Janek był jeszcze wtedy diakonem, kiedy umarł wasz dziadek, wiesz przecież, jak to było. Pani Róża opowiadała mi, że czuła smutek i tęsknotę za tatą, ale jednocześnie Janek aż promieniował spokojem i ten spokój przekazywał jej…

Byli już w Kirkcaldy, musiał się streszczać, bo przed wejściem do kościoła koniecznie chciał coś jeszcze Rafałowi powiedzieć.

– Jak Janek przyszedł na Krzesiny, z początku się cieszyłem, że to on jeździ do chorych, szczególnie wieczorami i po nocy. A potem… Rafał, wierz mi, zacząłem być zazdrosny! Bo ludzie prosili o niego! „Czy może przyjść do taty ksiądz Janek, bo on tak potrafi…" – mówili mi. Co, a ja nie? – myślałem. Tyle lat starszy od niego? A potem już wiedziałem, o co chodzi. I… Rafał, powiem ci jeszcze to… chciałbym, żeby kiedyś Janek też mnie odprowadzał. Czułbym się… bo ja wiem… bezpieczny… pewny… Ech, nie słuchaj mnie, to taki kaprys starszego człowieka. Ręczę ci, sto razy mógłbyś mu wykrzyczeć to, co przy mnie przed chwilą, a on by się ani nie zgorszył, ani nie zwątpił. Ale cieszę się, że tu jesteś, że przyszedłeś teraz. Chodź.

W ostatniej chwili odpuścił, nie poprowadził Rafała prosto do kościoła, tylko na plebanię. Janek siedział z dzieciakami w domu katechetycznym, z oddali słychać było śpiewy i śmiech.

– Ja niby wszystko wiem, proszę księdza – powiedział Rafał. – Naokoło tyle bólu, nie jestem wyjątkiem. – Metoda Murzynów somalijskich, tak? – Powinienem brać przykład z Elki, też swoje niesie, a uśmiechnięta jak brat. Jak byłem u Bachów na Wigilii, David mi opowiadał… – Nagle zreflektował się, spojrzał spłoszony. – Ale to się już liczy jak spowiedź? Ksiądz tego nie puści dalej?

– No co ty – burknął sarkastycznie. – Będę szedł plażą i nawoływał w dwóch językach: Rafał Anioł ma ośle uszy!

Rafał spłonął, zawstydził się. Pewnie, do tej pory ich rozmowa bynajmniej symetryczna nie była.

– Przepraszam, proszę księdza, ja tylko tak!… O sobie mogę wszystko, ale tamto było o Eli i Davidzie… – Przez chwilę zbierał myśli. – David miał dziewczynę, skakał wokół niej, pokazywał siedem cudów świata, chociaż ona za bardzo oglądać nie chciała, w końcu zahaczył ją o przyszłość. Wtedy ona zrobiła w tył zwrot. Rok o nią walczył, wreszcie odpuścił, ale podcięło go zdrowo, bo mu jeszcze dołożyła, że dzieci to ona nie chce z nim mieć nigdy w życiu. Miał dość wszystkich bab, że wredne, głupie, po sklepach tylko latają i tak dalej. Wyżalił się ojcu raz i drugi, a on mu na to, że zna dużo porządnych kobiet, trzeba się tylko rozejrzeć. Niby gdzie, pyta go David. A choćby u Niziołków, mówi Brendan. Więc kiedy przyjechała Elka, zaczął ją sprawdzać. Bał się, że znowu się natnie, więc udawał macho, przeklinał po walijsku… Najpierw patrzył, czy jej pasuje, jak ją woził do Brecon Beacons Park i czy nie chce do miasta. Nie chciała, punkt dla niej. I tak fajnie opowiadała o rodzinie, o naszej babci… Wtedy zaryzykował, pojechali do Szkocji. Podobało jej się, mało tego, powiedziała, że chciałaby tam zostać do końca życia. I bez mrugnięcia okiem akceptowała spanie w hostelach i skromne żarcie. To on się oświadczył, no, nie tak wprost, ale dał do zrozumienia, że z katoliczką mógłby jak w dym. I zdecydowali się w tydzień.

„Słuchaj go i zamknij paszczę” – warknął Juda Tadeusz na swojego podopiecznego, bo ten już-już chciał Rafałowi przerwać jego przydługi wywód o osobach trzecich.

I wtedy właśnie Rafał przeszedł do jak najbardziej osobistego meritum, i to na tyle obszernego, że zrównoważyło wszystko, co je poprzedziło. Dość powiedzieć, że śpiewy w domu parafialnym ucichły, a młodzież się wyniosła. Rafał nie wiedział, że proboszcz z wikarym uzgodnili sobie system: jak drzwi do salonu zamknięte, to znaczy, że Jasiek ma się zająć kolacją, a do środka nie włazić, co i skrupulatnie uczynił.

Kiedy Rafał wreszcie skończył, ksiądz Tadeusz zastanowił się chwilę.

– Kiedy ostatni raz dzwoniłeś do matki? – zapytał niespodziewanie.

Rafała z lekka zatkało. Nie żeby matki nie kochał, ale w obliczu dusznych rozterek (w sensie metafizycznym, a nie, że mu strzyga na gardle siedziała, chociaż poniekąd też) kompletnie o tym nie pomyślał.

– Z Aberdeen, tak ze trzy tygodnie temu – powiedział prawdomównie, w końcu to się liczyło jak spowiedź. – Bo ja tutaj jeszcze nie mam internetu, więc…

– Internetu, tak? – burknął proboszcz. – Co to, zwykłych klasycznych telefonów już nie uświadczysz?

– Ale proszę księdza, nic się takiego nie działo… – próbował perswadować Rafał.

Proboszcz zazgrzytał zębami. Przed chwilą penitent obawiał się spopielenia nagłym piorunem, ale nic się takiego nie działo?

– Znaczy, rozumiesz, Rafał! Znaczy, kobieta rodzi, znaczy… cierpi, znaczy… kocha! – wyartykułował dobitnie. – Znaczy, masz zadzwonić do matki zaraz, jak tylko stąd wyjdziesz!

Rafał uśmiechnął się pierwszy raz tego wieczora.

– Też czytałem *Znaczy kapitana* – powiedział z dumą. – Ciocia Róża mi wcisnęła. Dobrze, oczywiście, że zadzwonię!

– Teraz słuchaj – kontynuował proboszcz. – Pokutę dostaniesz do końca życia. – Rafał odrobinę przybladł, ale dzielnie i w gotowości słuchał, świadomy, że jak się narozrabia, to trzeba odpokutować. – Codziennie wieczorem odmówisz modlitwę do świętego Rafała archanioła, a raz w tygodniu, w niedzielę, litanię do archaniołów Michała, Rafała i Gabriela, znajdź sobie w internecie… A, racja, nie masz jeszcze internetu… To poczekaj, dostaniesz tradycyjny obrazek. – Ksiądz Tadeusz podszedł do regału, chwilę grzebał bezskutecznie na półkach, wreszcie podszedł do biurka Janka, otworzył szufladę i zdębiał.

Na samym wierzchu leżało pół litra czystej.

Szybko zasłonił sobą biurko, żeby tylko Rafał nie zauważył i nie zburzył sobie wizerunku świętego kuzyna, wyszukał, co trzeba i podał mu niewielką broszurkę w dwóch językach.

– Czytaj! – nakazał, zasuwając pośpiesznie szufladę.

– Święty Rafale archaniele – rozpoczął posłusznie Rafał – czuwaj nad drogami naszego życia, ostrzegaj przed niebezpieczeństwami, jakie nas zgubić mogą. Broń nas przed uległością złu, a gdy zdrowie i życie nasze zagrożone będzie, wstawiaj się za nami u Boga, przedstawiaj nasze sprawy i bądź nam pomocny. Amen.

– Amen – potwierdził proboszcz. – Uklęknij na rozgrzeszenie. A teraz leć do domu i nie zapomnij po drodze zadzwonić do mamy!

Kiedy za Rafałem trzasnęły drzwi, zebrał się w sobie i poszedł do kuchni do Janka. Znad dietetycznej, acz zabójczo pachnącej sałatki z trawelem, to jest, *sorry*, z trewalem naturalnie, narrator się przejęzyczył w tych brytyjskich klimatach, powitały go niewinne, uśmiechnięte oczęta wikarego. Odchrząknął i postanowił wziąć byka za rogi.

– Janku – zaczął z namysłem – przepraszam cię bardzo, ale szukałem czegoś w twojej szufladzie i znalazłem butelkę wódki. Co jest, synu? – A ponieważ Janeczek dalej wlepiał w niego szczere spojrzenie, dodał pośpiesznie: – Masz jakieś problemy?

Teraz już Janeczek zaskoczył.

– A, to! Nie, skąd, proszę księdza, to nie moje! Zabrałem Wieczorkowi!

Takiego déjà vu jeszcze proboszczowi nie było dane zaznać.

– Komu, proszę?… – powiedział słabo.

– To ksiądz nic nie wie? Nasz Wieczorek z Krzesin, ten, co umierał w Wigilię i nic z tego nie wyszło, postanowił poszukać szczęścia w nowym świecie i gdzie zajechał? Oczywiście do Kirkcaldy. A co zrobił na dzień dobry? Kupił sobie z polskiej półki w Tesco dwie połówki, na teraz i na zapas. To mu skonfiskowałem chociaż tę na zapas, a zamiast tego dałem trochę żarcia, namiary na tanie pokoje i adres do tej firmy sprzątającej, co w kościele okna myła. – Fakt,

wywiad *landlady* Rafała był niepełny, okien w kościele wikary już nie zdążył pomyć, więc zatrudnili profesjonalistów. – Oni ciągle szukają pracowników, a Wieczorek jak chce, to potrafi robić, żeby tylko chciał – dodał Jasiek, wzdychając.

Poczucie déjà vu zelżało, ale tylko trochę.

„Będę więcej pracował” – obiecał sobie proboszcz.

# CO WYNIKŁO Z DESZCZOWEJ POGODY 8

W grudniu pogoda zrobiła się tak ohydna, że proboszcz z żalem musiał zrezygnować ze spacerów nad morzem. Nie miało to większego sensu: plaża była zalana, wiatr wiał, jakby chciał łeb urwać, a padający we wszystkich kierunkach deszcz dopełniał dzieła. Poza tym i tak był już z lekka zaprawiony przez permanentnych nosicieli wszelkich wirusów, czyli dzieciątka szkolne; po co było dawać im dogodną pożywkę do rozwoju. Wirusom, nie dzieciom. Dzieci niechże się już rozwijają w Duchu Świętym, jak koniecznie muszą…

Kiedy zatem Janek, wróciwszy przemoczony do suchej nitki pewnej soboty z polskiej szkoły w Bennochy House, zaproponował:

– Proszę księdza, pani Wanda żyć mi nie daje, przyprowadź księdza proboszcza i przyprowadź księdza proboszcza, na okrągło. To co, może by tak dzisiaj po wieczornej mszy? Spacer i tak odpada, bo piździ jak w Kieleckiem – zgodził się od razu, puściwszy mimo uszu specyficzny regionalizm użyty przez wikarego.

Szkoły Polskie były w Kirkcaldy dwie: jedna pod patronatem Jana Pawła w budynku o dumnej nazwie Linton Lane Centre, w rzeczywistości bardziej przypominającym szkołę z amerykańskich filmów, co zresztą bardzo mu się podobało. Tę obsługiwał osobiście, a Jankowi przypadła szkoła imienia generała Maczka w Klubie Polskim. Na początku września zrobili dyskretny wywiad o obu placówkach, czy aby nie żrą się ze sobą, co choć gorszące, zawsze było możliwe. Dość było popatrzeć w Poznaniu, jak podgryzają się wzajemnie kombatanci Czerwca 1956. Zdarza się, a robotę utrudniłoby co niemiara, gdyby przyszło lawirować między konkurentami w charakterze gołąbka pokoju.

Co prawda w tym ostatnim ksiądz Tadeusz miał dużą praktykę. Wśród krzesińskich parafian można było znaleźć wszelkiego rodzaju zwierzęta polityczne, od pobożnych socjalistów z Unii Pracy, poprzez partie modelowe, to jest pokazowo skaczące sobie do oczu, na endekach i korwinowcach skończywszy. W odróżnieniu od wikarego, który usiłował wciskać kit, że się na tym nie zna (a znał się doskonale, chociaż telewizji nie cierpiał jak zarazy), proboszcz stosował zasadę przedwojennego oficera, mianowicie programowej neutralności politycznej bez względu na poglądy własne. Na wybory nie chodził, nie dlatego, że miał je w rzeczy samej, wręcz przeciwnie, tylko z powodów wyłuszczonych zwięźle Jaśkowi:

– Co ja myślę, mogę powiedzieć tylko tobie w czterech ścianach, i to też nie do końca, bobyś nie nadążył z zadawaniem mi pokuty. Jako kapłan muszę służyć wszystkim i nie ma tak, żeby gość z PO nie chciał przyjść do spowiedzi, bo ksiądz jest pisowcem z nożem w zębach. – W tym miejscu musiał przeczekać chichot Jaśka, któremu, jak to Jasiowi, wszystko się kojarzyło. – Albo odwrotnie – uzupełnił rzetelnie i patrząc surowo na tego sowizdrzała, przypomniał: – I żebyś mi się nie ważył czytać komunikatu zachęcającego do udziału w wyborach! Niezbywalnym prawem ludzkim jest rezygnacja ze swoich praw! – A widząc, że łobuz dalej chichra się bezczelnie wobec tak karygodnego przejawu niesubordynacji u szefa, dodał: – Nieprawdaż, celibatariuszu?

W każdym razie skład parafialnej rady ekonomicznej w Krzesinach był żywym, chodzącym dowodem na słuszność tejże idei, mianowicie poza panią Zofią, aktywistką Radia Maryja, zasiadali w niej: cichy peowiec, głosujący każdorazowo na swojego kuzyna z PSL-u, pisowskie małżeństwo zaangażowane przy odbudowie Pomnika Wdzięczności, emerytowany pierwszy sekretarz dzielnicowego PZPR-u (obecnie pełniący w kółku różańcowym funkcję przewodniczącego) oraz pani Małgosia, słynna z tego, że przy poprzednich wyborach pojechała do Kiszkowa głosować na Korwina, a to dlatego, że

w Poznaniu UPR, czy jak ona się teraz nazywa, nie miała zarejestrowanej listy.

Tak czy inaczej finanse parafii były przejrzyste jak szkło, zawsze dopięte na ostatni guzik i każdego miesiąca wywieszone w gablotce, nawet za cenę ryzyka, że do czegoś mógł się przychrzanić fiskus. Proboszcz bowiem bardziej od świętego spokoju ze strony urzędu cenił sobie zaufanie ludzkie; represje państwowe był gotów dzielnie znieść. Metoda zaś była idealnie doskonała, bo poza wiarygodnością mobilizowała owieczki w niezwykły sposób.

Razu pewnego w rubryce „pogrzeby" stało jak byk: 100 zł. Wszyscy wiedzieli, że w minionym miesiącu umarło się jedynie Majchrzakowi z Pokrzywna, więc sprawa była jasna: jego stara próbowała oszczędzić na pochówku, czy wyrażając się oględniej, racjonalizować wydatki z ubezpieczenia. Jasne, że ksiądz po franciszkańsku powinien za darmo – po franciszkańsku w sensie papieskim – chociaż jeść musi codziennie, no ale powiedzmy, że jeść daliby mu na stypie. Niemniej stówa nie pokrywała nawet grabarza, nie mówiąc o wszystkich innych duperelach typu dzierżawa, woda, śmieci i co tam jeszcze ten kler nie wykombinuje. Majchrzakową wszystkie parafialne kumoszki wzięły na ozory, to i następny się trzy razy namyślił, zanim zaczął oszczędzać.

Tak samo zresztą było choćby przy pierwszych komuniach: kolega po fachu od świętego Łukasza wyżalał się raz proboszczowi, że od siedemdziesięciorga dzieci na dar ołtarza zebrał w sumie raptem półtora tysiąca. Czyli połowę tego, co pojedynczy rodzic zostawiał w restauracji za przyjęcie. W Krzesinach takie coś by nie przeszło, bo każdy liczyć umiał i wstydziłby się, gdyby czarno na białym wyszło, że rzucił na tacę równowartość plastikowego wianka albo muszki z pasmanterii Jedyna.

Jankowa miesięczna pokuta w biurze parafialnym w niczym tu nie zaszkodziła, przeciwnie, dzięki jego nowatorskiemu ogłoszeniu kwestie datków zostały ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych uregulowane raz na zawsze. Chociaż i przedtem nieraz się zdarzało,

że pani Zofia sterowała sprawą ręcznie, ot choćby jak wtedy, kiedy pewna niewiasta wręczyła jej pięćdziesiąt złotych za mszę, a ona zadysponowała energicznie i po poznańsku skrupulatnie:

– To za dużo! Wobec tego zrobimy dwie msze, w tym jedną koncelebrowaną!… – Bo wiadomo, że koncelebrowana, czyli z dwiema intencjami, jest taka trochę gorsza, za dwie dychy.

Poza tym ksiądz Wieczorek z tego był słynny wśród parafian, że przez dwadzieścia lat niezmiennie w ostatnią niedzielę adwentu mówił to samo kazanie, które można streścić w sposób następujący: jeżeli jakiekolwiek dziecko pożali mi się, że nie lubi świąt, bo zawsze tata pokłóci się z wujkiem (mama z ciotką, kuzyn z dziadkiem) o politykę, to ja wam osobiście na kolędzie łby poukręcam!

Przebogata praktyka nie raz i nie dwa przydała się na obczyźnie. W Poznaniu proboszcz musiał lawirować na granicy nieposłuszeństwa, wikary bujać, że to nie jego branża; tutaj z ręką na sercu mogli się przyznać do ignorancji co do tak delikatnych kwestii jak choćby referendum niepodległościowe. Było oczywiste, że oni tu są od modlenia, nie od politykowania. Więc nawet jeżeli dwie szkółki sobotnie patrzyły na siebie nawzajem trochę krzywo, przed załogą z St Marie's było to ukrywane, a tylko starannie zabiegano o ich względy. Proboszcz przyjął więc zaproszenie z ochotą, bo faktycznie do Klubu Polskiego już dawno miał ochotę zajrzeć, tylko ciągle coś wypadało.

Mając na oku tak miłe plany, z apetytem spożył dietetyczny obiad w postaci *spécialité de la maison* prababci Niziołek, a mianowicie zupę z kalarepy, ugotowaną razem z liśćmi, jak botwinka. (Kalarepa została nabyta, podobnie jak majeranek, w polskim sklepie, przy czym Jasiek namówił przesympatyczne panie jeszcze do sprowadzania selera z czuprynką i korzenia pietruszki, żeby można było zrobić chudy rosołek, bo w tesco był tylko seler naciowy). Pierwszy raz zdziwił się ksiądz Tadeusz nieco, kiedy takie coś przed sobą zobaczył, potem zasmakował i dyskretnie się o to cudo

przymawiał, bo cieszyło i oko, i podniebienie. Chciał się potem jak zwykle nieco wyciągnąć, ale otrzeźwiał na widok poczynań Janeczka.

Jasiek mianowicie, jako że jak było powiedziane, przemókł do cna na trasie z Forth Park Drive, zabrał się do rewaloryzacji swoich zimowych służbowych ciuchów, czyli wełnianego garnituru ze sklepu pani Marioli. Po dziesięciominutowym seansie pod tytułem „Kontredans wikarego dookoła deski do prasowania" proboszcz nie wytrzymał nerwowo.

– Co ty robisz, synu? – powiedział z dezaprobatą. – Jak ty prasujesz te spodnie?! Podwójny kant ci się zrobi! Czekaj! – I odsunąwszy zamaszyście Janka na bok, zabrał się do roboty tak fachowo, że aż miło było patrzeć.

– Teraz już wiem, czemu zawsze łaziłeś w sutannie, flejtuchu – dogadywał, perfekcyjnie doprasowując rękawy marynarki. – Żeby nie było widać wymiętolonych lumpów!

Czytelnikowi pozostawia się w tym miejscu osąd, co oznaczał uśmieszek na gębie wikarego (którego proboszcz, zajęty czym innym, nie widział i ocenić nie mógł): było to rozbawienie z dowcipu szefa, czy też może pełna satysfakcja ze skutecznej realizacji wrodzonych talentów à la Tomek Sawyer. Tak mianowicie kogoś pognać do roboty, żeby ten ktoś nawet tego nie zauważył, mało tego, brał to za inicjatywę własną… W każdym razie kiedy już przybyli na miejsce, wikary zbijał z nóg swoją elegancją, a gdyby jakaś mucha zaryzykowała spacer po kancie jego spodni, padłaby przecięta na pół. Dobrze, że w grudniu muchy śpią.

Towarzystwo było mieszane, polsko-szkockie, dość dobrze oddające naturę samego klubu. Do stołu zasiadły mianowicie trzy dzielne niewiasty o dźwięcznych polskich imionach Wanda, Barbara i Władysława, z których jedna tylko pochodziła z emigracji najświeższej, pozostałe dwie urodziły się na obczyźnie w rodzinach, które zostały tu po wojnie. Paniom towarzyszyli ich szkoccy mężowie, dwóch Jamesów i Ben. Skład ten został wzmocniony przez

znanego już proboszczowi skałkarza Leo, jak się okazało, znajomego pani Wandy.

Pan James Pierwszy zaproponował drinki i ku zaskoczeniu proboszcza Janek poprosił o małe tajskie, barek wyposażony był bowiem obficie w polskie trunki, od piwa począwszy, na wódce takiej samej, jaką kupił sobie Wieczorek, skończywszy. Był to cud nad cudy, bo jak czytelnik dobrze wie, Jasiek, praktycznie rzecz biorąc, poprzestawał na winie mszalnym.

„Ty pijesz?" – spytały zdziwione oczy proboszcza.

– Dostosowuję się do lokalnych zwyczajów – syknął mu nad ramieniem wikary. – Sobotnia nasiadówa w pubie związana jest z obyczajowością ogólną Brytyjczyków. Nie wypada odmówić drinka, bo to jest w złym tonie… – I na wszelki wypadek odsunął się nieco, gdyby szefowi zachciało się zastosować metodę don Camilla, czyli kopniaka. Wobec tego księdzu Tadeuszowi nie pozostało nic innego, jak poprosić o gin z tonikiem…

Rozmowa, prowadzona po angielsku ze względu na mężów, przez jakiś kwadrans kręciła się dookoła klubu i szkoły, a proboszcz nie bez leciutkiego oporu zauważył, że towarzystwo, będące ze sobą na ty, tak samo zwraca się do niego. W krzesińskiej szkole, owszem, nauczyciele mówili po imieniu do Janka, ale do niego samego zawsze stosowali zwrot „proszę księdza". Takie same układy zapanowały zresztą od samego początku spontanicznie pomiędzy nim i Jaśkiem i przez cały czas ich znajomości nie mieli potrzeby, żeby cokolwiek zmieniać.

– Obyczaj ogólny – mruknął w formie wyjaśnienia Janek, który bezbłędnie wyczuł pismo nosem i przesunął się maksymalnie aż do końca stołu.

Mimo tak postawionej diagnozy po chwili rozmowa zeszła wbrew brytyjskim konwenansom na tematy bardziej zasadnicze.

– Ty przez cały czas chodzisz w koloratce? – zainteresowała się pani Władysława. – Latem też? Ja wszystko rozumiem, reguła, ale nie krępuje to ruchów? Nie jest ci duszno?

„A czemu ty chodzisz na obcasach, nawet teraz, kiedy leje bez przerwy i można wywinąć orła na śliskim chodniku?” – pomyślał ksiądz Tadeusz. „I odchrzańcie się raz na zawsze z tą regułą! Mały drań coś chlapnął i teraz wszyscy bredzą o regule!”

– Koloratka to odpowiednik obrączki i jest znakiem moich ślubów – powiedział zwięźle. – Poza tym nie przesadzajmy z uciążliwością, pewne konwenanse związane z modą narzucają dużo gorsze ograniczenia i wymagania.

– Ale przecież wielu waszych księży chodzi w zwykłych ciuchach – zauważył przytomnie Ben.

Proboszcz z wikarym wymienili króciusieńkie, acz bardzo znaczące spojrzenie. Specyfika Janeczka jest czytelnikowi doskonale znana, a zresztą im obu wymknęły się nie raz i nie dwa kąśliwe komentarze o koledze po fachu, ulubieńcu mediów, który księżowskimi emblematami nie zwykł był się kalać.

– Widocznie są dużo bardziej jednoznaczni i każdemu wystarczy na nich spojrzeć, żeby rozpoznać księdza – odpowiedział, mając cichą nadzieję, że nikt ze zgromadzonych nie wychwyci sarkazmu w jego głosie. – No i mają dużo silniejsze charaktery niż ja. W moim przypadku koloratka ma chronić mnie przed innymi i innych przede mną.

Ani przeurocze panie, ani ich towarzysze chyba nie bardzo zrozumieli.

– Widzisz, Wanda, to jest tak. – Jasiek postanowił wspomóc zwierzchność. – Zakochałem się w tobie na umór i zaczynam się zalecać. Ale nic z tego, krótka piłka, od razu mi mówisz: jak to, jesteś księdzem, w koloratce chodzisz, a amorów ci się zachciało?

Wszyscy się roześmieli; pani Wanda była bardzo atrakcyjną kobietą, ale miała spokojnie piętnaście, może nawet dwadzieścia lat więcej niż Janek.

– A byłeś kiedyś zakochany? – zaciekawiła się pani Władysława.

Proboszcz zauważył na ustach Janka leciutki uśmieszek. „Jakie to ciekawe” – mówiło jego kpiące spojrzenie. „Bez względu na wiek

i płeć, wszyscy myślą tylko o jednym!”

– Władziu, pytasz jak moi uczniowie, tylko oni wyrażali się bardziej bezpośrednio – odpowiedział, szczerząc zęby, Jasiek. Towarzystwo znowu wybuchnęło śmiechem. – To ja na to: a bardziej wam podpadnę, jak powiem, że tak, czy jak powiem, że nie?

Rozbawiony pan James Drugi pobiegł po nowe drinki. Tym razem załoga z Reminder Street stanowczo poprosiła o zyłec. Wodę mineralną Zyłec. Przez kolejny kwadrans Janek zabawiał zgromadzonych opowieścią o wyprawie w Beskidy i koszulce z napisem JESTEM KSIĘDZEM!

– …a drugą identyczną mam w wersji angielskiej i zabieram ją latem na West Highland Way – dokończył efektownie.

– No dobrze, ale tak między nami, nie chciałbyś, żeby papież Franciszek zlikwidował celibat? – wyskoczyła pani Barbara, która, jak czytelnik sam może zauważyć, była uparta i do tego wszystko jej się kojarzyło, niczym gimnazjalistom.

– Basiu, jak tylko tak się stanie, pozwalam ci być pierwszą, która mnie o tym zawiadomi – odpowiedział szarmancko Janek. Najgłośniej ryczał ze śmiechu mąż pani Basi, Ben.

„Znowu zrobiłeś unik” – spostrzegł ksiądz Tadeusz. „Może to i dobra metoda na neutralnym gruncie, ale jak długo tak można? I czy oni naprawdę od ciebie tego oczekują?”

– A ty, Tadeusz? – zagadnął bezpośrednio skałkarz. – Co powiesz na ten temat? Nigdy nie brakowało ci kobiety?

„Chciałeś, to masz” – powiedział sobie w duchu proboszcz. „Proszę bardzo, teraz ty masz okazję dać świadectwo!”

– Leo, nie po to wybrałem seminarium, żeby mieć nadzieję, że może kiedyś, a nuż zlikwidują celibat! – odpowiedział trzeźwo. – A jak raz klamka zapadła, to potem po prostu szedłem do przodu, nie oglądałem się na boki, nie rozważałem… alternatyw. – Też jednak zrobił maleńki unik. I ciekawe, że choć innymi słowami, ale wyraził dokładnie to samo, co Jasiek na lekcji w drugiej a, tej od Eklezji i jej Matki.

– Dobrze, ale załóżmy, że zakochałeś się z wzajemnością – dołączył James Pierwszy. – Opowiadali mi znajomi, był taki jeden ksiądz katolicki w Glasgow, bardzo sympatyczny, życzliwy ludziom. Wystąpił z Kościoła i ożenił się…

„Pewnie, wy nawet nie znacie idiomu »zrzucić sutannę«, bo wszyscy tu latają w najlepszym razie na krótko" – pomyślał cierpko ksiądz Tadeusz, niepomny w tym momencie, co sam nakazał wikaremu. „Nie mówiąc już o »porzucić kapłaństwo«, bo to dla was czarna magia!"

– …to teraz mi sam powiedz, co on miał zrobić? Unieszczęśliwić ich oboje? Trwać w obłudzie? – dopytywał się James.

– Leżeć krzyżem na posadzce w kościele i błagać Boga, żeby pomógł wytrwać… nie w obłudzie, tylko w przyrzeczeniach z dobrej woli złożonych! – warknął proboszcz krótko i tym razem bez żadnych uników. Kątem oka złapał pełne uznania spojrzenie Jaśka, aż mu się głupio zrobiło.

– Wszystko pięknie, ale chyba nie zaprzeczysz, że takie sztucznie tłamszone skłonności zaczynają sobie szukać ujścia w znacznie gorszy sposób – wyraziła elegancko pani Wanda tę samą intuicję, co Ethan z klasy Jaśka.

„Zaraz mnie szlag trafi" – pomyślał proboszcz. „Czy nikt, kompletnie nikt nie potrafi prowadzić rozmowy przez dwa kwadranse, żeby nie zjechać na gejów i pedofilię?!"

– …zresztą co ja będę mówić przez kwiatek, mieliście to samo w Poznaniu, co my tutaj! – przeszła do ofensywy interlokutorka. – A ty – to było do Janka – nie bałeś się iść do takiego seminarium, gdzie ledwo co była afera z molestowaniem?

Jasiek, w końcu fachowiec jak się patrzy, przybrał w tym momencie wygląd jaguara czającego się do skoku, zupełnie jak w klasie piątej z St Andrew's. Aż dziw, że nie zaprezentował pazurów.

– O, nie… – powiedział z leniwym uśmiechem i leciutką, acz doskonale wyczuwalną groźbą w głosie.

Tym razem ksiądz Tadeusz poczuł się w obowiązku wesprzeć swojego podwładnego. Albo może ujednoznacznić jego słowa, żeby broń Boże przez prostolinijne towarzystwo nie zostały opacznie zrozumiane.

– Janek zaczynał w dwa tysiące piątym, kiedy arcybiskup dawno już był odwołany – wyjaśnił, karcąc wikarego wzrokiem. Ten odwzajemnił mu się przeczystym spojrzeniem i uśmiechem pod tytułem wzorowy kleryk, aż się mdło robiło.

„Oj, nie chciałbym być w skórze tego, kto spróbowałby obmacać Janeczka!" – zaśmiał się w duchu proboszcz. – „Chociaż w tamtej sprawie ponoć nie wszystko było takie oczywiste… Ale to nic, on by sobie poradził w każdej sytuacji! W tej jednoznacznej po prostu przywaliłby w mordę, bez względu na szarżę. W każdej innej zrobiłby z rozmówcy głupka, bo na propozycję protekcji zacząłby opowiadać kawał, jak to biskup oprowadzał kleryka po seminarium…"

„To by było świetne" – myślał sobie z lubością w tym samym czasie Jasiek. – „Ksiądz Tadeusz *versus* ekscelencja! Jaka szkoda, że to nie były jego czasy! Purpurowe pirze latałoby po całym Tumie!" – W rozkosznych marzeniach przedstawił sobie reakcję Tadzika, metr osiemdziesiąt osiem, na ewentualne nieprzystojne działanie zwierzchności i tylko westchnął.

Trzeba w tym miejscu uczynić dygresję, że intuicja wikarego była oparta na całkiem solidnych przesłankach. Tadek startował w siedemdziesiątym czwartym na powołanym właśnie do życia Papieskim Wydziale Teologicznym; władza w tym momencie odrobinę odpuściła biskupowi Baraniakowi, jeżeli chodzi o brankę kleryków, stosowała natomiast inne, bardziej wyrafinowane metody. Oczywiście, alumni nie do końca zdawali sobie sprawę, jaka instytucja stoi za dziwnymi poczynaniami jednego z kolegów i potraktowali je z pełną prostotą. Jako że czasy były wtedy siermiężne, całkowicie niepoprawne politycznie, kolega został osaczony w ciemnym kątku, a Tadzik dał mu wp… to jest wycisk, i to taki, że delikwentowi całkowicie odechciało się pełnionego z ramienia

SB zadania. Ponaglony równie niepoprawnymi politycznie słowy, absolutnie nienadającymi się do cytowania (dość powiedzieć, że jedno z nich było czasownikiem użytym w trybie rozkazującym, a drugie rzeczownikiem w wołaczu; cenzuralny był tylko okolicznik czasu „ale już!"), pośpiesznie zabrał swoje manatki i zniknął. Dopiero w stanie wojennym już wtedy ksiądz Tadeusz doczytał sobie w szmuglowanej przez siebie bibule, jak to komuchy próbowały rozwalać seminaria od wewnątrz przez wprowadzanie do nich pederastów. No, wtedy im się nie udało.

Pani Wanda ku uldze proboszcza zmieniła nieco temat, zostawszy wprawdzie przy kwestiach księżowskich, ale odpuściła przynajmniej co do celibatu i afer homoseksualnych.

– Z czego ty się w takim razie spowiadasz? – spytała dociekliwie młodszego z księży. – Bo przecież spowiadasz się, tak?

– W każdą sobotę – potwierdził uprzejmie Janek.

Pani Wanda zastygła, po czym wyartykułowała dokładnie to samo, co Wisia:

– Co tydzień?! To czym tak grzeszysz?!

– Myślą, mową i uczynkiem – precyzyjnie wyszczególnił Jasiek. – Opowiadam nieprzyzwoite kawały. Myślę sobie różne brzydkie rzeczy o bliźnich, jak mnie wkurzą. A od czasu do czasu nie mogę się powstrzymać, żeby nimi trochę nie pomanipulować. – Mówiąc to, delikatnie, od niechcenia pogładził pięknie wyprasowaną nogawkę spodni. Ksiądz Tadeusz zachował kamienny wyraz oblicza, ale wolał na drania nie patrzeć, bo jeszcze błysk w jego oku byłby nieco mniej profesjonalny.

– I dokąd tak chodzisz co sobota? – zapytała zaintrygowana pani Wanda. – Do St Ninian's?

– A po co, przecież jest nas dwóch – odpowiedział beztrosko Jasiek.

Pani Wanda uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– Spowiadasz się Tadeuszowi? To tak można? I ty, Tadeusz, też? Nie wstydzisz się przed Jankiem?

– Oczywiście, że można, czemuż by nie – potwierdził spokojnie. – Każdy ksiądz może wyspowiadać każdego innego księdza. Czy się wstydzę? Zawsze, za każdym razem, na tym w końcu polega spowiedź.

Trzeba odnotować, że jego już pani Wanda nie śmiała zapytać, z czego. I dobrze, bo musiałby albo odmówić odpowiedzi, albo przyznać, że na ten przykład panna Grant tak go ostatnio poirytowała, że zgrzeszył identycznie jak Janeczek, myślą, mową i uczynkiem: najpierw pomyślał sobie o niej „ty stara małpo", potem już w domu to zwerbalizował, wzbogacając o dodatkowy nieprzystojny epitet, w dodatku waląc pięścią w stół. Poza tym w jego przypadku dochodziło jeszcze zaniedbanie (z panną Grant niemające nic wspólnego), bo u lekarza był ostatni raz w Poznaniu, zapas polskiej insuliny mu się skończył, a na doustne naciągnął dwa razy z rzędu chirurga, tego od nogi. Trzeci raz nie musiał, bo przemiła panienka z recepcji, ta sama, której zaimponował znajomością *Scots*, zadeklarowała, że będzie mu odświeżać recepty i niech tylko posyła po nie swojego wikarego, jak zaakcentowała dobitnie ostatnie słowo, nie wiedzieć czemu.

Trzy panie z mężami plus Leo patrzyli na nich z podziwem i sympatią.

– Fajni jesteście – powiedziała pani Barbara. – Ale jak to jest, że wybraliście sobie taką instytucję, która chroni lubieżników? Przecież i naszemu, i waszemu włos z głowy nie spadł i dożywają zaszczytów! Nie przeszkadza wam to? Że nie będę wymieniać stu innych przypadków zamiatania pod dywan dla świętego spokoju i kolejnej setki z mojego własnego podwórka, bo mogłabym mówić długo, ale chciałabym dzisiaj spokojnie zasnąć! Więc po co? Mówić ludziom o Bogu i służyć bliźnim moglibyście i bez tego wszystkiego. Bez ślubów, bez ograniczeń, bez spętania posłuszeństwem wobec niegodnego zwierzchnika!… Bylibyście wolni, szczęśliwi…

Chyba polski alkohol tak rozwiązał jej język, a słuchaczy ośmielił, bo patrzono na nich w napiętym oczekiwaniu bez cienia brytyjskiej

powściągliwości.

„I co ty na to, Janeczku?" – zapytał oczami ksiądz Tadeusz. „Że jakby ciebie na czymś złapali, to mogą ukamienować na Esplanadzie? Wiesz, że tak nie można, sam to mówiłeś Eli. To nasz Kościół i nasza odpowiedzialność przed ludźmi…"

Zaczerpnął oddechu.

– Ale poza Kościołem nie mógłbym robić tego, co najważniejsze – usłyszał w tym momencie głos Janka. Jasiek mówił wyraźnie, piękną angielszczyzną z bezbłędną dykcją, niczym Paul Scofield w roli Tomasza More'a w *Oto jest głowa zdrajcy*.

Chwila ciszy. Tamci wyraźnie na coś jeszcze czekali. Czekał też ksiądz Tadeusz.

„Powiesz? Czy znowu zrobisz unik, sprowadzisz rzecz do żartu?"

– Odprawiać mszy i rozdawać Ciała Pańskiego – dopowiedział Jasiek.

Czy zeświecczone towarzystwo o prezbiteriańskich korzeniach i nawykach cokolwiek z tego rozeznało, trudno powiedzieć. Ale spokój i autorytet Jaśka zrobiły swoje: jego wyjaśnienie przyjęto z powagą i życzliwością. Atmosfera ciut spoważniała; niby dalej mówili sobie na ty i nawet pokpiwali z siebie wzajemnie, ale z rzucanych spojrzeń wyraźnie wynikało, że coś się jednak zmieniło. Pytanie, na ile i na jak długo.

Posiedzieli jeszcze trochę i ruszyli wreszcie do domu, bo godzina zrobiła się późna.

– Dziękuję, Janku – odezwał się proboszcz zaraz, jak tylko wsiedli do jeepa. – Dobrze powiedziałeś, a im się to przyda.

Jasiek, jak to on, speszył się, pilnie patrząc na zalewaną deszczem ulicę i bąknął pod nosem coś, co zabrzmiało jak *my pleasure*.

„Dzieciak jeszcze z ciebie" – uśmiechnął się pobłażliwie ksiądz Tadeusz. „Ale to nic, odwaliłeś dzisiaj dobrą robotę".

Przed samą plebanią, już przy wysiadaniu, Janek klepnął się w czoło.

– Znowu zapomniałem! – powiedział z lekkim przestrachem w głosie. – Elka by mnie zabiła! – Pogrzebał szybko w schowku i wyjął płaską paczkę. – To dla księdza, wożę to już tak od tygodnia, a jutro po mszy zapyta księdza, jak mu się podobało, i miałbym przerąbane! – Widząc zaś jego pytające spojrzenie: „To na Gwiazdkę? Nie za szybko?", wyjaśnił: – Bez okazji, tak ją naszło, z tego, co wiem. – I poszedł przodem prosto do kuchni zrobić herbatę.

Proboszcz rozwinął powoli opakowanie. W środku była ikona, podobna w stylu do Jaśkowego świętego Józefa. Ela zrobiła replikę obrazu Judy Tadeusza z kościoła Świętego Krzyża w Warszawie, ale nie do końca, pozwoliła sobie na pewną dowolność. Warszawski Juda jest młody, a byłby jeszcze młodszy, gdyby odjąć mu brodę. Ten tutaj miał przyprószone siwizną włosy, a nad prawą brwią… Dobrze widział? Czy to było tylko pęknięcie deski?… Niewielką bliznę, jakby kiedyś oberwał wiosłem. A do tego stał nie na tle murów Edessy, ale morza.

Wtedy stary praktyk zrozumiał, że ten młokos, dzwoniący kubkami w kuchni, doskonale wiedział, co robi, zostawiając go z prezentem sam na sam. Widać obrazki Eli taką już miały moc, że i młodszym, i starszym wilgotniały przy nich oczy.

# OPOWIEŚĆ PEWNEGO EMIGRANTA 9

W połowie adwentu Janek poprosił proboszcza, żeby pomógł mu u Piusa ze spowiedzią, bo nie może nadążyć. Ten przystał skwapliwie; mówiąc szczerze, od dawna miał chęć zerknąć na Jaśkową robotę, tylko nie chciał wyjść na takiego, co to bez przerwy wisi wikaremu nad głową i tłamsi wszelką inicjatywę. Pius był działką Janka, no i w końcu należało mieć do łobuza trochę zaufania. Trochę. Więc teraz była okazja na maleńką inspekcję.

Byli na miejscu po szóstej i rzeczywiście okazało się, że na spowiedź czeka już parę osób, a Janek jak zawsze się nie śpieszył, załatwiał sprawę dogłębnie, nie dziwota, że było mu potrzebne wsparcie. Przed siódmą znikł w zakrystii, a proboszcz, który w odróżnieniu od księdza Ryszarda z Gołuchowa miał podzielną uwagę (widać lata stanu kapłańskiego tak go wysublimowały), zaczął pilnie obserwować Janeczka w akcji.

Ksiądz Tadeusz urodził się był w roku pięćdziesiątym piątym, na starą mszę się jeszcze załapał jako dziecko i całkiem podrosły młodzieniec, a nawet zdążył do niej ładnych parę lat służyć. Potem wprowadzono soborowe regulacje, wszyscy się zachłysnęli, w seminarium uczyli ich tylko po nowemu, nadzwyczajną formę rytu – nie, tak się wtedy jeszcze nie mówiło – traktując po macoszemu, ledwo coś tam na liturgice było, w każdym razie on sam mszy trydenckiej nie odprawiał ani razu. Ale trochę mu w głowie zostało, na tyle dużo, żeby w razie czego wyczuć Jaśkowe matactwa. Albo *licentia poetica*, zależy jak spojrzeć.

Trzeba przy tym powiedzieć wprost, na co proboszcz czaił się najbardziej. Mianowicie aż dygotał z uciechy, że będzie mu dane zobaczyć Jaśka w birecie. Faktycznie, byłby to widok bezcenny, bez dwóch zdań przebijający Oko Saurona w naturze, bo Janeczek na

księżowskie nakrycie głowy miał daleko posuniętą alergię. Jako przedstawiciel gatunku zimnolubnego dopiero przy minus siedmiu zakładał zwykłą czarną, wełnianą czapkę; przed upałem dla odmiany, na ten przykład na Lednicy czy na górskim szlaku, zabezpieczał się za pomocą wymiętolonego kapelusza barwy nieokreślonej (powiedzmy, że było to écru oblane kawą). A przedsoborowy ministrant pamiętał dobrze, że do jego zadań między innymi należało odbieranie biretu od celebransa, więc teraz doczekać się wprost nie mógł cudnego tegoż widoku. Janek w birecie! Sam miód!

Zabrzmiał dzwonek, schola podjęła śpiew – schola, nie organista, bo Jasiek zaraz po objęciu swoich rządów tak coś pomajstrował przy fisharmonii, że ta, wydawszy ostatni jęk, odeszła – trzeba to brutalnie wyeksplikować – na miejski śmietnik, bo niestety coś takiego jak kraina wiecznych instrumentów organowych nie istnieje. Na nową elektroniczną parafii nie było stać (przynajmniej tak twierdził zajmujący się finansami wikary), a organista i tak co drugi raz był chory. Więc teraz śpiewom przewodził chórek pod dyrekcją energicznego młodzieńca, ale tylko przewodził, a nie uprawiał samorealizację; od razu zresztą było widać i słychać, że wierni są wyćwiczeni i gardeł nie oszczędzają. Czy było tak zawsze, czy sprawił to czar osobisty celebransa, tego już proboszcz nie wiedział. W każdym razie *Rorate caeli desuper* śpiewali prawie tak dobrze, jak u Jana Góry.

Orszak wyłonił się z zakrystii, proboszcz z wdziękiem wywiesił się odrobinę z konfesjonału… i przeżył zawód trudny do opisania, bo Jasiek, choć odziany w Elkowy różowy ornat, bardzo dobrze tu pasujący, kroczył z gołą głową, biret pozostawiwszy w poważaniu. „Cóż, właściwie to było do przewidzenia” – westchnął w duchu ksiądz Tadeusz, skupiając się na wykonywanej posłudze. Tylko i wyłącznie dlatego wstrząs drugi przeżył dopiero po dziesięciu minutach, kiedy wystukał ostatniego penitenta.

Mianowicie jego uwagę przykuł wysoki, szczupły ministrant w albie, dziarsko machający kadzidłem. Coś było nie tak, tylko co? Porządek mszy się zgadzał, jeszcze tyle pamiętał. Co zatem? Wtedy ministrant odszedł na bok, przyklęknął, a proboszcza oblał war od góry do dołu. Ministrant był ministrantką, jak za dobrych czasów w Krzesinach.

„Oszalał" – pomyślał w popłochu. „Odbiło mu kompletnie! Już w Poznaniu jechał po bandzie i co, jeszcze mu mało?!" – Po prawdzie proboszcz zapomniał w tym miejscu o własnych małych ministrantkach i Agatce z czterema warkoczykami. – „Rany boskie, baby służą do przedsoborowej mszy! Doniosą na niego do biskupa i będzie koniec Dębiec!" – Niewtajemniczonym czytelnikom spoza Poznania należy w tym miejscu wyjaśnić, że na obrzeżach dzielnicy Dębiec funkcjonuje pętla tramwajowa, czyli koniec trasy.

W kościele za ciepło nie było, ale proboszcz złapał się na tym, że ma wielką ochotę powachlować się brewiarzem. Wziął kilka głębokich wdechów i czujnie kontynuował inspekcję, nie spuszczając oczu z Janeczka.

Ale musiał uczciwie przyznać, że im dalej w las, tym bardziej ogarniał go… jak by to powiedzieć? Podziw? Zachwyt? Sam za mszą trydencką nie tęsknił, ale choć rozterki i bóle don Camilla, któremu nakazano „demistyfikować" kościół, nie były jego własnymi, potrafił się nimi przejąć. Na Jankowe przedsięwzięcia patrzył z sympatią, chociaż w nich nie uczestniczył, podobnie zresztą jak w wyjazdach na Lednicę, na zasadzie: wiele jest dróg, chcesz, to idź swoją i uszanuj moją.

Przyciśnięty raz przez Jaśka, tłumaczył mu, że to tak jak z operą: nie przepada za nią, nie bardzo rozumie i wystarczy mu raz zaliczony w młodości podstawowy kanon. Ale będąc człowiekiem uczciwym musiał przyznać, że kiedy oglądał *Amadeusza*, naraz to, co uważał za sztuczne i umowne, ożyło, rozpaliło go i pozwoliło się przeniknąć.

Coś bardzo podobnego przeżywał teraz. Kiedy przykładowo Janek perswadował, że kapłan odwrócony twarzą do ołtarza jest jak

generał na polu bitwy ze swymi żołnierzami, słuchał życzliwie, ale z dystansem. To nie była jego bajka. W tej chwili parabola została zmaterializowana, a on sam złapał się na tym, że w duchu odpowiada na Jankowe wezwania słowami zapamiętanymi z dzieciństwa, trochę porwanymi, niekompletnymi, napływającymi bardziej z serca niż z głowy.

Zaraz, chwileczkę, znowu coś się nie zgadza – razem z nim odpowiadają wszyscy wierni. A powinni przecież tylko ministranci, i to po cichu. Co jest? Co ten Jasiek zmajstrował?

Korzystając z okazji, że Janek, zdjąwszy ornat i manipularz, przeszedł na ambonę – całkiem małą, ale jednak prawdziwą, wydzieloną ambonę, nie pulpit – przemknął do zakrystii, wyszukał mszalik i zaraz po zwięzłym, dwujęzycznym kazaniu zaczął sprawdzać wikarego słowo po słowie. Sprawdzał i pocił się coraz bardziej – Jasiek wypowiadał kanon od początku do końca pełnym głosem! A wierni sekundowali mu przy całym *Ojcze nasz*, nie ograniczając się bynajmniej do końcówki *sed libera nos a malo*!

Komunia była ku jego uldze tradycyjna, na klęcząco przy balaskach, chociaż przysiągłby, że przynajmniej niektórzy mówili „amen" osobiście. No, ale może się pomylili.

Msza się skończyła, zgromadzeni odśpiewali po jednej zwrotce *Archanioł Boży Gabryjel* i *Oh come, Emmanuel*, celebrans przeczekał, radośnie śpiewając razem z nimi, by wreszcie odczytać Ostatnią Ewangelię, na głos, oczywiście, a jakżeby inaczej.

Nie, nie naskoczył na niego zaraz po wyjściu, skąd, wziął udział w modlitwie z ministrantami, syknąwszy tylko „pomówimy w domu". Potem jeszcze z godzinę trwały rozmowy z ludźmi przed kościołem i, co tu dużo gadać, też sobie pofolgował, ale w końcu nie wytrzymał, poszedł do jeepa i tam czekał na drania, który przyszedł wreszcie, jak to on, cały uśmiechnięty od ucha do ucha.

„Nie zaczarujesz mnie, mały łobuzie, zmyję ci głowę, jak tylko dojedziemy!" – obiecywał sobie przez drogę powrotną, żeby tylko nie skruszeć; dobrze, że z Piusa jechało się pięć minut.

– Janku!… – zaczął zaraz od progu i utknął. Jasiek wlepiał w niego te swoje wierne, promienne oczy, a on ku swojej irytacji zmiękł w jednej chwili. Z wysiłkiem odchrząknął i przybierając groźny ton, spróbował raz jeszcze: – Tak nie można! Nie wolno na własną rękę manipulować porządkiem mszy! Za kogo ty się uważasz?!

– Ale podobało się księdzu? – zapytał cichutko wikary. Żeby tak samo cichutko wypowiadał kanon!

– A co to ma do rzeczy! – huknął, żeby zagłuszyć samego siebie. – Msza to nie przedstawienie teatralne! Tu nie ma nic do podobania i doskonale o tym wiesz! Jak się rwałeś do mszy trydenckiej, to teraz nie kombinuj! Więcej pokory, pyszałku jeden!

– Ale podobało się księdzu? – powtórzył jeszcze ciszej Janek.

I wtedy proboszcz się poddał. Może przypomniał sobie, że pani Osipiuk niemal tak samo ceni sobie mszę w cerkwii i tę Jaśkową. A może stanęło mu przed oczami, jak trzydzieści lat temu pojechał z młodzieżą do Trzęsacza i odprawiał tam mszę na plaży u podnóża ruin kościoła, czyli poniekąd na poświęconej ziemi. Wierni odziani byli dość niekompletnie, by nie rzec rozebrani do rosołu, a z tyłu siedziały dwa kundelki. Nigdy przedtem i nigdy potem nie zdarzyło mu się, żeby *Każdy wschód słońca Ciebie zapowiada* zaśpiewane było z takim ogniem i radością, że niech się te Jankowe wyjce z Lednicy schowają. Gdyby ksiądz Wincenty to widział… Rany boskie, musiałby chyba Tadek we włosiennicy przez rok chodzić!

– Tak – przyznał prawdomównie. – Podobało mi się. Bardzo. Nawet więcej niż bardzo. Ale, Janku…

– Proszę księdza – zaszeptał Jasiek. – Nie zmieniłem jednego słowa. Jednego gestu. Mówiłem tylko na głos…

– No właśnie! – podchwycił proboszcz.

– …bo to moja wierna gwardia. Ma prawo wiedzieć – dokończył Janek.

Proboszcz patrzył na niego dłuższą chwilę. Co mu miał dużo gadać, sam myślał tak samo.

– A ministrantki? – zapytał surowo. Ale Jasiek już wyczuł, że jego na wierzchu.

– Jedna ministrantka – przytaknął pogodnie, tym razem pełnym głosem. – Druga zachorowała – dodał skrupulatnie jako nieodrodny uczeń prawdomównego mistrza. – A widział ksiądz w kościele kobiety z odkrytą głową? I w spodniach? No i co? Ojciec Pio zemdlałby z wrażenia, ale ksiądz uznał to za coś zupełnie normalnego i nawet tego nie zarejestrował, prawda?…

– Zrób kolację – burknął na to i Janeczek ochoczo popędził do kuchni. A on klapnął w salonie i myślał.

To Jasiek z własnej inicjatywy zaprosił go dzisiaj do Piusa. Wcale nie musiał tego robić. A skoro zrobił, to widać chciał, żeby się przyjrzał. Opieprzany nie pyskował, tylko położył uszy po sobie. Dziwne; on sam bez trudu potrafiłby znaleźć ze trzy celne riposty: z Ewangelii o grobach pobielanych, z Tischnera o Kościele w drodze i nawet z Tolkiena, o krasnoludach, których bardziej obchodziły groby przodków niż żyjący potomni. A Janek chciał tylko wiedzieć, czy mu się podobało. Czyli jasne: sam miał wyrzuty sumienia i zapragnął je przekonsultować, a zrobił to w sobie tylko właściwy, pokrętny sposób.

Wikary piorunem zakręcił się przy dietetycznej sałatce z kurczakiem wędzonym i kiedy już usiedli do stołu, zaczął w te słowa:

– Bo proszę księdza, to było tak… Dwie dziewczyny z piątej klasy przeglądały Facebooka i znalazły zdjęcia z Krzesin. Przyszły do mnie i zapytały, czy one też mogą służyć do mszy. To potem już poleciało…

„Aha!” – pomyślał sobie ksiądz Tadeusz. „Miałem rację! Sumienie cię gryzie, bratku!”

– Mniejsza z tym – powiedział stanowczo. – Rób, co uważasz za właściwe… i tylko odrobinę uważaj na zakrętach – dodał lżejszym tonem, a Jasiek momentalnie się rozjaśnił i wgapił w niego tak

rozpromienionym spojrzeniem, że zrobiło mu się głupio i szybko zwekslował temat.

– Słuchaj, synu, poradź mi proszę, jak urządzamy Wigilię… Pasterkę oczywiście robimy, ale co z wieczerzą? Miało być u Bachów, tylko że już pięć innych osób do mnie dzwoniło, pani Wanda choćby. – Jasiek pokiwał głową, jego z kolei ścigała pani Mariola. – Elka jest u mnie bez gadania na pierwszym miejscu, ale wiesz… To pierwszy raz, bardzo mi zależy, żeby nikt się nie poczuł odrzucony, no, choćby Rafał… Więc tak sobie myślę, że może… – I w tym momencie zabrzmiał dzwonek do drzwi. Janek westchnął i ruszył do wejścia, a on zamyślił się, obracając w rękach kartkę pocztową od swojej siostry z Australii. Lata całe już ich stosunki sprowadzały się do wymiany życzeń na święta; Lidka wyemigrowała tuż przed stanem wojennym, kiedy on był młodziutkim księdzem, zresztą ich stosunki rozluźniły się siłą rzeczy zaraz po jego maturze. Żyli dosłownie i w przenośni na archipelagach, a upływ czasu sprawił, że nawet teraz, w dobie Skype'a i komórek, nie mieli już potrzeby porozmawiania choć godzinę. „O innych myślisz, siostra dla ciebie jakby nie istniała" – siedziało w nim niby bolący cierń.

Słyszał rozmowę u drzwi wejściowych, potem kroki w korytarzu, wreszcie Janek z odrobinę niepewnym wyrazem twarzy wpuścił gościa do salonu.

– O, pan Wieczorek, jak to miło! – powiedział swobodnie proboszcz. Jeden rzut oka mu wystarczył, żeby ocenić, że przybysz jest w stanie wskazującym na spożycie. – Proszę spocząć, ksiądz wikary zaraz dostawi talerz, niech się pan posili, dobrze to panu zrobi…

Jasiek oprócz dodatkowego talerza przyniósł całe ogromne opakowanie kabanosów, właśnie przysłanych przez zapobiegliwą babcię Niziołek. Miały być na Święta, ale gość w dom… I to taki gość, trzeba dodać, którego dietetyczna sałatka z całą pewnością by nie usatysfakcjonowała, zresztą zostało jej już tylko trochę. Poza tym

Wieczorek wyglądał na takiego, co to dawno porządnie nie jadł, i rzeczywiście rzucił się na jadło z apetytem głodnego wilka.

– Cóż pana do nas sprowadza? – zagadnął proboszcz, kiedy krzesiński ziomek się nasycił. Janek odetchnął głęboko i zagapił się w sufit, starannie omijając szefa wzrokiem. Sprawa była prosta jak drut: Wieczorka wylali z firmy sprzątającej szybciej, niż zdążył w niej zapuścić korzenie, a z rekomendowanej przez Jaśka taniej kwatery, czytaj: wieloosobowych pokoi w domkach przy Glamis Road, po trzech tygodniach wykopali go współlokatorzy, kiedy okazało się, że nie ma zamiaru partycypować w kosztach, a jeszcze podbiera jedzenie. Teraz polscy księża byli jego ostatnią deską ratunku, bo nawet nie miał forsy na powrót do domu. Czy zresztą to, co zostawił za sobą, można było nazwać domem?…

To dziwne, jak się ludzie w życiu dobierają. Wydawałoby się, że stary i młody ksiądz, tak jak różnili się od siebie posturą, są też odmienni pod względem charakterów. A jednak czytelnik wie doskonale, że przez tych kilka lat upodobnili się do siebie, jakby jeden stanowił lustrzane odbicie drugiego. Teraz było tak samo: obaj doskonale wiedzieli, że całkowicie niepedagogiczne byłoby przyjąć Wieczorka pod dach z wiktem i opierunkiem i starać się dla miglanca o nową robotę. Ale momentalnie wysilili szare komórki, jak najlepiej byłoby to załatwić, przy czym jeden bał się drugiego, że tamten go za zbyt miękkie serce opieprzy, i jednocześnie wzajemnie szukali pierwszego znaku akceptacji. Bo Wieczorek, choć ochlapus, miał w sobie wdzięk i odrobinę staroświeckiej kindersztuby, ot, choćby teraz, niby wygłodzony, a jadł porządnie, nożem i widelcem, i wysławiał się starannie, bez przecinków i innych popularnych urozmaiceń.

Janek strzelił oczami na proboszcza.

„Niechby spał u mnie” – prosił wzrokiem. „Ja się położę w gościnnym albo w salonie, do świąt tylko, no, do Nowego Roku… Przecież go nie wywalimy na mróz!”

Mrozu nie było, klimat morski konserwował znośne plus pięć, ale zawsze co prawda, to prawda.

– Panie Wieczorek – zaczął surowo ksiądz Tadeusz. – Przyjmiemy pana na kilka tygodni… „Baran ze mnie!" – ofuknął się w myślach. „Co ja mówię, jakie kilka! Trzeba mu było powiedzieć tydzień! On zaraz zadziała metodą nogi w drzwiach!" – …ale musimy się co do pewnych spraw umówić…

– Co tylko ksiądz proboszcz każe! – ochoczo zapewnił Wieczorek. – Posprzątam plebanię, umyję okna, cały kościół wypucuję!

„A nie mówiłem? Jeszcze kościelnym zechce zostać i konflikt z George'em gotowy!" – George był bardziej odpowiednikiem pana Bogdana niż kościelnym w polskim tego słowa rozumieniu, ale z całą pewnością intruza by na swoim terenie nie ścierpiał, bo miał ogromne poczucie własnej wartości, jak to szkocki katolik, co już trzech cudzoziemskich proboszczów przetrzymał.

– Przecież pan jest mechanikiem samochodowym – podsunął pośpiesznie proboszcz. – I co, nie próbował pan po tej linii?…

Wieczorek tylko jęknął.

– Księże proboszczu, bo tam i angielski potrzebny, i prawo jazdy, i jakiś tam em-oł-ti czy inne diabelstwo, za przeproszeniem księży… I jeszcze żeby mieć własne narzędzia… To nie dla mnie!

„Jasne, bo po ichniemu to ty gadać nie będziesz" – pomyślał sarkastycznie cytatem z Mrożka. „Prawo jazdy ci zabrali sto lat temu za jazdę na gazie, a narzędzia nawet jakbyś miał, to i tak byś już je przepił!" – I spojrzał zaczepnie na Janka.

– W Kirkcaldy Motor szukali mechanika na godziny – mruknął półgębkiem wikary.

– No dobrze – zawyrokował stanowczo. – Posprzątać pan tu rzeczywiście może, a ksiądz wikary zapyta u naszego znajomego, dwa kroki stąd, czy coś by się u nich dla pana nie znalazło. Tylko musi mi pan przyrzec…

– Ani kieliszka, proszę księdza! – momentalnie przyrzekł Wieczorek.

– Panie kochany! – oburzył się proboszcz. – Masz mnie pan za głupiego? Umawiamy się tak: w robocie musi być pan trzeźwy i pachnący, jasne? Wieczorem może pan wypić dwa piwa, powtarzam: dwa! A w sobotę dwie setki. Stoi?

– Stoi, proszę księdza! – Wieczorek był radosny jak szczypiorek na wiosnę. – Księdzu też samochód wyszykuję, bo słyszałem, że ostatnio tak jakby coś pyrczał…

Fakt, jeep od tygodnia pracował trochę nierówno. Skąd ten Wieczorek o tym wie?!

Ulokowali Wieczorka u Janka; może i mniej by było ambarasu, gdyby go wepchnąć do gościnnego, ale to był pokój przyklejony do salonu i czasami mógłby zajść konflikt interesów, bo mogło się zdarzyć, że ktoś taki jak Rafał podskoczyłby na rozmowę. Przez następne trzy dni przybysz zdążył się po pierwsze zadomowić, po drugie wysprzątać całą plebanię z myciem okien i dywanów włącznie, po trzecie i najważniejsze – wyszykować jeepa tak, że chodził jak szwajcarski zegarek. Janek miał świętą rację, Wieczorek jak chciał, to robić potrafił. Pytanie, jak długo mu się będzie chciało, pozostało otwarte, w każdym razie w czwartek poszedł pierwszy raz do komisu, powiedzmy, że na tygodniową próbę. Narzędzia zabrał z jeepa, a to, czego brakowało, dokupili mu jako prezent gwiazdkowy, przy czym i jeden, i drugi ksiądz wiedział, że jest frajerem. No, ale czy można było inaczej?

Pojawienie się rodaka podziałało też na nich dopingująco w kwestii wigilii, mianowicie jednogłośnie zdecydowali się urządzić ją składkowo w Domu Polskim dla wszystkich przyjaciół i znajomych. Bachów uhonorowałoby się osobno świątecznym obiadem. Przeszczęśliwe panie Władzia, Wanda i Basia z kilkoma jeszcze koleżankami obiecały zapewnić menu w wariancie polskim tradycyjnym i ogólnobrytyjskim. Tak rzeczywiście było najlepiej, bo kiedy zaczęli rachować, wyszło im ze trzydzieści osób w wersji minimum, a w Bennochy House spokojnie pomieściłoby się i dwa razy tyle, więc nie musieli się ograniczać. Oczywiście swój akces

zgłosił też Wieczorek, bo choć regularnej wypłaty jeszcze nie zainkasował, po kilku napiwkach poczuł się jak panisko, więc gderał tylko umiarkowanie, że mu przy świętej Wigilii każą robić do siedemnastej jak za Jaruzela. Widać mu coś Jasiek szepnął o obyczaju ogólnym.

Zaczynali o szóstej, więc najpierw, kiedy proboszcz udał się na tradycyjną drzemkę, bo jak by inaczej przetrzymał do nocy, Janek paplał radośnie na Skypie z Wiolą i Merrym. Potem już we dwóch konwersowali z Niziołkami i młodymi Kotoniami, a kiedy na Pamiątkową dotarli Podgórni, Gośka natychmiast zaraportowała im, że zgodnie z zapowiedzią postanowili pójść w ślady Eli i Davida i kolejne wnuczątko pojawi się latem. Co do płci wolała się na razie nie wypowiadać.

Natychmiast po przybyciu do Bennochy House przekazali nowinę Eli, ale ona już wiedziała, bo oczywiście też dzwoniła do rodziców i Dominiki, więc świętowali radośnie, śpiewając i wymieniając się przy stolikach, żeby było sprawiedliwie i żeby wszystkich sobą obdzielić. Panie przyprowadziły rzecz jasna mężów, Leo z dumą przedstawił im swoją córkę Christine, ale okazało się, że już się znają, bo była nią recepcjonistka ze szpitala. Przyszli nauczyciele i rodzice, dzieci wariowały w sąsiedniej sali, Rafał najpierw długo i swobodnie gadał z Jankiem, a potem przysiadł się do stolika Leo i Christine.

Proboszcz zdążył zaś zbajerować babcię Olivii i przyszłego teścia chirurga od nogi, żeby w narożach swoich posesji ustawili kapliczki Matki Boskiej. Babcia Olivii pół biedy, gdyż dama ta była irlandzką katoliczką, ale z teściem to był rekord świata, bo szanowany ów obywatel Buckhaven był, zasadniczo rzecz biorąc, bezwyznaniowy. Nie ma to jednak jak czar osobisty. Ksiądz Tadeusz miał właśnie zamiar bezwstydnie wziąć na celownik trzecią ofiarę, a mianowicie mamę Aarona, ale wtedy u jego boku wyrósł wikary, który wyszeptał mu coś do ucha. Proboszcz zamarł i obaj dyskretnie wybyli, podążając pośpiesznie na piętro, do biblioteki.

W bibliotece, przewieszony przez poręcz fotela, spoczywał zalany w trupa Wieczorek. Poszturchiwanie i perswazje nic nie dawały, co zresztą było do przewidzenia, bo od samego alkoholowego odoru można się było zdrowo zapruć.

– Proszę księdza!… – zaczął Janek, a w jego głosie słychać było jednocześnie „szlag by to trafił” i „niech się ksiądz nie gniewa, on nie jest taki najgorszy”, kiedy proboszcz przerwał mu stanowczo:

– Trzeba go do nas zabrać, pomóż mi!

Wywlekli nieszczęśnika na klatkę schodową, ale chociaż jeden z nich miał posturę don Camilla, a drugi był młodym facetem w rozkwicie sił, nigdy w życiu nie daliby go rady zaholować do samochodu tak, żeby nie stało się to sprawą publiczną, kiedy niespodziewanie pojawiła się kawaleria w osobie Davida. We trzech poszło na tyle sprawnie, że dało się uniknąć kompromitacji ojczyzny w oczach szkockich biesiadników. Tylko Elka wyjrzała za mężem na korytarz, ale wystarczył jej jeden rzut oka, żeby ocenić sytuację i wycofać się błyskawicznie, pociągając za sobą Christine i blokując Jamesa Drugiego.

Ułożyli Wieczorka na tylnym siedzeniu, wrócili na chwilę do sali, żeby się pożegnać, zresztą było już na tyle późno, że mogli się wymówić przygotowaniami do pasterki. David czekał w samochodzie, minę miał zatroskaną.

– Nie lepiej byłoby go zawieźć do szpitala? – zapytał. – Jest kompletnie nieprzytomny, tutaj detoks by się przydał…

„O szwagrze niewinny, dziecię brytyjskiego dobrobytu!” – pomyślał stąpający twardo po ziemi wikary.

– Nie trzeba – autorytarnie powiedział w tej samej chwili proboszcz. – Jemu nie raz przedtem to się zdarzało. Jedziemy do domu, położymy go w cieple i to wystarczy.

– David, on jeszcze nie ma ubezpieczenia – wysyczał Janek szwagrowi dyskretnie do ucha, kiedy wytaszczyli Wieczorka na próg Bank West, a proboszcz parkował jeepa. Nie chciał mówić tego głośno przy szefie, bo wprawdzie David był swój, ale jak by nie

patrzeć, Wieczorek z zawstydzającą precyzją wpisywał się w negatywny stereotyp Polaka. – Musimy radzić sobie sami…

– Nie ma sprawy, ja go przypilnuję, zadzwonię do Eli i wszystko wytłumaczę, niech idzie na pasterkę beze mnie. Jeszcze ten tutaj zacznie rzygać i się zachłyśnie – zauważyło profesjonalnie niewinne dziecię brytyjskiego dobrobytu.

– Dzięki, stary – powiedział ciepło Jasiek, a proboszcz tylko pokiwał głową.

Na pasterkę zwaliło się chyba z pół Kirkcaldy, i to nie tylko katolików, bo księdzu Tadeuszowi mignął w pierwszych ławkach Ben u boku pani Barbary, natomiast Janek przyuważył w bocznej nawie Lucy z rodzicami. Msza trwała prawie dwie godziny, przede wszystkim dlatego, że Szkoci pragnęli przelicytować Polaków, a Polacy Szkotów, kto z nich piękniej śpiewa, więc śpiewano z zapałem prawie wszystkie zwrotki prawie wszystkich kolęd pod entuzjastycznym przewodnictwem wikarego, z dwujęzyczną *Cichą nocą* na wyjście. Do szczęścia nic by im nie brakowało, gdyby nie wizja pijanego Wieczorka i czuwającego przy nim Davida.

Wreszcie poszli razem z Elką go zmienić, podziękowali, przeprosili i umówili się na jutro, to jest na dziś, oczywiście, na świąteczny obiad w Boglily. O wpół do trzeciej zostali sami. Wieczorek spał w miarę spokojnie, na oko nic mu nie było.

„Kiedy proboszcz zacznie kombinować, skąd Wieczorek miał pieniądze na gorzałę?" – zastanawiał się Jasiek. – „I to tyle, żeby paść po niej trupem…"

Alternatywa była taka: albo Wieczorek zwędził dwie połówki z barku w Domu Polskim, albo opylił coś wyniesionego z plebanii, pytanie co, bo na remanent czasu nie starczyło. Przy czym Jasiek czuł się nieswojo i uwierało go sumienie, bo pierwsze, co sprawdził, to czy srebrny różaniec prababci Kotoń jest na swoim miejscu. Różaniec był, a wikary wstydził się swojego odruchu, chociaż w tych okolicznościach był całkiem zrozumiały. Właśnie otwierał usta, żeby wystąpić w roli adwokata tego nieszczęśnika, kiedy usłyszał:

– Muszę ci coś, Janku, opowiedzieć…

Ksiądz Tadeusz był zamyślony, trochę nieobecny, trochę speszony.

– Kiedyś dawno temu, już nie w Środzie, to było w mojej drugiej parafii – zaczął powoli zbierać słowa – upiłem się do nieprzytomności. Odprawiłem wieczorną mszę, poszedłem do siebie i zaprawiłem się zwykłą czystą wódą tak, że mój ówczesny proboszcz musiał mnie zbierać z podłogi, jak my tego tu, nomen omen, Wieczorka. – Jasiek słuchał, wstrzymując oddech. – Sprawa była prywatna i najzwyklejsza w świecie, żadne tam dylematy moralne z powodu usłyszanej spowiedzi czy coś w tym guście. Z księżowską profesją miało to tyle wspólnego, że w parafii działo się w tym czasie kilka bardzo nieprzyjemnych spraw, które potrafiłyby zszargać każdemu nerwy. Miałem wtedy przyjaciela, opowiadałem mu o swoich prywatnych sprawach, zwierzałem się… – Chwila była niepowtarzalna, intymna, ale mimo wszystko prawdomówny Tadeusz nie dopowiadał wszystkiego do końca. – No i tego wieczoru dowiedziałem się, że on wszystko puścił dalej na zakrapianej imprezie, robiąc ze mnie głupka, a całe towarzystwo miało ubaw po pachy z księdza… – zawahał się – …idealisty – dokończył eufemizmem.

Gdzieś daleko słychać było śpiewy. Może to rodacy wracali z gościny.

– Rano proboszcz nie powiedział mi złego słowa, nie usłyszałem żadnego „obiecaj mi, że to ostatni raz”. Był pragmatyczny do szpiku kości, kazał mi tylko wyznaczyć sobie limit alkoholu na miesiąc i na jedno posiedzenie. Wiedział, że tego numeru już nie powtórzę, tak jak ja wiedziałem, że to nie recepta na problemy.

Teraz było już zupełnie cicho. Ksiądz Tadeusz chciał jeszcze dodać, że były przyjaciel pisuje w tej chwili do prawicowego miesięcznika jako promotor dobrych obyczajów, ale odpuścił, nie opowiadał w końcu tego po to, żeby przy świętym Bożym Narodzeniu zakłócać Jaśkowi i sobie spokój ducha.

– Nie wiem, z czym Wieczorkowi kojarzy się Wigilia, czy ma jakieś złe wspomnienia, czy to czysty przypadek. Ale w zeszłym roku uparł się umrzeć, teraz się spił… Sam wiesz, że nie ma do czego wracać. Więc chyba musimy to dalej ciągnąć… Czego się śmiejesz, baranie?!

– Nic, nic, ja nie z księdza! – zarzekł się z miejsca gorliwie wikary.

– To chodźmy spać, bo jutro będzie nas można na krowę wsadzić – burknął i też się uśmiechnął do drania. – Jemu już nic nie będzie. Nie dziś.

Pierwsza msza była dopiero o jedenastej, więc zdążyli załapać kilka godzin snu. Przy śniadaniu Janek zagadnął:

– Proszę księdza, mam interes! – A ponieważ proboszcz tylko uniósł brwi w niemym pytaniu, obwieścił: – Chcę księdza kupić!

– Co takiego?! – prychnął. – Kupić? Mnie? Odbiło ci?

– Nie pyta ksiądz czym? – zapytał słodko wikary.

– Nie mówisz za co! – udzielił błyskawicznej riposty.

– Pójdzie ksiądz do porządnego internisty, żeby mu ustawił lekarstwa na cukrzycę, a oprócz tego na ciśnienie, cholesterol i inne takie tam też.

– Szkoda wysiłku, daruj sobie, synu! – odszczeknął się natychmiast.

– No cóż… – Jasiek zaczął się kołysać na krześle. – To w takim razie już nie zaproponuję księdzu, że dzisiaj wieczorem w Piusie… – zawiesił tajemniczo głos – …z uwagi na uroczysty charakter świąt…

– Co takiego? – nie wytrzymał.

– Założę biret! – dokończył triumfalnie Janek.

„Znowu wiedziałeś, łobuzie!" – jęknął w duchu. „Jak ty to robisz?!"

Jak czytelnik doskonale przewiduje, w wyniku dobitego targu po obiedzie u Elki pojechali do kościoła razem; przed wyjściem do mszy Jasiek pochylił się do jego kolan po błogosławieństwo, a potem założył biret i kroczył do ołtarza przy wtórze *Venite adoremus*.

A on sycił oczy paradną postacią celebransa i nawet nie przejmował się Wieczorkiem, który pewnie już wytrzeźwiał i konsumował resztkę kabanosów babci Niziołkowej.

„Jakoś to będzie” – pomyślał.

# JEDEN NA DWUDZIESTU 10

Ksiądz Tadeusz, jadąc w sobotnie popołudnie z wizytą kolędową na Jawbanes Road, czuł tremę. Szacowna rodzina MacNeilów szczyciła się swoimi przodkami z wyspy Barra, którzy wytrwali w katolicyzmie przez całą reformację aż do czasów współczesnych. Może Jasiek załatwiłby to lepiej, bo nobliwi gospodarze kojarzyli mu się bardziej z klimatami ze świętego Piusa, czyli z chłodną, dostojną ortodoksją. Nie, głupoty gada, do Janka może i pasowała ortodoksja, ale na pewno nie chłodna i dostojna. Poza tym Janek załatwiał dzisiaj konferencję przedślubną pewnej mieszanej pary katolicko-prezbiteriańskiej (ściślej: ona polska katoliczka z gatunku tych, co to sobie ślubu nie wyobrażają bez białej sukni i welonu, on wprawdzie ochrzczony, ale do kościoła niechodzący od dziecka), więc z dwojga złego proboszcz wolał wizytę duszpasterską w tradycyjnych klimatach.

Kolęda w Szkocji zupełnie nie przypominała polskiej, ściślej – takiej w Poznaniu, gdzie chodziło się hurtowo od drzwi do drzwi, od mieszkania do mieszkania w tym samym czasie. Na wsi owszem, panował zwyczaj, że księdza się zaprasza, i tu było podobnie, ale jednak dużo bardziej elitarnie. Zapraszali tylko niektórzy, i to miejscowi; trzeba powiedzieć sobie prosto z mostu, że rodacy gremialnie odpuszczali sobie tę celebrację. Może na zasadzie dzieci pierwszy raz puszczonych w świat? Może żyli w poczuciu tymczasowości? Byli zapracowani? A może mieli złe doświadczenia z kraju, że ksiądz przychodzi tylko po kopertę? W każdym razie spośród tych Polaków, którzy w miarę regularnie chodzili do kościoła, o kolędzie pomyślało może pięciu.

Mówiąc po cichu, nawet mu się to podobało: nareszcie wizyta była tym, czym być powinna, spokojną rozmową na ważne dla wszystkich

tematy, a nie galopadą wzdłuż ulicy z zegarkiem w ręku. Chociaż na Krzesinach i jeszcze przedtem zawsze dbał o to, żeby broń Boże nie dać nikomu odczuć, że się śpieszy. A kiedy już był na własnych śmieciach, zawsze bardzo stanowczo podkreślał zaraz na początku kolędy, że nie przychodzi po forsę, tylko pogadać, a jakby się coś uzbierało, to pójdzie na… i tu podawał zbożny cel, parking na przykład albo toalety skromnie przytulone za żywopłotem, żeby z dzieciakami i nie tylko nie trzeba było biegać w krzaki. Przez te metody zawsze był pod kreską, ale chyba go lubili. Z drugiej strony, gdyby wikaremu te łobuzy nie nałożyły po pysku, to nie wiadomo, czy parafianie kiedykolwiek zmobilizowaliby się co do remontu…

Tutaj było inaczej. Parafia liczyła tak koło siedmiuset dusz szkockich, a ściślej mówiąc – miejscowych, bo byli wśród nich także Irlandczycy i Filipińczycy, i trudną do określenia liczbę polskich z najświeższej emigracji. Na mszę po polsku przychodziło czasem sto, czasem więcej osób, ale przecież byli jeszcze ci z Piusa. W każdym razie mógł spokojnie liczyć na pół tysiąca *dominicantes*, bo odsetek chodzących co niedzielę do kościoła był tu bardzo wysoki jak na brytyjskie realia, wyższy może nawet od polskich.

– To rezultat zwarcia katoszeregów – wytłumaczył mu zwięźle i bez ceregieli wikary. – I poczucia wyższości nad heretykami – dodał na ucho z miną niewiniątka.

Jak było, tak było, ale w konkretnym wymiarze dawało to coniedzielne wpływy wystarczające na utrzymanie obu kościołów: prąd, sprzątanie, pranie i inne duperele, w tym pewna kwota odkładana na wypadki losowe typu przeciekający dach. Poza stosunkowo drobnym datkiem na tacę, pi razy oko dziesięć funtów na tydzień – drobnym dla Szkotów, oczywiście, i dla tych z rodaków, którzy przestali już przemnażać każdego funta przez pięć; ci całkiem nowi nie wyobrażali sobie, że można rzucić do koszyka pięćdziesiąt złotych – szacowni katolicy z Kirkcaldy i okolic poczuwali się do większej donacji raz do roku koło Bożego Narodzenia, przelewanej wprost na konto, bez żadnych kopert. Właśnie proboszcz miał

przyjemność pierwszy raz zaznawać pożytku z tego obyczaju i również patrzył na niego bardzo życzliwie.

„Ciekawe, czy u nas by to wyszło?" – zastanawiał się w drodze na obrzeża miasta. „E, wyszłoby, pod warunkiem, naturalnie, że jak wszystko inne byłoby skrupulatnie uwidoczniane w miesięcznych raportach".

Za to ostatnie tak jak w Krzesinach odpowiadała rada parafialna, z tą różnicą, że kierował nią Janek, nie proboszcz. Kierował, bzdury! Tutaj nikt by sobie nie pozwolił na to, żeby jakiś tam ksiądz kierował całkowicie świecką działką finansową. Ksiądz był od czego innego i mocno tego przestrzegano. No, chyba że tenże ksiądz miał nieograniczone zasoby uroku osobistego. Wtedy mógł sobie robić, co chciał, i nikt się nawet nie spostrzegł. Na ten przykład mógł wmówić radzie, że nowa fisharmonia to absolutny zbytek i znacznie lepiej przeznaczyć forsę na renowację witraży, bardzo pięknych zresztą. Przy okazji zaś sugerował z niewinną miną zakup nowych szat liturgicznych; nowych, to znaczy rzecz jasna starych, czyli tradycyjnych – i demonstrował swój ornat świętego Andrzeja.

– Ooo!… – mówiły oczarowane panie. – Jaki piękny! To chyba ręczna robota?…

Jasiek ze śmiertelną powagą potwierdzał i niby królika z kapelusza wyciągał roratnio-wielkopostny ornat w barwie Rose Eleanor, czym rzucał zgromadzonych na kolana i nawet nie musiał pokazywać dodatkowej kolekcji w internecie. W rezultacie wieść gminna o firmie rękodzielniczej z Kirkcaldy docierała pocztą pantoflową do Glasgow i St Andrews, a Mrs David Bach mogła przebierać w zamówieniach jak w ulęgałkach. Czy jej brat spowiadał się z nepotyzmu i wykorzystywania powagi koloratki – bo przecież już nie sukienki duchownej – do innych celów, ze względów oczywistych pozostanie zakryte.

Na początku proboszcz dziwił się trochę, że Janek tak chętnie przejął od niego administracyjną pałeczkę; na początku myślał, że to tylko przez okres jego rekonwalescencji. Ale nie, nogę wykurował,

a wikary wcale nie piszczał, że musi wypisywać papiery i wysiadywać w biurze. Więc już do tego nie wracali, a trzeba przyznać, że było mu to bardzo na rękę, bo miał więcej czasu dla ludzi. Przy czym świadomy był tego, że operatywny Janeczek powoli, pomalutku oddaje plac boju świeckim wolontariuszom. Wpisy do ksiąg i korespondencję załatwiała tutejsza odpowiedniczka pani Zofii, emerytowana nauczycielka z St Marie's, pół Polka, pół Szkotka. Stronę internetową perfekcyjnie prowadziło dwóch młodzieńców z klasy piątej, że tylko pozazdrościć, lepiej od Facebooka: zawsze wszystkie ogłoszenia i newsy wprowadzane były na bieżąco, także takie, że na gwałt potrzebna przez tydzień pomoc dla chorego Mr Fergussona, a Mrs Harris ma do wydania kotki syjamskie (ściślej owoc szalonego romansu syjamskiej kocicy z rudzielcem z sąsiedztwa, ale o tym już pruderyjnie nie wspomnieli). George rozszerzył swoją działalność starszego kościelnego i przywoził z Edynburga komunikanty, wino mszalne i co tam jeszcze było potrzebne, a czynił to z satysfakcją i poczuciem wyższości, od kiedy Jasiek przywiózł raz wino kompletnie nienadające się do liturgii i ze skruchą mu się zwierzał:

– Wiesz, George, ja po Edynburgu zupełnie nie umiem chodzić, a ty jak coś załatwisz, to pierwsza klasa!

Tym razem czytelnik z łatwością się domyśla, że powyższy numer, jako podpadający pod manipulację ludźmi, musiał znaleźć swój finał podczas sobotniej spowiedzi.

Nauczycielskie pensje przeznaczali na własne potrzeby, czyli w zasadzie na jedzenie i benzynę, z rzadka tylko na drobny ciuch, bo jak raz kupili garnitury, to powinny im były dłuższy czas posłużyć. Przy czym Jaśkowe kucharzenie oszczędzało mnóstwo forsy; ksiądz Tadeusz, powodowany raz wyrzutami sumienia, że orze w chłopaka, zamieniając go w wielofunkcyjny kombajn vel matkę Polkę, a pomny własnych zobowiązań po awanturze z krzesińską dietetyczką, zagadnął:

– Janku, czy my jednak nie powinniśmy jadać na mieście? Przecież ty się zarobisz, przepraszam, że tak mało ci pomagam…

Na co Janek błyskawicznie odparował:

– Aha, *fish and chips* się księdzu zachciało? Nic z tego! – I dodał poważniej: – Oni tu jedzą cholernie niezdrowo, proszę księdza. A nawet jakbyśmy wypertraktowali w Giovanni's dania dietetyczne, to policzyliby sobie za nie jak za zboże…

„I byłyby o wiele mniej smaczne od twoich" – pomyślał melancholijnie.

– …więc jak ksiądz ma za dużo forsy, to niech ją ksiądz przeznaczy na jakiś godny cel. Ja nie mówię zaraz na uprawnienia do MOT dla Wieczorka, ale… – Na co proboszcz huknął pięścią w stół, a Jasiek momentalnie się przymknął, bo doskonały wszak nie był i jeszcze znowu by się musiał przed młodzieżą tłumaczyć z obitego pyska.

Ksiądz Tadeusz natomiast tylko się uśmiechnął w duchu, bo wiedział doskonale, na co ścibi pieniądze jego wikary: wśród dzieciaków z Krzesin, które rwały się na letnią wędrówkę West Highland Way, znalazłoby się co najmniej troje, dla których pięćset funtów było absolutnie nieosiągalne. No to przedsiębiorczy Janeczek w sobie właściwy sposób postanowił zbić koszty, całkiem jak półtora roku wcześniej w Beskidzie Żywieckim…

„Spróbuję namówić moich gospodarzy, żeby zasponsorowali wycieczkę dla Wojtka albo Tosi" – układał sobie ksiądz Tadeusz plan, skręcając w prawo z Kinghorn Road. „Nie całą, gdzie tam, niechby dali tylko trochę. Będę opowiadał o niezamożnej polskiej młodzieży katolickiej w laicyzującym się społeczeństwie…" Na ile był to plan perfidny, niech wierny czytelnik, znakomicie wdrożony w charakterystykę postaci, sam rozstrzygnie. Tego, że u proboszcza skrępowanie i kompleksy osobiste przegrywały w cuglach z solidarnością wobec wikarego, rozstrzygać nie trzeba, bo widać to było gołym okiem.

Rodzina gospodarzy składała się z babci, rodziców i trojga dzieci w wieku, tak na oko rzecz biorąc, pomiędzy dwanaście a szesnaście

lat; za duże były dla niego, nie miał prawa ich znać ze szkoły. Zaraz, ze szkoły nie, ale…

– Jak miło cię znowu spotkać – powiedział swobodnie do wysokiej, szczupłej dziewczyny, pięknej jak kasztelanka Anna z *Czarnych chmur*. – Widziałem cię w St Pius, byłaś ministrantem.

Ledwo przebrzmiało ostatnie słowo, zrozumiał swój lapsus. Powiedział z rozpędu *altar boy*, na co obaj młodzieńcy, starszy i młodszy, parsknęli śmiechem.

– Martin! Will! – upomniał ich ojciec.

– *Altar girl!* – sprostowała lodowato zainteresowana, zasztyletowała braci wzrokiem i wbiła w proboszcza spojrzenie o twardości irydo-platyny.

– Angela chce być księdzem! – prychnął młodszy brat.

– Żadnym księdzem! – warknęła Angela. – Jakby Pan Bóg chciał, żebym była księdzem, toby mnie stworzył mężczyzną. Ja chcę studiować teologię i zostać prefektem Kongregacji Nauki Wiary!

Trzeba przyznać, że na tak ambitne plany młodej gospodyni z lekka go zatkało, co zainteresowana od razu zauważyła, bo prędko spytała:

– Ksiądz ma jakieś szczególne preferencje co do miejsca kobiet w Kościele? Mają gotować księdzu obiad i prać bieliznę ołtarzową?

– Angie! – syknęła mama. Babcia natomiast miała na obliczu uśmieszek satysfakcji, co też było doskonale widoczne.

– A czemu nie szefem katedry teologii na uniwersytecie edynburskim? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Co miał w końcu zrobić, jemu obiad gotował wikary… – Nie uważasz, że należy zaczynać od swojego podwórka?

Angela popatrzyła na niego z namysłem.

– Na początek może być – zawyrokowała łaskawie.

– Na początek, Angie… mogę tak mówić? – A ponieważ dziewczyna przytaknęła, kontynuował z delikatną kpiną w głosie: – Uśmiechnij się! – I też się do niej uśmiechnął, a Angela nie wytrzymała, zmarszczone brwi złagodniały, a kąciki ust drgnęły. – O,

właśnie, tak trzymaj. Na widok tak pięknego prefekta kolegium kardynalskie zrobi wszystko, cokolwiek mu poleci!

– Ksiądz też?! – oburzyła się momentalnie Angela. – Też patrzy na kobietę tylko przez pryzmat jej wyglądu, a nie walorów duchowych i intelektualnych?!

„Oj, dziewczyno, stawiam sałatkę z tuńczykiem produkcji Janeczka przeciw gotowanej rybie pani Teresy, że chciałaś to samo wyrazić dużo bardziej soczyście, tylko ugryzłaś się w język" – pomyślał sobie ksiądz Tadeusz. „Coś w rodzaju tyrady Albercika z *Seksmisji*: »Nasza cywilizacja legła w gruzach, a tobie tylko d... w głowie!«".

– Piękno ciała, umysłu i ducha stanowi idealną harmonię – powiedział zamiast tego na głos. – I miałaś się uśmiechać! Powiedz mi, proszę, dlaczego wybrałaś starą mszę w świętym Piusie? Co cię do niej pociągnęło?

William i Martin tym razem siedzieli cicho, widocznie trochę respektu przed ojcem jednak mieli, ale jednakowo przewrócili oczyma, a młodszy z nich za plecami rodziców złapał się za serce i udawał, że mdleje. Ksiądz Tadeusz był bystry z natury, dodał dwa do dwóch i sam siebie skarcił za niedyskretne pytanie, bo w żaden sposób nie chciał Angeli zawstydzać. „Zaraz polecą głowy!" – zatroskał się szczerze. „Angela skoczy braciom do gardeł, nawrzeszczy na nich, rodzicom będzie głupio…"

Na szczęście Angela wzięła sobie do serca jego rady, bo uśmiechnęła się, może z odrobiną przymusu, ale jednak, i powiedziała pobłażliwie:

– Niech ksiądz proboszcz nie zwraca uwagi na tych niedorostków, oni są w takim wieku, że wszystko im się kojarzy tylko z jednym!…

Babcia cały czas wpatrywała się w swoją wnusię z aprobatą, ale rodzice mieli wielką ochotę zwekslować rozmowę w inną stronę. Ich córka miała jednak stalowy charakter (lub, jak by rzecz ujął David, była *alpha-male*) i z pola mogła zejść tylko z tarczą lub na tarczy.

– …ale bardzo księdza przepraszam za takie frywolne dygresje, już tłumaczę. Otóż… – I tu nastąpił treściwy i niezwykle kompetentny

wykład o wyższości *Missa Tridentina* nad *Novus Ordo Missae*, w trakcie którego proboszcza gnębiły zasadniczo dwie sprawy: na ile tutaj nabroił Janek, to jest, co Angela mówiła od siebie, a co było wynikiem fascynacji celebransem, po drugie zaś, jak powinien zareagować on sam.

„Nie robić nic? Założyć, że ta piękna *altar girl* to chodząca niewinność niczym święta Klara, a ja mam głupie myśli? No przecież jej samej nic nie mogę powiedzieć, szczególnie przy całej rodzinie! Opieprzyć Janka, że jego eksperymenty liturgiczne za chwilę będą podpadać pod stwarzanie okazji do grzechu? Też źle, bo pewne sprawy poszły za daleko i jak teraz zażądam usunięcia ministrantek, to jakbym farbą odblaskową na kościele napisał: »Angela kocha się w księdzu Janku!«. Poza tym jaka jest różnica między ministrantką a, powiedzmy, chórzystką?…”

– Nie umiem odprawiać mszy trydenckiej – powiedział znienacka, kiedy Angela zaczerpnęła oddechu. – Ale chyba się będę musiał podszkolić, żebym mógł zastąpić księdza wikarego w sierpniu, kiedy pójdziecie na wędrówkę do Fort William.

Angela rzuciła mu krótkie, badawcze spojrzenie.

– Ja nie jadę – powiedziała rzeczowym tonem, ale proboszcz przysiągłby, że miała ochotę dodać coś oprócz tego.

– Nie będzie nas w Szkocji przez całe lato – pośpieszyła z wyjaśnieniem Mrs MacNeil.

– Po wielu latach udało nam się tak wszystko zorganizować, żeby spełnić rodzinne marzenie – przyłączył się ojciec.

– Idziemy całą rodziną na pielgrzymkę do Santiago de Compostela – dopowiedziała babcia. – Na początku byliśmy zdecydowani na tradycyjną *Camino Francés*, osiemset kilometrów…

– Tak, wiem – westchnął tylko. Pielgrzymka do Santiago de Compostela była odwiecznym marzeniem Ewy, anglistki z krzesińskiego liceum, przyjaciółki Janka i jego. Obaj słyszeli o tym wiele razy, ale jak to w życiu bywa, zawsze coś przeszkodziło, a najczęściej brak funduszy.

– …ale w końcu stanęło na *Camino del Norte* wzdłuż wybrzeża! – wyrwał się Martin, ten starszy.

– Długość trasy porównywalna, a chłopcy będą mieli morze pod ręką – uśmiechnęła się matka.

– Da pani radę? – spojrzał z szacunkiem na seniorkę rodu. Skoro jej wnuczka miała szesnaście lat, ona sama musiała mieć pod siedemdziesiątkę, chociaż absolutnie na to nie wyglądała.

– Nie będziemy wariować, dwadzieścia kilometrów dziennie i w niedzielę odpoczynek. – Machnęła ręką. – Akurat zdążymy do końca sierpnia.

Gospodarze wyjęli mapę, zaczęli opowiadać o swoich planach, dyskutować wersje alternatywne, w czym także wzięli udział obaj chłopcy, i to z niezwykłym zaangażowaniem, widać było, że tajniki ekwipunku na dalsze wędrówki nie są im obce. Wieczór nastał całkiem niepostrzeżenie.

– Ależ zamarudziłem! – powiedział przepraszajaco. – Tak dobrze się z państwem rozmawiało!

– Mam prośbę. – Angela stała przy wyjściu. – Mogłabym pojechać z księdzem do centrum? Śpię dzisiaj u przyjaciółki.

– Angie, przecież ja bym cię podwiózł – zdziwił się ojciec. – Z Reminder Street będziesz miała jeszcze milę na piechotę!

– Ależ ja chętnie zawiozę Angelę na miejsce – pośpieszył z zapewnieniem. „Będzie okazja, żeby jej coś szepnąć" – układał sobie plan.

Plany mają to do siebie, że przeważnie nie wychodzą, zupełnie jak w przypadku dofinansowaniu wędrówki dla Jankowych dzieciaków. Jeszcze bowiem dobrze nie wyjechali z posesji, a on nie zdążył nabrać oddechu, kiedy do ofensywy przeszła Angela.

– Niech się ksiądz nie boi – powiedziała z lekkim uśmiechem. – Ja mam swoje zasady, zajętych mężczyzn nie podrywam. *Father John* jest dla mnie nietykalny.

Naturalną reakcją z jego strony powinno być zawstydzenie, ale zamiast tego poczuł tak kolosalną ulgę, że aż sam się sobie zdziwił.

„Powiedziała »niech się ksiądz nie boi«, zupełnie jak Janek” – zauważył. „Ciekawe, czemu?…”

– To aż tak było widać? – westchnął nad własną słabością.

– Nie. – Tym razem Angela uśmiechnęła się szeroko, odrabiając skrupulatnie dane jej nauki. – Moja rodzinka na bank niczego nie zauważyła. Ale ja wiedziałam, bo co ksiądz na mnie spojrzał, to mu na czole wyskakiwała taka zatroskana zmarszczka.

„Ona naprawdę jest bardzo inteligentna” – pomyślał proboszcz.

– Chcesz wstąpić do zakonu? – zapytał wprost.

– Sama jeszcze nie wiem – powiedziała szczerze. – Właśnie do tego ma mi posłużyć Camino. Żeby się zdecydować. Wie ksiądz, ja tak gadałam o tym prefekcie Kongregacji, żeby wsadzić kij w mrowisko. Ale doskonale wiem, że jeżeli chciałabym poważnie myśleć o teologii, to znacznie lepiej byłoby robić to jako człowiek z branży. Tylko do jakiego zakonu miałabym pójść, do diabła?…

– Angela! – upomniał ją spokojnie, ale stanowczo.

– Przepraszam, proszę księdza! To jest tak: od tych bezhabitowych mnie odrzuca, bo one są takie nowoczesne, że można się porzygać. Przepraszam, proszę księdza! – zawołała pośpiesznie po raz drugi. – A w tych tradycyjnych będę mieć problem z posłuszeństwem, jak dwa razy dwa! Znam siebie i wiem, że nie zniosę, żeby głupia baba mi dyktowała, co mam robić! A baby są głupie! Egzaltowane i zawistne! Jak tylko wywęszą, na czym mi zależy, zrobią wszystko, żeby te plany pokrzyżować! Mam to na co dzień w szkole, ze strony nauczycielek i koleżanek!…

– Wiesz co, Angela, ja z kolei mam pomysł – przerwał jej emocjonalny wywód (baby są egzaltowane, tak?) – umówmy się na rozmowę we troje, we troje, rozumiesz, żeby nie było, że sam cię namawiam na *tête-à-tête* z księdzem wikarym. I niech ci *father John* opowie o swoich metodach na posłuszeństwo i realizację planów, a ja dorzucę coś od siebie. – Zaśmiał się z satysfakcją. – Tylko, dziewczyno, czy to jest dobra motywacja: idę do zakonu, bo osoby świeckiej nie będą słuchać?

– A będą? – zapytała z kpiną w głosie. – Jak chce mnie ksiądz dowieźć na miejsce, to teraz w prawo i do końca ulicy. Tak, ma ksiądz rację, to nie jest najlepsza motywacja. Ale… kto powiedział, że jedyna? – zauważyła słodko i przekornie, a potem na jednym oddechu dodała: – O, znowu się księdzu zatroskana zmarszczka robi!

Zatrzymał jeepa z wizgiem.

– Za chwileczkę polecisz dalej na piechotę – powiedział surowo, ale nie wytrzymał, uśmiechnął się do łotrzycy, a ta mu się radośnie odwzajemniła, więc wrzucił „Drive" i powoli ruszył.

– A kiedy ksiądz zaczął myśleć o seminarium? – spytała dociekliwie. – Ile ksiądz miał wtedy lat?

„No przecież za Chiny Ludowe nie przyznam się tej smarkuli, że w wieku lat trzynastu po obejrzeniu pewnego odcinka *Bonanzy*, w którym Ben Cartwright przy palu męczarni odmawiał *Ojcze nasz*!" – pomyślał w popłochu prawdomówny Tadeusz. „Jak dobrze, że to nie była jedyna motywacja!"

– Kiedy byłem w liceum, miałem bardzo fajnego katechetę – wyjaśnił krótko. – Chciałem być taki jak on.

– Aha – powiedziała z namysłem Angela. – Znaczy jeżeli chłopiec zaczyna myśleć o kapłaństwie pod wpływem pozytywnego księdza, to wszystko okej, ale jak podobnie kombinuje dziewczyna, to… księdzu od razu zmarszczka się robi, tak? Koleżanka mieszka tuż za tym rogiem! – dodała szybko z niewinna miną.

– Tutaj? – Zaparkował przy krawężniku, wkładając całą siłę woli w redukcję zmarszczek. – To co, umawiamy się na rozmowę?

– Tak, dziękuję – odpowiedziała, otwierając drzwiczki. – I chętnie przyjdę, żeby pogadać. Wypytam księdza wikarego o jego ucznia, który też poszedł do seminarium.

– Ucznia? Skąd wiesz? – Zrobił wielkie oczy. – Nie pomyliło ci się?

– Znalazłam na Facebooku – wyjaśniła z wdziękiem i pomachawszy mu ręką, zniknęła w bramie.

„O kogo to może chodzić?" – zastanawiał się, podjeżdżając pod Bank West. „I czemu ten mały drań nic mi nie powiedział? Jak

zwykle zresztą…”

Chciał zahaczyć Janka przy kolacji, ale w końcu opowiedział mu tylko o Angeli (przy czym wikary miał oczęta tak niewinne, jakby się urwał z drużyny zuchowej), bo w duszy zrodziła mu się maleńka przekora. Nie będzie o nic pytać, sam znajdzie.

Jasiek poszedł grać, a on usiadł do komputera, wpisując po kolei do Facebooka nazwiska zeszłorocznych maturzystów. Stawiał na przewrotną klasę trzecią c, tę samą, która nie chciała pisać próbnej matury z eseju Zygmunta Baumana (prawdziwą za to napisali doskonale, jak jeden mąż wybierając fragment *Potopu*, kiedy to pan Kmicic sam siebie wydał pomście Bogusławowej w zamian za życie Soroki). Jego intuicja była słuszna i za czwartym podejściem trafił dobrze: do seminarium poszedł doskonały fizyk Mikołaj.

– Janku – zagadnął niby to od niechcenia przy śniadaniu. – To prawda, że twój uczeń jest alumnem? Nic nie mówiłeś…

– A co miałem za dużo gadać – odpowiedział beztrosko Jasiek, a on się tylko uśmiechnął, bo przewidział ripostę co do słowa. – To dopiero pierwszy rok, sam ksiądz wie, jak to bywa: dwudziestu zaczyna, dziesięciu kończy…

„W sumie ma rację”. – Proboszcz pokiwał głową. „A potem jeszcze jeden z tych dziesięciu uzna, że trzeba »zakończyć działalność kapłańską«” – pomyślał zjadliwie, mając przed oczami obu Tomków: tego, z którym chodził do dominikanów, i tego z roku wyżej.

Na niedzielny obiad poszli do Boglily. Elka nareszcie się zaokrągliła, stwierdził z radością, bo przedtem ciągle wydawała mu się za szczupła. Kiedy zbierali się już na wieczorną mszę – razem, bo proboszcz postanowił edukować się w liturgii trydenckiej; a czytelnik myślał, że dlaczego? – David klepnął się w czoło i powiedział:

– Byłbym zapomniał! Czy mógłby ksiądz skoczyć w tygodniu do takiego jednego Alexandra? Można powiedzieć, że to mój podopieczny, chociaż… sam zresztą ksiądz zobaczy. To właśnie taki ktoś, kogo spotyka się raz na dwadzieścia przypadków. Nie jest katolikiem, trudno w ogóle powiedzieć, kim on jest, ale bardzo

prosił, żebym go księdzu zaprotegował. Mieszka w Glenrothes. To co, pojedzie ksiądz?

– Oczywiście! – odpowiedział bez namysłu, chociaż, co ukrywać, trochę się tego podopiecznego bał. Kto to taki, zreedukowany narkoman? Alkoholik? Może lekki wariat?

Umówił się na środę, zaraz po zajęciach; w Glenrothes trochę pobłądził, zanim trafił na miejsce, a właściwie nawet nie pobłądził, tylko wbił sobie w głowę, że podopieczny Davida powinien mieszkać w slumsach, tymczasem pod wskazanym adresem przy Calder Court zastał elegancki bungalow obok schludnej farmy. Sam gospodarz zaś był nieomalże archetypem starszego, zamożnego Brytyjczyka, znanego mu z ekranizacji kryminałów Agathy Christie.

– Spodziewałeś się kogoś innego, prawda? – zagadnął lekko Alexander po wstępnym powitaniu, przechodząc od razu na ty, a proboszcz pomyślał z maleńką irytacją, że albo ostatnio trafia na samych urodzonych psychologów, albo on sam się starzeje i nie kontroluje własnej mimiki.

– To normalne, nie przejmuj się – powiedział z uśmiechem ten zadziwiający facet. – Jestem alkoholikiem i gdyby nie David, pewnie bym w tej chwili leżał w szpitalu na detoksie. To świetny gość, a ja dzięki niemu zacząłem zauważać coś więcej niż czubek własnego nosa. Bardzo dużo o was opowiadał, o swoim szwagrze, ale przede wszystkim o tobie…

– O mnie? – zdziwił się proboszcz, ale sprawiło mu to przyjemność.

– …a tak fajnie to robił, że poprosiłem go o kontakt, chciałem cię poznać osobiście. Nie miałem szans, żeby cię spotkać nad morzem, bo po plaży w zasadzie nie chodzę. Nie mam prawa jazdy od lat, więc musiałbym kombinować trzema autobusami…

Usiedli przy kominku („Nie mówiłem? Jak w kryminałach!” – pomyślał sobie ksiądz Tadeusz), tyle tylko, że gospodarz nie podał rzecz jasna whisky, ale sok, i opowiedział mu swoją historię, trochę smutną, trochę przewidywalną.

– Wszystkiego nie przepiłem, jak widzisz – tłumaczył Alexander. – A David nauczył mnie, że mogę być przydatny różnym ludziom, choćby po to, żeby z nimi pobyć. Za ciebie religii uczyć nie będę, bo to zupełnie nie moja branża, więc powiem krótko i węzłowato: na co potrzebowałbyś forsy? Dla twojego wikarego David już zaklepał dwa tysiące na wędrówkę, a dla ciebie? Coś do kościoła? Jakiś remont? Mów i robimy przelew.

Na tak bezceremonialnie przedstawioną rzecz odrobinę go zatkało. Wędrówka? I coś do kościoła do tego?

– Słuchaj, Alexander… – zawahał się. – Byłem w sobotę u państwa MacNeilów, planują latem rodzinną pielgrzymkę do Santiago de Compostela…

– I co, chcesz iść z nimi? – dopomógł mu natychmiast Alexander.

– Nie, tylko tak sobie teraz właśnie pomyślałem… Jeżeli chciałbyś komuś pomóc… Jest taka pani z Poznania, z mojej dawnej szkoły, która marzy o Camino od dziecka…

– *Is she your girlfriend?* – zapytał rzeczowo Alexander, tak bardzo rzeczowo, że ani się nie szło oburzyć, ani obrazić.

– *Just a friend* – odpowiedział ze swobodnym uśmiechem. Chciał dodać, że Ewa jest bardziej przyjaciółką Janka niż jego, ale dał sobie spokój, bo jeszcze by ten cały Alexander zobaczył oczami duszy nie wiadomo co i trzeba by było tłumaczyć. Niech już tak zostanie.

– Masz numer konta? – jeszcze bardziej rzeczowo spytał gospodarz.

– Jedną chwilę! – zapalił się. No, skoro tamten jest taki szybki w decyzjach, to on też musi. – Zadzwonię do jej córki! Niech to będzie niespodzianka!

Szybko odszukał numer w notesie; dziesięć lat temu miał przyjemność uczyć obie córki Ewy (co brzmiało bardzo po narnijsku), a zażyłość pozostała do dzisiaj: przebojowa Julia niejednego krzesińskiego licealistę nauczyła, jak się należy ruszać po polibudzie, a energiczna Krysia była jego konsultantem od fantasy. Po dziesięciu

minutach zapikał SMS z numerem rachunku, a po następnych pięciu sprawa była zamknięta. Faktycznie, krótko i zwięźle.

W trzy dni później Janek jak zawsze w sobotę nadrabiał na Skypie zaległości towarzyskie; w pewnej chwili odwrócił się i zagadnął ze zdziwieniem proboszcza:

– Nie zgadnie ksiądz, co mi tu pisze Ewa! Jakiś tajemniczy gość przesłał jej cztery bańki z rachunku założonego w Dunfermline. Z adnotacją, że to na pielgrzymkę życia! Ksiądz coś wie o tym?

– Co takiego? – Z rozkoszą udawał głupka, grając na zwłokę. – A, to! No tak, jak chodziłem po kolędzie, znalazł się taki jeden darczyńca… – Nie cierpiał określenia „sponsor”, bo brzmiało mu obleśnie dwuznacznie.

– Nic ksiądz nie mówił – zdziwił się wikary.

– A co miałem za dużo gadać – powiedział z satysfakcją. Zemsta jest rozkoszą bogów.

Niestety, ten mały drań wszystko zepsuł, bo uniósł w górę kciuk i wyszczerzył zęby od ucha do ucha.

# ZNOWU SIĘ PANI ŚPIESZY 11

Rankiem pierwszej wiosennej niedzieli, zaraz po mszy o ósmej, kiedy załoga z St Marie's szykowała śniadanie (to znaczy wikary szykował, a proboszcz czytał najnowszą Cherezińską, przysłaną mu z rekomendacją przez Gośkę), zadzwoniła komórka Janka. Ksiądz Tadeusz natychmiast przybrał pozycję „baczność!", ale już po chwili zorientował się, że to nie Bachowie, tylko Róża, więc spokojnie nałożył sobie na talerz twarożku ze szczypiorkiem i zaczął go bez pośpiechu konsumować, śledząc jednocześnie zawiłe losy Władka Karła, czyli Łokietka, i jego siedmiu adwersarzy. A może ośmiu?

Jasiek gadał długo i wesoło, wreszcie przysiadł się do księdza Tadeusza.

– Mama, tak? – zagadnął proboszcz z ciekawością. – Nie może się doczekać?

– No jasne – powiedział kpiąco wikary. – I to nie tylko ona – dodał i mrugnął, odsuwając się nieco na wszelki wypadek. – A nikt nie chce truć głowy Elce, żeby jej, biedaczki, nie denerwować, więc wszyscy radzą sobie inaczej. Ale spoko, Elka ma czas, lekarz sto razy jej mówił, że ma celować najwcześniej w Wielkanoc. Dzisiaj jak zawsze przyjdą na mszę do księdza.

Ksiądz Tadeusz odłożył książkę grzbietem do góry, co nie bardzo mu wychodziło, bo tom był niezwykle opasły i nie dawał się porządnie rozdziawić. A nie można było jej położyć normalnie, tekstem do góry, bo akurat wypadał jakiś pikantny, żeby nie powiedzieć obsceniczny, moment i jeszcze by ten młokos zauważył. A momentów było całkiem sporo, rzekłby, że z fascynującą regularnością raz na pięćdziesiąt stron.

– Jak to się fajnie układa – stwierdził. – Ciekawy ten dwa tysiące piętnasty rok. Eli rodzi się dziecko, a ja jestem dwa razy starszy od

ciebie. Nowa gwardia…

– Tak naprawdę to ksiądz będzie ode mnie dwa razy starszy dopiero we wrześniu przyszłego roku – powiedział z uśmiechem Jasiek.

– Jakżeś ty to policzył, matematyczna głowo? – zdumiał się.

– Prosta sprawa – skrupulatnie zaczął wikary. – Urodziłem się dwudziestego siódmego grudnia osiemdziesiątego piątego, kiedy ksiądz miał dokładnie trzydzieści lat, osiem miesięcy i dwadzieścia dwa dni. Ja będę miał tyle osiemnastego września przyszłego roku. Tak mniej więcej, bo nie sprawdzałem lat przestępnych…

– Masz rację. – Pokiwał głową. – Wiesz, ja się urodziłem w Wielki Wtorek. I tak się złożyło, że pierwszy raz w życiu będę miał urodziny w samą Wielkanoc. Sześćdziesiąte urodziny! – dodał z dumą.

– Naprawdę? – zdziwił się Jasiek. – Zaraz, niemożliwe… Przecież pięć lat temu…

– Wtedy wypadało mi w Poniedziałek Wielkanocny – przypomniał.

– Tak, oczywiście – policzył szybko Janek. – Już pamiętam. Tylko wierzyć mi się nie chciało, że przez sześćdziesiąt lat Wielkanoc ani razu nie była piątego kwietnia!

– To jeszcze nic! – zapalił się. – Słuchaj, chodzi mi po głowie taki artykuł o symbolice dat we *Władcy Pierścieni* – powiedział z lekkim zawstydzeniem. – Już trochę napisałem. Na pewno tata wam opowiadał, że dwudziesty piąty marca, czyli dzień bitwy pod Czarną Bramą i unicestwienie Pierścienia, to była stała data Wielkanocy w dawnej Anglii, dopiero potem to się zmieniło… – Jasiek potakiwał, to była ulubiona gadka taty. – Wyobraź sobie, że Wielkanoc przypadła dwudziestego piątego marca w roku pięćdziesiątym pierwszym, na cztery lata przed moimi narodzinami. A następny raz będzie dopiero w dwa tysiące trzydziestym piątym! Musiałbym dożyć wieku księdza Wincentego, żeby się doczekać… Ty za to zaliczysz dwa razy, potem będzie jeszcze w czterdziestym szóstym.

– Na upartego ksiądz by się też załapał, i to na obie… – zakpił dobrotliwie Jasiek.

– Daj spokój, Janeczku – powiedział ciepło. – Nie chciejmy za dużo.

I zmieniając temat, zapytał:

– Ale w Wielkanoc jesteśmy umówieni na obiad w Boglily, tak?

– Dzisiaj też – potwierdził z uśmiechem Jasiek. – Bez względu na przebieg wydarzeń.

Bez względu na przebieg wydarzeń… Gdybyś ty, chłopie, wiedział, co mówisz, może byś się zastanowił choć trochę!… Ale tak to już jest z mężczyznami – księżmi w dodatku – i ich analitycznym podejściem do rzeczywistości. Gadu gadu o datach Wielkanocy, a ty się, kobieto, męcz!

W tym samym czasie, kiedy wielebnych frapowały tematy wyższe, umęczona ciążą Elunia przeciągnęła się błogo w pościeli, czekając, żeby jej ukochany mąż dostarczył śniadanie. Robił to niezmiennie i wytrwale od ośmiu… nie, od dziewięciu miesięcy, bo pierwszy raz przyniósł jej śniadanie do łóżka w niedzielny poranek po ślubie. Rewelacyjna ciotka Anioł przewidziała także to, że nie będzie im się chciało ruszyć z zamku wcześniej niż w środku dnia, więc zaopatrzyła apartament we wszystko, co potrzebne do skomponowania wykwintnego posiłku. Cudowne to było, kiedy obudził wtedy Elkę zapach grzanek, świeżo zaparzonej kawy i truskawek; miała zapamiętać ten zestaw na wieki. Śniadanie spożyli z Davidem odziani w białe, frotowe szlafroki, które dopiero rano odkryli przygotowane skrupulatnie na krzesłach przy łóżku…

Elka, jako typowa kobieta, do świata miała podejście syntetyczne. Wnikliwe spostrzeżenia zbierała w całość, przy czym, nie da się ukryć, świadomie lub nieświadomie, a zgodnie ze swoją naturą dokonywała selekcji wspomnień, odrzucając złe i smutne, a pieczołowicie przechowując i pielęgnując te dobre. Co nie znaczy, oczywiście, że rzeczywistość nie potrafiła jej zirytować, i to jeszcze jak. Najbardziej zaś wkurzało ją powtarzane przez wszystkich jak mantra: „Czemu ty się tak śpieszysz?!”.

Dobra, rodzinka była na poziomie i nikt wtedy w sierpniu nie truł, że po co tak szybko i jak ty, córeczko, teraz sobie poradzisz ze wszystkimi obowiązkami: mąż, dom, dziecko, studia, praca… No, może babcia coś tam bąknęła, ale szybko się ją spacyfikowało. I oczywiście Dominika, ale z Dominiką to było coś zupełnie innego.

Ela uśmiechnęła się błogo do wspomnień. Na weselu z rozmysłem nie przewidziała ceremonii pod tytułem rzut bukietem ślubnym; zawsze ją to trochę śmieszyło, zresztą co tu dużo gadać, było jej tego bukiecika żal. David tak się namęczył, żeby zdobyć różę, i potem, żeby ją przewieźć! Poza tym trzeba było pamiętać, że towarzyszyły im w zaślubinach dwie panny, choć jedna pełniąca obowiązki best mana. Więc mimo wszystko zręczniej było nikogo nie wyróżniać, a jak widać na załączonym obrazku, Dominika i tak sobie poradziła. Bukiecik natomiast stał na honorowym miejscu przez dwie noce w zamkowym apartamencie, nasycając go swym niezwykłym zapachem, a potem „wrócił się przez morze", by zostać pieczołowicie zasuszonym w Achtoty.

Kto by zresztą śmiał imputować jej jakiś tam niewczesny pośpiech, niech spojrzy na kuzynka Miłosza i Dominikę. Ci to dopiero mieli tempo! Nawet Elunia, której rzekomo tak się śpieszy, nie zakochała się w swoim najdroższym Davidzie od pierwszego wejrzenia. A od którego? No cóż, jeżeli policzyć jeden dzień na jedno wejrzenie, to powiedzmy, że od siódmego. Albo coś w tym rodzaju. Kuzynka natomiast ścięło tak jak stał, wystarczyło popatrzeć na zdjęcia, które pstrykał na ślubie: na pierwszym planie urocza druhna w liliowej sukience, a gdzieś tam w tle państwo młodzi, i tak na każdym jednym ujęciu. Dobrze, że przewidzieli wtedy – chyba pod natchnieniem świetej Pulcherii! – usługę zdublowaną w wykonaniu Herberta, inaczej nie mieliby porządnej ślubnej fotografii. Musieliby zrobić sesję zdjęciową, a tego oboje nienawidzili jak zarazy, uzgodnili to już dawno podczas niekończących się pogaduszek na Skypie. Przez ten prawie rok pouzgadniali zresztą wiele innych spraw

i można uznać, że rezultat tych uzgodnień miał lada chwila zobaczyć światło dzienne.

Skrzypnęły drzwi, David wniósł tacę.

– *Hi, Bach!* – powiedział radośnie. To był ich rytuał i żart jednocześnie, bo „bach" po walijsku znaczyło przecież „mała". A kiedy ktoś niedyskretny dopytywał się: „Jak ten twój zagraniczny mąż do ciebie mówi?", mogła prawdomównie, acz perfidnie odpowiadać, że po nazwisku. Ciotka Beata z wujem Michałem też zresztą mówili sobie po nazwisku i było to bardzo fajne: mój Aniele…

– Bez zmian? – David oszacował ją uważnie. – Wszystko okej?

– No jasne! – oparła energicznie, odwzajemniając uśmiech. – Spokojnie, Dai, mamy czas! – Elka mówiła do męża po walijsku „Dai" tylko gdy byli sami, on zaś odwzajemniał jej się, starannie i z czułością wymawiając „Elciu".

To było w owo pamiętne lato, w jakiejś kompletnej głuszy w bok od Aviemore, kiedy zygzakami zjeżdżali na południe; zatrzymali się, żeby zjeść tradycyjne kanapki i wtedy ona zapytała, jak się zdrabnia „David".

– W Walii mówi się Dai – odpowiedział z jakimś dziwnym napięciem, jakby na coś czekał.

– Dai – powtórzyła, unosząc głowę do góry, bo w końcu była pomiędzy nimi niemal stopa różnicy.

I tak się potem porobiło, że na wysokości Pitlochry mieli już wszystko zaklepane i dogadane.

„Ciekawe" – pomyślała Ela. „Nigdy nie słyszałam, żeby mama mówiła do taty inaczej niż po prostu »Robert«". Fakt, każde zdrobnienie brzmiałoby cholernie głupio i nie nadawało się dla prawdziwego faceta, jakim bez wątpienia był tata. Nawet Brendan nigdy nie zwracał się do przyjaciela „Bertie" czy „Bob". „Może w zaciszu alkowy mama mówi: »mój ty Berenie« albo coś w tym rodzaju" – zastanowiła się i twarz jej się rozjaśniła, na co David patrzył z niekłamanym ukontentowaniem. Bardzo, ale to bardzo lubił te żonine uśmieszki.

– Tobie też się śpieszy? – zakpiła Ela i roześmieli się oboje.

Tak jak opowiadała swego czasu Gośce, już sympatyczny ginekolog w Edynburgu nabijał się z niej, że wszystko chce załatwić w przyśpieszonym tempie. Potem w Kirkcaldy trafiła pod opiekuńcze skrzydła starszej pani doktor, która potwierdziła diagnozę swojego kolegi i wszelkimi siłami hamowała jej zapędy. Bo Elka na ten przykład chciała się jak najszybciej upewnić co do płci potomka, pełna ufności w doskonałość brytyjskiego USG.

– Dziewczyno, litości! – utyskiwała pani doktor. – Czego oni was w tej polskiej *high school* uczą?! Kiedy u płodu różnicują się cechy płciowe, co?

– W trzynastym tygodniu! – powiedziała dumnie Elka. Wiedzy tej bynajmniej nie wyniosła ze szkoły, tylko z niezawodnego internetu.

– W trzynastym tygodniu to ty sobie możesz guzik u spodni przesunąć, ale u ciebie nawet to nie jest potrzebne – warknęła lekarka. – Gdzie ty masz trzynasty tydzień, gdzie? Mówiłam, że góra jedenasty! Poczekajże trochę, cierpliwości!

Elka obrażała się tylko troszkę, bo pani doktor, mimo bezpośredniego stylu bycia, wzbudzała zaufanie. Powinna była nauczyć się czegoś na błędach siostry, ale cóż, musiała koniecznie wiedzieć, czy potrzebna jest żeńska alternatywa dla Angusa. Bo prawdę mówiąc, na imię dla dziewczynki nie miała pomysłu. Po tych wszystkich przygodach taty wolała nie kombinować z Galadrielą. Jasię wyeksploatowali Szczęśni, zresztą z przyczyn oczywistych preferowała to imię w oryginale, czyli w wersji męskiej. Jan jednakże musiał poczekać, na Angusa byli zdecydowani od samego początku. Czyli od kiedy? No, powiedzmy, od Perth. Dobra, może nie od Perth, ale od Edynburga na pewno.

Można było, oczywiście, pójść po linii imion pochodzących od kwiatu, żeby było po hobbicku, ot, Lily chociażby. Przy okazji byłoby po potterowsku. Ale jakoś jej się odechciało takich wyczynów – przebacz, tato! Jak matka z *Przyślę Panu list i klucz* chciała mieć swoją córeczkę, a nie literackiego cudaka. Czytelnik chciał o coś

zapytać? Coś imputować? Że jakby ojciec dziecka zaproponował Celebríanę albo Lúthien, to nie wahałaby się ani chwili? Wierutne kłamstwo! Prawdą i tylko prawdą było to, że kiedy wróciła wtedy do domu i zaczęła wyżalać się odrobinę na wyrost na panią doktor, David przytulił ją i powiedział:

– Jakby była dziewczynka, to co sądzisz o Winifredzie? – Czym problem został zamknięty raz na zawsze, niemniej mała Winnie (ewentualnie Gwenny, jak kto woli po walijsku od Gwenfrewy) też musiała swoje cierpliwie odczekać.

David wyłożył śniadanie na stoliczek użyteczności wszelkiej (do laptopa, czytania i jedzenia, a także służący jako budka dla Felusi) i ustawił go obok Eli. Obok, bo na kolana mimo wszystko już nie wchodził. Przysiadł z drugiej strony i zgodnie przystąpili do konsumpcji. W tym momencie zadzwonił telefon.

– To mama – wyjaśnił David. – Co mam powiedzieć? – spytał i mrugnął do swojej ukochanej żony.

– Chcesz dostać? – burknęła ukochana żona, chrupiąc grzankę z łososiem. Na talerzyku czekała na swoją kolej grzanka z nutellą.

– Cześć, mamo – powiedział wobec tego radośnie David. – Nie, jeszcze nic się nie dzieje. Co wam się tak śpieszy? – I wykrzywił się paskudnie, pewien bezkarności, bo jego Elunia nie ryzykowałaby wszak rękoczynów, pojadając nutellę. Słuchał uważnie dłuższą chwilę. – Tak, jasne, zadzwonię natychmiast. Tak, mamo, oczywiście, zaraz jej to powiem. Pa! – Odwrócił się do Eli, oznajmiając uroczyście: – Twoja teściowa cię uwielbia, co kazała niezwłocznie przekazać!

– Lizus – syknęła admirowana synowa, ale uśmiechnęła się radośnie. Ona też lubiła swoich teściów, oboje. Byli umówieni, że przyjadą do nich, jak tylko dziecko się urodzi, przy czym Ela wręcz słów nie miała dla zdrowego rozsądku swojej własnej mamy: Róża też palpitowała, też nie mogła się doczekać, ale jednocześnie niezwykle roztropnie oddawała cały honor Brendanowi i Jennifer, którzy wszak dziadkami mieli zostać po raz pierwszy. Wiedziała

doskonale, że dwie teściowe pod jednym dachem to za duże wyzwanie dla położnicy i zamówiła się dopiero po zakończeniu polskiego roku szkolnego, ale za to na cały miesiąc. I mieli wtedy pojechać razem do Achtoty!

– No, mała, jak jeszcze nie rodzisz, to się rusz! – pogonił ją brutalnie najdroższy małżonek. – Proboszcz cię kocha może nawet bardziej niż moja mamuśka, ale mszy dla ciebie nie opóźni!

Wstała zatem, i to całkiem sprawnie i energicznie, wcale nie była aż taka gruba. Mówiąc szczerze, zupełnie nie była gruba i to ją troszkę martwiło; pani doktor uprzedzała, że dziecko będzie małe, a wiadomo, że wszystkie młode mamy licytują się na wagę urodzeniową bobasów. Cóż, Gośki i Jagódki nie przebije, trudno. Ale efekt był taki, że postronni niemal do samego końca nie zorientowali się, że jest w ciąży, bo niewielki brzuszek znikał w fałdach obfitych bluzek, tunik i szali, co powodowało nie raz i nie dwa trochę zabawne, a trochę irytujące nieporozumienia.

Mianowicie następnym w kolejce z gatunku tych, co to pytali: „Czemu się pani tak śpieszy?", był profesor z wydziału sztuki. Dopadła go zaraz na początku roku akademickiego, roztoczyła wszystkie swoje wdzięki i choć trochę nieformalnie, ale zaklepała indywidualny tryb studiów. Pan profesor się zachwycił, bo, prawdę mówiąc, tutejsi studenci byli odrobinę rozmamłani, zblazowani i robili łaskę, że w ogóle przychodzą na uczelnię. Nie widział też absolutnie żadnych przeciwwskazań, żeby jego podopieczna realizowała studium dość, powiedzmy, hermetyczne, mianowicie projektowanie katolickiego stroju liturgicznego, bowiem Elunia ze swoim żelaznym charakterem i precyzyjnie wytyczonymi planami była jak perła, na którą należało chuchać i dmuchać. Absolutnie więc nie kaprysił, kiedy co miesiąc meldowała się u niego z następnym pomysłem i kolejnym rozdziałem licencjatu. Ale w końcu, gdzieś tak w drugiej połowie lutego, kiedy go osaczyła i pilnowała skrupulatnie terminu oddania pracy dyplomowej, padło to nieuchronne:

– *My dear Elanor*, po co ci to tempo? Gdzie ty tak gnasz, dziewczyno? *Relax!*

– Chciałabym zdążyć przed porodem – wyjaśniła z uroczym uśmiechem.

– A któż to rodzi? – zaśmiał się dobrodusznie profesor, przypuszczając, że ta przemiła Polka źle się wyraziła. – Bez ciebie się nie obędzie?

Elce zrobiło się trochę wstyd. Wiedziała, że jej ciąża jest mało widoczna, ale żeby aż tak bardzo?

– Ja rodzę, panie profesorze – powiedziała speszona.

– Nie żartuj! – prychnął profesor. – Kiedy? Za dziewięć miesięcy?

Teraz już Elunia się wkurzyła.

– Na Wielkanoc! – wyrzekła z godnością. Chciała powiedzieć „za miesiąc", ale w ostatniej chwili ugryzła się z język. A nuż te doktory mają rację?

Profesor uniósł okulary i przyjrzał jej się od góry do dołu bardzo uważnie.

– Pani wybaczy, Mrs Bach – powiedział kurtuazyjnie. – Myślałem, że pani po prostu jest przy kości…

Żeby nie to, że Elce bardzo zależało na dobrych układach, no i dlatego, że profesor był spoko gość, pewnie poleciałyby wióry. A tak poprzestała na zimnym uśmiechu numer cztery pod tytułem „świetny dowcip, cha, cha!".

Jej kompleksy ukoił dopiero ukochany mąż.

– Czego ty się, mała, rzucasz? – powiedział trzeźwo. – Masz metr pięćdziesiąt? To się ciesz, że dziecko jest nieduże, tak ci zależy, żeby rodzić trzy dni? – A ponieważ dalej kręciła głową, dodał argument ostateczny i nie do odparcia: – Zachowujesz się, jakbyś nie pochodziła z Niziołków! Znam dwóch byczych facetów o tym nazwisku, a co najmniej do jednego pasuje ono jak ulał. No to do Angusa będzie pasowało Bach!

Dopiero wtedy przestała się przejmować. David jak zawsze miał rację.

Pojechali do kościoła na jedenastą, tak w tym tygodniu wypadało. Na początku chcieli chodzić na zmianę raz do Janka, raz na mszę po polsku w St Marie's, ale bardzo szybko się zorientowali, że wyszedłby z tego absurd: ani świeży konwertyta, ani Szkotka z wyboru nie nabraliby rutyny uczestnictwa w najzwyklejszej liturgii po angielsku. Wprowadzili zatem poprawkę, rozpisali grafik nie na dwie, ale na cztery msze, co w ich kalendarzu wyglądało jak wyrafinowany szyfr: J. en. 8, f. T. en. 11, f. T. pol. 1:30, J. trid. 7. Na dziś przypadała oczywiście msza po angielsku u księdza Tadeusza, a potem miało się zobaczyć w zależności od rozwoju wypadków.

– Witaj, Eluniu! – rozpromienił się na jej widok proboszcz. – Jak się czujesz? Ciągle nic?

Elka szybko przydepnęła nogę Davida, żeby nic kompromitującego nie chlapnął, bo łobuz już otwierał usta, i powiedziała z radosnym uśmiechem:

– Nie, ale spokojnie, proszę księdza, mnie się naprawdę nie śpieszy! – Ksiądz Tadeusz był u niej w hierarchii bardzo wysoko, więc wolno mu było tyle samo co Dominice albo nawet więcej. – Czekamy o trzeciej z obiadem, będą gołąbki! – dodała.

– Gołąbki?… – powiedział z rozmarzonym zachwytem proboszcz. Janek był dobrym kucharzem, ale potrawy przyrządzał w locie i nie miał czasu na zabawę w precyzyjne zawijanie farszu w kapuściane liście. Elka coś mogła o tym powiedzieć; wczoraj stała przy garach ze dwie godziny, aż ją nogi rozbolały. Ale dla księdza Tadeusza było warto.

Zaraz na początku wielkiego postu zapytała Janka, czy może robić mięsne obiady.

– No pewnie! – odpowiedział beztrosko braciszek. – Tym bardziej w niedzielę! Poza tym wiesz, jak trudno wymyślić dla diabetyka jarskie danie? Makaron nie, pierogi nie… Ryba owszem, ale nie w panierce… – Jak czytelnik pamięta, gotowana ryba jest obrzydliwa, więc Janeczek stosował konsensus: smażył ją na oliwie z oliwek bez mąki lub z minimalną jej ilością i przywierało mu do patelni tylko co

trzeci raz. – A jak długo można wpieprzać warzywa, zresztą sałatki to on dostaje na kolację – dodał jeszcze melancholijnie.

Więc tym razem Elka się postarała: gołąbki były ultradietetyczne, z indyczego mięsa przyprawionego ziołami, gotowane w soku pomidorowym „Tabasco". Były pyszne i miały tylko jedną wadę: w pół godziny po konsumpcji człowiek miał nieprzepartą chęć, żeby czymś się dopchnąć. Chociażby dietetycznym jogurtem… Z kawą, powiedzmy.

Przy kawie i jogurcie naturalnym bezcukrowym (ale za to z wrzuconymi do środka mrożonymi malinami, co wyglądało prawie jak lody – cóż, „prawie" robi dużą różnicę…) rozmowa zeszła, co było łatwe do przewidzenia, na dzieciątko, a w dalszej kolejności na imię, które miało nosić.

– Angus, tak? – powiedział przyjacielsko proboszcz. – No właśnie, już dawno chciałem zapytać: to na cześć MacGyvera?

Szwagrowie zastygli w napiętym, by nie rzec spłoszonym oczekiwaniu na sceny gorszące. Każdemu innemu na miejscu księdza Tadeusza Elunia wbiłaby tę swobodną supozycję z powrotem do gardła. Jednakże, jak było powiedziane, proboszcz miał status specjalny, wyższy nawet od Dominiki, nie mówiąc o ukochanym bracie, który już co najmniej raz miał przyjemność oglądać siostrzyczkę jako drapieżnika w akcji.

Zatem i David, i Janek odetchnęli z ulgą, kiedy Ela uśmiechnęła się tylko i odparowała lekko:

– W MacGyvera to się zabawiali Pip i Merry, jak mieli z dziesięć latek, ja byłam za mała! Za to oni produkowali bomby z nawozu do kwiatków, dobrze, że im nie wyszło… – I dodała niewinnie: – A ksiądz to oglądał razem z ministrantami?

– Tak – potwierdził proboszcz prawdomównie. – Nawet majowe przesunąłem na szesnastą, żebyśmy mogli zdążyć. Świetny serial, dzieciakom się bardzo podobał. „I mnie też" – dodał w myśli.

– To było już na Krzesinach? – spytała ciekawie mama Angusa.

– Nie, to była końcówka mojego wikariatu. Zaraz potem w uznaniu zasług dali mi probostwo – zakpił lekko, a Jasiek pomyślał: „Aha, w uznaniu zasług! Do najmniejszej i najbiedniejszej poznańskiej parafii! Skąd ja znam tę taktykę: tak wyróżnić, żeby ukarać…”.

Proboszcz chciał coś jeszcze dodać, może o kulisach tejże nominacji, ale machnął ręką. Najrozsądniej było o tym zapomnieć, dzień był taki pogodny…

– A raz zrobiłem majowe ekspresowe, bez śpiewów – przyznał się bez żenady. – Bo mieli rozstrzeliwać Drużynę A…

Rozmawiali potem jeszcze o wszystkich krewnych i znajomych Królika; obgadali najpierw Gośkę z Fredem, nie szczędząc przy tym pochwał dla szwagra, który zgodnie z obietnicą wpadł na tydzień i zainstalował wszystko, co potrzebne dla dziecka, z suwaną kołyską na specjalne życzenie młodej mamy włącznie. Potem przerzucili się na Merry’ego i Wiolę, by skończyć na Miłoszu i Dominice; Ela pokazywała zdjęcia z ich ślubu, aż w końcu przed szóstą wikary przypomniał, że trzeba się zbierać. Ksiądz Tadeusz chętnie by jeszcze został, ale Jasiek bez litości pogonił go tymi słowy:

– Niech się ksiądz nie miga, sam ksiądz mówił, że musi się nauczyć do wakacji! Poza tym strzeżonego Pan Bóg strzeże – dodał ciszej, mrużąc lewe oko, a proboszcza aż ręce zaświerzbiły, żeby przyłożyć temu smarkaczowi, który zawsze bezbłędnie potrafił przejrzeć jego intencje, ale przy Bachach nie wypadało.

Umówili się zatem na Wielkanoc bez względu na okoliczności, Elka obiecała upiec kaczkę z jabłkami – również bez względu na okoliczności, jak zapewniła solennie. Pewnie dlatego, jako osoba solidna i słowna, przystąpiła do produkcji świątecznych przysmaków dużo wcześniej, by gotowe wepchnąć do zamrażalnika. David natomiast wysprzątał całą stodołę na wysoki połysk, żeby mama nie miała do czego się przyczepić. To jest, bzdury, Jennifer by się miała czepiać! To już prędzej doktor Bach wypatrzyłby jakiegoś potencjalnego mikroba, który a nuż skoczyłby na maleństwo! Ale mimo wszystko inspekcję starszych należało traktować poważnie,

więc David pościerał nawet kurz z belek stropu, co do tej pory czyniły wyłącznie koty. Własnym ciałem.

Zaiste, przezorność godna pochwały.

Wieczorem w Wielką Sobotę dom wypełniał miły zapach bigosu sporządzonego specjalnie na cześć teścia, a Elka z westchnieniem zasiadła w fotelu z Felcią na kolanach. Była zmęczona, tak zmęczona, że dała sobie nawet dyspensę od Triduum Paschalnego, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, ale w tych okolicznościach nikt nie mógł jej mieć tego za złe. A do tego Angus tak jakoś się rozpychał.

– Biorę prysznic i idę do łóżka – oznajmiła.

W łazience znowu poczuła, że dzieciątko nie ma zamiaru jej odpuścić.

„A może to skurcze?" – zastanowiła się frasobliwie. „E, chyba nie. Nie będę robić alarmu, znowu się zacznie gadanie, że mi się śpieszy".

Problem polegał na tym, że Elunia jako debiutantka nie za bardzo wiedziała, co to są skurcze. To znaczy teoretycznie wiedziała wszystko doskonale, a nawet za dużo (postraszyła się zupełnie niepotrzebnie artykułem o patologii ciąży i porodu). Praktycznie zaś, kiedy pani doktor indagowała ją trzy dni temu: „Skurcze są?", odpowiadała dla świętego spokoju „nie". Bo co miała powiedzieć? „Nie wiem"? I wyjść na idiotkę? Od Gośki dostała behawioralną instrukcję: będziesz, mała, co chwilę do kibla biegać! A ona na razie nigdzie nie musiała biegać. Dobra, czas spać.

Koło północy wysunęła się z opiekuńczych ramion męża i ruszyła do łazienki.

– Co się dzieje? – David podniósł czujnie głowę.

– Nic, śpij, wszystko w porządku – uspokoiła go odrobinę zaspanym głosem.

Za trzecim razem, tak mniej więcej po godzinie, David wstał razem z nią.

– Elciu, kochanie – powiedział czule czysto po polsku. – Może jednak przygotuję wóz?…

– Nigdzie nie będziemy pędzić! – odrzekła stanowczo. – Gośka pojechała do szpitala o siódmej rano i najpierw ją przetrzymali na izbie przyjęć, a potem nie pozwalali jej chodzić i nie dawali pić przez calutkie przedpołudnie! – To ostatnie wstrząsnęło Elunią najbardziej, więc pośpiesznie poprosiła:

– Zrób herbatę, co? Posiedzimy, podrapiesz mnie po plecach…

David dla żony zrobiłby wszystko, ale po następnych dwóch godzinach zaczął się jednak leciutko niepokoić. Ela nie mogła usiedzieć w miejscu dłużej niż dziesięć minut, wstawała, podpierała się o meble. Wreszcie nie wytrzymał nerwowo i zadysponował:

– Ubieramy się, mała! Możemy jeszcze poczekać, ale jakby co, to zrobimy tylko szybki podskok!…

– Dobrze – wyjątkowo spolegliwie zgodziła się Ela. – Ale, Dai, to musi trochę potrwać, naprawdę nie ma sensu… – przerwała, oddychając głęboko jak na filmie szkoleniowym na YouTube – … zwalać się do szpitala o czwartej nad ranem przy świętej Wielkanocy! Przecież tam nikogo nie będzie! Sami stażyści! Wytrzymajmy chociaż do rannej zmiany!

David nie mógł odmówić tym słowom sensu, ale kiedy po kolejnych trzech kwadransach stało się oczywiste, że jego mała, dzielna żona ma skurcze co pięć minut, zarządził twardo:

– Bez dyskusji! Jedziemy!

– Tylko nasypię Felusi karmy – powiedziała szybko Elka.

„Do cholery z kotem, tutaj nie zginie” – chciał odwarknąć David, ale wiedział, że miałby wtedy kompletnie przechlapane, więc z zaciśniętymi zębami błyskawicznie napełnił miseczki jedzeniem suchym, mokrym i wodą, preparat na kłaki w żołądku zostawiając jednakże na lepsze czasy.

W połowie drogi przez ciemne podwórko czule podtrzymywana Elka zatrzymała się nagle.

– Tak, kochanie?… – spytał prędko David.

– Nic, nic – odpowiedziała mężnie wojowniczka Rohanu. – Jedźmy! – A co miała za dużo gadać, że chyba odeszły jej wody. Też tak za

dobrze nie wiedziała, jak to powinno być, na filmach było różnie.

Trzy mile do Victoria Hospital David przejechał z kwikiem opon na zakrętach w niespełna pięć minut. Elka siedziała wczepiona w kokpit jak na przełęczy pod Applecross. Nie ma co ukrywać, że w drodze z auta do izby przyjęć silne ramiona męża bardzo jej się przydały.

W środku, zgodnie z najczarniejszym scenariuszem, siedział stażysta, który jako młody medyk musiał mieć te dwadzieścia pięć lat, ale gdyby go spotkała na ulicy, nie dałaby mu więcej niż osiemnaście. Na ich widok poderwał się służbiście, mało nie przewracając kubka; młodzieńcza, piegowata twarz była pełna szczerej gotowości.

– Proszę spocząć! – powiedział ochoczo i sięgnął po kilometrowy formularz. – Nazwisko pani?

– Elanora Bach! – odpowiedział David za żonę, bo ta ostatnia dyszała właśnie jak przy podejściu na Kopę Kondracką.

Trzeba oddać młodemu doktorowi sprawiedliwość, że zareagował błyskawicznie.

– Potem skończymy! – zadecydował. – Proszę na badanie! A pan… – zawahał się – …to ma być poród rodzinny? To proszę do końca korytarzem, tam dadzą panu ubranie i zaprowadzą na porodówkę.

Ela już miała zawołać: „Nie odchodź!”, ale uznała, że trzeba trzymać fason do końca.

Stażysta niespodziewanie fachowo wypełniał swoje powinności.

– To pierwsze dziecko? – upewnił się. – Ale ma pani przyśpieszenie!

Elka, pomimo sytuacji specyficznej, poczuła przypływ furii.

– Ja?! – wrzasnęła. – Ja mam przyśpieszenie?! Pięć godzin w domu czekałam!

– No i prawie przeczekałaś cały poród, dziewczyno! – roześmiał się doktorek. – Pełne rozwarcie, główka na wierzchu! Dalej, jedziemy!

Personelu pomocniczego w izbie nie było, pewnie przez tę Wielkanoc, a dzielny medyk nie chciał czekać, więc osobiście popchnął wózek do windy, wcisnął guzik, drzwi się zasunęły…

Zobaczył kątem oka, że pacjentka zaczerpnęła oddechu i czerwienieje z wysiłku, już-już chciał krzyknąć całkowicie wbrew konwencji: „Niech pani nie prze", ale uznał, że to byłby z jego strony gruby nietakt, więc tylko gorliwie podskoczył na posterunek.

W tym momencie winda zawisła.

– *Oh, fuck!*… – wyrwało się spontanicznie doktorowi. Elka chciała wyrazić to samo, tylko w mowie ojczystej, ale była zajęta czym innym.

Piegowaty stażysta uznał, że musi okazać męstwo i stanąć na wysokości zadania.

– Nic się nie martw! – powiedział heroicznie. – Najwyżej urodzisz w windzie, a co tam! Poradzimy sobie!

Mechanizm zazgrzytał ohydnie i winda majestatycznie ruszyła.

Dalej Elka zapamiętała już tylko tyle, że nagle obok doktora o młodzieńczym wyglądzie wyrosło kilka innych sylwetek, z których każda pokrzykiwała co innego, a potem…

W tejże chwili David w stroju smerfa, czyli w niebieskim ubranku i czapeczce, dotarł na salę porodową.

– Trzymaj! – usłyszał entuzjastyczny głos stażysty i w ramiona wepchnięto mu wrzeszczące zawiniątko. – Piękny chłopak!

David był mężczyzną dzielnym, energicznym i zaradnym, ale na takie dictum po prostu zgłupiał, czego z całą pewnością nikt nie mógł mu mieć za złe.

– To moje pierwsze dziecko! – powiedział radośnie stażysta.

– Nasze też! – szepnęła Elka, a David poczuł, że za chwilę całkowicie nie po męsku się rozryczy.

Dalszy ceremoniał odbył się już bez pośpiechu, zgodnie z protokołem, aż wreszcie, kiedy zostali w trójkę w przydzielonej im sali, Ela poprosiła:

– Pośpię sobie teraz, dobrze? – i dodała już prawie przez sen: – Jedź do Janka, powiedz mu…

Było przed ósmą, kiedy księża Wieczorek i Niziołek maszerowali z kościoła na plebanię; trzódka zażyczyła sobie tradycyjnej rezurekcji

o szóstej, z procesją i wszystkim, co trzeba, a oni ochoczo na to przystali. Skręcali właśnie do furtki, kiedy przy podwójnej żółtej linii zaparkował całkowicie nieprawidłowo, w dodatku lekko krzywo, daihatsu sirion, z którego wysiadł David, sprawiający wrażenie, jakby czegoś nadużył, tylko nie wiadomo czego.

– Urodził się o piątej pięćdziesiąt! – zameldował Jankowi jak wierny żołnierz swojemu oficerowi. – Wszystko w porządku, sześć i pół funta, Ela odpoczywa! – I zatonął w ramionach szwagra. Proboszcz, też cały rozemocjonowany, prędko powiedział:

– Chodź, synku, do nas, opowiesz wszystko! Tylko samochód wprowadź do środka, bo ci mandat wlepią. – Jemu samemu też się już to zdarzyło, i to przy świętej niedzieli. – Mama szczęśliwa, że ma pierwszego wnuka, co? – dodał z uśmiechem.

David zastygł. Doprawdy, tylko poród żony potrafi do tego stopnia zrobić z sensownego faceta idiotę!

– Jeszcze nie dzwoniłem… – wyznał uczciwie. – Ela kazała mi iść do Janka…

Proboszcz, jako człek bystry, w mgnieniu oka zrozumiał priorytety, niemniej zatroskał się, co teraz zrobić, bo obie babcie mogły się poczuć urażone takim traktowaniem.

– Dzwoń szybko i powiedz, że siadła ci komórka! – poradził praktycznie.

A ksiądz wikary śmiał się sam do siebie, bo oto na jego oczach działy się rzeczy niebywałe. Że David zapomniał o matce i teściowej, to pół biedy. Ale że ksiądz Tadeusz, który nie skłamał w swym życiu, odkąd doszedł do używania rozumu, teraz sam bliźniego namawia do kłamstwa, to było niewiarygodne!

Wytłumaczenie mogło być tylko jedno i właśnie dlatego wikaremu miód kapał na serce.

Dzwony biły alleluja. No, może nie tu, bo to nie było w obyczaju ogólnym. Ale biły w duszy.

# LOMOND HILLS 12

W piękne kwietniowe popołudnie ksiądz wikary z bólem męczeństwa, aczkolwiek w pełni oddania, brnął przez bliżej nieokreślone papierkowe historyjki parafialne, kiedy w drzwiach pojawił się jakże miły przerywnik w postaci Rafała Anioła.

– O, cześć! – powiedział Janek radośnie, bo miał już doprawdy dość i wolałby nawet udzielać nauk przedmałżeńskich na temat co wolno, a czego nie wolno nawet po ślubie (co w jego przypadku było kłopotliwe i drażliwe, bo uważał, że po ślubie wolno wszystko, pod warunkiem, że jest na to zgoda obu stron; nigdy przy tym nie zadawał penitentowi pytań typu „dlaczego" ani „jak", a wyłącznie: „Czy żona/mąż jest z ciebie zadowolona/y?).Jak mówi staropolskie przysłowie, pomyślał w złą godzinę. Jak mówi przysłowie, powtarza narrator, bo przecież bogobojny ksiądz nie wierzy w coś takiego jak zła godzina. – Co słychać?

Rafał był jednocześnie rozradowany i speszony, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

– Chciałbym się z tobą umówić… – zaczął z lekkim wahaniem, po czym postanowił wyłożyć rzecz po męsku – …na sporządzenie protokołu przedślubnego! – A widząc, że na Jaśkowej gębie zagościł momentalnie uśmiech od ucha do ucha, zapytał pośpiesznie: – Tak to się nazywa, prawda? Elka opowiadała…

– Zgadza się – potwierdził radośnie Janek. – Jak ma na imię?

– Christine – rozanielił się nomen omen Rafał i nie zwlekając, zrelacjonował kuzynowi krótką i dynamiczną historię, jak to robił zdjęcia mewom na plaży w Kirkcaldy i tak nieopatrznie stąpnął, że nie złamał sobie co prawda nogi, jak proboszcz, ale za to chlupnął na tyłek, ratując tylko aparat. Trzeba trafu, że jego wyczyny obserwowała pewna młoda dama, która niezwłocznie pośpieszyła

z ratunkiem, oferując mu suszenie ciuchów w swoim mieszkaniu, znajdującym się tuż za rogiem. Rafał propozycję przyjął skwapliwie, co zacieśniło ich znajomość w sposób nadzwyczaj efektywny. Ślub chcą brać we wrześniu.

– No i właśnie dlatego chciałem zapytać, jaka to będzie procedura, bo Christine… – zaczął Rafał.

– Załatwi się! – oświadczył wikary z właściwą sobie beztroską. Ciekawe, nawiasem mówiąc, jak różnie reagują pewni księża w zależności od kontekstu. A może potrzeba im trochę czasu na nabranie właściwego dystansu?

– Tylko słuchaj, Rafał – dodał Janek już całkowicie poważnie. – Jedna jest w tym wszystkim sprawa naprawdę ważna i o to będę musiał zapytać Christine w pierwszej kolejności: czy ona zna twój stan zdrowia?

– Tak – odpowiedział ze spokojnym uśmiechem Rafał. – Z pierwszej ręki. Jest recepcjonistką w szpitalu i czytała moją kartotekę od A do Z.

– Recepcjonistką, powiadasz? – zdziwił się Jasiek. – To moja dobra znajoma!

Rafał nie zdążył zadać pytania o charakter tejże znajomości, kiedy zapikała komórka. Janek spojrzał na wyświetlacz.

– *Sorry*, znowu ten pijaczek Wieczorek – westchnął i zaczął szybko odpisywać. Tylko dlatego nie zauważył okrągłych ze zgrozy oczu Rafała.

– Dlaczego… pijaczek? – zapytał słabo ten ostatni.

– Wiem, że nie powinienem tak mówić – powiedział ze skruchą ksiądz wikary – ale co prawda, to prawda. Tankuje cały czas. I jeszcze Polskę kompromituje, wstyd mi przed Davidem. Czasami już siły na niego nie mam. Zawsze zrobi swoje. Nieraz taką mam ochotę go kopnąć, żeby pofrunął z powrotem do Poznania… – Wysłał wiadomość, podniósł oczy i dopiero wtedy na widok skamieniałego z przerażenia oblicza kuzyna dotarło do niego, jak zabrzmiały jego słowa, zwłaszcza w kontekście księżowskiego pseudonimu.

Tłumaczenia trwały dobry kwadrans, zanim Rafał poczuł się nimi całkowicie usatysfakcjonowany. Na podpisanie protokołu przedślubnego umówili się na najbliższą sobotę.

W tym samym czasie ksiądz Wieczorek (narrator ufa, że czytelnik nie ma żadnych problemów z odróżnieniem) gryzł się, jak pogodzić dezyderaty rodziców szkockich i polskich co do ubranek dzieci pierwszokomunijnych. Dzieci do komunii szło dwadzieścioro, w większej części z jego podstawówki, ale było też kilkoro wolnych strzelców z obu szkół sobotnich. W Poznaniu na Krzesinach od zawsze, to jest od czasu, kiedy zaczął tam rządzić, używano alb, bo tak było najprościej i najładniej; za pierwszym razem wszyscy rodzice przystali na to jak jeden mąż i parafia trzymała się tego przez następnych dwadzieścia lat. Tutaj natomiast…

Szkoci przeciwko albom nic nie mieli, pomysł proboszcza zaakceptowali bez mrugnięcia okiem. W ogóle ci Szkoci dziwnie przypominali poznaniaków, zupełnie jak w kawale opowiadanym przez wuja Anioła na ślubie Eli. (Kim są Szkoci? To poznaniacy skazani na wygnanie za swoją skrajną rozrzutność). Z protestanckiej gleby, na której przyszło im żyć, czerpali takie cnoty jak oszczędność i solidność, a jednocześnie, jak to z właściwą sobie dezynwolturą zauważył wikary, mieli silne poczucie własnej wartości i pewnie dlatego nie odczuwali potrzeby strojenia się w pawie pióropusze.

Nasi z kolei… Ręce opadają! Przywieźli tu chyba ze sobą wszystkie kompleksy szaraczka Europy i za wszelką cenę, w sposób najbardziej literalny, chcieli pokazać światu, że stać ich na kupno najdroższej sukni. Z trenem. Bo jak wyraziła się pewna matka o albach, ona w takie szmaty córki nie ubierze. Zgroza!

Na szczęście ksiądz Tadeusz uznał w olśnieniu, że przecież ma pod ręką fachowca od projektowania ubioru i do kogo innego właściwie miałby zakołatać o konsultację i pomoc. Wybrał tedy numer Elki.

– Szczęść Boże! – usłyszał jej pogodny, energiczny głos i tylko się uśmiechnął. – Coś nie w porządku? – dopytywała się momentalnie

z niewiarygodnym instynktem, zupełnie jak brat. – Co mam zrobić? – pośpieszyła z deklaracją, jakby nie miała małego dziecka na głowie.

Wobec tak otwarcie postawionej sprawy mógł jej się wyżalić bez skrupułów. Elka zareagowała bez namysłu.

– Załatwione, proszę księdza! Jak ksiądz jutro przyjdzie na obiad, projekt będzie czekał gotowy.

– Dasz radę? – zatroskał się. – Może lepiej w tygodniu podskoczę…

– Nie ma na co czekać, i tak już późno – trzeźwo powiedziała Elka. – Kiedy ma być komunia? Dwudziestego czwartego maja, w Zesłanie Ducha Świętego? No to mamy tylko miesiąc, ci księdza niepokorni pewnie już się obkupili…

– Nie – zapewnił ją szybko. – Trochę się mnie boją – przyznał szczerze. – Decyzja ma zapaść w środę na zebraniu.

– I właśnie dlatego trzeba się pośpieszyć – ucięła Ela. – Czekam jutro, będzie miał ksiądz okazję pogadać z moimi teściami.

Poszedł z radością; Brendana i Jennifer widział w ostatnią niedzielę w Piusie, ale wymienili wtedy tylko kilka zdań. Nie dziwota, tamci byli tak oczarowani wnukiem, że nie zwlekając, pędzili z powrotem do Boglily. Wszyscy zresztą mieli bielmo radości na oczach, a wikary pobił rekord świata, bo dla swojej małej siostrzyczki zorganizował przekaz mszy on-line. Jeżeli czytelnik dysponuje odpowiednią wyobraźnią, niechże imaginuje sobie mszę w tradycyjnych klimatach z kamerką video zainstalowaną na specjalnym stojaku tuż przy ołtarzu. Instalacji dokonała biegła w tej materii, a oddana księdzu wikaremu młódź, dostarczając na tę okazję najlepszy sprzęt, jaki się dało znaleźć wśród adeptów St Andrew's. W każdym razie obraz był ostry jak żyletka, a Elunia miała niepowtarzalną okazję podejrzenia niewidocznych dotąd dla niej detali, przy czym bynajmniej nie chodziło tu jedynie o kontrolę urody *altar girls* (kto tak pomyślał, niech odmówi akt strzelisty, najlepiej żalu), ale na ten przykład o to, że po konsekracji ksiądz nie rozłączał palców, którymi dotykał Hostii. Ciekawe, bardzo ciekawe!

W niedzielę projekt rzeczywiście już czekał i po obiedzie (roladki nadziewane farszem pieczarkowym) został proboszczowi zaprezentowany: chłopcy po prostu w galowych szkolnych mundurach, dziewczynki w prostych sukienkach bez rękawów z wydłużonym stanem á la lata dwudzieste i fałdowaną spódniczką nieco za kolana, a do tego marynarka ze stójką, w sumie też rodzaj mundurka. I cześć. Uszyć może pani Mariola ze swoją koleżanką.

– W środę podrzucę jeszcze księdzu na zebranie wianuszek z gipsówki, żeby można było pokazać – fachowo objaśniała Elka.

– Z czego? – zdumiał się proboszcz.

– To takie małe, białe kwiatki, o, proszę. – Zademonstrowała rysunek. – Starsza córka naszej gospodyni ma kwiaciarnię, zrobi dla wszystkich.

W tym samym czasie, kiedy oni gawędzili o strojach komunijnych, doktorostwo Bach emablowali wnuka. Brendan położył Angusika na stole w pozycji na brzuszku i oznajmił z dumą:

– Patrzcie, jak podnosi główkę!

Faktycznie, Angus zadzierał łebek znacznie wyżej, niż jest to dla noworodka przewidziane. Brendan odwrócił wzrok od wnuka, szukając uznania w oczach obecnych i w tymże momencie przedmiot adoracji konkursowo fiknął na plecki. Gdyby nie to, że Brendan miał błyskawiczny refleks, znalazłby się metr niżej na podłodze.

– Jezu!… – jęknęła przerażona Jennifer. – Przecież on nie miał prawa tego zrobić! Ma dwa tygodnie!

Brendan fachowo przesuwał dłońmi po ciałku maluszka.

– Czego szukasz, tato? – zapytał David.

– Sprawdzam, czy nie ma wzmożonego napięcia mięśniowego – odpowiedział prawdomównie bez cienia zahamowań doktor Bach. – Nie, wszystko w porządku. Macie po prostu niezwykłego syna, uważajcie na niego – przykazał, a oczy młodej mamy zajarzyły się z dumy jak Eärendil w dublecie z Gwiazdą Wieczorną.

Następny miesiąc minął szybko; rodzice przez aklamację przyjęli propozycję Elki, a komunia wypadła szczególnie uroczyście.

Dziewczynki w wianuszkach z gipsówki wyglądały tak uroczo, że nawet ta mama, która planowała sukienkę z trenem, nie mogła powstrzymać łez zachwytu, o czym bez zwłoki zawiadomiono projektantkę. No i w całym tym rejwachu nikt nawet nie zauważył szybkiego rajdu do Edynburga w wykonaniu dwóch księży po cywilnemu. Dwóch po cywilnemu, należy podkreślić z naciskiem, bo w przypadku tego młodszego był to pierwszy raz od obłóczyn, poza łóżkiem, łazienką i pływalnią, kiedy zdjął z siebie koloratkę. Czuł się bez niej, nawiasem mówiąc, cholernie łyso. Starszy natomiast czuł się cholernie głupio, że łamie swoje zasady, ale w tym konkretnym przypadku uznał pierwszeństwo obowiązku publicznego.

Niby wszystko zatem rozwijało się pomyślnie, od spraw obywatelskich począwszy, na prywatnych skończywszy: Angus kwitł, a jego ulubioną zabawą było zarzucanie sobie pieluchy na głowę i podekscytowane ziajanie (za pierwszym, drugim i trzecim razem wszyscy reagowali paniką, potem się przyzwyczaili). Młoda mama umówiona była na obronę licencjatu w połowie czerwca i teraz tylko dorabiała jeszcze dwa dodatkowe ornaty (jeden zielony, skrzypcowy rzymski, drugi odświętny, mały antyczny), tata dostał podwyżkę…

Dlaczego wobec tego na ostatniej mszy Elka była wyraźnie smutna? Co się dzieje? Coś nie tak w Poznaniu? Nie wytrzymał, zapytał wprost.

Elka momentalnie dzielnie się uśmiechnęła.

– Niech się ksiądz mną nie przejmuje, wszystko w porządku, ja tylko tak!… – I dodała z lekkim zawstydzeniem: – Pierwszy raz od… – policzyła w myślach – …piętnastu lat nie będzie mnie na Lednicy…

– W zeszłym roku też byłaś? – zdumiał się. – Zdążyłaś ze wszystkim? Sesja, ślub?…

– No pewnie! – żachnęła się zainteresowana. – Szczególnie w zeszłym roku miałam się o co modlić! A na nabożeństwo pokutne ojciec Góra ubrał prymasa w moją kapę! – powiedziała z dumą, ale znowu lekko posmutniała. – To nic, obejrzymy w internecie – dodała, pocieszając sama siebie.

Czy to Makuszyński napisał, że na głos ukochanej kobiety mężczyzna gotów jest wspinać się po gładkich blankach, jakby to była po prostu posadzka? Tak czynili rycerze. Natomiast zwykły ksiądz Tadeusz, kochający Elkę jak ojciec, usłyszał w tejże chwili instruktaż pochodzący niewątpliwie ze sfer niebieskich.

– Nie martw się! – powiedział w natchnieniu. – Góra robi pod Rybą, a my zrobimy na górze! – Widząc zaś pełen niedowierzania uśmiech Elki, dodał: – Zostaw to mnie!

Kolejny tydzień upłynął pod znakiem krystalizacji planów.

Przyszły teść Rafała, czyli skałkarz Leo, potwierdził, że najbliżej Kirkcaldy położone są Lomond Hills.

– To nie są duże góry, żadna rewelacja – tłumaczył proboszczowi. Ale są najwyższe w Fife i mają całkiem niezłą wysokość względną, potrafią dać w kość niedzielnemu turyście. No i rozciąga się z nich wspaniały widok, dlatego mówimy o nich *beacon hills…*[9]

W środę ksiądz Tadeusz wyciągnął Janka na rekonesans jeepem; objechali cały masyw dookoła, namierzyli rekomendowane przez Leo wejścia. W sobotę obie szkółki sobotnie organizowały festyn (najpierw planowano dwa festyny konkurencyjne, ale pod wpływem złotoustej perswazji obu księży wysiłek został połączony), więc mogli się urwać. Podjechali najpierw do Alexandra, z którym proboszcz odbył wcześniej dłuższą konsultację telefoniczną, zostawili u niego jeepa, a sąsiad gospodarza podwiózł ich do Nether Urquhart, skąd ruszyli najkrótszą drogą na West Lomond Hill.

Leo miał rację, te trzysta pięćdziesiąt metrów wysokości względnej dało im popalić, ale miał też rację co do widoku, który rekompensował wszelkie trudy. Dłuższą chwilę odpoczywali na kamiennym stożku.

– Co to jest? – zdziwił się proboszcz. – Skąd to się tutaj wzięło?

– Turyści usypali – wyjaśnił Jasiek. – To taki lokalny obyczaj ogólny – dodał jeszcze perfidnie, a on tylko westchnął: „Kiedy ten łobuz przestanie mi dokuczać!”.

Ruszyli dalej w kierunku wzgórza wschodniego, które urodą bynajmniej nie ustępowało zachodniemu, przy czym uziajany ksiądz Tadeusz zżymał się:

– Co to za logika, najpierw wchodziliśmy, teraz schodzimy, po to, żeby potem znowu wchodzić!

Tak naprawdę musieli na koniec jeszcze raz zejść, tym razem do Glenrothes, wprost do posiadłości Alexandra, gdzie czekał ich dobrze zasłużony odpoczynek i posiłek. Do domu dotarli ledwo żywi, to znaczy proboszcz był ledwo żywy; dzielny wikary poszedł heroicznie odprawić wieczorną mszę.

A on siedział i myślał, wpatrując się w Elkową ikonę Judy Tadeusza. Ciekawe, że wcześniej tego nie zauważył: w aureolę świętego wpisany był krzyż, tak jakby stał on na tle krzyża celtyckiego. Specjalnie tak Ela to zrobiła?

Plany się krystalizowały.

W niedzielę zaraz przy śniadaniu przyhaczył Jaśka po linii muzycznej.

– A co tam, synku, słychać u Woli i Merry'ego? – zapytał podstępnie.

– W porządku, dałoby się ich ściągnąć, jak tylko rok szkolny się skończy – odpowiedział bezpośrednio nie w ciemię bity wikary. – W końcu nawet ten cholerny kler katolicki musi po roku ciężkiej roboty dać urlop swoim pracownikom – dodał perfidnie i wyszczerzył zęby, odsuwając się na wszelki wypadek na bezpieczną odległość.

Proboszcz udał, że nie słyszy, i potoczyła się fachowa dyskusja o nagłośnieniu w warunkach polowych.

– Na Polach Lednickich z początku ciągnęli za każdym razem kabel sam nie wiem skąd – wyjaśniał Jasiek. – Chyba agregat jakiś wojskowy podjeżdżał, o, właśnie tak, teraz już pamiętam, strasznie hałasował. Potem mieli własne media, ale to dopiero po ładnych paru latach. A w ogóle ile osób ksiądz przewiduje? – ośmielił się zapytać.

– Pięćset, może sześćset – powiedział ostrożnie. Tak naprawdę marzył o tysiącu.

– To dałoby się obskoczyć takim sprzętem pielgrzymkowo-bożocielnym – uznał praktycznie Janek. – Popytam zresztą Merry'ego, on podpowie co i jak, a o resztę poproszę Ethana i Adama.

– Oni się nie żrą? – zdziwił się ksiądz Tadeusz, pamiętny opowieści o pierwszym dniu w szkole.

– Nie, teraz to najlepsi kumple – przytaknął Jasiek, skromnie pomijając swój udział w tej metamorfozie. – Ethan jest świetny w elektroniczne klocki, a tata Adama prowadzi coś w rodzaju wioski folklorystycznej… Takie country, tylko po szkocku. Może by się dało pożyczyć to i owo. A nie chciałby ksiądz dudziarzy? – zapytał nagle z błyskiem w oku.

Ksiądz Tadeusz wyobraził sobie kolumnę dudziarzy maszerujących w kiltach pod górę do wtóru *Amazing Grace* i aż go zatchnęło na taką wizję.

– No pewnie! – powiedział gorąco.

– Załatwione! – obiecał natychmiast Janek. – Poproszę Jamesów od pań Władzi i Wandy, oni udzielają się w kółku muzycznym. Sześciu wystarczy?

Proboszcz zajaśniał jak, nomen omen, *beacon* i, zerknąwszy na zegar, porwał się w panice na nogi, bo wybiło wpół do jedenastej. Trzeba było sobie zrobić przerwę.

Zaraz jednak po polskiej mszy, kiedy Janek wziął się za przygotowanie obiadu, proboszcz zaczął kombinować dalej. W Nether Urquhart było trochę za mało miejsca na zaparkowanie samochodów. I to paskudnie ostre podejście… Więc może…

W tym samym momencie Jasiek wyszedł z kuchni i jakby nigdy nic, poświstując, wyciągnął glukometr szefa, zręcznie zamontował pasek i zaczął nakapywać na niego krew. Ksiądz Tadeusz patrzył osłupiały.

– Co jest, synu? – nie wytrzymał wreszcie.

– Tak sobie właśnie myślę, proszę księdza, że może jednak byśmy się zdecydowali na East Lomond Hill, łatwiejsze podejście – odpowiedział Janek, wylizując resztkę krwi. Jak widać na załączonym obrazku, obaj księża osiągnęli doprawdy rzadką wspólnotę duchową, nawet przy szykowaniu obiadu myśleli o jednym. To jest, oczywiście, szykował i myślał młodszy, starszy tylko myślał.

Wikary spojrzał na szefa i zreflektował się.

– A, to! – powiedział, machając sponiewieraną kończyną. – Uhajtałem się nożem i co mi się miała krew marnować…

– Ile masz? – zainteresował się proboszcz, porzucając do czasu rozważania o Lomond Hills. Zerknął na glukometr i spotniał. – Janku, rany boskie, skąd u ciebie taki wynik?! I to przed posiłkiem?!…

Jasiek pokraśniał.

– Bo, proszę księdza, jadłem właśnie czekoladę…

– Dużo? – spytał ksiądz Tadeusz dociekliwie, a jego intencją nie było, rzecz oczywista, karcenie smarkacza za wsuwanie słodyczy przed obiadem, tylko troska o jego zdrowie.

– Całą tabliczkę – powiedział Janeczek z zawstydzeniem.

– To w porządku – z ulgą odsapnął proboszcz.

Janek na powrót zniknął w kuchni, a proboszcza ruszyły wyrzuty sumienia.

„Że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy! Przecież on przy mnie jest cały czas głodny! Na tym dietetycznym żarciu! To młody chłopak, potrzebuje zjeść! W Krzesinach to chociaż dojadał w szkole, ale tu?”

Poszedł za wikarym.

– Janku – zaczął. – Tak sobie myślałem… Może byś zrobił od czasu do czasu dla siebie coś solidniejszego, schabowy albo zrazy z kluskami, ja nie będę tego jadł, przyrzekam!

Jasiek spojrzał, zrozumiał w lot, o co proboszczowi chodziło, i uśmiechnął się swoim cudownym uśmiechem:

– Proszę księdza, niech się ksiądz o mnie nie martwi! To tylko teraz tak mnie ssało, normalnie to ja sobie zawsze coś kupię

w bufecie szkolnym albo po drodze do domu, ale dzisiaj nie miałem jak… I gdzieżbym ja księdza na pokuszenie wodził schabowym albo może jeszcze pyzami! To tak jakby, nie przymierzając, pornosa sobie nastawić…

– No wiesz, ale masz porównania! – burknął, ale też uśmiechnął się do łobuza. – A co dzisiaj będziemy mieli? – Zajrzał do garnka.

– Na obiad gotowanego kurczaka z włoszczyzną, a na kolację szykuję młodą kapustkę przymuszaną – odpowiedział pogodnie wikary. Proboszcz, też poznaniak, doskonale wiedział, co to znaczy. – Właśnie przy krojeniu kapuchy nóż mi zeskoczył… Dietetyczna, bez mąki – dodał z uśmiechem. – Za to dowaliłem kminku i ziela angielskiego.

– Gdzieś ty się nauczył tak gotować? – spytał z podziwem. – W Lewes?

– To ksiądz nie wie, że każdy niziołek potrafi od dziecka sam przyrządzić sobie jedzenie? – zażartował Janek. – Jak urodziła się Elka – opowiadał dalej – był cyrk, rodzice wkoło niej skakali, mama nie miała czasu, żeby wszystko samej zrobić. Więc to była normalka, żeby po powrocie ze szkoły nastawić ziemniaki albo co; cała nasza trójka umiała zrobić proste rzeczy, to znaczy Gośka, Merry i ja. Prababcia Kotoń nas nauczyła. A potem my uczyliśmy Elkę, z dobrym skutkiem, jak widać na załączonym obrazku. W Lewes faktycznie bardzo mi się to przydało, a w seminarium jeszcze bardziej… – dodał niewinnie.

– Ach tak! – ucieszył się. – Twoja mama opowiadała, że następne roczniki przechwyciły po tobie obieranie cebuli w okularkach do pływania!

– Ciekawe, co jeszcze maty o mnie księdzu mówiła? – z namysłem powiedział kucharz doskonały, a on odrobinę się speszył, bo raz i drugi obgadali przecież Janka bez cienia wstydu. – A o jajecznicy wspominała?

– O jajecznicy? Nie! – Zaśmiał się beztrosko. – A co?

– Ano było to tak: raz na kolację w seminarium wjechała na stół wielka micha jajecznicy, a nie muszę księdzu chyba tłumaczyć, kto akurat miał dyżur w kuchni. No i ten ktoś postawił ją przed samym rektorem. Rektor zjadł jedną porcję, dołożył sobie, zjadł drugą, pomyślał i jeszcze wyskrobał resztki. Wtedy mój opiekun powiada: „Prawda, proszę księdza rektora, że Niziołek się u nas marnuje? Kto tak potrafi móżdżek cielęcy przyrządzić, powinien być szefem kuchni w Merkurym…". Przepraszam księdza za autoreklamę, mówię, jak było!

– Móżdżek? – Proboszcz przełknął ślinę.

– Rektor zzieleniał i chyba miał ochotę oddalić się pilnie na stronę, ale mężnie wytrzymał…

Ksiądz Tadeusz z napięciem oczekiwał finału.

– …i wtedy ostatecznie upadła koncepcja, żebym wręczał kwiaty sam–ksiądz–wie–komu na pięćdziesięciolecie święceń. Przekazali ten zaszczyt temu, co miał długi jęzor, a mnie odesłali na swoje miejsce, czyli do kuchni. Straszliwie spieprzyłem wtedy ciasto, miało zakalec, że hej – zakończył z satysfakcją Janeczek.

– A twój opiekun maczał w tym palce? – chciał jeszcze wiedzieć proboszcz, pamiętny własnej ciężkiej próby.

– Kto wie? – zadumał się Janek. – On w ogóle lubił odrobinę pokombinować, więc niewykluczone…

Przy obiedzie proboszcz wrócił do tematu zasadniczego, ale rozmowa o móżdżku natchnęła go kolejnym pomysłem.

– Gdzie tu jest najbliższe seminarium? – zapytał Janka.

– W Rzymie! – parsknął wikary.

– No coś ty – spojrzał zdumiony. – A w St Andrews? W Glasgow?

– Pozamykali ładnych parę lat temu – odpowiedział Jasiek. – Ostanie padło w dwa tysiące dziewiątym. I faktycznie jak się jakiś święty młodzianek przez przypadek im trafi, to posyłają go prosto do Rzymu, do kolegium szkockiego. – A widząc szczerze zmartwioną twarz proboszcza, dodał szybko: – Niech się ksiądz nie przejmuje, to seminarium w Bearsden było… nic niewarte. – W ostatniej chwili

przyhamował z brzydkim słowem. – Ale my sobie poradzimy. – W lot chwycił intencję szefa. – Niech ksiądz zadzwoni do naszego dobrego znajomego, któregośmy dopiero co wspominali – wykrzywił się paskudnie – i poprosi o wsparcie klerykalne, w dosłownym tego słowa znaczeniu.

– Do księdza Górnego? – upewnił się proboszcz. – Może masz słuszność… Jak mają tych nieszczęsnych alumnów uziemić na jakichś bogobojnych wakacjach, to niech ich lepiej przyślą do nas…

– Otóż to – potwierdził z satysfakcją Janek, rad, że nadają z szefem na jednej fali i dużo tłumaczyć nie musi. – Ja bym zadzwonił do Mikołaja, ale ksiądz wie, komórki są zabronione. – Mrugnął okiem porozumiewawczo.

– U nas była zabroniona kawa – ochoczo przyłączył się ksiądz Tadeusz. – I naturalnie młynki. A ja raz mieliłem sobie kawę w takim maleńkim młyneczku elektrycznym, aż tu do mojego pokoju wchodzi dziekan…

– I co?! – nie wytrzymał Jasiek.

– Podniosłem młynek do twarzy i zacząłem udawać, że się golę…

Wikary prychnął dietetycznym kisielem bezcukrowym do salaterki.

– …więc wyślij Mikołajowi SMS-a, będzie bardziej dyskretnie – dokończył pragmatycznie. – Niechby oddolnie skrzyknął chłopaków…

W ciągu następnego tygodnia sprawy nabrały przyśpieszenia.

Najpierw ksiądz Tadeusz owinął sobie dookoła palca dyrektorkę podstawówki celem przekonania jej, żeby zamiast mszy na zakończenie roku dzieci wzięły udział w spotkaniu modlitewnym na East Lomond Hill.

– Tylko jest jeden mały problem – mówił, patrząc jej głęboko w oczy. – To ma być czuwanie nocne. Więc musieliby z nimi przyjść rodzice…

– Nie ma sprawy, ja to załatwię! – obiecała pozostająca pod urokiem księdza prefekta dyrektorka, podbijając tym samym w sposób znaczący frekwencję przedsięwzięcia.

Nie inaczej zadziałał Janek w *high school*,ale broń Boże nie sugerował obstawy starszych, skąd! Napuścił tylko ochoczą młódź na rodzicieli, żeby każdy zorganizował, co było pod ręką, a wiedział dobrze z lednickich doświadczeń, że przyda się dosłownie wszystko: papier na śpiewniki i plakaty, worki na śmieci, drewno do zbudowania sceny, pergole ogrodowe do ochrony głośników… Jakiś tata był lokalnym żurnalistą i obiecał sprawę rozpropagować, jakaś mama przyrzekła kwiaty do dekoracji. Wujek prowadził prozaiczną, acz niezbędną życiowo firmę przenośnych kibelków, takich jak na Lednicy. Dziadek-wiceburmistrz osobiście pofatygował się do katechety, żeby powiedzieć mu dyskretnie do ucha:

– O pozwolenia się nie martwcie, trzeba zrobić tak… – I zniżył głos do ledwo słyszalnego szeptu, ale jego instrukcje okazały się wprost bezcenne.

Spece od strony internetowej bardzo poważnie wzięli się do dzieła, a wszyscy ochoczo trenowali śpiewy, zaniedbując inne sprawy. Ale co tam, i tak koniec roku szkolnego się zbliżał.

Potem spontanicznie zaczęli zgłaszać się bliżsi i dalsi znajomi. Leo zobowiązał się oznakować dwie trasy, trudniejszą z Glenrothes i łatwiejszą z parkingu koło stacji przekaźnikowej. Jamesowie skrzyknęli dudziarzy i trenowali repertuar. Chirurg od nogi i Christine mieli pełnić rolę pogotowia medycznego, a Rafał zadeklarował sporządzenie dokumentacji fotograficznej. Faceci z Kirkcaldy Motor, nie tylko znajomy Polak, ale i jego koledzy wzięli odpowiedzialność za dojazd samochodowy i organizację parkingów, chociaż tu dużo by nie zdziałali, gdyby Alexander nie wpuścił ich na swoje pole.

– A co ja mam robić? – zapytała Elka zaraz w następną niedzielę.

– Ty masz przynieść samą siebie i Angusa – uśmiechnął się ksiądz Tadeusz, ale widząc, że Elka zaraz się obrazi, dodał pośpiesznie: – Pomóż nam zorganizować noclegi, bo już pół Poznania się tu wybiera…

Może nie pół, ale wikary tak skutecznie zareklamował imprezę w rodzinie z przyległościami, że oprócz mamy i taty, którzy i tak byli

przewidziani w rozdzielniku, oraz absolutnie niezbędnych Merry'ego i Wioli z Jasią, do Kirkcaldy wybierali się jeszcze Podgórni oraz delegacja Kotoniów i Aniołów w osobach Dominiki, Miłosza i Gabriela. I Sławek matematyk. I Joasia. I chyba jeszcze pan Bogdan. Reszta też chciała, ale się ich spławiło, że przecież mieli przyjechać w sierpniu na wędrówkę. No i jeszcze babcia Niziołkowa, oczywiście, tylko babcia Kotoń ze względu na stan zdrowia wzięła na wstrzymanie, wybierając jakże rozsądnie ślub wnuka.

– Rodzice w stodole – dysponowała teraz rozsądnie Ela. – Babci już zaklepaliśmy apartament u naszych gospodarzy…

– Panie Władzia i Barbara obiecały po pokoju, a Wanda nawet dwa! – podpowiedział Jasiek.

– No to rodzinkę mamy z głowy – uznała jego przedsiębiorcza siostra. – David ich porozwozi, gdzie trzeba. A resztę upchnijcie na plebanii, zmieszczą się chyba?

– Jasne, pana Bogdana da się do gościnnego, a Sławka i Joasię rzuci na glebę w sali katechetycznej – podsumował ksiądz wikary. – W dwóch salach! – dodał prędko, zezując bokiem na proboszcza, który na szczęście zajęty był czym innym.

Kiedy wydawało się, że problem został opanowany, zadzwonił ksiądz Górny z wiadomością, że na wyjazd do Szkocji zapisało się osiemnastu kleryków. Osiemnastu! Dwa razy więcej, niż było łącznie w likwidowanym seminarium w Bearsden. Ksiądz Tadeusz był dumny jak paw, ale logistyka przedsięwzięcia zaczęła go przerastać, bo na plebanii dałoby się upchnąć jeszcze maksymalnie osiem-dziesięć osób, nawet jeżeli Joasię przerzuciłoby się do pani Marioli.

Wtedy zadzwonił Alexander i poprosił, żeby wpadł do niego wieczorem, co uczynił bez gadania, choć tempo ostatnich tygodni zrobiło się zabójcze.

– Zobacz – powiedział krótko gospodarz, w sobie właściwy rzeczowy sposób. – To jest mój stary dom na farmie, już go nie używam. Luksusów tu nie ma, ale spokojnie zmieści się dwadzieścia osób. SYHA z Perth robiła remont, wymieniała łóżka i starych się

pozbywała w zasadzie za bezcen. Już tu są zwałowane, tylko przydałoby się kilku chłopaków, żeby je złożyć. I parę dziewczyn, żeby tu ogarnąć, a potem możecie się wprowadzać. Co dalej, zobaczy się w lipcu.

Zatkało go, nie wiedział, jak dziękować, chociaż Alexander wcale na podziękowania nie czekał. Umówił się, że w sobotę zaraz z rana podskoczą z młodzieżą i pognał z dobrą nowiną do wikarego.

Janeczek siedział przy pianinie, ale nie rzępolił Mozarta, tylko przerabiał na angielski lednicowe pieśni, co nie było takie proste, bo co rusz nie zgadzała mu się ilość sylab.

– Tylko nie wiem, jak sobie ksiądz poradzi z copyrightem – zakpił lekko. – Ale własnych pieśni nie zdążymy już wymyślić, nie w tym roku…

– Patrz i ucz się – oświadczył mężnie.

Wystukał numer mamy Janka.

– Pani Różo – powiedział – mogłaby mi pani przesłać telefon ojca Góry? Tak, teraz, to pilne, potem wszystko wytłumaczę. Dziękuję, czekam!

Jasiek uniósł sceptycznie brwi, ale on już się łączył z podanym numerem.

– Szczęść Boże, tu ksiądz Tadeusz Wieczorek z Kirkcaldy w Szkocji, dzwonię z polecenia pani Róży Niziołek… – zaczął z właściwą sobie gracją. W pięć minut przedstawił sprawę, potem uważnie słuchał, przytakując rozmówcy, wreszcie zakończył radosnym „Bóg zapłać” i z triumfem odwrócił się do Janka.

– Załatwione – powiedział krótko. – Możemy śpiewać, co chcemy. Postawił tylko jeden warunek: za rok na Lednicy ma być szkocka delegacja. W kiltach i z dudami!

Jasiek nie zdążył powiedzieć: „Niezły ksiądz jest!”, kiedy od strony ulicy dał się słyszeć ogłuszający ryk motoru, który zamilkł tuż pod wejściem.

„Znowu mam déjà vu!” – pomyślał w popłochu proboszcz.

Ktoś załomotał do drzwi. Skoczyli obaj.

W progu stał zakuty od stóp do głów w motocyklową zbroję Rasta. Obok pysznił się ogromny motor z plakietką „Harley-Davidson”.

– Jestem! – obwieścił gromko Rasta. – To co mam robić?

Rasta sprzedał swój domek przy Janowskiej za niezłą cenę prawie dwustu tysięcy, bo nabywcy zależało na działce, nie na walącej się chałupie, która i tak miała zostać rozebrana do fundamentów. Za jedną czwartą kupił motor. Dlaczego tylko za jedną czwartą, zapytacie, a nie za połowę? W końcu czemuż by nie, miał pieniądze, czuł się panem! A, bo zależało mu na stylowym modelu Heritage Softail, koniecznie z bocznymi skórzanymi sakwami, a nie na nowoczesnych potworach, wyposażonych w plastikowe bagażniki. Kupiwszy, załadował do tychże upragnionych juków co miał najcenniejszego, czyli niewiele (to naprawdę cenne założył na siebie) i ruszył do Szkocji. Dwa tysiące sto kilometrów machnął na dwa podejścia z przerwą jednodniową w Eindhoven, bo jakżeby inaczej, przecież takiej okazji nie mógł przepuścić. Jak ruszył w poniedziałek rano, w środę wieczorem zapukał do Bank West. I już, tak po prostu.

– Co z nim zrobimy? – zaszeptał ksiądz Tadeusz do ucha Jankowi, kiedy ułożyli przybysza w sypialni gościnnej. – W poniedziałek przylatuje pan Bogdan, a za tydzień cała reszta…

– Pomyślimy – wysyczał w odpowiedzi wikary. Chciał, żeby proboszcz już poszedł sobie spać, bo koniecznie musiał rzucić okiem na to Rastowe cudo, a przy szefie się wstydził.

– Ulokujemy go u Alexandra w starym domu – powiedział rano przy śniadaniu. – Będzie pilnował interesu. I tak musi ksiądz zapewnić opiekę dla tych osiemnastu, co zjadą za tydzień, to napisze ksiądz Górnemu, że będzie ją sprawować dwóch panów po sześćdziesiątce…

– Oszalałeś, Janeczku? – powiedział całkiem nawet spokojnie. – Marihuanista do spółki z alkoholikiem mają pilnować kleryków?

– Ksiądz jak coś powie, to w pięty idzie! – oburzył się Jasiek. Jego gimnazjaliści z Krzesin mówili w takiej sytuacji: „Zawinął jak łysy warkoczami o kant kuli", ale wobec szefa byłoby to wysoce niestosowne. Tym bardziej że jeden łysy chrapał właśnie obok, odsypiając trudy podróży. – Bez tego alkoholika, jak ksiądz brzydko powiedział, to moglibyśmy się powachlować kalendarzem katolickim, a nie imprę religijną urządzać! Co do tego drugiego może być ksiądz spokojny, Rasta nie jest taki głupi, żeby upychać sobie w torby holenderski towar, zajarał na miejscu i cześć. – Ksiądz Tadeusz tylko wzniósł ku niebu oczy pod tytułem: „I na oparach jechał potem sześćset mil?".

– A czy ja proponuję, żeby ich pilnowała Angela? – kontynuował rozkosznie Janeczek. – To by było dopiero wodzenie na pokuszenie! Ale Rasta? To porządny gość, zaopiekuje się nimi jak ojciec, niech mi ksiądz zaufa, będzie OK.

Nic już więcej nie mówił, nie miał czasu i siły. Ma wikary swoje lata, wie, co robi.

W poniedziałek pod wieczór przylatywali też rodzice i Szczęśni. David machnął ręką, wziął urlop, chociaż zasadniczo ścibił go na wyjazd do Achtoty, ale uznał, że tutaj też jest potrzebny, i faktycznie był, bez jego usług nie daliby rady. I tak było ciężko, ale wtedy znowu pojawił się facet z Kirkcaldy Motor, który zaproponował:

– Możemy wypożyczyć na tydzień automat po okazyjnej cenie, bierze ksiądz? – Na co przystali z okrzykami radości. Cena była po prostu symboliczna.

Boglily zamieniło się w żłobek, bo oprócz Angusa pojawiły się przecież Jagódka i Jasia. Bab do pilnowania było dosyć (fe, jak narrator niełądnie mówi, chociaż co prawda, to prawda: prababcia, babcia i trzy młode mamuśki), więc Wiola i Gośka za błogosławieństwem pozostałych ruszyły mężom na pomoc. Gośka tak właściwie nie powinna się przemęczać, bo przecież to był już ósmy miesiąc, ale kto by tam ją powstrzymał!

– Wyobraźcie sobie, Ryanair zażyczył sobie zaświadczenia lekarskiego, że ciąża jest niezagrożona – opowiadała podekscytowana i lekko poirytowana. – A w Achtoty możemy być z wami tylko pół miesiąca, bo musimy się stąd ewakuować przed trzydziestym szóstym tygodniem, inaczej mielibyśmy szlaban!

– To co, tutaj bardzo fajnie się rodzi – powiedziała beztrosko Elka. Korzystając z okazji, że babcia i prababcia obskakują wnuka, a Jasia z Jagódką miętolą koty (które, o dziwo, nie miały nic przeciwko, mało tego, same się nadstawiały), kończyła szycie obrusa na ołtarz, specjalnie obmyślonego dla księdza Wieczorka, z motywem krzyża celtyckiego. – Idźcie, idźcie, poradzimy sobie.

Dziewczyny zatem przewiezione zostały na plebanię, gdzie właśnie Merry przeganiał Jaśka od pianina, żeby wyszlifować repertuar.

– Idź ty do swojej roboty, a oprawę muzyczną zostaw specjaliście – warczał na przyjaciela, przeglądając jego zapiski nutowe. – Coś ty tutaj wymyślił?! Po co żeś powpieprzał te pauzy?

– Żeby pasowało do tekstu… – wyjaśnił z zakłopotaniem ksiądz wikary.

– Tekst zostaw drugiemu specjaliście – przyłączył się Robert. – Nie martw się, synku, dobrze będzie. – Asystujący przy tej wymianie zdań proboszcz tylko uśmiechnął się w duchu. – Chyba że masz jakieś życzenia ekstra. Biblia króla Jakuba albo coś w tym stylu.

– Coś ty, tatku – prychnęła Gośka, też aspirująca do pozycji specjalisty. – Oni tutaj są tak zlaicyzowani, że głowa boli. W kwestiach religijnych trzeba przy nich używać prostego języka, bo nie zakumają. RSVCE albo jeszcze lepiej NRSV…

– Co to jest areswisi-i? – zapytał cichutko na stronie ksiądz Tadeusz swojego edukowanego w językach wikarego.

– To jest właśnie to, w czym ksiądz zasuwa codziennie mszę – wyjaśnił przystępnie Janeczek. – Dobra, zostawmy ich, jedźmy z Fredem do Glenrothes, uzgodnijmy z nim sam–ksiądz–wie–co…

Oprócz tajemniczych uzgodnień Fred, jak to Fred, okazał się też całkowicie bezkonkurencyjny w kwestii szybkiego remonciku starego

domu Alexandra. A przydało się to, oj, przydało, bo dosłownie na ostatnią chwilę proboszcz został ogłuszony nowiną, że ksiądz Górny postanowił osobiście eskortować klerykalny pluton i zjawi się z nim w czwartek w południe. Dwa i pół dnia wystarczyło jednak szwagrowi, wspieranemu przez Rastę i Davida, żeby machnąć wszystko na biało, wyklepać sanitariaty i pogrzebać przy elektryce. Należy nadmienić, że o ile David zasuwał jak złoto, mając na względzie honor Walijczyków i Szkotów (bo sam się też już czuł Szkotem z wyboru, jak jego żona), o tyle wsparcie Rasty polegało na zabawianiu młodzieży inteligentną rozmową na tematy polityczno-społeczne. Po polsku, z niewielkimi wtrętami angielskimi, ale David ojczysty język żony rozumiał już całkiem dobrze. Teraz zrozumiał też tyle, że temu s……... należałoby wyrwać j… i z…… go. Dobrze, że proboszcza przy tym nie było, bo na bank zwątpiłby w Jaśkową rekomendację.

Klerykalny pluton przyleciał do Edynburga w południe. Tylko połowa chłopaków była już po obłóczynach i przysługiwała im koloratka, ale i tak oglądało się za nimi całe lotnisko i całe przedlotniszcze: jedna pani stewardessa o mało nie zleciała ze schodków, tak się zagapiła, a pewien pan, parkujący właśnie w pick-up zonie, przywalił zderzakiem w słupek, bo też patrzył się nie tam, gdzie trzeba. Zaś kierowca autobusu, do którego się wtłoczyli, bez przerwy zezował w lusterko, ryzykując, że cały nabój poleci nad wyraz dekoracyjnie z Forth Bridge do zatoki.

Transport z Edynburga potrwał na tyle długo, że Fred zdążył prawie ze wszystkim. Kiedy klerycy przekraczali podwoje Calder Court, klęczał właśnie w korytarzu, wkręcając ostatnie gniazdko.

– *God bless!* – zaawizował się gromko były opiekun Janka i aktualny opiekun osiemnastu młodzianków, z zainteresowaniem patrząc na Freda z góry. – *I'm father Górny, nice to meet you!*[10]

Fred wstał, wyprostował się na całą długość swoich dwóch metrów i dwóch centymetrów i powiedział po polsku z ciepłym

uśmiechem:

– Bóg zapłać. Ja tylko Podgórny. Inżynier.

Młodziankowie utrzymali do czasu powagę, ale jeszcze tego samego wieczoru na Facebooku pojawiło się zdjęcie opiekuna (174) i Freda (202) z odpowiednim oznakowaniem i komentarzem (Górny vs Podgórny, runda pierwsza). Kiedy oni je zrobili, swoją drogą, i jak, skoro komórki były zabronione? A może Jasiek tylko tak chrzanił, żeby się podrażnić z szefem? W końcu żeby w dzisiejszych czasach komórek zabraniać?! Toż to jakby zabronić codziennej kąpieli i psikania się dezodorantem!

W tym samym czasie ksiądz Tadeusz dokonywał ostatnich konsultacji lingwistyczno-muzycznych z Robertem i Merrym.

– Popatrz – mówił do starszego Niziołka, podtykając mu swój notes. Co? Że oni do tej pory byli na „pan" i „proszę księdza"? No i co z tego, proboszcz się zbrytyzował, a tu wszak to obyczaj ogólny, poza tym w ogniu bojowym stosunki się zacieśniają. – Jeszcze to bym chciał. Tak będzie dobrze?

– *Each sunrise reminds us of You* – odczytał Robert i uśmiechnął się, bo przypomniała mu się maturalna pielgrzymka. – *Don't let us miss the morning*… Ale słuchaj, Tadeusz, coś przekręciłeś. W oryginale było: „Każdy wschód słońca Ciebie zapowiada", a ty napisałeś „przypomina"…

– Tak jest lepiej – powiedział stanowczo proboszcz. – „Zapowiada" sugeruje, że Pan Bóg wędruje razem ze słońcem. A przecież On jest z nami cały czas…

– Oj, nie wiem! – zaśmiał się Robert. – Za taką ingerencję będziesz winien autorowi coś ekstra, szkocka delegacja na Lednicy nie wystarczy!

– Załatwione – obiecał pośpiesznie ksiądz Tadeusz.

Merry już próbował melodię.

– Pierwsza linijka dwa razy – mruczał. – Tutaj damy pauzę…

Dobrze, że nie było przy tym Janka, który dotarł właśnie do Calder Court i skoro tylko klerycy przełknęli obiad, zagonił ich do dziwnej

a tajemniczej roboty, mianowicie rozkładali razem na podwórzu jakieś kamienie, które potem skrupulatnie numerowali ołówkami według planu sporządzonego przez Freda. Ksiądz Górny został na wszelki wypadek odseparowany przez zapobiegliwego Rastę, który dyskutował z nim o księdzu Lemańskim i formacji dzisiejszej młodzieży.

W piątek ksiądz Tadeusz, pochylony nad dwoma młodzieńcami z klasy piątej, tymi od strony internetowej parafii, przekazywał im ostatnie komunikaty. Czemu tak na ostatnią chwilę, zupełnie nie po poznańsku? A, tu już czytelnik musi zaufać mądrości proboszcza. Ściślej zaś, mądrości proboszcza i dobrym radom danym przez dziadka-wiceburmistrza. Czytelnik dalej nie rozumie? Rany, chodzi o to, żeby pewne ogłoszenia zobaczyły światło dzienne dopiero w weekend, kiedy wszystkie urzędasy pójdą do domu. Żeby czasami ktoś nadgorliwy się nie zainteresował. Teraz jasne? Stara szkoła budowniczych kościołów z czasów komuny.

– Zbiórka o godzinie dziewiątej czterdzieści pięć w Calder Court – dyktował. – Każdy, kto czuje się na siłach, zabiera jeden kamień. Wymarsz o zachodzie słońca, czyli punktualnie o dziesiątej zero jeden. Wszystkich tych, którzy chcą pojechać samochodem, zapraszamy na parking koło masztu telewizyjnego na godzinę jedenastą. O zmierzchu, czyli o jedenastej zero dwie, zapalamy lampy i ruszamy razem na górę…

W sobotę od rana na szczycie East Lomond Hill gwardia krzątała się przy najrozmaitszych legalnych i półlegalnych czynnościach. Być może i całkiem nielegalnych, nikt się tym nie przejmował. Zbijano podwyższenie z desek, zaś w jego cieniu pośpiesznie wykopano półmetrowy dół, przy którym Fred coś tam grzebał. David z Rafałem skręcili stół ogrodowy, mający służyć jako ołtarz. Dziewczyny z klasy Janka, zgodnie ze spostrzeżeniem Angeli co do miejsca kobiety w Kościele, ustawiały kwiaty, a chłopaki rozbiły kilka namiotów, z których jeden miał służyć jako zakrystia, drugi pełnić rolę lazaretu, a kolejne dwa do ułożenia dzieci, gdyby jednak w nocy padły.

Zresztą towarzystwo zostało uprzedzone: weźcie ciepłe ciuchy, a wedle życzenia śpiwory i namioty! Należy przy tym nadmienić, że namioty były całkowicie legalne, bo w Wielkiej Brytanii można biwakować w miejscach publicznych, gdzie dusza zapragnie, byleby nie włazić na cudzą ziemię.

Dociekliwy czytelnik, choć trochę mający pojęcie o obrządku, zdziwi się w tym momencie: a co z krzyżem? Zostanie przyniesiony z Glenrothes jak na Dziewiczej Górze? Cierpliwości, wszystko znajdzie swoje rozwiązanie.

Po południu na górze został tylko Fred w obstawie młodzieży męskiej jako straż i Merry montujący nagłośnienie, reszta pognała na parking, a potem do domu, żeby, zebrawszy rodziny i resztę potrzebnego sprzętu, zgromadzić się wedle sił i uznania w wyznaczonych miejscach. Po drodze minęli wujka od kibelków, który właśnie instalował cały szpaler tych przydatnych urządzeń.

Ksiądz Tadeusz w tym samym czasie próbował przymusić własną powłokę do drzemki.

„Śpij!" – powiadał sobie bardzo roztropnie. „Potrzebne ci siły! Cztery kilometry pod górę, a potem cała noc przed tobą! Odpocznij, przygotuj się!"

Niestety, ze spania nic nie wyszło, bo każda komórka jego ciała nawoływała do działania, więc w końcu machnął ręką, zaparzył szatańsko mocną kawę… Nie, w tym kontekście taka parabola nie uchodzi. Dobra: zaparzył espresso. Może być? Powiedzmy, że może, chociaż objętościowo to było potrójne espresso. Wrzucił do jeepa wszystkie skrupulatnie przygotowane graty i pomknął do Glenrothes.

Po drodze nie wiedzieć czemu przypomniał mu się epizod z ostatnich wakacji przed maturą. Leszek wybierał się wtedy z drużyną harcerską do Rumunii na wędrówkę po Karpatach, nawet go namawiał, ale Tadek nie chciał, chociaż wyjazd jak na tamte czasy był ekstremalnie atrakcyjny. Postanowił iść sam w Beskidy; miał już skończone osiemnaście lat, czym się podpierał, wypraszając u rodziców zgodę na tę eskapadę. Było mu to potrzebne jak Jankowi

wyjazd do Anglii, chciał przemyśleć sobie parę spraw. Forsy nie miał wtedy za dużo (a czy kiedykolwiek miał?), więc postanowił funkcjonować metodą, którą dzisiaj nazwałby metodą Cejrowskiego: „Szczęść Boże, czy nie ma czego do roboty w zamian za nocleg na sianie?”. Namiotu nie zabierał, bo nie chciał się obciążać, a namioty wtedy były nieporęczne i swoją wagę miały, zresztą i tak musiałby go od kogoś wysępić, więc poszedł na żywca (na żywca, nie na Żywiec, chociaż na Żywiec też. Ale pewnie jeszcze wtedy nie na żywca, bo dopiero co skończył osiemnaście lat, a przyrzeczenia komunijne traktował poważnie, więc się nie zdążył do tego zabrać. Narratorze, zamknij się już, bo namąciłeś maksymalnie).

Któregoś dnia zaszedł na probostwo w Sopotni Wielkiej; zadał tradycyjne pytanie, w garści na wszelki wypadek trzymając rekomendacje księdza katechety, że jest godny zaufania. Katechety, nie proboszcza, z proboszczem miał na pieńku, od kiedy raz i drugi ośmielił się zadać mu kilka głupich pytań co do godziwości obrzędu, bo włodarz parafii miał tendencje wyścigowca i potrafił machnąć mszę niedzielną w dwadzieścia pięć minut. Swoją drogą, głupi był wtedy Tadzik jak but i naiwny jak sto pięćdziesiąt, jak on to sobie wyobrażał, kto miałby mu pisać rekomendację do seminarium, jak nie proboszcz? Janek w tym względzie był roztropniejszy od niego o lata świetlne…

Sopocińskiego proboszcza nie było, zastał tylko gospodynię, która po krótkiej chwili nieufnego przesłuchania (a kto, a skąd, a co potrafi, a do kościoła chodzi regularnie, a czy aby nie pali i ognia nie zaprószy?) dopuściła go do swojego majestatu. Przez dwa dni on się odkarmił, a ona miała obejście tak oporządzone, jak nigdy dotąd, łącznie z kupą drewna porąbanego już na zimę. Drewno rąbać umiał, u nich na Smochowicach też się rąbało. Na trzeci dzień ruszył niebieskim szlakiem w kierunku na Rysiankę, żegnany czułym: „Niech cię Bóg prowadzi, Tadziu!” i wyposażony obficie w prowiant.

Tu zaczynał się problem, bo wałówkę zapakowała mu pani w zwykłą siatkę w dosłownym tego słowa znaczeniu, czyli nie

dzisiejszą reklamówkę czy choćby torbę nylonową, tylko najzwyklejszą siatkę z siatki. Niech czytelnik sprawdzi sobie na Google, jak to wyglądało. To teraz proszę sobie wyobrazić, jak potwornie głupio czuł się młodzieniec osiemnastoletni, idąc po szlaku z siatką wypchaną żarciem, z której w dodatku wystawała szyjka litrowej butelki śmietany. Nie dziwota, że kiedy z naprzeciwka usłyszał ludzkie głosy, doznał przypływu paniki i prysnął w pierwszą boczą dróżkę, jaka się przed nim otworzyła, potem zaś brnął tak w przód i w przód,[11] coraz bardziej błądząc i kołując.

Trafił wreszcie na maleńką polanę; kilka świerków przewaliło się na siebie, tworząc już nie namiot, ale cały szmaragdowy pałac, zapraszający w swoje podwoje. Obok szemrał niewielki potok, może to były źródła Sopotni, a może tylko jakiś jej dopływ.

Tadek nie namyślał się ani chwili, postanowił zostać tu tak długo, na ile starczy mu jedzenia, modlić się i myśleć o przyszłości. Na chlebie porobił sobie kreski, masło i twaróg wepchnął pod lodowate głazy, w pierwszej kolejności konsumując pyszną pieczeń i uzbierane poziomki ze śmietaną prawie ubitą. Prawie, bo ubijał ją metodą potrząsania. Dni mu się pomyliły, ale nie miał nawet wyrzutów sumienia, że którymś z nich musiała być niedziela, bo słyszał wyraźny, nakazujący głos: „Siedź tutaj. Nie ruszaj się". Zszedł do ludzi w dzień po tym, jak zjadł ostatni okruszek i wyzbierał jagody w promieniu kilometra, z decyzją w duszy. Nawiasem mówiąc, w rok później opinię napisał mu nowy proboszcz, bo tak się szczęśliwie złożyło, że stary zachorował i poszedł do domu księży emerytów. Jezu, to ostatnie, oczywiście, jest zdaniem odnarratorskim, Tadek nigdy by tak cynicznie sobie nie pomyślał. To jest, nigdy wtedy by tak nie pomyślał, teraz co innego… Och, niech narrator już lepiej zamilknie, nie gorszy maluczkich i zacznie skrupulatnie opisywać aktualne wydarzenia, a nie babra się w retrospekcjach!

W każdym razie w tej chwili czuł się ksiądz Tadeusz bardzo podobnie do tego chłopaka z siatką na szlaku: z jednej strony

wstydził się i obawiał kompromitacji, z drugiej ciągnęło go ścieżką pod górę, jakby wiedział, że czeka tam coś bardzo ważnego.

Wjechał na podwórko farmy Alexandra i wszelkie lęki natychmiast poszły precz; teraz liczyło się tylko działanie.

– Kamienie gotowe? – zapytał Janka. – Ile w końcu wyszło?

– Tak ze dwieście pięćdziesiąt – odpowiedział wikary. – O, tam jest Fred, niech go ksiądz zapyta, on powie dokładnie.

Zaczepiony Fred zrobił mu skrupulatny wykład o ciężarze właściwym granitu, przez co chciał wyjaśnić, ile budulca potrzebne jest na obiekt o wymiarach trzydzieści na trzydzieści centymetrów dołem, nieco zwężający się ku górze i wysoki na dwa metry.

– Dwieście pięćdziesiąt po dwa i pół–trzy kilogramy każdy i dziesięć dużych na fundament i konstrukcję boczną – tłumaczył biegle. – Te duże weźmiemy po czterech na sznurach, małe pojedynczo… To znaczy każdy po jednym…

„Mam nadzieję, że zbierze się te dwieście pięćdziesiąt mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci!” – pomyślał po biblijnemu ksiądz Tadeusz, a dobrze, że nieświadoma tego była Angela, która pojawiła się na miejscu zbiórki grubo przed czasem i od razu zapakowała do plecaka kamień może nie z tych największych, ale na pewno trzykilogramowy. To samo zrobiła przybyła wraz z nią druga *altar girl*.

– Cieszę się, że jesteś – uśmiechnął się do niej. – Nie spodziewałem się ciebie, myślałem, że wyruszacie zaraz po skończeniu roku szkolnego.

– No wie ksiądz?! – oburzyła się Angela. – Wszyscy będziemy, tylko reszta podjedzie trochę później, mnie podrzucił tata Susan. Lecimy dopiero w poniedziałek.

W drugim końcu dziedzińca alumni oplatali linami duże bloki szarego granitu. Jeden tylko Mikołaj stał i jak cielę w malowane wrota gapił się na Angelę. Z kolei ksiądz Górny, podpierając ganek starego domu, pilnie przyglądał się Mikołajowi. Natomiast ksiądz wikary, ogarniając bystro całość, mimochodem podszedł do niego

i coś niegłośno powiedział. Tylko proboszcz na nic nie patrzył, bo miał to wszystko za plecami. A czytelnik myślał, że gdzie?

Parking wydzielony na polu Alexandra powoli się wypełniał; David zdążył obrócić do Boglily, gdzie zapakował do auta teściów, babcię i Angusa, w drugim samochodzie natomiast, tym wypożyczonym, prowadzonym przez Elkę, pomieścił się zestaw damski, czyli Gośka i Wiola z córeczkami. Kobiety w ciąży, po siedemdziesiątce i przed ukończeniem lat dwóch oraz ich opiekunki postanowiono dostarczyć na jedenastą na parking pod anteną satelitarną, cała reszta z Bachem juniorem włącznie ustawiła się karnie w formującym się na granicy Calder Court pochodzie.

– Elu – zagadnął z troską proboszcz. – Ty też chcesz iść całą trasę? I to z dzieckiem?…

– Proszę księdza!… – zaczęła żywiołowo Elunia, ale przyhamowała, uśmiechając się ciepło. – Przecież Angus ma już dwa miesiące, a ja czuję się doskonale! Wniesiemy go razem z Davidem w nosidełku i już. Jak urośnie, nie darowałby nam, że zaliczył tylko krótszy etap.

Coś w tym było, Gośce musieli długo perswadować, że z brzuchem pod brodę nie ma się wygłupiać i iść od parkingu.

Ksiądz Tadeusz tylko pokiwał głową i dokonał ostatnich obliczeń. Na zewnątrz reprezentował olimpijski spokój, w środku dygotał z emocji: u wylotu ścieżki stało, tak spokojnie licząc, czterysta osób, przy czym dochodziło do scen gwałtownych, bo ci z panów, którzy pojawili się później, usiłowali wydzierać kamienie co bardziej krzepkim i przedsiębiorczym paniom typu Angela. Lucy warczała:

– Spadaj, Ethan, trzeba było przyjść wcześniej!

– Spokojnie – powiedział proboszcz z łagodnym uśmiechem, chociaż miał ochotę krzyczeć: „Uda się! Musi się udać!”. – To ładnych parę kilometrów, w połowie drogi możecie się zamienić.

Dochodziła dziesiąta, słońce chowało się za horyzontem. Raz jeszcze ogarnął wzrokiem zgromadzonych. Z przodu stali dudziarze,

zaraz za nimi klerycy z księdzem Górnym. Mikołaj zarzucił na ramiona sznur, ale popatrywał gdzieś tam do tyłu.

– Co powiedziałeś opiekunowi? – zapytał półgłosem Janka. Wikary popatrzył na niego z uznaniem, bo – tak jak czytelnikowi – wydawało mu się, że szef zajęty był zupełnie czym innym. Tymczasem okazało się, że i owszem, miał pewne rzeczy za plecami, co nie znaczy, żeby nie był ich świadomy.

– Że ma się nie bać, bo Angela na faceta z odzysku nie poleci – odpowiedział z lekkim uśmiechem. Ksiądz Tadeusz skarcił go wzrokiem, myśląc jednocześnie: „Umówili się czy jak?" i doprecyzował:

– A co on na to?

Janeczek miał wielką ochotę odpowiedzieć: *Ja se ne boim*…, ale uznał, że w takiej chwili drażnić się z proboszczem nie można, więc myśl wyraził rzeczowo i niemal całkowicie poważnie:

– On jest w porzo gość, proszę księdza, tylko tak jak mówiłem, lubi czasami troszeczkę pokombinować. Powiedział, że na tym etapie on nie ma nic przeciwko zrewidowaniu decyzji, więc się tylko przygląda, co z tego wyjdzie.

– Na tym etapie? – upewnił się proboszcz. – Znaczy, po pierwszym roku?

– Właśnie tak – uśmiechnął się Jasiek. – Dziesiąta, proszę księdza…

Ustawili się za klerykami i kiedy tylko ostatnie promienie słońca znikły za horyzontem, ruszyli. Dudziarze prowadzili, grając *Amazing Grace*, tak jak wymarzył sobie proboszcz.

Czekało ich na początek sto osiemdziesiąt metrów wysokości względnej do pokonania w trzy kilometry. Akurat dystans na godzinę. Takie mniej więcej trzy Dziewicze Góry jedna na drugiej, z ta poprawką, że nie wlekli ze sobą krzyża naturalnej wielkości, tylko… Ale o tym za chwilę. Droga wiodła z domu Alexandra najpierw przez pola dookoła małego jeziorka, potem zaczynała wspinać się na północny zachód. Na chwilę zrobiło się ciemno, kiedy musieli

przeciąć las, ale wtedy, luzując dudziarzy, zaśpiewali *Mary, the Queen of Poland, Mary, our Lady of Scotland*[12] i momentalnie pojaśniało, bo szlak znowu poprowadził przez pola. Lucy i Ethan bez większego gadania zamienili się plecakami, a Leo i kilku jego kumpli skałkarzy wsparło czwórkę Mikołaja, która mimo najlepszych chęci zaczynała zostawać w tyle. Nie mieli czasu na podziwianie widoków, ale panorama robiła się coraz szersza, a prowadziła ich czerwonawa poświata nad szczytem.

W planowanym czasie doszli do stacji przekaźnikowej i wtedy księdzu Tadeuszowi, który szedł jak złoto, jak chronometr, nie czując zmęczenia i bólu stawów, załomotało serce. Nie z wysiłku, skąd! Z radości, bo cały parking ciasno wypełniony był samochodami, jeden przy drugim. Przeszli wzdłuż oczekującego szpaleru, proboszcz zamachał do Gośki, Wioli i babci Niziołek i wtedy zauważył, że z tyłu, z uśpioną Jagódką na rękach, stoi Alexander.

Alexander był hojny i chętny do pomocy, ale w działaniu zdystansowany. Proboszcz na siłę go nie ciągnął, licząc, że może podjedzie nad ranem i dołączy do nich na sam finał. Tymczasem coś się musiało stać takiego, co ruszyło go od razu. Coś czy ktoś? Która z pięciu pięknych pań?

Szeregi się zwarły, zapalono lampy i punktualnie dwie minuty po jedenastej, czyli o zmierzchu, ruszono na ostatnią prostą. Pierwsze kilkaset metrów było lekkie, ot, żeby się rozchodzić, potem zaczęło się krótkie, ostre podejście.

Wtedy z wierzchołka napłynął śpiew, dobrze niosący się w wieczornej ciszy, podchwycony zaraz przez Janka i resztę. *Who shall ascend the hill of the Lord? And who shall stand in His holy place?* – nawoływał Merry. *He who has clean hands and a pure heart, who does not lift up his soul to what is false, and does not swear deceitfully*[13] – odpowiadali, prąc do góry.

Jak się idzie pod górę, to się nie śpiewa? Ale nie tutaj! Tutaj nie było miejsca na brak tchu, nogi i słowa niosły się same.

Na miejscu wszyscy spokojnie, nieśpiesznie rozlokowali się przy blasku lamp i dwóch ognisk po obu stronach ołtarza. Śpiewali psalm dalej, po raz trzeci i czwarty, w kółko, jak na Lednicy. Kamienie składano przy ołtarzu, a Jaśkowa młodzież pilnie je selekcjonowała. Nastąpił moment kulminacyjny: inżynier Podgórny przystąpił do wykonania dzieła swojego życia, granitowego krzyża celtyckiego składającego się z dwustu sześćdziesięciu części wniesionych tu przez pątników. Czyli innymi słowy, usypania zgodnie z lokalnym obyczajem ogólnym kamiennego kopca, tyle że o określonym kształcie. No i umocnionym „historyczną zaprawą murarską". Tak właśnie ta zaprawa się nazywała, może sobie czytelnik sprawdzić sam–wie–w–czym. Przy czym narrator jest przekonany, że ręce Freda podtrzymywał osobiście święty Tomasz apostoł, patron architektów, budowniczych, cieśli, geodetów, kamieniarzy, murarzy, stolarzy, małżeństw i teologów.

Wreszcie dobrze już po północy poświęcony zbiorowo przez księży Wieczorka, Górnego i Niziołka krzyż górował nad East Lomond, a zgromadzeni rozsiedli się na krzesłach turystycznych i piknikowych matach, co tam kto przywlókł, zabezpieczyli lampy, przygotowali na wszelki wypadek parasole. Te z dzieci, które jednak pozasypiały, układano w namiotach. Niektórych dorosłych też. Rozpoczęło się czuwanie ze śpiewem, przede wszystkim ze śpiewem, z minimalną dawką gadania.

„Ilu ich jest?" – zastanawiał się ksiądz Tadeusz. „Dużo. Nie wiem ile, nie potrafię policzyć po ciemku. Ale światełka pełgają jak wzrok sięga…"

*Stay with me, remain here with me, watch and pray, watch and pray*[14] – śpiewali Merry, Wiola i Janek otoczeni młodzieżą, a ustokrotnione echo ludzkich głosów niosło się po całym masywie.

Róża nie spuszczała oczu ze swojego ukochanego dziecka (którego, niech czytelnik zadecyduje). Czuła się dziwnie, jakby przeniesiona w inny wymiar, jakby iścił się właśnie jej sen

o bohaterskim eposie. Myśli krążyły wolno, a jednocześnie były niezwykle wyraziste.

„Dziwne" – myślała. „U dominikanów na tę samą melodię śpiewało się inaczej. Jak to było? »Nie bój się, nie lękaj się, Bóg sam wystarczy«… Dziękuję, Robercie…" – I patrząc na Janka, podała rękę mężowi, a ten odwzajemnił uścisk.

Rafał krążył po wzgórzu, robiąc zdjęcia i co jakiś czas zaglądając do Christine, bo po prawdzie z początku irytował go ten polski doktor. Tyle że służba zdrowia poza nalepieniem plastra Aaronowi, który przypalił się odrobinę przy zapalaniu lampy, podaniu ibuprofenu babci Niziołek i rozdaniu tuzina folii termicznych tym mniej przezornym nie miała dużo roboty, bo wszyscy byli zwarci, dzielni i samowystarczalni; nawet po tego draga babcia przyszła tylko po to, żeby obejrzeć sobie wybrankę Rafała. Więc później już narzeczona łaziła z narzeczonym pod pretekstem kontroli sytuacji, a tak naprawdę, żeby być blisko niego.

Melodia się ożywiła. „Bo jak śmierć potężna jest miłość" – śpiewały ogniście Jankowe dzieciaki. Christine przytuliła się do Rafała. Nie bała się w tej chwili niczego, nie bała się ani choroby, ani tych dwudziestu lat… „Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości; nie zatopią, nie zatopią jej rzeki"… Rafał ogarnął ją czule ramionami. On też już się nie bał.

„Powstań, przyjaciółko ma" – nie popuszczała młodzież, a Janek, Merry i Wiola uśmiechali się do siebie, bo mieli przed oczami tamtą lekcję polskiego sprzed lat czternastu, na której wszystko się zaczęło. „Na ziemi widać już kwiaty, nadszedł czas przycinania winnic" – nucił Mikołaj, zastanawiając się, za którą lampą skrywa się tamta dziewczyna. Czuł się winny i niewinny jednocześnie, radosny i smutny, pokrzepiony i w rozterce. Obok niego tuliło się do siebie dwoje młodych, poznawał ich, to był kuzyn księdza Janka ze swoją żoną; pocztą pantoflową dotarła do niego barwna opowieść o ich ślubie, a wiedział też, że są raptem dwa lata starsi od niego. Patrzył

na nich z mieszaniną podziwu, rozczulenia i irytacji. Czemu irytacji? Sam za bardzo nie wiedział…

Dochodziła druga w nocy, ale wcale nie było ciemno, na horyzoncie różowiała lekka poświata, a księżyc stał w pełni. Gabriel z początku trzymał się z panią Basią i Benem, którzy tak serdecznie go gościli, potem zaczął łazić po wzgórzu, obserwując brata. Cieszył się, to jasne, że Rafał wyszedł na prostą, że znalazł sobie kobietę… A on nie. Był starszy, a ciągle sam. Rok temu, na ślubie Eli, wydawało się, że coś zaiskrzyło z siostrą Davida, przetańczyli wtedy razem cały wieczór. A potem ona wróciła do Cardiff i nie odpowiadała na maile. „Miejcie odwagę żyć dla miłości, Bóg jest miłością, nie lękajcie się!" – śpiewali wszyscy dookoła, a on czuł się samotnym archeologiem, któremu nie starczały już do szczęścia wykopaliska ramię w ramię z tatą.

Wtedy zauważył Unę.

Una nie przyjechała w kwietniu z rodzicami oglądać nowego członka rodziny, bo nie chciała robić ambarasu swoją osobą. Poza tym miała na głowie egzaminy. Teraz też nie planowała przyjazdu. Ale w sobotę wczesnym popołudniem ogarnęło ją szaleństwo.

Jadła obiad w przypadkowym barze w galerii handlowej, kiedy za plecami usłyszała znajomy głos:

– Wyobraź sobie, kochana – mówiła jej rodzona ciotka – że mój bratanek ożenił się z głuchą dziewczyną. Czy on nie mógł sobie znaleźć jakiejś normalnej?

Una odsunęła talerz i podeszła do sąsiedniego stolika.

– Dzień dobry, ciociu – powiedziała lodowato. – Pozdrowienia od Davida. I Eli. – Chciała dodać „która właśnie skończyła tkać następną kapę", ale po pierwsze, to nie byłaby prawda, a po drugie, głos jej uwiązł w krtani.

Odeszła za najbliższy zakręt, byle zejść jej z oczu; otworzyła laptop i błyskawicznie zabukowała lot do Edynburga. Wylądowała o dziewiątej wieczorem, do Glenrothes dotarła ostatnim autobusem po jedenastej. Ktoś ją próbował zaczepiać przed pubem, ale dała

w mordę i ruszyła pod górę, bez latarki, wystarczała komórka, bo drzewa i słupki przy płocie okręcono odblaskową taśmą, a punkt docelowy było dobrze widać i słychać. Dotarła na szczyt i wtedy pomyślała, że jest kretynką, bo w tej ciżbie i tak nie mogłaby nikogo odszukać. Usiadła na czyjejś macie i oparła głowę na podciągniętych pod brodę kolanach.

I z odległości dwóch metrów zobaczyła Gabriela.

„Nie bój się, wypłyń na głębię!"… – niosło się po zboczach.

Na młodych Kotoniów popatrywał też Robert. Dobrze im się razem mieszkało, nie mógł narzekać, dobre były te dzieciaki. Patrzył na bratanka, a myślami był przy synu. „Nigdy nie powiedział mi wprost tego najważniejszego: dlaczego" – przypomniał mu się wieczór u Marka. „A ja chciałbym usłyszeć te trzy proste słowa…"

W tym samym momencie poczuł, że koło niego stanął Janek.

Wieczorek z Mieleckiej czuł się dobrze, chociaż nic nie rozumiał. Miał swoje zasady, on po ichniemu gadać nie będzie. Ale przemawiała do niego melodia, delikatna, rzewna, krzepiąca. Chciałoby się, żeby ta noc nigdy się nie skończyła. Żeby tylko tak siedzieć i słuchać. Nagle wyłowił polskie słowa, to chyba śpiewała ta pani, która była mamą księdza Janka. Jak to idzie? „Podnieś mnie, Jezu, i prowadź do Ojca"… Ładnie. I ładny głos ma ta pani. „Zanurz mnie w wodzie Jego miłosierdzia"…

„Amen" – pomyślał Wieczorek i schował twarz w dłoniach.

Alexander nie miał zamiaru tu się dzisiaj pokazywać. Dać forsę, owszem, mógł, ale wolał trzymać się z boku. To wszystko przez tę małą, siostrzenicę wikarego. Zaprosił kobiety do siebie do salonu, a ona wtedy wyciągnęła wymiętolony rysunek z jakimiś głowonogami.

– Fol ju – powiedziała dobitnie.

– Dla mnie? – zdziwił się. – A co to jest?

– Kotek – wyjaśniła krótko. – I kotek. – Pokazała drugiego głowonoga.

Miała go w garści w jednej chwili; skąd mogła wiedzieć o jego kotach, których nie było z nim już od ćwierci wieku? Kiedy zasnęła mu na rękach, nie miał innego wyjścia, po prostu musiał iść razem z nimi. Od Calder Court samochód poprowadziła jej mama, taka miła kobieta, a on zaniósł Goldberry na samą górę. Ciągle czuł się outsiderem, ale… nie wiedział, jak to wyrazić…

– *Jesus, remember me, when You come into Your Kingdom*[15] – dołączył do wszystkich, a ta druga pani, która razem z mężem prowadziła śpiewy, uśmiechnęła się do niego.

„Piętnaście po trzeciej" – pomyślał Robert. „Zaraz będziesz musiał iść, synku…"

Merry i Wiola rozpoczęli ostatnią już przed mszą piosenkę, a Janek towarzyszył im swoim pięknym głosem, śpiewał i patrzył na ojca, patrzył i śpiewał:

*Yes, my Lord, You know: I love You,*
*You know everything*
*I do love You…*[16]

Wtedy Robert zrozumiał, że po dziesięciu latach dostał wreszcie odpowiedź od swojego syna, który, choć był księdzem, wstydził się mówić o pewnych rzeczach wprost i po polsku.

Punktualnie o trzeciej trzydzieści dwie, czyli o pierwszym brzasku, rozpoczęła się msza święta. Z namiotu pełniącego rolę zakrystii wyszedł imponujący orszak: na przedzie mali ministranci z St Marie's, potem Angela z kadzidłem, po niej Susan i sześciu Jankowych ministrantów (w sensie *altar boys*), wreszcie osiemnastu kleryków i trzech księży. Ksiądz Tadeusz, odziany w licencjacki Elkowy ornat skrzypcowy czuł się jak biskup Ademar z pierwszej krucjaty. Z *Krzyżowców* Kossak-Szczuckiej najbardziej lubił właśnie Ademara (no, może jeszcze Tankreda) i skrycie marzył, żeby dało się namówić do tej roli Mela Gibsona.

– Msza odprawiana jest w następujących intencjach – ogłosił proboszcz – ksiądz Krzysztof za dobre powołania… – Angela i Mikołaj

stali prościusieńko, wpatrzeni w celebransa, jakby po bokach nie było nic ciekawego. – Ksiądz Jan za wszystkich tu obecnych, żeby dzisiejsza noc dała dobre owoce. A ja – uśmiechnął się – za Elanor, która właśnie urodziła dziecko i obroniła licencjat, i bez której nas by tu dzisiaj nie było.

Elka, tuląca Angusa w chuście, zapłoniła się i rozjaśniła jednocześnie. A wydawało jej się, że ksiądz Tadeusz w wirze przygotowań zapomniał o jej dyplomie, bo nic nie wspominał! Tymczasem pamiętał, i to jeszcze jak!

Robiło się coraz jaśniej. Ksiądz Tadeusz dygotał: teraz już można było bez trudu policzyć, że na wzgórzu zgromadziło się trzy tysiące osób, może nawet trochę więcej. Skąd? Jak? Czy to możliwe?…

– „Wstąpił we mnie duch i postawił mnie na nogi; potem słuchałem Tego, który do mnie mówił. Powiedział mi: »Synu człowieczy, posyłam cię do synów Izraela«…” – odczytywał z namaszczeniem najstarszy z kleryków.

Do drugiego czytania wystąpiła Lucy. Czemu akurat ona? Bo bardzo o to prosiła…

– „…dlatego mam upodobanie w moich słabościach, w obelgach, w niedostatkach, w prześladowaniach, w uciskach z powodu Chrystusa. Albowiem ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny…”

„Te czytania to przypadek czy znak? Och, głupoty mi się plączą po głowie ze zmęczenia” – pomyślał ksiądz Tadeusz.

Wiedział, co Merry zagra na komunię, ale i tak go wzięło, bo jak by mogło być inaczej, skoro trzytysięczne uskrzydlone *O Christe, Domine Jesu* poleciało wzgórzami hen na cztery strony świata, a każdy wyśpiewywał po swojemu, dziękując, prosząc, przepraszając, krzycząc i zawierzając się.

Pilnował skrupulatnie czasu, bo msza musiała się skończyć o czwartej trzydzieści trzy, dokładnie w chwili wschodu słońca. Jeszcze trzy minuty… Dwie… Kończ, Merry…

– Przyjmijcie Boże błogosławieństwo…

Pierwszy promień przedostał się przez horyzont.

*…Each sunrise*
*each sunrise*
*reminds us of You*
*Don't let us miss the morning!…*[17]

W Trzęsaczu było pięknie, ale tutaj… Z tymi trzema tysiącami gardeł… Ze wszystkimi, którzy porwali się, śpiewając i klaszcząc…

„Dziękuję!" – pomyślał ksiądz Tadeusz, walcząc ze wszystkich sił, żeby nie rozryczeć się na głos.

A kiedy wreszcie po jakiejś półgodzinie zaczęli schodzić powoli w dół, lunął krótki, ciepły deszcz. Nikt się nie przejął, wszyscy ze śmiechem dobywali parasoli, patrząc, jak dwa Lomond Hills spięła tęcza.

Znak przymierza Boga z ludźmi.

– Tylko teraz nie odpuść! – zapowiedział surowo Alexander. – Jak raz zaskoczyło, trzeba pchać to dalej! Posłuchaj, jak ja to widzę…

„Mówi prawie dokładnie tak samo, jak Jan Paweł do Góry" – pomyślał ksiądz Tadeusz. Siedzieli z Alexandrem w starym domu, opustoszałym, od kiedy opiekun z klerykami wrócili do Poznania. No, jeden były już w zasadzie kleryk zapowiedział, że wróci, ale dopiero we wrześniu; honorowy był i swoje sprawy chciał domykać jak należy, nie pozwoliłby sobie na rzucenie wszystkiego ot tak, w jednej chwili.

Lubił tu przesiadywać, jego ostatnie dwa tygodnie wyglądały praktycznie tak, że zaraz z rana po mszy i śniadaniu jechał do Glenrothes. No i momentalnie się rozniosło, że *father Thaddaeus* zamiast na plaży urzęduje teraz na Calder Court, więc przychodzili do niego tutaj. On zaś za pokutę zadawał pielgrzymkę do krzyża na szczycie i koło się zamykało. O dziwo, nikt o ten krzyż nie pyskował, jak w Polsce; wszyscy milcząco uznali, że tak musi być i koniec. Obyczaj ogólny. Ostatecznie to krzyż celtycki, więc można przyjąć, że był tam od wieków.

A teraz jeszcze ta propozycja Alexandra, od której zakręciło mu się w głowie. Czy to się działo naprawdę?

– Słuchaj, Janku – powiedział wieczorem do swojego promiennego wikarego, bo planowana sierpniowa wędrówka sprawiała, że przypominał on chodzący słonecznik. – Ja jednak sobie odpuszczę, jedź sam. Jestem tu potrzebny… – Bachowie kusili opowieściami o niesamowitych kraj-obrazach Highlandu, więc Jasiek namawiał go, żeby spędził z nimi na trasie chociaż kilka dni.

– Niech się ksiądz nie martwi, Pastor sobie ze wszystkim poradzi, w końcu to wakacje! – zapewniał go optymistycznie.

– Kto? – zdumiał się. – Jaki pastor? Prezbiteriański? Co ty gadasz?

– Oj, no Jędrzej przecież – roześmiał się Janek. – Trzy tygodnie u nas siedział, a ksiądz nawet nie wie, jak się nazywa? – Faktycznie, zeszłoroczny pobyt Jędrzeja był improwizowany i nieformalny, to i nawet nie spytał go o nazwisko, zresztą wtedy przysłaniała mu świat złamana noga.

Ksiądz Pastor miał się zjawić trzydziestego i zostać na cały miesiąc, więc mógłby spokojnie wyprawić się z Jankiem, tylko że…

– Bo wiesz, synu… – zawahał się, wreszcie z uśmiechem dokończył: – Alexander zaproponował, żeby starą stodołę przerobić na kaplicę… Na początek trzeba by wybielić i położyć posadzkę, a dalej poleci już samo. Może potem jakąś wieżyczkę by się dostawiło… – zamarzył.

– To ksiądz się nareszcie doczekał statusu księdza budowniczego – zakpił ciepło Janek. – W takim razie wszystko rozumiem, samo załatwianie z biskupem zajmie pół wakacji! – Jezu, z biskupem! Stary dureń, zapomniałby, co w takich przypadkach jest najważniejsze! Jak to dobrze, że z nich dwóch chociaż wikary twardo chodzi po ziemi…

Poza budową kaplicy było coś jeszcze, do czego w ogóle nie chciał się przyznawać. Czuł się po prostu zmęczony, wyczyn na Lomond Hill był jedyny w swoim rodzaju i teraz chciałby odpocząć, a nie lecieć z plecakiem dwadzieścia kilometrów. Niech ten smarkacz sam się męczy, droga wolna. On do dzisiaj czuje wszystkie kości.

Wtedy okazało się, że wielką ochotę na wędrówkę ma Rasta.

– Skoro ksiądz proboszcz będzie pilnował interesu, to ja bym chętnie skoczył z Jankiem – powiedział prosząco. – Nie, nie będę z nimi biegał po górach, to już nie dla mnie, pojadę motorem, będę załatwiał noclegi i aprowizację… – Wlepił w Jaśka pełne nadziei oczy. Skład wyprawy był od dawna starannie ustalony: dziesięć osób z Kirkcaldy i dziesięć z Krzesin pod opieką Sławka. Ale skoro Raście tak zależy… Czemu nie?

Równie skrupulatnie wbijał ksiądz w głowę młodzieży, co się zabiera ze sobą do plecaka, kiedy trzeba z nim lecieć na piechotę.

Czynił to w realu i w wirtualu, bo młodzi krzesińskiej repetycja na pewno szkody nie przyniosła, a dla szkockiej była wprost niezbędna.

– Możecie sobie wziąć, co tylko chcecie, ale pamiętajcie, że będziecie to nieśli na własnych plecach przez dziesięć dni – mówił brutalnie szczerze. – Więc ja proponuję po trzy koszulki i trzy pary skarpetek z majtkami… – Co? Czytelnik coś chciał powiedzieć? Czyżby uważał, że ksiądz w majtkach nie chodzi? – Majtki bawełniane i nie stringi! – dopowiadał profesjonalnie. Też z własnego doświadczenia? – Jedna zmiana na sobie, druga w praniu, trzecia w zapasie. W co drugim hostelu są pralki, nie ma potrzeby wlec całej szafy. Piżamę taką, żeby w razie czego udawała strój domowy. Legginsy na przykład i zwykła koszulka. – Wikary, jak wiemy, nareszcie będzie miał okazję, żeby spożytkować T-shirt od szwagra z napisem I'M A PRIEST! – Najwygodniejsze buty i zaimpregnujcie je porządnie, żeby nie przemokły od razu. Spodnie nieobcisłe i najlepiej do pół łydki, hobbici w takich chodzili, pamiętacie?

– Księdza kumple!… – zachichotali ministranci Ryan i Logan, a ministrantka Susan pospołu z Lucy zacisnęły usta, chociaż wyimaginowany obraz księdza w hobbickich spodniach bez dwóch zdań przemawiał im do wyobraźni.

– Kurtka nieprzemakalna, jedna bluza, jedna, rozumiesz, Jessica? – Jessica potwierdziła, ale chłopaki znowu zachichotały, tym razem ku jawnej nieomal aprobacie dziewczyn, bo koleżanka znana była z tego, że się dwa razy w miesiącu w tym samym ciuchu nie pokazywała. – Peleryna, bo może lać, a my i tak będziemy musieli zrobić swoje. Coś na głowę… – Ukochana siostrzyczka sprawiła bratu bardzo porządny, ciemnoszary kapelusz specjalnie na tę okazję, ale po cichu przypuszczała, że spocznie on na dnie szafy, a Jasiek i tak zabierze tamten stary, wymiętolony, w kolorze écru oblanego kawą.

– Klapki pod prysznic i jako kapcie – kontynuował ksiądz, co to niejedną wędrówkę zaliczył. – Nieduży ręcznik, ale żeby dobrze wchłaniał. Kosmetyki kupcie sobie takie małe, jak do samolotu i tylko

te najpotrzebniejsze. Jeden krem, jeden, słyszysz, Ava? – Skąd ten ksiądz, tak nawiasem mówiąc, był świadomy tego, ile kremów jest niezbędnych dla kobiety? No tak, miał przecież siostry… – Koniecznie, podkreślam, koniecznie repelent na komary i żel do posmarowania, gdyby nie poskutkowało. – Oj, co prawda, to prawda! Elunię i Davida pożarły nad Loch Ness komary tak, że nie mieli na ciele jednego niepogryzionego miejsca. Skąd narrator to wie? Od Eli. A skąd Ela wiedziała, że David nie miał na ciele ani jednego niepogryzionego miejsca? Cholery można dostać z tak dociekliwym czytelnikiem! Wiedziała i już!

– I jedną lekką książkę, w dosłownym znaczeniu. – Tego dowcipu chyba młodzież nie zrozumiała. Przede wszystkim dlatego, że zamiast książki planowała zabranie tabletu. – To wszystko. Tak dopasujcie plecaki, żeby zmieściło wam się jeszcze coś ode mnie. – Co takiego? Chytry kler każe nosić dzieciom własne lumpy? Niech czytelnik jednakowoż nie wyciąga pochopnych wniosków, ale cierpliwie poczeka na rozwój wydarzeń.

Na tydzień wcześniej dostali wiadomość, że Sławek niestety nie może przyjechać. Sprawy rodzinne, w intencji których ksiądz modlił się po cichu do późnej nocy. Zamiast niego zadeklarowała swój udział matematyczka Marysia.

„To i dobrze, że zabierają tego Rastę” – pomyślał ksiądz Tadeusz i natychmiast się zawstydził.

Zgodnie z planem pierwszy pojawił się Jędrzej i został wdrożony do obowiązków w obu kościołach, co bardzo proboszczowi pasowało, chociaż odwlekało jego własną edukację. Z satysfakcją tedy zapowiedział na mszy, że cały tydzień spędzi w Glenrothes, a na miejscu zastąpi go ksiądz Pastor. Jak czytelnik z łatwością może się domyślić, co trzeci wierny wychodzący z kościoła indagował go dyskretnie:

– Kto? Ksiądz czy pastor? To tak można?

We wtorek wczesnym popołudniem wyruszono w kierunku Glasgow, ksiądz z młodzieżą autobusem, Rasta na motorze.

Symultanicznie z Poznania wyleciała grupa polska; spotkanie planowano wieczorem w Milngavie. Z początku Janek sugerował, żeby odpuścić sobie pierwszy dość cywilizowany etap z – jak by nie było – przedmieść Glasgow i startować dopiero w Drymen, ale poznaniacy podnieśli straszny wrzask: chcieli iść całą trasę, bez żadnych skrótów. Jasiek ustąpił, bo doskonale pamiętał, jak to swego czasu Merry skrupulatnie pilnował każdego kawałka czerwonego szlaku beskidzkiego, nie pozwalając absolutnie na żadne modyfikacje, a nawet na ominięcie zwalonych drzew, bo twierdził, że przez to punkty nie będą mu się zgadzały. Zaczynano więc w sympatycznym hostelu, a właściwie kolonii domków tuż przy punkcie startowym. Kiedyś była tu tylko jedna chatka, teraz firma nabrała rozmachu i dobudowała jeszcze trzy, jakby w sam raz dla nich.

– Świetnie wyglądasz, Janek! – zawołała na widok księdza Marysia. – Jak zawsze z akcentem służbowym, co?

Przemek Zieliński pośpiesznie przetłumaczył kumplom te impertynencje na angielski. Szkocka młodzież płci obojga popatrzyła na matematyczkę ciężkim wzrokiem. Pewnie, że ich ksiądz jest spoko, szczególnie w tych spodniach za kolana z ośmioma kieszeniami i absolutnie coolerskim kapeluszu! I o co chodzi z tym akcentem służbowym? A jak inaczej ma chodzić ksiądz po ulicy, to jest po West Highland Way, jak nie w koloratce?

Nastąpiła obopólna prezentacja, przy czym polska młodzież męska w osobach Marcina i Wojtka szczególnie zainteresowana była Avą, nie wiadomo który bardziej. Jako dwa lata starsi szanse mieli całkiem spore.

– A to jest Antonina – przedstawił ksiądz Tosię. – Rok temu wygrała ogólnokrajowy konkurs biblijny! – Miłosiernie nie wnikał w detale tegoż zwycięstwa, bo Tosia, zapytana przez… pomińmy nazwiska… o praktyki religijne, odpowiedziała skwapliwie, że jest ateistką. Swoją drogą, narrator absolutnie się nie dziwi, że za takie coś opiekuna zwyciężczyni przeniesiono służbowo na równie

odpowiedzialne stanowisko. Że co, że to było inaczej? E tam, biskup po prostu antycypował. I tak wszyscy wiedzieli, czego się można po Niziołku spodziewać. W każdym razie do Ziemi Świętej pojechała Tosia nie z opiekunem, jak to było zapisane w regulaminie konkursu, tylko z babcią, do czego bez trudu udało jej się przekonać… pomińmy nazwiska.

– Uwaga, dzielimy się na grupy – zadysponował ksiądz. Pięciu chłopaków ze mną, pięciu z panem Januszem… – Z kim?! Ach, z Rastą, jasne, w końcu nawet Rasta musiał mieć jakieś normalne imię. – Pięć dziewczyn z panią Marysią, a za drugą grupę będzie odpowiadać Tosia, dobrze? Zaśpiewajmy sobie kompletę i chodźmy spać, bo jutro wstajemy skoro świt.

– Tosia? – zapytała na stronie pani Marysia. – Janku, czy to dobry pomysł? – Do grupy Tosi trafiły Susan i Lucy i taki układ mógł nasuwać pewne wątpliwości.

– Jak najbardziej – odpowiedział stanowczo ksiądz wikary. – Jest pełnoletnia, odpowiedzialna – Marysia uniosła wysoko brwi – i bardzo jej się to przyda. – Dobranoc, Marysiu. – I zniknął w swojej chatce. Z okien trzech pozostałych młodzież męska i żeńska polsko-szkocka sprawowała czujną kontrolę, czy ich opiekunowie poprzestaną na wymianie zdań z metrem powietrza pomiędzy nimi jako izolacją.

Następnego dnia przy śniadaniu ksiądz bardzo skrupulatnie zagonił całe towarzystwo, żeby zrobiło sobie kanapki na szlak i przygotowało picie, a potem wystawił swoją dodatkową torbę.

– Proszę bardzo – zadysponował. – Każdy zabiera coś do siebie, według sił i uznania. Po pierwsze mszał i lekcjonarz, to może jacyś panowie… Krucyfiks… Dwa ornaty, trzy obrusy, trzy stuły… Korporał, palka, ręczniczek…

– A puryfikaterz? – zapytała fachowo Susan.

– To już ja – uśmiechnął się Jasiek. – Teraz tak: patena i kielich… Wino i hostie… Ampułki i lawaterz…

„Co to jest lawaterz?” – zastanowił się dobry katolik Rasta. „Czy ten Janek nie przesadza? Przecież to będą msze polowe!”

Jasiek rozdzielił jeszcze sześć krótkich świec wraz z osłonkami takimi jak znicze cmentarne i ogłosił wymarsz.

– Janku – zaczepił go dyskretnie Rasta. – Po coś ty wpychał dzieciakom to wszystko? Przecież ja bym wziął na motor!

– Wiem, że byś wziął – wysyczał ksiądz. – Ale oni mają współuczestniczyć, rozumiesz? A nie, że na gotowe.

– Dobra, ale trzy ornaty, trzy obrusy… Po co tyle? Ciuchy im wydzielasz, ale do tego masz lekką rękę!

– Jan dwanaście, zaraz na początku – odparował wikary. – Trzy obrusy potrzebne do mszy trydenckiej, bo Susan by mi żyć nie dała. I tak nie zabieram kupy innych rzeczy. – I owszem, biretu nie zabrał. – A ornaty nie trzy, tylko dwa, bo jeden jest obrotowy. To jest, *sorry*, dwustronny, zielono-biały, Elka specjalnie mi taki uszyła.

Rasta machnął ręką, zawołał: „Do zobaczenia w Drymen!” i odjechał. Przy najbliższej okazji miał zamiar sprawdzić, co to jest Jan dwanaście. Pożyczy od Tośki jej odlotowy smartfon za konkurs biblijny i poszuka.

W Drymen z braku hostelu musieli skorzystać z dość drogiego *bed and breakfast*, przy czym poznaniacy po dwóch latach zmądrzeli i momentalnie postawili się twardo:

– Nie będzie ksiądz za nas płacił! Zarabialiśmy przez cały rok! – Tłumaczenia, że mają dofinansowanie od dobrego człowieka, potrwały ze trzy kwadranse, zanim uspokojeni pozwolili zafundować sobie haggis. Czyli szkockiego kaszoka, jak podsumował Rasta.

Drugiego dnia na niebie nie było ani jednej chmurki; jak na Szkocję panował wyjątkowy upał, dwadzieścia osiem stopni. Janek rutynowo przed wyjściem dokonał przeglądu grupy.

– Kasiu – powiedział z naciskiem do znanej czytelnikowi właścicielki pięknych rajstop, tym razem odzianej w kuse szorty i koszulkę bez rękawów. – Mówiłem: spodnie do pół łydki. I bluzka też by się przydała z rękawami…

– No wie ksiądz, chciałby z nas ksiądz zrobić zakonnice jakieś czy co?! – żachnęła się momentalnie Kasia.

– *In English, please* – przypomniał jej słodko ksiądz. – Nieładnie używać języka nie dla wszystkich zrozumiałego. W porządku, masz swoje lata, wiesz, co robisz…

– Janek – szepnęła do niego po chwili Marysia. – Ona nie jest nieprzyzwoicie ubrana, gdyby tak było, przecież bym zareagowała.

– A kto tu mówi o nieprzyzwoitości? – zdumiał się nieco teatralnie ksiądz.

– To o co chodzi? – nie zrozumiała Marysia.

– Zobaczysz – powiedział Jasiek z tajemniczym uśmiechem.

Pani matematyczka domyśliła się, w czym rzecz, już w połowie etapu, kiedy od Balmaha zaczęli iść wzdłuż Loch Lomond, bo okazało się, że fauna ma się tu równie dobrze jak nad Loch Ness. W samym zaś Rowardennan można było obserwować sceny niepowtarzalne.

W salonie hostelu na kanapie spoczywała jęcząca Kasia. Jej nogi i ramiona zdobił ciekawy deseń: jakby ktoś wymalował ją szczotką ryżową moczoną w czerwonej farbie, całkiem jak w *Jutro klasówka* Niziurskiego. Obok kręcili się z powagą Adam z Ethanem, szalenie dumni z siebie, że dostąpili zaszczytu emablowania starszej koleżanki, i smarowali ją z namaszczeniem fenistilem. Jeden po udach, drugi po dekolcie.

– Ty się na to zgadzasz? – nie wytrzymał po jakimś czasie Rasta.

– A czemuż by nie? – zdziwił się Janek. – Póki smarują ją we dwóch w pomieszczeniu ogólnodostępnym, to nie podpada pod grzech, tylko pod doświadczenie życiowe. – A widząc, że oczy Rasty zrobiły się okrągłe jak filiżanki, dodał: – Ona się nauczy, że jak ksiądz każe założyć długie spodnie, to niekoniecznie dlatego, że ma robaczywe myśli. A oni mają okazję rozwinąć instynkty opiekuńcze, bardzo potrzebne mężczyźnie, nie sądzisz?

– Tak gadasz, jakbyś miał doświadczenia w tym względzie – burknął nieprzekonany do końca Rasta.

– Bo mam – odpowiedział spokojnie wikary, zostawiając Rastę w stanie skrajnego wzburzenia.

Nie musiał, biedak, wiedzieć, jak to było naprawdę. Mieli wtedy po siedemnaście lat, kiedy we troje z Merrym i Wiolą wyprawili się w Tatry. Słońce grzało na całego, no i Wiola ubrała się dokładnie tak, jak Kasia. Nie przewidziała, że na Czerwonych Wierchach nie będzie czuła gorąca, za to później, w schronisku… Szkoda gadać! Co bardziej newralgiczne części jej ciała przypominały raka w ukropie. Merry ze śmiertelną powagą, zupełnie jak te chłopaki, robił jej okłady na gołych plecach, a Pip występował w roli dostarczyciela kefirku na te okłady, bo coś tak im świtało w głowach, że w rzeczonych przypadkach nie ma jak zsiadłe mleko. Mleka w bufecie nie było, więc zużytkowali kefirek.

Doświadczenie nauczyło też księdza, że trzeciego dnia następuje kryzys, zatem po dwóch długich etapach, dwunasto- i piętnastomilowym, przewidział trasę całkiem krótką, niespełna trzynastokilometrową z finiszem w Inversnaid, tam, gdzie swego czasu Elka raczyła się cydrem. Chciał spokojnie pogadać i pośpiewać; poprzedniego wieczoru zdążył nauczyć jednych i drugich *It's only eagles that soar over ridges,*[18] a dzisiaj chciał przerzucić się na Kaczmarskiego, *Zbroję* i *Modlitwę o wschodzie słońca*. Miejsce było nadzwyczaj urokliwe, więc…

Najpierw na widok hostelu zjeżyła się Tosia.

– Co to jest? – powiedziała zdumiona. – Kościół?

Kiedy szkoccy kumple poinformowali ją wyczerpująco, że i owszem, *bunkhouse* przerobiony został z kościółka, dalej wierciła dziurę w brzuchu w stylu: „Czy to tak się godzi, przecież nawet resztki cmentarza zostały!", a ksiądz tylko uśmiechał się pod wąsem na taką pryncypialność klasowej ateistki, bo bardzo mu pasowała do koncepcji. Miał bowiem w planach smrodek dyda-ktyczny pod tytułem: przywracajmy kościoły ich dawnemu przeznaczeniu! Uczyńmy z West Highland Way szkockie Camino!

Potem z marsem na czole wyszedł im naprzeciw Rasta.

– Szwab jakiś tam siedzi – burknął niechętnie.

Okazało się, że brzydki epitet dotyczy recepcjonisty, który na widok Rasty zareagował nerwowo, próbując go spławić, Rasta spracował się zaś w wolapiku angielsko-niemieckim, tłumacząc, że owszem, hostel jest zarezerwowany, ale przez jego grupę. Niemców nie lubił z natury, a ten wydawał mu się szczególnie wredny.

Hostel był jednak jakby dla nich stworzony, dokładnie na dwadzieścia trzy osoby, chociaż nie obyło się, co oczywiste, bez dowcipasów, kto ma spać w pokojach z podwójnymi łóżkami. Te bardziej frywolne sugerowały Adama z Ethanem oraz Janka z Rastą, przy czym, co należy dobitnie stwierdzić, nikt nie śmiał nawet żartem zaproponować układu ksiądz–Marysia.

Wreszcie towarzystwo zostało rozlokowane, nakarmione, a rozluźniony ksiądz zrobił krok za zakręt korytarza, żeby odszukać i skrzyknąć wszystkich razem, kiedy naraz dał się słyszeć przerażony wrzask. To Ava, tylko w staniku i kusych majtkach, chociaż niekoniecznie stringach, usiłowała otulić się niewielkim ręcznikiem.

– Ava, jak już łazisz goła po korytarzu, to czemu się drzesz? – spytał z żelazną logiką Janek, popatrując na ciekawe detale architektoniczne obiektu, żeby dać nieszczęsnej czas na ucieczkę.

„Bo miałaś nadzieję na spotkanie z Wojtkiem albo Marcinem, a tu nadziałaś się na księdza, pechowa istoto” – dopowiedział sam sobie. „Swoją drogą, na ich widok też byś się darła, tylko bardziej teatralnie…”

Ruszył po schodach do barku, pełniącego też rolę salonu, kiedy minęły go Susan i Lucy, obie jakieś dziwnie speszone. Zawahały się, chciały chyba coś powiedzieć, ale zrezygnowały i pomknęły w dół. „Co oni znowu nabroili?” – pomyślał pobłażliwie, mając Avę przed oczami, pchnął drzwi do barku i pobłażliwość przeszła mu jak ręką odjął: młodzież męska polsko-szkocka, obsiadłszy skórzane kanapy i fotele tuż pod witrażami z wizerunkami świętych, wgapiała się zachłannie w ekran telewizyjny, na którym właśnie można było

z detalami zaobserwować sam–czytelnik–wie–co, więc niech nie zmusza narratora do konkretyzacji. Wojtek odwrócił się, zobaczył księdza i zażenowany idiotycznie zachichotał.

– Wyłącz – powiedział krótko Jasiek, a powtarzać nie musiał, bo czterech młodzieńców naraz skoczyło i kliknęło pośpiesznie pilotem. Janek spojrzał raz a dobrze, że mróz im poszedł po kościach, i odwrócił się, nawet nie patrząc, co się będzie dalej działo. Podszedł do kontuaru, za którym recepcjonista z dwuznacznym uśmieszkiem obserwował całą scenę, i zapytał zimno po niemiecku:

– *Wollen Sie mir etwas sagen*?[19] – na co tamten umknął wzrokiem i zaczął układać szklanki w bufecie.

Janek zawrócił na schody, ale nie doszedł jeszcze do dolnego podestu, kiedy dopadli go Ethan z Marcinem:

– Proszę księdza, bo my…

– Porozmawiamy jutro – sucho obwieścił Janek, wyszedł na dwór i dołączył do dziewczyn, które zaczęły dopracowywać logistykę dnia następnego.

– Może mszę odprawi ksiądz rano na tym cmentarzyku, ustawi się stolik… – proponowała Susan.

– Nie – zdecydował stanowczo Jasiek. – Jutro zrobimy dopiero wieczorem w Crianlarich.

Dziewczyny chyba czuły pismo nosem, bo niczego już nie dociekały i nie wygłaszały komentarzy. Dzień upłynął pod znakiem cichych zajęć własnych; nie śpiewali, nie rozmawiali, a nawet nie zmówili razem komplety.

Następnego dnia Janek wręczył Marysi mapę ze słowami:

– Dzisiaj ty prowadzisz, ja pójdę na końcu. – Po czym, sformowawszy kolumnę, rzeczywiście trzymał się w ariergardzie, jakieś dwadzieścia metrów z tyłu. Przez pierwszą godzinę nic się nie działo, dziewczyny szły z przodu, chłopaki podążały za nimi cicho i bez zwykłych wygłupów. Co rusz któryś zerkał przez plecy, ale nie miał odwagi podejść. Wreszcie, kiedy odpoczęli chwilę na Ardleish

Pier i ruszyli dalej w tym samym szyku, ksiądz jakby nigdy nic zawiesił sobie na szyi stułę. Czwartą stułę, jak się okazało, fioletową. Wtedy jako pierwszy podszedł do niego Wojtek i wędrowali tak razem co najmniej dwa kilometry, a może nawet trzy, a cała reszta pilnie patrzyła tylko przed siebie. Aż dziw, skąd wiedzieli, kiedy może podejść następny, dość, że wiedzieli. Po kolejnych ośmiu milach wszystko było po staremu, to znaczy szli razem, przemieszani i ze śmiechem, chociaż byli już porządnie zmęczeni, bo etap był z tych dłuższych, ponad dwudziestokilometrowych.

Niedzielna trasa do Tyndrum znowu była krótsza i wtedy wreszcie zaczęły się pogwarki na tematy zasadnicze.

– Dlaczego Ava nie chce ze mną rozmawiać? – powiedział z żałosnym wyrzutem w głosie Marcin. – Przecież się wyspowiadałem!

„I dlaczego odebrała ci swój kuferek z kosmetykami, który targałeś przez trzy dni w nadziei na jakąś gratyfikację". – Perfidny ksiądz pokiwał głową, a głośno powiedział:

– Masz, chłopie, praktyczną lekcję, czym się różni wina od kary, bo na religii nie byłem w stanie wbić wam tego do łbów. – A widząc, że Marcin dalej nie bardzo chwyta, dodał bezlitośnie: – Winę masz odpuszczoną, karę będziesz ponosił jeszcze jakiś czas.

– Zdołowałeś chłopaka, że hej – zauważyła Marysia, kiedy Marcin poczłapał w kierunku dziewczyn.

– Spoko, to nie potrwa aż tak długo, jeszcze pięć dni przed nami – powiedział beztrosko Jasiek. – Najdalej pojutrze Ava dopuści go… do swoich łask – dodał pośpiesznie na widok zgrozy w oczach Marysi. – Ten jej podręczny zestaw upiększający waży ze trzy kilo, więc sama rozumiesz…

– Oj, Janek, wiedziałam, że jesteś cyniczny, ale nie wiedziałam, że aż tak bardzo – prychnęła matematyczka, ale w duchu przyznała księdzu rację.

Ale naprawdę ciekawie zaczęło się wieczorem w Tyndrum, w hostelu o wdzięcznej nazwie By The Way, kiedy skupili się razem

przy ognisku.

– A ksiądz odczuwa przyjemność seksualną, kiedy siedzi obok pani profesor? – wyskoczył prosto z mostu i niewątpliwie odważnie Ethan.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszyscy łącznie z Rastą wpatrywali się w księdza z napięciem. Tylko Marysia miała minę, jakby chciała zagrzebać się pod ziemię.

– Tak – odpowiedział spokojnie Janek. – I byłoby naprawdę źle, gdybym nie odczuwał, bo do seminarium przyjmuje się tylko mężczyzn heteroseksualnych.

„Nie gadaj, może w teorii" – pomyślał Rasta, ale pysk trzymał zamknięty na kłódkę.

– Ale na drugi raz, chłopie, zadawaj takie pytania na osobności, bo ktoś się może poczuć skrępowany – upomniał go jeszcze Janek.

– A to nie grzech? – wyskoczył Wojtek, jakby nie słyszał ostatniego zdania.

– Oj, Wojtuś, coś ty robił, jak młóciliśmy takie tematy na lekcji? – westchnął ksiądz katecheta. – Odczuwanie przyjemności nie jest grzechem. Dopiero to, na co tę przyjemność obrócisz, może być paskudne. – A widząc, że teraz już nawet Marysia czeka z napięciem na ciąg dalszy, kontynuował: – Widzisz na ulicy odlotową brykę, tak? Sprawia ci satysfakcję, że ją sobie obejrzysz? Potem myślisz: kurczę, przejechałbym się! – Towarzystwo zachichotało. – Czy to grzech? Jasne, że nie. I jak zaczniesz zbierać forsę na taki samochód, to też nie grzech, przynajmniej w twoim przypadku, bo ja jednak powinienem sobie odpuścić. – Znowu wszyscy się zaśmiali; atmosfera ciut zelżała. – Grzech jest dopiero wtedy, kiedy chęć posiadania zaczyna ci przeżerać mózg. A już zupełnie źle się dzieje, kiedy kombinujesz sobie tak: „Ten sukinsyn ma brykę, której ja nigdy się nie dorobię! Och, żeby ją tak rozwalił i siebie przy okazji, jednego darmozjada będzie mniej!" – Janek popatrzył po skupionych twarzach i dodał lekko:

– A teraz konkretyzacja specjalnie dla Ethana i Przemka. – Śmiali się nawet wywołani do tablicy delikwenci. – Spotykamy piękną

kobietę… Cicho, Marysiu, wiem, co mówię! – Pani recepcjonistka wychyliła się przez okno, też zaciekawiona, z czego ta miła grupa tak się zaśmiewa. – Mnie wolno popatrzeć i na tym koniec. Wy możecie zacząć snuć marzenia, a nawet posunąć się do pewnej czynnej inicjatywy, byle z godziwym finałem na widoku. – Marcin i Ava ryczeli radośnie, obejmując się ramionami. – Teraz jasne?

Kiedy rozognioną młodzież ułożono wreszcie lulu, Marysia i Rasta osaczyli księdza.

– Janek, czy ty powinieneś pozwalać na takie rozmowy? – zapytał surowo Rasta. Czuł się zażenowany, że pani profesor, którą bardzo polubił, musiała tego słuchać.

– Marysiu, *sorry*, że zostałaś w to wplątana, ale tak, powinienem – odpowiedział stanowczo Jasiek. – Między innymi temu służą takie wycieczki. Żeby oni ośmielili się zapytać o to, czego się wstydzą w zwykłych sytuacjach. A Wojtyła o czym rozmawiał z młodzieżą? Przecież wiecie doskonale, że na ich etapie mają w głowie niemal wyłącznie seks!

– Niemal? – prychnęła Marysia. – Całkowicie! Może jeszcze tylko trochę wydalanie!

Rasta się spłonił, a Janek zaripostował:

– Krakowskim targiem, w dziewięćdziesięciu procentach. Ale zaufaj mi, zaczną mówić też i o czym innym. Daj im trochę czasu.

Opiekunowie odpuścili, a Janek, wślizgnąwszy się do sześcioosobowego pokoju, ukląkł przy swojej pryczy.

„Panie Jezu” – modlił się – „Ty wiesz doskonale, że szczególnie wieczorami zdarza mi się tęsknić za kobietą, za ciepłem i bezpieczeństwem, za czułością i przyjaźnią. Także za jej ciałem. I wiesz, że wszystkie te tęsknoty oddaję Tobie. Całą moją męskość i wszystkie pragnienia… Tak, było mi przyjemnie koło Marysi, tak samo jak było mi przyjemnie, kiedy patrzyłem na gołe plecy Wiolki. Tylko że wtedy byłem smarkaty, więc zawstydzała mnie fizjologia. I czułem się cholernie głupio, bo przecież Wiola była Merry’ego, a ja już wtedy chciałem być Twój…”

Nigdy by nie powiedział na głos tego, co szeptał Jemu. Chyba że księdzu Tadeuszowi na spowiedzi.

„Wiem, Janku" – uśmiechnął się Jezus.

A w sam dzień świętego Wawrzyńca, zgodnie z prognozą księdza katechety, młodzież rzeczywiście wyciągnęła z puli dziesięcioprocentowej ciężką artylerię.

– Męczeństwo to takie przestarzałe ramoty! – wyskoczyła Jessica. – Kto dzisiaj umiera za wiarę?

– George Popielooshko – burknęła pod nosem Lucy, a Rasta spojrzał na nią z aprobatą.

– To było dawno! – nie ustępowała Jessica. Ciekawe, ona też wiedziała, kogo koleżanka ma na myśli. Chyba katecheta im opowiadał.

„Jasne, trzydzieści lat temu z hakiem" – pomyślał Rasta. „Prehistoria!"

– Chrześcijanie w Iraku – przyłączył się Wojtek.

– Ale ja mam na myśli tu i teraz! – upierała się Jessica. – Znacie osobiście kogoś takiego? Kto by chociaż zaryzykował posadę? Spokojne życie?

Marysia zaskoczona spojrzała na księdza.

– Janek, oni nie wiedzą? – powiedziała ze zdumieniem. – Nie powiedziałeś im?

– O czym? – zawołali chórem ci z St Andrew's, a krzesiniacy słuchali czujnie, co dalej będzie.

– Waszego księdza pobili bandyci…

– Marysiu!… – próbował skorygować wypowiedź Jasiek.

– …bo nie chciał zdradzić tajemnicy spowiedzi i pozwolić na zbezczeszczenie Hostii – kontynuowała twardo Marysia. – Wychłodziłby się na śmierć, bo zostawili go na mrozie nieprzytomnego. Cud prawdziwy, że ktoś go znalazł. Czy powiedziałam choć jedno słowo nie tak? – zwróciła się bezpośrednio do Janka.

– Nie – powiedział krótko zainteresowany. Młodzież wgapiała się w niego jak w… nie, nie jak w portal społecznościowy! Jak w święty obraz!

– To może sobie pośpiewamy – powiedział pośpiesznie, a trzeba przyznać, że tym razem on miał ochotę gdzieś się zagrzebać.

Tak jak sercu księdza Tadeusza drogi był *Każdy wschód słońca*, tak Jankowi pewnie na długo zostanie w pamięci *The armour* śpiewane gdzieś tam nad Loch Tulla u stóp dziesięciu chyba munrosów, czyli trzytysięczników (w sensie trzech tysięcy stóp):

*My Lord, You gave me an armour*
*An old armourer made it*
*Creased in many battles*
*Baptised in blood…*
*But although I have lost my helmet and my sword*
*And it is no help for my body*
*It is an important thing after all*
*The armour!*[20]

Kolejne etapy były krótsze, maksymalnie szesnastokilometrowe, bo wszyscy byli już trochę zmęczeni (a niektóre dziewczyny otarły sobie sam–czytelnik–wie–co w stringach). A przede wszystkim chcieli przecież zachować siły na wielki epilog, czyli wejście na Ben Nevis w samo Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny z mszą odprawioną na szczycie włącznie.

Rankiem szesnastego zbierali się do powrotu. Poznaniacy mieli pobyć jeszcze tydzień w Glenrothes, tutejsi niestety rozpoczynali w środę rok szkolny.

Po śniadaniu speszony nieco Rasta podszedł do Jaśka.

– Janku – wybąkał, popatrując w sufit. – Nie miałbyś ochoty… eee… wrócić do Kirkcaldy na moim motorze? Bo jak opowiadałeś o tej wypasionej bryce, którą wolno ci tylko oglądać, to…

– No pewnie, że chciałbym! – przerwał mu gorąco Jasiek. Doskonale rozumiał, co Rasta chciał z siebie wykrztusić, i doceniał w pełni jego gest.

Młódź zatem z dwojgiem opiekunów zapakowała się w Fort William do autobusu i przyklejona do szyb obserwowała księdza na harleyu w pełnym motocyklowym oprzyrządowaniu. No, może nie tak całkiem pełnym, bo nabijana ćwiekami skóra Rasty była na niego za duża i założył w końcu własny polar i kurtkę. Ksiądz najpierw jechał grzecznie za nimi, a potem zaczął rozrabiać: równał się z autobusem, przeprowadzał szybką inspekcję moralności, trąbiąc, kiedy na ten przykład Marcin za mocno przytulał się do Avy, a potem robił błyskawiczny uskok w tył. Wreszcie Rasta nie wytrzymał i pogroził mu pięścią.

Wtedy Janek z rykiem wyprzedził autobus i pomknął w siną dal.

A Rasta spokojnie mógł zacząć opowiadać Marysi o swoim barwnym życiu.

– *I, Christine, take you, Rafał, to be my husband. I promise to be true to you in good times and in bad, in sickness and in health…* – mówiła Christine trzęsącym się głosem, patrząc wprost w oczy Rafała.

Babcia Kotoń otarła łzy; oto ślubowało kolejne z jej ośmiorga wnucząt. Czwarte. Nie, skąd, piąte, oczywiście, przecież Janek też się liczy! Najpierw szło to według starszeństwa, potem pierwsza wyłamała się Elunia, zaraz za nią Miłosz…

„Dziwnie oni tutaj mówią" – myślała sobie babcia. „Inaczej niż w Polsce. Ciekawe dlaczego. Ale dobrze to brzmi. »W złej i w dobrej doli, w zdrowiu i w chorobie…« Jakby specjalnie dla Rafała. A jego żona tak ładnie wymawia »Rafał«, po polsku…" – i znowu sięgnęła po chustkę.

Babcia była niewiastą jedyną w swoim rodzaju. Kiedy dwa lata temu pojawił się w rodzinie David i próbował z nią rozmawiać o filmach z lat pięćdziesiątych, postanowiła nauczyć się angielskiego, który to język dotąd, mimo posiadania zięcia anglisty, znała w stopniu średnim. W stopniu średnim dla osoby w jej wieku, odbierającej nauki w szkole, gdzie jedynym językiem obcym był rosyjski. Umiała zatem zastosować trzy słowa uniwersalne: *yes*, *no* i *okay*, a posiadanie wnuków i długoletnia praktyka szkolna wzbogaciła ten zestaw jeszcze o pewien nienadający się do cytowania idiom.

Do tej pory na wszelkie próby zachęcenia jej do czegoś w rodzaju uniwersytetu trzeciego wieku reagowała nerwowo. Nie cierpiała towarzystwa starych pryków, potrafiących gadać tylko o chorobach, sama bowiem mimo poważnej wady serca o chorobach mówić nie miała najmniejszego zamiaru. Za to codziennie bez względu na

pogodę chodziła na spacer do botanika albo nad Wartę. Ale teraz znalazła sobie zniżkowy kurs angielskiego i po pół roku była prymusem grupy, rozwiązując wszystkie testy powyżej dziewięćdziesięciu procent. Po dwóch latach natomiast potrafiła poprowadzić prostą konwersację całkiem jak jej córka z Brendanem.

Babcia z satysfakcją wpatrywała się w państwa młodych, a potem przeniosła wzrok na Gabriela, który z powagą i przejęciem pełnił rolę świadka. Best mana, jak ją pouczono, tłumacząc jednocześnie, na czym w Wielkiej Brytanii polega rola tejże persony. „Przydałoby się, żeby teraz Gabryś pomyślał o sobie, jest przecież tylko rok młodszy od Janka, za chwilę trzydziestka na karku…" – pomyślała nostalgicznie babcia. „O, ta dziewczyna, która jest druhną, nadałaby się dla niego, taka ładna, chociaż ruda". Wydawało jej się, że skądś ją już zna, ale nie była pewna, czy po prostu nie zawodzi jej pamięć. Spróbowała przyjrzeć się dokładniej, ale trochę zasłaniał stojący przed nią teść Rafała, wysoki facet w kilcie, podpierający się kulą. Jak jej wyjaśnił Rafałek, teść spadł z klifu podczas wspinaczki bez asekuracji i teraz intensywnie się kurował.

Okazja do rozszyfrowania tożsamości druhny nadarzyła się zaraz potem, kiedy towarzystwo przetransportowało się z St Marie's do Domu Polskiego, bo tam właśnie odbywało się wesele. Energiczny fotograf popędził gości do wspólnego zdjęcia, potem zajął się młodą parą we wszelkich możliwych konfiguracjach. Babcia odczekała, kiedy Gabriel, otarłszy dyskretnie pot z czoła, zwolnił plac boju dla rodziny Christine i zagadnęła swobodnie:

– Przedstawisz mnie swojej dzisiejszej towarzyszce?

– Jasne, ale przecież babcia ją zna – roześmiał się Gabriel. – To Una, siostra Davida, widziała ją babcia na ślubie Eli.

– *Hallo, Una, I remember you, you were a bridesmaid, too a year ago* – powiedziała ze szkolną starannością babcia. – *I'm glad to meet you again.*[21]

– Una nie była druhną – sprostował szybko Gabriel. – Ona była best manem.

– A teraz uczę go, jak to się robi – powiedziała Una i oboje roześmieli się, patrząc na siebie. Tyle babci wystarczyło do pełnej satysfakcji, nie musiała nawet przepytywać Gabriela, jak to się stało, że druhną nie została jakaś przyjaciółka panny młodej.

Kiedy szaleństwo fotograficzne się skończyło, goście wreszcie zajęli miejsca: honorowe przy stole głównym przewidziano dla nowożeńców, świadków, rodziców, babć oraz dwóch księży, pozostałych rozsadzono przy klubowych stolikach dookoła sali. Wszyscy jednak byli doskonale świadomi tego, że zaraz po części oficjalnej zacznie się rotacja towarzyska.

Zgodnie z obyczajem ogólnym najpierw przemówił wzruszony Leo, szczęśliwy ojciec panny młodej, kończąc toastem na cześć nowożeńców. Zaraz potem do głosu dorwał się best man, który, idąc za dobrymi radami osób doświadczonych, miał zamiar obsmarować młodszego brata, ile wlezie. Babcia, której miejsce przypadło dokładnie naprzeciwko Gabriela, sczytywała z jego ust każde słowo.

– Pozwólcie, że uchylę tu zgromadzonym rąbka tajemnicy, jak to się wszystko zaczęło – mówił ze swadą, a Ela tylko się uśmiechała, bo wstęp był bliźniaczo podobny do tego sprzed z górą roku. – Mój kochany młodszy braciszek szwendał się pewnego dnia po plaży, fotografując swoje ulubione ptaszyska i, jak to on, nie patrzył pod nogi. Jeden krok za dużo i znalazł się po szyję w wodzie. Pięknie, pomyślał, zapalenie płuc mam jak w banku! W tej samej chwili jednakże na ratunek pośpieszyła niezawodna brytyjska służba zdrowia, oferując nieszczęśnikowi suchy koc i ogrzanie się przy swoim kominku. – Wszyscy śmiali się bez skrępowania, wiedząc doskonale, że Rafał miał z plaży równie blisko do siebie na Ramsay Road, jak do mieszkania Christine. – W rezultacie tej jakże efektywnej pierwszej pomocy wzmiankowany pracownik Kirkcaldy Hospital siedzi właśnie tutaj… – Gabriel wskazał z uśmiechem na bratową, a babcia gratulowała sobie skutecznej edukacji, bo

potoczysta mowa zrozumiała była dla niej, powiedzmy, w osiemdziesięciu procentach. „Robercik mówił, że na koniec best man dziękuje druhnie, ciekawe, co Gabryś powie” – pomyślała sobie mimochodem.

– Na zakończenie chciałbym wznieść toast za zdrowie druhny. – Gabriel jakby odczytał myśli babci. – A korzystając z okazji, pragnę zawiadomić tu obecnych, że od października Una zaczyna studia doktorskie w Instytucie Biochemii w Edynburgu, a ja – uśmiechnął się – zostałem przyjęty w tym samym instytucie na stanowisko archeologa odpowiedzialnego za badania C czternaście.

O, tego babcia nie wiedziała! Dlaczego nikt wcześniej jej nie poinformował?

Goście bili brawo i właśnie chcieli ruszyć się z talerzykami do sąsiedniej sali, służącej jako bufet, kiedy wstał Rafał.

– Proszę o wybaczenie, że naruszam w tej chwili tradycję – powiedział swobodnie. – I wybacz, bracie, ale muszę cię przelicytować. Chciałbym wznieść toast za moją kochaną żonę i nasze dziecko, które urodzi się w kwietniu przyszłego roku!

– Jezu!… – jęknęła ciotka Anioł, zerkając z zażenowaniem w bok na księdza Tadeusza. Przed Jankiem też jej było głupio.

– Co Jezu, jakie Jezu? – żachnął się momentalnie stuprocentowo lojalny Gabriel. – Niech się mama cieszy, a nie piszczy, bo nie ma o co!

– Pani Beato – szepnął jej do ucha ksiądz Tadeusz. – Syn ma rację, proszę się cieszyć!

– I niech mama nie wzywa imienia Bożego nadaremno – zmiażdżył ją jeszcze Gabriel.

– Nie słuchaj, ciotka, tego barana, Pan Jezus ma włączony filtr przeciwspamowy – pośpieszyła uspokoić ją druga osoba duchowna.

– Ojciec panny młodej stawia drinki dla wszystkich! – zawołał w tym samym momencie ochoczo Leo.

Jak poinstruowano babcię, poza pierwszym toastem każdy zaopatrywać się miał w alkohole samodzielnie w barku, na własny

koszt, ale teść Rafała postanowił uczcić dobrą nowinę. Babcia z żalem uznała, że ona właściwie ze względu na serce nie powinna, zawahała się co do piwa marki Tyskie, by wreszcie poprosić o kieliszek czerwonego wytrawnego. A co tam, za zdrowie czwartego prawnuka! Miesiąc temu Gosia urodziła Tomeczka, a teraz, proszę, następny! Kto by to pomyślał, że tak się doczeka! I Eluni synek milutki, tylko mały jakiś i imię ma dziwne, niepolskie takie: Angus. Mówili jej, że szkockie. Czemu szkockie, jak ojciec Walijczyk, a matka Polka? Żeby tylko Elunia się nie wynarodowiła, bo teraz ta dzisiejsza młodzież!…

Babcia nałożyła sobie na talerz co bardziej dietetyczne kąski, pociągając z żalem nosem nad akcentem jak najbardziej patriotycznym, czyli bigosem produkcji pani Wandy, i poszła na inspekcję do stolika Eluni i jej męża. Trzeba sprawdzić, jak się rzeczy mają, a przy okazji może dałoby się porozmawiać o starych filmach, *Działach Nawarony* chociażby.

Bachowie usadowili się w kącie pod oknem przy małym stoliczku, potomkowi moszcząc na podłodze wybieg w postaci maty piknikowej. Angus, ubrany w krótkie spodenki i lekką koszulkę, z zapałem robił fokę wpychając sobie jednocześnie do buzi gumową laleczkę. Babcia przyjrzała się tej scenie nad wyraz krytycznie.

– Eluniu, jak ty możesz dziecko na podłodze trzymać, jak psa! – powiedziała ze zgorszeniem. – Weź go na ręce!

– On tak lubi – powiedziała stanowczo Ela. – Musi mieć dużo przestrzeni, żeby się ruszać. – Angus chował się nie z psami co prawda, lecz z kotami, i stąd się być może brały jego aspiracje. W każdym razie koty uważały go za członka stada, a razu pewnego, kiedy dzieciątko wyłożono na kocyku przed domem, obroniły je przed obcym psem. Nie, nie bójcie się, nie było to tak, jak na słynnym filmie z YouTube. Po prostu lazła luzem jakaś nietutejsza psia powsinoga, to oba koty, Fela i Ginger, nastroszyły ogony jak lisie kity, postawiły irokezy na grzbietach, podwajając w ten sposób objętość, i popędziły kundla, gdzie pieprz rośnie. Ela przybiegła

w momencie, kiedy intruz znikał z podkulonym ogonem za węgłem, ku szalonej radości Angusa.

– Ależ on jest za mały na raczkowanie! – Babcia, matka trojga dzieci, była autorytetem. – Ile on ma miesięcy, pięć?

– Pięć i trzy tygodnie – odpowiedziała skrupulatnie Ela. – Od tygodnia porusza się metodą dżdżownicy – dodała z dumą.

– I czemu tak lekko ubrany? – nie ustępowała babcia. – Przecież to już jesień! Będzie mu zimno!

– On lubi, jak mu jest zimno. – Ela miała w sobie tyleż silnego charakteru, co jej protoplastka. Babcię na taką herezję zatchnęło.

– Jak możesz takie rzeczy mówić! – oburzyła się. – Stópeczki ma jak lody! Skarpetki byś mu chociaż założyła!

– On nie lubi skarpetek – wyjaśniła beznamiętnie Ela. – Zaraz je zdejmuje.

– Zdejmuje!… – prychnęła babcia. – Dawaj te skarpetki!

Pilnie wsłuchany w dialog David zrozumiał ostatnie zdanie i z promiennym uśmiechem podał babci żądaną odzież. Babcia porwała dzieciaka z podłogi, usadziła sobie na kolanach, sprawnie ubrała prawnuka, ale zaraz potem musiała go puścić, bo mały zastosował cios poniżej pasa, ściślej – raptowny cios potylicą prosto w sztuczną szczękę.

Angus, skoro tylko poczuł się wolny, odwrócił się na plecki i jednym silnym ruchem zdarł prawą skarpetkę, odrzucając ją z niechęcią. Z lewą nie poszło mu tak łatwo, udała mu się ta operacja dopiero za trzecim podejściem. Wyswobodzony, przekulał się ponownie na brzuszek, kontynuując fokę z uśmiechem od ucha do ucha.

– No widzi babcia – powiedziała z satysfakcją Ela. – A nie mówiłam?

Tego już było babci za wiele. Postanowiła przeto odwołać się do wyższej instancji. A właściwie spowodować interwencję pośrednika, niekoniecznie wyższego szarżą.

– Róża! – powiedziała ponuro do promiennej córki, która właśnie wybierała się na parkiet z ukochanym Robertem. – Ela tego małego zaziębi! Koniec września, a ona go trzyma półnago! I to na podłodze do tego! Żeby chociaż w wózku!

– Mamusiu, Angus nie znosi wózka, kojca i wszystkiego, co go ogranicza – powiedziała rozsądnie Róża. – I nie lubi być za ciepło ubierany, ma to po wujku – dodała z dumą.

Babcia się wkurzyła.

– Do czego to podobne, żeby takiej smarkatej wydawało się, że jest najmądrzejsza! – zawołała bojowo. – Jak się zdecydowała na dziecko zaraz po ślubie, to niech teraz ponosi konsekwencje i ma tę odrobinę odpowiedzialności! – Jak widać na załączonym obrazku, babcia była niereformowalna. No i, oczywiście, miała męczeńską koncepcję małżeństwa i macierzyństwa. – Powiedz jej! Zrób coś!

Nagabywana pośredniczka miała już dosyć. To w końcu było wesele, a ona chciała zatańczyć, bo ślub Rafała był znakomitą okazją do celebracji własnego trzydziestopięciolecia.

– Ela ma dwadzieścia trzy lata – powiedziała z naciskiem. – Jest dorosła, mądra, zaradna i dzielna. Sama wie najlepiej, jak chować własne dziecko.

Babcia popatrzyła na nią spod przymrużonych powiek.

– Bo tobie się nie chce! – ruszyła najcięższy argument.

Róża poczuła typowo klimakteryjne uderzenie gorąca i typowy pod każdym względem przypływ furii. Za chwilę miały polecieć kłaki.

– Jak ładnie pani wygląda – usłyszały w tej samej chwili przyjazny głos księdza Tadeusza. – Pewnie cieszy się pani bardzo z tylu wnuków i prawnuków?…

Kawaleria przybyła na czas.

Babcia miała wielką ochotę porozmawiać z księdzem, o którym tyle opowiadała jej po powrocie do Poznania matka Roberta, więc dała się usadzić przy stole głównym; jeden wnuk kopnął się po dokładkę drobiowej szyneczki, drugi przyniósł z barku wodę mineralną Żywiec, a proboszcz rozpoczął opowieść o życiu parafii

w niedużym szkockim mieście. W sumie był sympatyczny, uznała babcia; kiedyś, na samym początku, kiedy Janka przenieśli na Krzesiny, wyobrażała go sobie na podobieństwo Cezarego Żaka z *Rancza*, potem na ślubie Eli musiała skonstatować, że jak już, to bardziej przypomina księdza Dowlinga z popularnego niegdyś *Detektywa w sutannie*. Teraz wygląda korzystniej, schudł przez ten rok, byle go Janek głodem nie zamorzył, trochę tłuszczu też jest potrzebne człowiekowi, chociażby do ochrony przy upadku. O, właśnie, mówili jej, że złamał nogę, i pewnie teraz jest chodzącym barometrem, co rusz mu to dokucza, bo przecież widać, że szuka sobie najlepszej pozycji na tym niewygodnym krześle. Babci też doskwierał kręgosłup, więc potrafiła podobne dolegliwości wypatrzeć u bliźnich.

Słuchała chciwie opowieści z kruchty, tym bardziej że miała swoje zdanie na tematy religijne, a po ostatnim starciu musiała odreagować.

– No dobrze – powiedziała swarliwie. – Przychodzą do kościoła, powiada ksiądz. I co dalej? Czy są lepsi dla swoich bliskich? Żony, dzieci? Jak to się przekłada na ich życie?

– Tak jak i na nasze – odpowiedział spokojnie ksiądz Tadeusz. – Raz lepiej, raz gorzej. – I popatrzył babci głęboko w oczy.

Babcia była osobą zbyt zasadniczą, żeby takie prostackie aluzje wziąć do siebie. Co innego, jeżeli chodzi o tego tu funkcjonariusza.

– Otóż to! – podkreśliła z naciskiem. – Tyle mówicie na kazaniach o naśladowaniu Chrystusa! I co? Przecież ksiądz też z Poznania, to wie najlepiej, co się działo z gmachem liceum przy Głogowskiej! Jakich horrendalnych opłat żądała kuria za użytkowanie! I musieliśmy się wynosić na Cegielskiego! – Babcia, wieloletnia nauczycielka ósmego liceum, dosiadła swojego ulubionego konika. Jeżeli czytelnik ma w tym momencie jakieś obiekcje merytoryczne, niechże sobie sprawdzi w słowniku (albo w internecie, jego wola), co to jest mowa niezależna.[22]

– A szkoła baletowa? To samo! – perorowała babcia z ogniem, jakby zupełnie zapomniała o stanie swojego serca. Cóż, jedni podnoszą sobie ciśnienie za pomocą horrorów, drudzy użytkują w tym celu filmy zbliżone treścią do tego, który miał na wyposażeniu recepcjonista z Inversnaid. Inni oglądają namiętnie TVN na podobnej zasadzie, jak Kisiel czytał „Trybunę" (narrator nie będzie wymieniał nazwisk, czytelnik sam doskonale pamięta, kogo tu się przywołuje). Jeszcze inni wreszcie uwielbiają ideologiczne starcia, nawet jeżeli muszą to potem odchorować.

Za plecami rozmówców przemknął bezszelestnie trzeci wnuk, ten najstarszy.

– To co to za Kościół, pytam się? – drążyła babcia. – Czyj to Kościół?

– Mój, pani i Karola Wojtyły – odpowiedział z uroczym uśmiechem ksiądz Tadeusz. – I może jeszcze parę innych osób też by się znalazło. Pozwoli pani, że jej coś opowiem? Było dwóch przyjaciół, chrześcijanin i żyd. Ten pierwszy próbował nawracać drugiego, spracował się, upocił, aż wreszcie, gdy zdawało mu się, że jest już bliski sukcesu, żyd powiada: dobrze, ochrzczę się, ale najpierw pójdę do Rzymu, żeby zobaczyć, jak to wszystko, o czym mi opowiadasz, wygląda u źródła…

Gdyby z księdzem Tadeuszem rozprawiała babcia Niziołek, pewnie w tym momencie już by rozszyfrowała, że czyni on zapożyczenie z *Dekameronu*. Babcia Kotoń jednakże jako geograf (Geograf! Niech czytelnik nie poprawia na „geografka"! Od „geografki" babcia każdorazowo dostawała ataku furii!) pozostawała w nieświadomości.

– Chrześcijanin zbladł – ciągnął proboszcz – i począł odwodzić przyjaciela od tego szczytnego zamiaru, ten jednak był uparty i pojechał. Wrócił po dłuższym czasie i oświadczył: w Rzymie zastałem jedną wielką Sodomę i Gomorę. Przyjaciel pomyślał: no, to zgodnie z przypuszczeniami mam w plecy. – Ksiądz oddawał słowa Boccaccia dość swobodnie, ale z sensem. – A na to żyd: i właśnie

dlatego chcę się ochrzcić. Bo jeśli ten Kościół mimo wszystko ciągle trwa, to znaczy, że jest w nim Duch Święty…

Babcia obejrzała sobie impertynenta od góry do dołu. „Pewnie, musisz tak gadać" – pomyślała ponuro. „Padniesz, a złego słowa nie dasz powiedzieć…"

– Dobrze – burknęła bojowo. – To proszę mi wytłumaczyć, co ksiądz osiągnął przez to całe spotkanie na górze. Przecież to kropka w kropkę jak z Lednicą. Mało ja się w szkole napatrzyłam? Jeździli, wracali i rozrabiali jak przedtem. A jeszcze potem szli w świat i było już tylko gorzej. Zdrada, głupota, podłość. Więc ja się pytam: po co to wszystko? Kilka godzin zauroczenia, żeby się poczuć lepszym? I właściwie kto miał się poczuć lepiej, oni czy ksiądz?

– Babciu, czy mógłbym cię prosić do tańca? – usłyszała w tej samej chwili nad głową głos najstarszego wnuka. W jednej chwili Matka Kościół poszła w odstawkę.

– A tobie wolno, Janeczku? – zapytała zdumiona i uradowana jednocześnie, bo jak dotąd żadnemu z jej ukochanych mężczyzn nie przyszło to do głowy.

– Szkockie tańce z babcią zawsze! – zapewnił solennie Janek i poprowadził ją na parkiet. Oprócz Leo kilt nosiło jeszcze czterech panów i właśnie wspólnie wycinali ogniste hołubce do wtóru dzikiej muzyki. Babcia z Jankiem dołączyli do nich, powodując wybuch entuzjazmu wszystkich obecnych. David porwał Angusa na ręce i we troje z Elką również zaczęli tańczyć. O dziwo, tym razem Angus nie protestował, przeciwnie, w ramionach ojca musiało mu być bardzo dobrze, bo co rusz zaśmiewał się radośnie. Ksiądz Tadeusz patrzył na nich rozpromieniony, poklaskując do rytmu.

– Łańcuszek ludzi dobrej woli – zakpiła Róża, przysiadając się do niego. – Nasz dzielny syn wyrwał cię właśnie z rąk mojej matki, jak trochę wcześniej ty mnie, prawda?

– Różyczko! – zmitygował ją mąż, chociaż oczy mu się śmiały. – Jak możesz tak mówić o mojej teściowej!

– A co, może nieprawda? – burknęła Róża. – Mama jest dzisiaj w kondycji, lepiej jej schodzić z drogi!

– Janek nie docenia starej gwardii, prawda, Tadeusz? – upierał się Robert. – Róża też! Powiedz, jaki byłby twój następny ruch?

– Zapytałbym waszą mamę, jaką scenę z *Dział Nawarony* lubi najbardziej – odpowiedział z lekkim uśmiechem proboszcz. – A potem bym jej zaproponował odśpiewanie *Yalo Yalo*…

– Co takiego? – zdumiała się Róża – Skąd wiesz? Janek ci mówił?

– Nie – zaprzeczył ksiądz Tadeusz. – Na ślubie Eli pani Kotoń miała taki dzwonek na komórce. Poznałem, bo też bardzo to lubię.

– Teraz ma *Greka Zorbę* – powiedziała z namysłem Róża. – Gosia jej ustawiła.

– No właśnie – podkreślił proboszcz. – Jak nie da rady perswazją, to do serca trafia się przez śpiew. A Janek, jak widać, dodatkowo przez taniec.

Szkockie tańce się skończyły, babcia, promieniejąca szczęściem, padła bezsilnie na fotel. Po sąsiedzku to samo zrobił Leo. Trochę przesadził przy swojej kontuzji i noga bolała go teraz jak diabli. Jako że z zawodu był rehabilitantem, a do nocy było daleko i czekały go jeszcze rozliczne obowiązki, postanowił zadziałać radykalnie: zadarł nogę na sąsiednie krzesło i rozpoczął automasaż.

Wtedy babcia miała jedyną, niepowtarzalną, unikalną wręcz okazję, żeby zobaczyć, co Szkot nosi pod kiltem.

Postanowiła jednakże ów sekret zachować dla siebie, ponieważ w ciągu ostatniego kwadransa również poczuła się Szkotką. A takie detale to wszak tajemnica klanowa. W zamian z ciekawością poczęła badać, co Szkot nosi w sporranie, czyli… jak by to elegancko wyrazić… takiej torebce noszonej, hm, z przodu, bimbającej szczególnie efektownie podczas tańca. Leo mianowicie wyciągnął z niej jakieś dragi i łyknął sobie podwójną porcję, inny zaś z panów, chyba James, dobył po prostu portfel celem zakupienia alkoholi.

– Jakiego drinka pani sobie życzy? – powiedział do babci serdecznie.

– Nie, ja już dziękuję – odpowiedziała z lekkim żalem.

James od pani Władysławy (bo on to był w istocie) uznał, że ta przesympatyczna starsza pani nie zrozumiała, zwrócił się wobec tego do jej zięcia, o którym wiedział, że jest tłumaczem przysięgłym.

– Coś lekkiego – pośpiesznie zadysponował Robert. – Odrobina dżinu z dużą ilością toniku.

James gorliwie podskoczył do baru i wrócił z dwiema wysokimi szklankami. „A, co tam!" – pomyślała babcia i przystąpiła do konsumpcji.

– Z jakiego klanu jest twój kilt? – zapytała swobodnie Jamesa.

– To są barwy Fife – odpowiedział, mile zaskoczony, i zaczął opowiadać jej o rodzajach tartanów. Babcia zaś stwierdziła, że ci Szkoci są przemili, wcale nie mówią niewyraźnie i w ogóle zrozumialność skoczyła jej niemal na maksa. Płynnie przeszli na referendum niepodległościowe i stosunki angielsko-szkockie.

Siedzący nieopodal Robert podpytywał księdza Tadeusza o losy parafialnej filii w Glenrothes.

– …trochę jak dotąd jedziemy na dziko – zwierzał się proboszcz. – W kurii mieli wakacje, jeszcze nie mamy od nich glejtu. Ale kaplica funkcjonuje normalnie, latem byłem tam na okrągło, teraz mszę odprawiam dwa razy w tygodniu, w środę i w sobotę po południu. Prosiłem biskupa o jeszcze jednego księdza, sugerowałem tego kolegę Janka, wiesz, Jędrzeja z Gostynia, jego i tak za chwilę gdzieś przeniosą, bo siedzi tam już piąty rok, więc mogliby do nas…

– A… efekty duszpasterskie? – zapytała Róża z ciepłym uśmiechem, tak podobnym do Jankowego.

– Pomalutku. – Odwzajemnił jej uśmiech. – Trochę chrztów. Kilka konwersji, a właściwie trzeba by powiedzieć nawróceń, bo oni za bardzo z Kościołem Szkocji nie mieli kontaktu. – Ksiądz Tadeusz był człowiekiem skromnym i nie chciał dużo gadać. Kto miał oczy, widział, że Christine i jej ojciec podczas ślubu przystępowali do komunii, i potrafił wyciągnąć właściwe wnioski. – Jakie będą efekty

długodystansowe i jak to się będzie przekładało na ich życie, jak by powiedziała wasza mama, to już musimy poczekać.

– …rabowali zegarki, gwałcili kobiety!… – dobiegły Roberta w tej samej chwili żarliwe słowa teściowej. „Rany boskie!" – pomyślał w popłochu. „O czym ta babcia opowiada?!"

– Słuchajcie – zmienił temat proboszcz. – Powiedzcie mi, proszę… bo wstydzę się zapytać pana Michała… Jak się czuje ten biały kot?

– Zmora? – podchwyciła Róża. – Lepiej nie trzeba! Awansowała na pierwszą gołuchowską zmorę, pasjami straszy turystów, bo na ich widok zeskakuje znienacka z drzewa lotem koszącym…

– Będzie deszcz, koty nisko latają! – roześmiał się ksiądz Tadeusz.

– A Michał świata za nią nie widzi – dołączył ochoczo Robert. – Niewiele brakowało, żeby nie przyjechał na ślub rodzonego syna! Bo miał obawy, czy kotek nie poczuje się odtrącony!

– Tłumaczyliśmy mu wszyscy do kupy, że Wiola z Merrym Zmorę dopieszczą – włączyła się jego najdroższa żona.

– Ale on ciągle się wahał i dopiero jak Miłosz i Dominika obiecali, że będą u nich mieszkać przez ten tydzień, dał się przekonać – dokończył Robert.

– Tak naprawdę Michał się wstydził, że kiepsko mówi po angielsku – szepnęła proboszczowi do ucha Róża. – Ale, jak widać, radzi sobie nieźle – dodała z ciepłą kpiną, całkiem jak Jasiek. Anioł starszy bowiem w tej samej chwili postanowił zrewanżować się Szkotom za ich tańce narodowe i zamówił u didżeja *Sokoły*.

„Żeby tylko nie przesadził, jak na weselu Gosi, bo będziemy mieć drugiego ojca o kulach!" – pomyślał z rozbawieniem Robert. Jeszcze szerzej się uśmiechnął, zobaczywszy, że babcia ciągnie na parkiet Jamesa, perswadując, że ona mu pokaże. Za chwilę Polacy do spółki ze Szkotami wykonywali najpopularniejszą polską pieśń biesiadną, traktującą o miłości do Ukrainy. „Spróbuj to, mamo, wytłumaczyć Jamesowi" – roześmiał się w duchu. „Toż to dla nich całkowicie niezrozumiały kod kulturowy, jeszcze mniej niż dla nas *Loch*

*Lomond*!” Nawet się nie spostrzegł, jak znalazł się na parkiecie u boku swojej teściowej.

– Mamo – zagadnął, korzystając z okazji, że babcia musiała jednak trochę odsapnąć i oparła się o ścianę. – Co mama opowiadała o jakichś gwałtach?…

– Jak to co? – żachnęła się seniorka. – Powiedziałam mu, że oni nienawidzą Anglików, a my Rusków. I wytłumaczyłam dlaczego.

– A skąd mama zna takie słowa? – nie ustępował zięć.

– Jak to skąd? – Babcia była twarda jak skała. – Z amerykańskich filmów! Oglądam tylko z napisami! Gosia mi ustawiła!

„Dobre dziecko” – pomyślał Robert. „Jak ona dba o tę babcię!” Gdybyż, biedny, wiedział to, czego poza penitentką i jej spowiednikiem była świadoma tylko Elunia…

To samo musiała pomyśleć mama, bo miała niewyraźną minę i chyba czuła wyrzuty sumienia. Po chwili zaś Robert zobaczył, że przeprowadza jakąś tajną naradę z didżejem. Chyba jednak z kiepskim rezultatem, bo ten ostatni rozkładał bezradnie ręce.

– Coś nie tak? – przysunął się z boku jak duch Rasta. Do tej pory kręcił się na obrzeżach imprezy, pomagając w kuchni i poprawiając humor paniom Wandzie, Barbarze i Władysławie. Kiedy ta ostatnia mianowicie pożaliła się zasmucona:

– Nikt nie chciał moich zimnych nóg! – nałożył sobie na talerz potrójną porcję i pożarł na jej oczach, mlaskając z zachwytu.

Teraz zaś zauważył, że trzeba pójść w sukurs mamie księdza Janka, szybko więc dopytał, na czym polegają braki didżeja.

– Będą to mieć na stoisku muzycznym w aździe! – zawyrokował fachowo.

– Gdzie? – zdumiała się Róża. – Ach, w aździe, rozumiem!…

– Niech pani ze mną jedzie, obrócimy w pół godziny! – powiedział operatywnie Rasta. Mama zarzuciła płaszcz i dała się poprowadzić na dwór, po czym wmurowało ją na widok harleya.

– Proszę założyć! – wręczył jej rycersko swój kask Rasta. Róża zawahała się tylko przez chwilę, a potem dzielnie wsiadła na motor

po damsku jak na starych filmach i ruszyli.

Do osamotnionego Roberta przysunął się Jasiek.

– Tato – zagadnął – powiedz mi, proszę, dobrze się czujesz?

Robert spojrzał na syna ze zdziwieniem.

– Doskonale, a dlaczego pytasz?

– A, tak sobie – Jasiek chyba nie chciał puścić farby. – Na pewno wszystko w porządku? Ciśnienie, nerki, bo ja wiem… – Stuknął wymownie w klatkę piersiową.

– Janku, nic mi nie jest, słowo Niziołka! – zarzekł się tata. – Nerki to był epizod, ciśnienie mam uregulowane, pewnie, że już w trzy godziny na Rysy nie obrócę… – Uśmiechnął się, kiedyś uciekał w Tatrach przed burzą, bijąc rekord wejścia. – Ale nic mi nie dokucza. Skąd ci to przyszło do głowy?

Jasiek pilnie oglądał czubki butów.

– Tak jakoś to po mnie łazi… Takie mam… przeczucie… że komuś z moich bliskich coś jest. Z Rafałem w porządku, Bachowie kwitną… Więc skoro mówisz, że u was wszystko OK…

Tata tylko pokiwał głową.

– Janeczku, słuchaj, a ksiądz Tadeusz?

– Otóż to – westchnął Jasiek, ale nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo wrócili Rasta z mamą. Droga do marketu Asda i powrót z łupem zajęły im dokładnie dwadzieścia pięć minut. W samą porę, bo za chwilę nowożeńcy mieli zostać wywiezieni przez Leo na weekend miodowy do hotelu spa.

– A teraz ostatnia piosenka! – ogłosił didżej. – Na specjalne zamówienie od dzieci i wnuków dla najlepszej tancerki dzisiejszego wieczoru… *Grek Zorba*!

Babci Kotoń zawirowało w głowie.

– Czy mogę panią prosić? – zapytał elegancko David, podając jej ramię.

Były już tańce szkockie, polskie, polsko-ukraińskie i uniwersalne. Teraz wszyscy pospołu, na czele z ojcem panny młodej, który nagle

ozdrowiał, i czterema innymi Szkotami w kiltach, tańczyli *Zorbę*. Trzeba było przyjechać do Kirkcaldy, żeby to zobaczyć!

„To najpiękniejsze wesele w moim życiu!” – pomyślała babcia.

# GLENROTHES 16

Ostatniego dnia września Rasta powiedział księdzu Tadeuszowi, że wyrusza na szlak. Dobrze mu tutaj i wszystkich bardzo lubi, ale musi jechać, bo usłyszał wezwanie.

– Niech się ksiądz ze mnie nie śmieje, ja naprawdę muszę – tłumaczył się trochę zażenowany. – Nie wiem, kiedy wrócę, będę się starał na następny Lomond Hill, ale niczego nie obiecuję. Ale nawet jakbym nie wrócił, będę z wami duchem.

– Potrzebuje pan czegoś? – zapytał szybko, bo ostatnie słowa Rasty zabrzmiały tak jakoś dziwnie.

– Nie, nie, forsy mam mnóstwo, prawie nic nie wydałem, na dwa lata wystarczy, nawet gdybym nic nie robił. Niech sobie ksiądz mną głowy nie zawraca, choćbym długo nie dawał znaku życia.

– To… dokąd pan rusza? – Nie chciał się przyznać, że mu żal, bo przyzwyczaił się do Rasty i jego obecności w Glenrothes.

– Na zachód – odpowiedział krótko Rasta.

Pojechał w sobotę, wpadł jeszcze rano do St Marie's, a potem zaryczał na całą ulicę i już go nie było.

– Proszę księdza – szepnął Jasiek. – Rasta to wolny człowiek, nie wytrzyma długo w jednym miejscu. Jaki on był strasznie nieszczęśliwy, kiedy mu padł stary motor! Ja się wtedy na prima aprilis wygłupiałem, ale jemu naprawdę niewiele brakowało i trzeba go było ostro stawiać na nogi. A teraz proszę, aż miło popatrzeć. Niech ksiądz będzie spokojny, dałem mu namiary na różne takie chatki turystyczne, może dotrze do Achtoty, chociaż on chyba by wolał na Hebrydy. W Glenrothes Alexander przypilnuje w ciągu tygodnia, ja podskoczę z dzieciakami, zrobimy porządek…

– A on nie będzie… no wiesz? – zapytał proboszcz.

– Pewnie będzie – odpowiedział z lekkim uśmiechem Janek. – Spokojnie, proszę księdza, niech ksiądz to traktuje jak używkę…

Machnął ręką, nie chciał słuchać o tym raz jeszcze i denerwować się o tego idiotę. Tego tutaj, nie tamtego, chociaż tamtego też.

Pojechał do Glenrothes jeszcze tego samego dnia, uprzedzając Janka, że zostanie tam na noc i wróci dopiero na swoją mszę. Chciał spokojnie pomyśleć, porozmawiać z Alexandrem. Pewnie ktoś się pojawi, to też z nim trzeba będzie pogadać. Dwa tygodnie temu przyjechał pan Osipiuk i siedzieli do nocy, dzisiaj spodziewał się starszego syna tej pani z High Street, u której kupowali z Jankiem garnitury.

Tymczasem w Calder Court czekał na niego Mikołaj.

– Zacząłem fizykę w Edynburgu – powiedział zmieszany, spięty, jakby się bał, że go pogonią na cztery wiatry. – Wynajmujemy we czterech mieszkanie, mam dach nad głową – zastrzegł się od razu, pewnie nie chciał, żeby sobie proboszcz pomyślał, że przychodzi po prośbie. – Czy ja mógłbym… przyjeżdżać tutaj na weekendy? Do pomocy? Posprzątałbym albo coś innego…

„I może miałbyś okazję trafić na tę dziewczynę, która ci z głowy nie chce wylecieć od lipca” – dopowiedział w myślach ksiądz Tadeusz. „Jak ci teraz wytłumaczyć, że Angela uczy się w Edinburgh College i że prędzej spotkasz ją tam niż tutaj?”

– Pewnie, że mógłbyś, każda para rąk jest cenna – odpowiedział przyjaźnie. – Dzisiaj faktycznie przydałoby się sprzątanie, ale potem miałbym dla ciebie inną robotę. – Mikołaj znowu się usztywnił, jakby się spodziewał, że za chwilę zacznie mu wypominać seminaryjną przeszłość. – Jest tu trochę polskich rodzin z dzieciakami w różnym wieku, część z nich wraca do kraju i wtedy zaczyna się dramat, bo w polskim gimnazjum czy liceum kompletnie nie chwytają przedmiotów ścisłych. Dałbyś się namówić na lekcje matematyki i fizyki dla, powiedzmy, trzech osób? I może jeszcze dla dwóch następnych, miejscowych, żeby ich przygotować do college’u?

Mikołaj rozpromienił się w jednej chwili.

– Oczywiście, proszę księdza! – powiedział radośnie. – A potem mogę ich przegonić trochę po górach i opowiedzieć o Polsce… i Panu Bogu – dodał, patrząc proboszczowi prosto w oczy.

„I bardzo dobrze” – pomyślał ksiądz Tadeusz. „Tak trzymaj, a czas pokaże, co będzie dalej. Angela nie jest w stanie posłuchać kobiety, bo jak doszły do mnie słuchy, już się ścięła na dzień dobry z nauczycielką od gender, ale może posłucha mężczyzny”.

Mikołaj wziął się do roboty, a jego zgarnął do siebie Alexander.

– Siadaj sobie wygodnie, bo mamy do pogadania – zaczął zasadniczym tonem. – Słuchaj, Tadeusz, mam dla ciebie taką propozycję, a właściwie dla ciebie i Davida, ale zaczynam według starszeństwa – uśmiechnął się do niego porozumiewawczo. – Otóż… chciałbym wam zapisać po połowie starą farmę, każdemu na jego projekty. David mógłby tutaj reedukować takich popaprańców jak ja, raz dwa pobudowałoby się mu jakiś pawilon, a ty już sam wiesz najlepiej, co trzeba by urządzić. To co? Mogę na środę zamówić notariusza? Pasuje ci?

To nie był pierwszy raz, kiedy od tempa narzuconego przez Alexandra proboszczowi zaczynało wirować w głowie.

– Pasuje – przytaknął, nawet nie próbując ukrywać zdumienia. – Tylko, Alexander, to nie może być darowizna na moje nazwisko. Ja nie mogę… nie powinienem, rozumiesz? Jeżeli masz taką wolę, zapisz na parafię.

Alexander dłuższą chwilę przyglądał mu się w skupieniu.

– Jesteś pewien? – zapytał rzeczowo. – A jak cię stąd zabiorą? Jak przejdziesz na emeryturę?

– Nieważne – odpowiedział stanowczo. – Nie jest dobrze, żeby ksiądz miał własny majątek. Od tego… – zawahał się.

– Przewraca się ludziom w głowach? – dokończył za niego Alexander.

– Tak – powiedział twardo.

Nie wiadomo, czy Alexander znał *Władcę Pierścieni*. Gdyby tak było, mógłby za Faramirem powiedzieć: „Ja tej rzeczy nie wezmę,

nie schyliłbym się po nią, gdyby leżała na gościńcu. Nie pragnę takich tryumfów, wiedz o tym, Frodo, synu Droga”… Ale nawet jeżeli nie znał, bezbłędnie wyczuł, że siedzący naprzeciwko niego człowiek jednym gestem odrzucił pokusę Pierścienia. I ten gest zadecydował.

– W porządku, ty wiesz lepiej – stwierdził. – Tylko przedtem mam prośbę. Ochrzcisz mnie?

Na twarz księdza Tadeusza wypłynął radosny uśmiech, co raz jeszcze potwierdziło Alexandrowi słuszność jego decyzji. Bo jeżeli ten ksiądz na propozycję donacji bardziej się dziwi, niż cieszy, za to rozpromienia na prośbę o chrzest…

– Możesz mnie przepytać z calusieńkiego katechizmu, wszystko umiem – powiedział z ciepłą autoironią. – Śmiem przypuszczać, że lepiej niż niejedna twoja owieczka.

– Ja też – zaśmiał się proboszcz. – Co do tego nie mam wątpliwości. Ale, Alexander, czy ty… wierzysz?

– Jak patrzę na ciebie, to wierzę – odpowiedział krótko gospodarz.

Ksiądz Tadeusz pokiwał głową.

– Jednak uparłeś się, żeby przewrócić mi we łbie, co? Jak nie forsą, to pochlebstwem?

– Coś ci opowiem – zignorował go Alexander. – Pamiętasz, kiedy przyszedłeś do mnie po kolędzie, powiedziałem ci, że nie mogłem się z tobą spotkać na plaży, bo nie miałem jak dojechać. To nie była do końca prawda. Fakt, zabrali mi prawo jazdy za prowadzenie po pijaku, już dawno temu. Ale przecież są autobusy, taksówki. Tylko że ja nie mogę się stąd ruszyć. Sam sobie to narzuciłem. Bo widzisz, gdybym tylko dał krok poza Pitcairn Avenue, wylądowałbym w pierwszym lepszym pubie. W tutejszym sklepie wiedzą, że nie wolno mi sprzedawać alkoholu, zostawiam tam dość napiwków. Ale wszystkich w mieście nie uprzedzę. I w następnych miastach. I w Edynburgu. Więc siedzę tutaj. Pewnie, przez internet też można kupić wódkę, ale jakoś nad tym panuję. Kiedy David mi o tobie opowiadał, postanowiłem cię tu ściągnąć, a potem tak krok po

kroku… Dom… Lomond Hill… Wreszcie ta kaplica… To było dla ciebie, ale dla mnie też, żebym miał blisko…

Panowała cisza, gdzieś tylko w starym domu pogwizdywał wesoło Mikołaj.

– Pewnie sobie pomyślisz, że jestem kompletnie porąbanym kabotynem – kontynuował Alexander. – Dwadzieścia pięć lat temu rzuciła mnie kobieta. To nie była moja żona, nigdy nie chciała za mnie wyjść, ale żyliśmy ze sobą ładnych parę lat. Wściekłem się, prowadziłem samochód jak szalony i miałem wypadek. Nic mi się nie stało, ale zginęły oba moje koty. I tak by długo nie pożyły, miałem je już kilkanaście lat, ale właśnie wtedy zacząłem pić. Głupio, nieprawda? Zapić się z żalu po kotach…

„Nie, z żalu, że nie było z tobą człowieka, biedaku" – pomyślał ksiądz Tadeusz.

– A teraz – mówił gospodarz – znowu się będziesz ze mnie śmiał, jak ci powiem, że mam ochotę jeszcze trochę tutaj pomieszkać i popatrzeć, co się będzie działo. To co, idziemy? – zakończył w swoim stylu.

– Teraz? – upewnił się ksiądz Tadeusz.

– Teraz – potwierdził Alexander.

I tak już musiałby się powoli zbierać do mszy, bo zbliżała się piąta, więc poszli razem, ściągając po drodze Mikołaja; w kaplicy czekało już kilka osób, potem przyszło kilka następnych, w sumie ze dwadzieścia. Niewiele, a jak cieszy! Ochrzcił Alexandra, Mikołaj, poproszony na ojca chrzestnego, patrzył na wszystko szeroko otwartymi oczami, a potem siedzieli razem do nocy, opowiadając sobie o stu różnych sprawach. „Janek też się będzie cieszył, jak mu powiem" – pomyślał, zasypiając.

Kiedy rano wjeżdżał do nierozbudzonego jeszcze do końca Kirkcaldy, na skrzyżowaniu St Clair i Nairn Street koło Rio Bingo zobaczył dwie znajome sylwetki. Jedna warowała na rogu, druga majstrowała coś przy plakacie antymewowym, straszącym mieszkańców, że ptaszyska te krzyczą, terroryzują, atakują i s…, to

jest zanieczyszczają. Nikt za nim nie jechał, więc przyhamował tuż przy delikwencie i odkręcił szybkę.

– Szczęść Boże, Rafał – powiedział pogodnie, bo to młody Anioł właśnie naklejał w poprzek plakatu napis **SEAGULLS ARE NOT EVIL**. – Ile ty masz latek?

– Dwadzieścia pięć i pół – wyszczerzył zęby Rafał. – A co? Mewy nie są złe! – Objął Christine i oboje ruszyli do następnego rogu, machając mu rękami. Proboszcz zaś uśmiechnął się w duchu, bo przez rok świat odmienił się diametralnie. Przynajmniej świat Rafała.

W środę pojechał do Calder Court zaraz po szkole, wkrótce po nim pojawili się David i notariusz, formalności potrwały niemal dwie godziny, a potem wspólnie zjedli obiad. Niezbyt dietetyczny, Janek by marudził, pomyślał sobie. W końcu zostali sami z Alexandrem, bo David uciekł do domu, do Eli i Angusa.

– To co – zagadnął gospodarz – może spacerek na górę, żeby uczcić? Chyba się nie śpieszysz?

Musiał mieć dziwną minę, bo Alexander spojrzał uważnie i zapytał:

– Tadeusz, kiedyś ty był ostatni raz na szczycie?

Co miał powiedzieć? Przyznać się, że pod koniec lipca? Kiedy Janek pojechał z dzieciakami w góry, a Jędrzej profesjonalnie zawiadywał parafią, przyjechał tutaj i pełen entuzjazmu zaczął wchodzić pod górę. Musiał się wtedy wycofać zaraz za Conland Burn, bo po prostu nie miał siły, nogi go nie niosły.

– W wakacje – odpowiedział krótko. Niech to zabrzmi tak, że teraz ma za mało czasu.

– Łupie cię noga, co? – domyślił się Alexander. – To podjedźmy na parking, stamtąd już bliziutko, pójdziemy powoli.

A teraz co miał mu klarować? Że na tak prosty pomysł wpadł już dawno, ale nawet te sto metrów go przerastało? Że stał pod ostatnim podejściem i tylko patrzył, a potem zawrócił?

– Jedźmy – zadysponował krótko.

Jak to dobrze, że Alexander zajęty był pokazywaniem krajobrazu, bo pogoda była idealna, więc mógł chować mu się za plecami, żeby

tylko tamten nie widział, ile go to kosztuje. Kiedy wreszcie po wiekach całych weszli na szczyt, zachwycił się i zdumiał: krzyż obrośnięty był cały ostrokrzewem. Och, jednak warto było!

– To ty zrobiłeś? – spytał, starając się, żeby jego głos brzmiał normalnie.

– Nie – zaprzeczył Alexander. – To dzieło jednej pani z Letham. Też Polka z pochodzenia, podobno wnuczka jakiegoś słynnego polskiego archeologa. Przyjechała w tygodniu, zapytała, czy można, i skrzyknęła cała ekipę, żeby wnieść i zasadzić krzaczki. Teraz już możesz być spokojny, nikt tego krzyża nie ruszy. Kamienie może by rozwalili, ale przy okazji zniszczyliby też zieleń, a to już podpada pod ekologię, więc sam rozumiesz… – Mrugnął do niego porozumiewawczo.

Na parkingu Alexander jeszcze raz przyjrzał mu się dokładnie.

– Byłeś u lekarza? – zapytał obcesowo, jak to on. – Niech ci coś zapisze, po co masz się męczyć.

Więc jednak nie dał rady ukryć. Dobra, pójdzie do tego lekarza, faktycznie powinien być na chodzie. W przyszłym tygodniu. Albo w listopadzie, wtedy będzie mniej roboty.

Wysłał do kurii list, żeby zawiadomić o nowym nabytku parafii. Przy okazji poprosił raz jeszcze o wsparcie. O dziwo, odpowiedzieli: że dziękują za wiadomości, sprawa w toku i ma cierpliwie czekać. Dobrze, poczeka.

Tymczasem zamiast nowego kapłana zgłosiła się do niego dziennikarka z tygodnika o nazwie, która i tak mu nic nie mówiła. Po konsultacjach z Davidem i Elą wyszło mu, że to coś w rodzaju naszego „Wprost”. Trochę się najeżył, tym bardziej że pani była energiczna i parła do spotkania w najbliższą sobotę. A tu jak na złość w sobotę Janek absolutnie nie mógł mu służyć pomocą, bo jego młodzież robiła prezentację o West Highland Way, Loch Lomond i Fort William. Trudno, pomyślał, poradzi sobie sam. To już nie te czasy, kiedy się bał głoszenia kazań po angielsku. Co mu tam jedna baba z lewackiego pisma. No, może nie z lewackiego. Może

centrowego. Choćby i nawet była podobna do numeru jeden z TVN-u.

Dziennikarka okazała się wcale niepodobna do Numeru Jeden: miała krótkie ciemne włosy i była dość puszysta. Potwierdziła na samym wstępie, że wywiad będzie autoryzowany; oprowadził ją najpierw po całej posiadłości, pokazał kaplicę, a potem zaprosił do starego domu na kawę. Usiedli wygodnie w fotelach przed kominkiem (fotele były najnowszym podarunkiem Alexandra i pochodziły dla odmiany z SYHA w Breamar, gdzie nowy menedżer wymieniał meble) i pani przeszła do ofensywy.

Na początku było przewidywalnie i dość nudno, padła seria pytań o homoseksualizm i celibat, a on cierpliwie i z uroczym uśmiechem perswadował:

– Tak, proszę pani, ma pani rację, Kościół katolicki nie uznaje żadnego pożycia poza małżeńskim. Żadnego, hetero też. I rzeczywiście, księża zobowiązani są do przestrzegania ślubów czystości. Tylko proszę mi łaskawie powiedzieć, dlaczego panią to tak irytuje? Przecież to nasze wewnętrzne sprawy, tak samo jak dla innych na przykład czadory czy obrzezanie…

„Dobrze, kobieto” – mówił sobie w myśli. „Wymyśl coś ekstra, pokaż pazur! Uwaga, podpowiem ci: dlaczego zatem narzucam światu swoje symbole religijne?…”

– Proszę mi wobec tego wytłumaczyć – dziennikarka pochyliła się w fotelu – skoro powiada ksiądz, że doktryna to wewnętrzna sprawa waszego Kościoła, dlaczego instaluje ksiądz w przestrzeni publicznej symbole tejże religii i tego Kościoła?

– Proszę? – zdziwił się grzecznie ksiądz Tadeusz. – Co pani ma na myśli?

– Kapliczki z wizerunkiem Matki Boskiej – wyjaśniła zwięźle i dobitnie.

– Wszystkie zbudowane zostały na prywatnych posesjach – uśmiechnął się pogodnie.

– I jeszcze krzyż na szczycie East Lomond Hill! – zawołała pani triumfalnie. – A jeżeli ktoś nie utożsamia się z księdza religią?

– Pani jest Szkotką? – zainteresował się ksiądz Tadeusz.

– Rodzice urodzili się w Glasgow, ale jako dziecko mieszkałam w hrabstwie Devon – odpowiedziała automatycznie i momentalnie poczuła irytację, bo dała się podprowadzić jak nowicjuszka. To ona zadaje tutaj pytania!

– Cóż, to dużo tłumaczy – powiedział przedstawiciel kleru i popatrzył na nią za współczuciem. Na nią! Ze współczuciem! – Może pani wobec tego nie wyczuwać dziedzictwa kulturowego tej ziemi… – powiedział bezczelnie i pokiwał głową.

– Co ksiądz ma na myśli? – warknęła z prawie jawną irytacją.

– Proszę pani – usłyszała w odpowiedzi – jak ja pani zazdroszczę! Moja ojczyzna szczyci się tysiącletnią historią chrześcijaństwa, za to pani… Mój Boże! Tysiąc sześćset licząc od świętego Niniana, a tysiąc czterysta od Kolumbana! A pani ma obiekcje co do celtyckiego krzyża, który przez te wszystkie lata wrósł w ziemię szkocką mocniej niż najsilniejsze drzewo? To już nie kwestia doktryny, lecz ducha!

„Niezły jest ten ksiądz” – pomyślała dziennikarka. „Ale mimo wszystko przewidywalny. Zaraz da się wpuścić…”

– A miał ksiądz pozwolenie na budowę obiektu sakralnego? – przyszpiliła go bezlitośnie.

Ksiądz Tadeusz odchylił się wygodnie w fotelu i patrzył na nią dobrą chwilę, aż poczuła się nieswojo, a niby czemu. Pytanie było jak najbardziej merytoryczne!

– To nie była budowa obiektu sakralnego – powiedział w końcu pobłażliwie. – Setki ludzi usypały kopiec kamienny.

– O określonym kształcie?! – prychnęła pani.

– Tak jest – zgodził się uprzejmie. – Tym bardziej można się w tym dopatrywać powiewu ducha.

– A jeżeli prawo będzie odmiennego zdania? – nie ustępowała.

– Są prawa ludzkie i prawa boskie – usłyszała na to i nieco bezradnie spróbowała zebrać myśli.

– No dobrze – powiedziała – ale czy nie ma ksiądz poczucia, że uprawia prozelityzm?

– O! – uśmiechnął się z uznaniem. – Gratuluję pani erudycji. To słowo prawie dzisiaj zapomniane. Czy zechciałaby pani wobec tego przypomnieć, także przez wzgląd na przyszłych czytelników, co oznacza?

– Nawracanie na swoją wiarę – odparła dziennikarka z dziwnym poczuciem, że scenariusz tej rozmowy wymyka jej się z rąk.

– Zgadza się – przytaknął proboszcz. – Dlaczego wobec tego nie miałbym mieć poczucia, że nawracam innych? Oczywiście, że właśnie to robię. Na tym w końcu polega mój fach.

– Ale ja mam na myśli naciski! – nie wytrzymała pani. – Stwarzanie warunków przymusu! Żeby być przyjętym do waszej szkoły, trzeba pokazać świadectwo chrztu! A pierwszeństwo mają katolicy!

– Bo to szkoła katolicka, proszę pani – zauważył z łagodnym uśmiechem ksiądz Tadeusz. – Do szkoły publicznej pierwszeństwo mają dzieci z rejonu, nieprawdaż? A jak są miejsca, przyjmuje się innych, u nas też. Uczę chłopca prawosławnego i kilku prezbiterian, ksiądz wikary tak samo.

– Tylko że ludzie zaczynają kombinować! – zapaliła się dziennikarka. – Wyciągają świadectwo chrztu, chociaż nigdy poza tym obrzędem z Kościołem nie mieli do czynienia!

– To rzeczywiście przykre – potwierdził proboszcz – ale poniekąd świadczy też o ich determinacji, żeby zapisać dziecko do dobrej szkoły, czyż nie? Czy nie taką samą taktykę stosują rodzice, podając fikcyjny adres?

– Ksiądz próbuje przerzucić piłeczkę na moje pole – roześmiała się z lekkim przymusem dziennikarka. – Ale to ksiądz właśnie przywołał tradycję tego kraju. Tymczasem katolicyzm do tej tradycji nie należy! To Kościół Szkocji kształtuje naszą odrębność narodową! A ksiądz ciągnie do siebie ludzi różnych wyznań, jak sam powiedział. Czyż to nie prozelityzm?

– Pani ciągle używa tego słowa w znaczeniu pejoratywnym – zauważył. – To znaczy negatywnym – wyjaśnił pogodnie, a ją zatrzęsło, no bo co ten cudzoziemski klecha sobie wyobraża, że ona nie zna takich słów?!

– A nawet jeżeli – powiedziała bojowo – to czy nie mam racji? Dlaczego wyrywa ksiądz innym kościołom ich członków? Co takiego widzi ksiądz w Kościele katolickim? W czymże jest lepszy?

– Po pierwsze, proszę pani, większość osób, które ostatnio do nas przyszły, nie miały żadnych związków z *Kirk o Scotland*… – Dziennikarka uniosła lekko brwi, ostatnie słowa wypowiedział w *Scots*. – Niektóre były niewierzące i dopiero teraz poprosiły o chrzest…

– Tu pozwolę się z księdzem nie zgodzić! – wtrąciła swoje. – Do St Andrew's chodzi dziewczyna z gorliwej rodziny prezbiteriańskiej, a uczestniczyła w obozie modlitewnym z księdzem wikarym, zaś podczas nabożeństwa na górze czytała Pismo Święte!

– Dobrze panią poinformowano – powiedział ksiądz Tadeusz z leciutkim naciskiem na „poinformowano". – Lucy, bo to ją pani ma zapewne na myśli, była lektorem podczas mszy świętej na Lomond Hill. Ale pani o coś mnie pytała i nie dała mi dokończyć, a to właśnie wiąże się jedno z drugim. Widocznie i Lucy, i inni uznali, że Kościół katolicki najlepiej przechował istotę Objawienia…

Zrobiło się zupełnie cicho, dziennikarka patrzyła na proboszcza dziwnie.

– Tak ksiądz uważa? – zapytała wreszcie głosem, który miał być zaczepny, ale w najlepszym wypadku dało się w nim słyszeć niedowierzanie. – Że jesteście najlepsi?

– Nie my jesteśmy najlepsi – zaprzeczył cierpliwie. – Tylko powierzony nam depozyt.

– Ale sam ksiądz powiedział, że tylko wy go zachowaliście! – upierała się dalej, choć czuła się coraz bardziej zagubiona. – Proszę o wybaczenie, ale powiem mocno: to buta i zarozumiałość!

– Proszę pani – powiedział cicho i łagodnie – a któż inny miałby to zrobić? Może jeszcze cerkiew…

Dziennikarka mimo wszystko nie czuła się kompetentna w dyskusji teologicznej, wolała poruszać się po swoim terenie.

– Zostawmy to – oznajmiła. – Zapytam o coś innego. Chwileczkę, muszę odszukać cytat. O, proszę. Czy mówią coś księdzu słowa: „Noc spokojną i śmierć szczęśliwą niech nam da Bóg wszechmogący”?[23]

– Tak, oczywiście – odpowiedział automatycznie. – To wyimek z modlitwy brewiarzowej, część stała komplety. *Night Prayer* – wyjaśnił, bo przedtem użył słowa *Compline*. Tym razem pani się nie obraziła, że imputuje jej brak elokwencji, przeciwnie, usatysfakcjonowana parła do przodu.

– A czy ksiądz wie, że księdza wikary odmawiał tę modlitwę ze swoimi uczniami?

– Tak, wiem – odparł, myśląc: „Ale bardziej jestem ciekawy, skąd ty to wiesz?”.

– I nie ma ksiądz co do tego żadnych obiekcji? – dociskała interlokutorka.

Tym razem to on nie zrozumiał.

– Droga pani, dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu?

– Bo przecież to chore! – zawołała triumfalnie. – Jak można z nastolatkami modlić się o śmierć? To jakaś sekta! Przecież to może popchnąć do depresji i myśli samobójczych! A w ogóle co to znaczy „śmierć szczęśliwą”? Jak śmierć może być szczęśliwa?

„Ty żartujesz czy mówisz serio?” – pytały oczy księdza Tadeusza.

Owszem, uprzedzano go przed wyjazdem, a może raczej należałoby powiedzieć: straszono (celował w tym zwłaszcza brat kanonika), że za granicą może spodziewać się różnych dziwnych rzeczy, jak na przykład konfiskaty medalików. Albo rodzice mogą mieć za złe, że opowiada się ich dzieciom o zamęczonym w okrutny sposób człowieku. Ale tego, musi się przyznać, nie przewidział!

– Oglądała pani *Powrót króla*? – zapytał znienacka. Nawet nie próbował indagować, czy czytała.

– Owszem, ale co to ma do rzeczy? – zdziwiła się.

– Czy nie uważa pani, że królowi Théodenowi darowana została śmierć szczęśliwa? – ciągnął cierpliwie dalej. – Że najpierw Gandalf wydobył go z demencji… – „Oj, upraszczam!" – pomyślał sobie. „Jadę jak Jackson, Robert mógłby mi to mieć za złe!" – …a potem Éowina wyrwała z paszczy smoka? Widzi pani różnicę?

Dziennikarka dłuższą chwilę milczała, patrząc mu prosto w oczy.

– A ksiądz też się tak modli? – spytała wreszcie.

– Jakżeby inaczej – odpowiedział po prostu. – Od kiedy zostałem diakonem, a nawet dłużej. Przecież tak przyrzekałem.

– I… – zająknęła się – wierzy ksiądz w to, co mówi? To znaczy…

– Czy mówię szczerze? – podpowiedział jej. – Tak, proszę pani.

– To chyba już skończymy. – Podniosła się i on natychmiast zrobił to samo, ale chyba za szybko, bo aż zacisnął zęby. – W ciągu tygodnia przyślę księdzu tekst do autoryzacji. Dziękuję bardzo i do zobaczenia!

Nie bardzo wierzył, że to spotkanie będzie miało ciąg dalszy, ale dziennikarka dotrzymała słowa i faktycznie we wtorek dostał maila z roboczą wersją wywiadu. Poprawił skrupulatnie tam, gdzie trzeba, wszystkie c w słowie *church* na wielkie litery, na chwilę zawahał się przy zwrocie „depozyt", ale w końcu uznał, że duża litera byłaby niezrozumiała i trąciła patosem. Niech zostanie, jak jest.

Wywiad ukazał się w sobotę, skromnie wciśnięty między politykę a sport. Janek przeczytał, spojrzał z uznaniem, powiedział:

– Nieźle sobie ksiądz z nią poradził! – i wydawało się, że sprawa się zamknęła.

W poniedziałek na pierwszej stronie „The Sun" zobaczył swoje zdjęcie. Poniżej wielgachny napis głosił z tabloidową prostotą, czyli jak kto woli z wdziękiem cepa:

*FATHER THADDAEUS: ONLY CATHOLIC CHURCH!*[24]

Jak potem się okazało, to samo w różnych konfiguracjach zrobiły „Daily Express", „Daily Mail" i kilka pism lokalnych. „Daily Record" zaś sugerowało, że katolicki ksiądz z Kirkcaldy wypowiada posłuszeństwo królowej.

„Oj, Tadziu, narozrabiałeś" – powiedział święty Juda Tadeusz. „I pewnie ja mam cię z tego wyciągać?…"

## JAK TY SOBIE PORADZISZ 17

W środku tygodnia przyszedł do księdza Tadeusza list z kurii; niezobowiązujący, lakoniczny: że wkrótce pojawią się u niego dwaj księża z Edynburga, z Bractwa Kapłańskiego Świętego Piotra, i biskup poleca ich jego pieczy. Niech będzie im życzliwy i udzieli wszelkiej pomocy.

„Czemu nie, niech sobie przychodzą" – pomyślał i pokazał Jankowi pismo.

– Popatrz, wybierają się tu twoi kumple na kontrolę – zażartował. – Lepiej by było, żebyś do czasu ministrantki pochował…

– No przecież napisane, że przyjadą tutaj, nie do Piusa, to co się będę czaił przed Piotrowinami jakimiś – rzucił lekko Janek.

– Piotrowinami? – zaśmiał się. – Co masz do nich, tradycjonalisto wybiórczy? – Wiedział doskonale, co jego wikary sądzi o świętym Stanisławie, bo wyłożył mu to był swego czasu skrupulatnie i prosto od serca:

– Proszę księdza, ja wszystko przełknę, nawet tę sodomię z klaczą i sępy, co chciały się do biskupa dobrać, ale litości, nawet sam Pan Jezus wskrzeszał po to, żeby objawić chwałę Bożą, a nie dla przyziemnych interesów! A Stanisław miałby to zrobić dla forsy? Wskrzesić Piotrowina, żeby zaświadczył o spadku? I to w trzy lata po śmierci faceta? Niech komu innemu Kadłubek to opowiada!

– Wincenty z Kielczy – poprawił surowo.

– Fakt, pomyliło mi się. – Jasiek spojrzał na szefa z uznaniem. Gadali wtedy do nocy, zanim osiągnęli jakiś konsensus, więc teraz doskonale zdawał sobie sprawę, że pod wymyśloną przez Janka ksywką kryje się w najlepszym razie dobrotliwa kpina.

– A bo to nie mogli ich zawołać na pomoc salwatorianom do Piusa, tylko trzeba było szukać księdza od mszy trydenckiej gdzieś na

końcu świata? Ruszyć im się z Edynburga nie chciało? – niby to zaburczał Janek, ale przecież obaj wiedzieli, że lepiej się stać wtedy nie mogło.

Przyjechali w sobotę, tuż przed wieczorną mszą, równo z księdzem Tadeuszem, który właśnie wrócił z Glenrothes; jak na tradycjonalistów przystało w sutannach, a ten mały łobuz oczywiście momentalnie mrugnął do niego okiem. Nie zdążyli nawet zamienić kilku zdań, tamci tylko poprosili, czy mogą koncelebrować. Proszę bardzo, powiedział i skarcił Jaśka wzrokiem, bo ten uniósł brew, jakby chciał zakpić: o, to wy też umiecie na dwa sposoby?

A potem, przy kolacji, kiedy wikary znosił jadło i zbożny napitek w postaci herbaty i kawy, oni wyciągnęli dekret biskupi: wydziela się Glenrothes jako parafię i deleguje księży… członków FSSP, do Calder Court celem posługi pielgrzymom udającym się na Lomond Hill… Z pasterskim błogosławieństwem…

Poczuł się dziwnie, jakby nagle wyszedł na peron, całkowicie o czasie, ale mimo to zobaczył swój pociąg właśnie niknący w oddali.

Talerz z nakrojoną szynką wyleciał Jankowi z rąk prosto na kolana jednego z gości.

– *I'm so sorry!* – powiedział ze skruchą Janek i rzucił się do pomocy w likwidowaniu szkody, robiąc to tak niezręcznie, że rozmazał na amen tłustą obwódkę po całej sutannie jednego z księży.

– Życzeniem księdza biskupa było, aby ksiądz proboszcz przekazał nam wszelkie uwagi i materiały oraz dopomógł w instalacji…

„Jak ja mówiłem kiedyś Rafałowi? »To nie tak, jak naczytałeś się w książkach… Biskup najpierw prosi na rozmowę«…"

– Powiedzmy, w środę pasowałoby księdzu? Podjechalibyśmy do Glenrothes, ksiądz by nas wprowadził…

„»A gdyby biskup się zawziął?«… »Wtedy bym posłuchał, tak ślubowałem«…"

– A w lipcu naturalnie będzie ksiądz honorowym gościem…

„»Muszę być konsekwentny i koniec«…"

Tym razem Jasiek tak ochoczo i energicznie nalał herbatę, że chlusnął na obrus i leżący obok nakrycia smartfon drugiego księdza. Ten rzucił się ratować sprzęt, po czym spojrzał uważnie na młodego gospodarza.

– Ksiądz odprawia w Piusie mszę w nadzwyczajnej formie, prawda? Ale na pierwszy rzut oka nie widać po księdzu tradycyjnych inklinacji… W sutannie ksiądz nie chodzi…

Proboszcz podniósł głowę i otworzył usta.

– Cóż, ja jestem tylko prostym świeckim księdzem, który obraca się wśród zwykłych ludzi – usłyszał elegancką modulację Janka. – Pokora wymaga, żeby dostosować się do środowiska, a nie ostentacyjnie demonstrować własną odmienność…

„Czy ty aby nie przesadzasz, synu?”

– Ale miałby ksiądz okazję do dania świadectwa! – drążył gość, wycierając starannie komórkę.

Proboszcz znowu chciał coś powiedzieć i znowu wikary go ubiegł.

– Gdzieżbym ja tam śmiał marzyć o dawaniu świadectwa! – odpowiedział Jasiek, stawiając chleb tak daleko, że żaden z księży nie mógł do niego samodzielnie sięgnąć. – Ale ojcowie będą mieli nieograniczone wręcz możliwości! Calder Court położone na samiutkich peryferiach, pod lasem… A wiecie, oczywiście, że tuż obok jest ośrodek odwykowy dla alkoholików i narkomanów i pensjonariusze w nagrodę za dobre sprawowanie są wypuszczani na spacery? Ale tak między nami mówiąc, tylko szukają okazji, żeby sobie odreagować…

„Co ty chrzanisz, gdyby David to słyszał, padłby trupem na miejscu!”

– No, a poza tym te zjazdy nacjonalistów… Krzyż celtycki na East Lomond Hill traktują jak uzurpację i w dodatku mogą was wziąć za nas, czyli za cudzoziemców… Do męczeństwa jeden krok…

– Janku! – nie wytrzymał. – Podaj, proszę, jeszcze śmietankę! – I dodał po polsku: – Uspokój się!

– Bardzo przepraszam księdza, ale nie kupiłem śmietanki, bo miałem za mało pieniędzy! – obwieścił bezwstydnie Jasiek oksfordzką angielszczyzną. Pierwszy z gości o mało nie zadławił się plasterkiem polędwicy.

– To przynieś mleko! – zadysponował i rzucił mu piorunujące spojrzenie.

– Mogę się rozejrzeć – odpowiedział ciągle po angielsku Jasiek. – Ale to nie jest dobre mleko, Lucyper w nim pysk moczył…

Proboszcz, mimo oczytania i talentów pedagogicznych, twórczość Małgorzaty Musierowicz znał tylko ze słyszenia, więc dosłownie zerżniętego cytatu nie rozszyfrował, tyle tylko że z przeogromnego zdumienia prawie zapomniał, co go w tej chwili najbardziej bolało. (Nawiasem mówiąc, ciekawe, skąd znał ów cytat wikary. Chyba musiał swego czasu czytać siostrzyczce na głos *Idę sierpniową*).

– Kto?! – Drugi ksiądz z kolei zachłysnął się mocną jak siekiera herbatą.

– Kot z sąsiedniej posesji, tak go głupio nazwali, bo czarny i oczy mu świecą po ciemku na żółto – wyjaśnił Janek, ale pod wpływem spojrzenia proboszcza jednak wstał i poszedł do kuchni.

Ceremonialna rozmowa toczyła się jeszcze chwilę, kiedy wikary pojawił się znowu w drzwiach, dzierżąc oburącz plakaty z Lomond Hill, i odezwał z lodowatą grzecznością:

– Tak mi ogromnie przykro, mleka też nie ma, a widzę, że ojców już wzywają obowiązki, więc szybko wyszukałem jeszcze trochę materiałów duszpasterskich, nie wątpię, że się przydadzą!…

A ponieważ faceci, to jest księża z Bractwa Świętego Piotra, zdali się nie do końca zrozumieć aluzję, ruszył do okna i otworzył je na oścież z następującymi słowy:

– Ksiądz proboszcz cierpi na duszności, więc my zawsze przed snem wietrzymy!

Wtedy dopiero zausznicy biskupa się ruszyli i zostali z honorami odholowani do samochodu, przy czym Jasiek zatrzasnął drzwiczki z tak gorliwą rewerencją, że mało nie wyleciały one z zawiasów.

– Janku! – powiedział proboszcz, kiedy tylko znaleźli się z powrotem w pokoju, przy czym doskonale wychowany wikariusz leciał przodem, jakby go wilki ścigały. (Narrator gada bzdury, gdyby naprawdę ich goniły wilki, to młodszy ksiądz osłaniałby starszego własnym ciałem do upadłego). – Coś ty wyprawiał?! Co to ma znaczyć?!

Janek odwrócił się i na widok jego oblicza proboszcz aż się zatchnął; zniknął gdzieś miły, dobry, zawsze uśmiechnięty Jasiek, jakiego znał. Jeszcze dziesięć minut temu jego wyczyny można było wziąć za wygłupy, ryzykowne, ale wygłupy, teraz już nie było wątpliwości: wikary miał w oczach mord, a na ustach sienkiewiczowskie: „Gorze zdrajcy!", lecz w wydaniu współczesnym:

– Co to ma znaczyć?! To ja się pytam, co to ma znaczyć, do kurwy nędzy! Jak tak można?! Czy ktoś tu upadł na łeb, czy jest tylko zwykłym, pierdolonym skurwysynem?!

To prawda, że Jaśkowi zdarzało się powiedzieć pikantny kawał, w których odrobina mięsa była niezbędna, ale takiej wiązanki jeszcze ksiądz Tadeusz od niego nie słyszał!

– Janku!… – jęknął zdruzgotany.

– Przez całe lata mieli syf i wszystko im gniło, arcybiskup miał we łbie tylko wiadomo co, seminaria zamykali jedno po drugim, a teraz, kiedy księdzu wyszło, zabierają mu jego pracę, jego dzieło!… Te wszystkie chrzty i nawrócenia, ten tłum ludzi na górze!… I co?! Przyłażą takie Piotrowiny na gotowe, błyszczeć nie swoją zasługą, i w dwa lata wszystko rozwalą, nekrofile liturgiczne jedne! – wykrzykiwał z furią celebrans nadzwyczajnej formy rytu rzymskiego, po czym nagle odwrócił się na pięcie i wyskoczył z domu. W chwilę później proboszcz usłyszał ryk silnika, a jeszcze potem wszystko umilkło.

„Zrobi zajazd na kurię!… – pomyślał z rozpaczliwą bezradnością. „Zeklnie arcybiskupa i żeby tylko! Przecież on jest w stanie mu nakłaść, i to zdrowo! I wtedy będzie naprawdę koniec! Odeślą nas… Rozdzielą!… Jezu, ratuj!…"

Sam nie wiedział, co szeptał Jezusowi przez te trzy kwadranse, kiedy usłyszał stuknięcie bramy, a potem światła wozu na podjeździe omiotły ciemną kuchnię.

„Cofnął się!…" – zamigotała mu nadzieja. „Tak szybko nie obróciłby do Edynburga i z powrotem!…"

Zabrzmiały ciche kroki w korytarzu; w drzwiach pojawił się Janek.

– Most zamknęli – usłyszał jego drewniany głos, w którym jednak dawało się wyczytać coś jakby zdziwienie. – Godzinę temu. Jakaś nagła awaria.

– Janku – powiedział zdecydowanie, podchodząc i kładąc mu ręce na ramionach. – Synku, popatrz na mnie.

Jasiek podniósł na niego mokre oczy.

„Całkiem jak Chloe" – pomyślał. „Dziecko kochane, ty naprawdę tak bardzo… Przecież nigdy, przenigdy nie przejąłbyś się tak, gdyby to chodziło tylko o ciebie!…"

– Janeczku – zaczął mówić powoli, czując, jak i na niego samego spływa wewnętrzny spokój. – Posłuchaj mnie. Wiesz doskonale, że to nie wyścig i nie olimpiada. Do złotego medalu nikt tu nie startuje. Wszystkiego sam nie przeżrę, żeby nie wiem co, mam dosyć na głowie tu, na miejscu. Ty tak samo. Sam widzisz, że mnie nie starcza już sił, a tobie czasu. Jeżeli oni, te Piotrowiny, jak mówisz – uśmiechnął się lekko, epitet bardzo mu się spodobał – pociągną dalej Lomond Hill, niechże to robią z Panem Bogiem. A ci, co zapragną zapukać po chrzest, i tak tutaj trafią. Uspokój się, dla nas też jeszcze coś zostanie. Poza tym, synu, tyś chyba zapomniał o czymś. Nie wszystko zależy od nas…

Czy był to sposób „zaufaj woli Bożej"? A jeżeli tak, to czy stosowany tylko ze względu na Janka?

Janek dobrą chwilę milczał.

– Przepraszam księdza – powiedział w końcu z wysiłkiem, ciągle jeszcze się trząsł. – Bardzo przepraszam… za wszystko. Ksiądz na pewno ma rację. Jutro poproszę księdza o poprawkę spowiedzi… ale jutro, dobrze? Muszę sobie przez noc parę rzeczy… przemodlić.

Nic już więcej nie mówili; Jasiek wymknął się do kościoła, a on czekał do nocy w swoim pokoju, kiedy usłyszy stuk drzwi i delikatne kroki, ale w końcu zasnął. Widać rozmowa była długa.

Janek najpierw próbował modlić się jak zawsze, ale nic z tego nie wychodziło. Ledwo ukląkł, ledwo zaczął, jak cały przytłumiony jazdą i słowami księdza gniew buchnął mu powtórnie do głowy.

„Ojcze nasz… Jak oni mogli! Zabierać jego radość, jego szczęście!… Któryś jest w niebie… Bo co, parę rzeczy niepoprawnych politycznie powiedział i biskupowi pismaki do skóry się dobrały?!… Święć się imię Twoje… Więc trzeba go było ukrócić?!… Przyjdź królestwo Twoje… Nie ma to jak sojusz ołtarza z tronem! Bądź wola Twoja… Sponiewierać, bo nie swój, bo z obcego kraju!… Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi… A tamci porwali łup bez cienia żenady! Jako w niebie tak i na ziemi… Nie, nie mogę tak!…”

I wtedy Jasiek przypomniał sobie receptę daną kiedyś przez proboszcza w Bennochy House; w jednej chwili bez namysłu położył się krzyżem na posadzce kościoła i ze wszystkich sił zaczął prosić o pomoc w wytrwaniu w ślubie posłuszeństwa.

„Panie” – modlił się. „Uspokój moje ciało i moje zmysły. Jakże mam Cię jutro brać w swoje ręce, kiedy pełno we mnie żalu i złości? Zawróciłeś mnie tam w Inverkething, zawróć i teraz. Mogłem przecież jechać dalej, naokoło, przez Kincardine, ale to by było jak pokazać Ci plecy…”

Powoli, powolutku spływał na niego spokój.

„Jezu” – mówił jeszcze. „Ty wiesz, jak to jest: kocham go i boję się, że on wie o czymś, o czym ja jeszcze nie mam pojęcia. Jestem drań, że zrobiłem mu taki numer… Proszę, daj mi dojrzałość, żebym go już nigdy więcej nie zmartwił. I siły, choćby nie wiem co się stało. Chcę być dla niego radością, nie przyczyną smutku, wspierać go na każdy dzień, zły i dobry. I przepraszam, Panie Jezu, że tak naprawdę bardziej teraz myślę o nim niż o Tobie…

„Nic nie szkodzi” – odpowiedział mu Jezus. „Kto trwa w miłości, trwa we mnie”.

Rano proboszcz obudził się wcześnie, o piątej; nie mógł jakoś dospać. Poszedł do kuchni zrobić sobie kawę, kiedy usłyszał, że Janek wraca.

„Oj, rzeczywiście musiałeś sobie przemodlić" – pomyślał. „Całkiem jak ja…"

Wikary poszedł prosto do łazienki, a potem odświeżony przyszedł do niego, wiedział, że już nie śpi. Załatwili, co trzeba, a że nocne czuwanie mógł mu proboszcz w zasadzie zaliczyć jako pokutę, więc stanęło tylko na tym, że Jasiek ma być uczynny wobec Piotrowinów – nie powiedział „miły" czy „grzeczny", tylko właśnie uczynny i z rozmysłem użył nowej ksywki – kiedy w przyszłym tygodniu trzeba ich będzie wprowadzić na farmę w Calder Court.

W następną środę po szkole Jasiek, ubrawszy się w czarny polar i spodnie na wyciery, zagadnął do niego:

– Ksiądz może zostać, ja wszystko załatwię, zabiorę nasze rzeczy i pomogę im powstawiać, czegokolwiek by ze sobą nie przytachali. – I dodał od razu pośpiesznie: – Niech ksiądz będzie spokojny, nie narozrabiam, może mi ksiądz zaufać.

– Ależ ufam – odpowiedział spokojnie. – Tylko chciałbym ich przedstawić Alexandrowi i… pożegnać się – dodał ciszej po krótkiej pauzie.

Załatwili wszystko sprawnie w trzy godziny, tamci byli siermiężni, ich dobytek zajmował raptem kilka kartonów. Konwersację prowadzili całkowicie pokojową, Piotrowiny zadeklarowały wsparcie w szczególnych przypadkach, na co Jasiek niezwykle uprzejmie odpowiedział, że owszem, skorzystają, gdyby latem wybierali się na wyprawę. Na tym się skończyło, mogli wracać.

Następne dwa tygodnie przeleciały swoim normalnym, pracowitym rytmem; rozpoczął się adwent, Jasiek ćwiczył swoją scholę, która śpiewała Akatyst tak pięknie, że człowiekowi zdawało się, że jest w przedsionku nieba, a on miał co niemiara roboty z katechumenatem. Nie było czasu na głupie myśli.

Któregoś grudniowego popołudnia siedzieli w biurze, Janek porządkował papiery, on przygotowywał się do katechezy, kiedy zadzwonił telefon. Jasiek z nosem w dokumentach automatycznie podniósł słuchawkę, przedstawił się, chwilę słuchał, potem powiedział uprzejmie:

– Tak, oczywiście, masz rację, przed południem nie sposób nas zastać, najlepiej dzwonić na komórkę…

Znowu słuchał w milczeniu, potem leciuteńko zesztywniał, co nie uszło uwagi proboszcza i od razu przeniosło go w stan gotowości bojowej, bo zaufanie zaufaniem, a łobuza pilnować trzeba było.

– Najmocniej przepraszam – powiedział Jasiek głosem tak uprzedzająco grzecznym, że każdemu rozsądnemu rozmówcy zapaliłoby się w tym momencie światełko ostrzegawcze – ale czy nie wydaje ci się, że takie wiadomości należą się w pierwszej kolejności mojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, księdzu proboszczowi Tadeuszowi Wieczorkowi? – Pełna fraza zabrzmiała jak wystrzał ciężkiej artylerii, proboszcz słuchał czujnie. – W moim kraju – ciągnął dalej z naciskiem Janek – przyjęte jest rygorystyczne przestrzeganie w tym względzie hierarchiczności kontaktów…

„Co za bełkot! O czym ty bredzisz, synu?”

– …ach, tak, tutaj również!… Tak myślałem, w końcu mamy Kościół powszechny – kontynuował rozkosznie Janeczek.

„Rany boskie, z kim on gada?!” – Teraz już ksiądz Tadeusz zaniepokoił się na dobre. „Mówi przez *you*, ale to w końcu obyczaj ogólny…” Zerknął na wyświetlacz telefonu i miał dosyć: to był numer edynburskiej kurii.

– Cieszę się, że uzgodniliśmy poglądy, przekazuję wobec tego telefon księdzu proboszczowi – wypunktował adwersarza wikary, podając szefowi słuchawkę.

– *This is father Thaddaeus Wieczorek speaking, how can I help you?* – wyrzekł ten z godnym namaszczeniem. „Dobrze!” – powiedziały oczy Janka. „Chociaż trochę za grzecznie!”

– Tu sekretarz księdza arcybiskupa, za pozwoleniem księdza proboszcza chcieliśmy prosić księdza Niziołka o przybycie do Edynburga! – usłyszał kobiecy głos. Sekretarz? A tak, racja, oni byli nowocześni. – Chcieliśmy przedstawić – „My?" Czy arcybiskup chciał przedstawić? – dwie alternatywne propozycje co do nowej delegacji księdza Jana… – Rany boskie, jeszcze nie macie dość?! Teraz, przed Bożym Narodzeniem?! – Czy ksiądz proboszcz będzie tak łaskawy –

Nie ma to jednak jak solidne szkolenie! – towarzyszyć w poniedziałek swojemu wikaremu?

Całkowicie zgadzał się z Jaśkiem, że trochę za grzecznie byłoby zgodzić się na pierwszy proponowany termin, więc ostatecznie stanęło na przyszłej środzie. Środy zawsze mieli trochę luźniejsze. Odłożył słuchawkę i mruknął, ale bez złości:

– Znowu zaczynasz?

– No bez jaj, jak tak można, żeby sekretarka biskupa nie przestrzegała drogi służbowej – powiedział Jasiek swoim normalnym, pogodnym, lekko kpiącym tonem. – Ja wszystko wiem, robią sobie porządki w starym roku, ale pewnych zasad trzeba się trzymać, nawet jak się chce niewygodnemu księdzu dać kopa…

„»Nie znam nikogo, kto by równie twardo stąpał po ziemi«…" – przypomniał sobie proboszcz, a głośno powiedział:

– Domyślasz się, o co im chodzi?…

– Co się będziemy na zapas przejmować! – odpowiedział mały drań z uśmiechem i na jednym oddechu dorzucił: – A zna ksiądz kawał, jak zawołali kleryka do biskupa, żeby go opieprzyć, że ciągle się zakłada o coś z kolegami?

Nie wytrzymał, musiał się uśmiechnąć, pamiętał dobrze tę opowieść, jakby stworzoną dla Janka: w finale podpuszczony przez kleryka biskup wyczyścił mu buty…

Ale i tak zauważył, że jak by się Janek nie wygłupiał i nie strugał chojraka, to martwi się jak i on, bo późnym już wieczorem znowu wybrał się do kościoła i długo tam siedział. A może potrzebna mu była powtórka… rozmowy.

W środę, zanim wyruszyli na dworzec (musieli jechać pociągiem, bo Forth Road Bridge zaczął się sypać i zamknięto go do Nowego Roku), Jasiek powiedział: – Nic nie zmaluję, może ksiądz być spokojny – i nie umknął spojrzeniem, patrząc mu prosto w twarz.

Kiedy znaleźli się przed obliczem Jego Ekscelencji, ten najpierw skrupulatnie wysłuchał raportu o Lomond Hill i instalacji księży od świętego Piotra w Glenrothes, by w końcu przejść do rzeczy:

– Z uwagi na efekty duszpasterskie działalności księży chcieliśmy wystąpić wobec księdza Jana z dwiema propozycjami do wyboru… – Dobrze powiedziane, nie ma co, prawdomówny Tadek lepiej by tego nie ujął! „Z uwagi na efekty" i „dwie propozycje do wyboru"! Święty Judo Tadeuszu, ratuj! – Otóż od wiosny będzie wakować parafia w Beauly. Posługa w niej polega w dużej mierze na dojazdach, między innymi do Gairloch i Ullapool, potrzebny tam młody, energiczny, pełen zapału duszpasterz… Słyszeliśmy o motocyklowych pasjach księdza Jana… – Skąd, na Boga? Tu też wywiad działa bezbłędnie?! – …i jesteśmy skłonni przeznaczyć dla jego działalności odpowiedni pojazd…

„Doczekałem się!" – pomyślał beznadziejnie ksiądz Tadeusz, jednym tylko uchem słuchając dalszego wywodu zwierzchnika. „Gairloch! Ullapool! Elkowa *Terra Felix*! I motocykl do tego! Kamień by od tego zmiękł! Cóż, kiedyś to musiało przyjść…"

– Druga opcja jest następująca: formalnie zostaje ksiądz przy St Marie's jak do tej pory… – Czujnie podniósł wzrok; może nie wszystko jeszcze stracone? – …ale konieczna byłaby rezygnacja z nauczania i działalności z młodzieżą, a ksiądz od nowego roku akademickiego poproszony byłby o podjęcie funkcji prorektora i opiekuna w nowym seminarium duchownym tu u nas, w Edynburgu. Wiązałoby się to z otwarciem przewodu doktorskiego…

„I przepadło!" – westchnął proboszcz z samej głębi jestestwa. „To jest dokładnie to, przed czym Janek uciekał od zawsze! Chyba jednak kupię sobie jakiś alkohol na odjezdne…"

– Jeżeli ksiądz biskup pozwoli, skłaniałbym się do drugiego wariantu – usłyszał nagle wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu grzeczny głos Jaśka. Podniósł na niego zdumione oczy, ale ten odstawiał w tej chwili spektakl pod tytułem „wzorowy wikary" i tylko z lekkiego wygięcia brwi proboszcz domyślić się mógł jakiegoś numeru. W każdym razie jeżeli to było kuszenie świętego Antoniego – a było! – to kuszącemu wyszło bokiem, bo nie mógł się już teraz wycofać. Mało tego, Jasiek właśnie najzupełniej bezczelnie reklamował do Beauly księdza Pastora; ekscelencja oczywiście nie byłby człowiekiem, gdyby nie spytał:

– Kogo? Księdza czy pastora?

Potem poleciało już z górki, bo Janeczek uczył biskupa wymawiać imię „Jędrzej", zupełnie jak Franek Dolas, kiedy przesłuchiwał go Brunner w kołnierzu ortopedycznym („Yadjay" – walczył biskup), a trzeba sobie rzec prosto w oczy, że sprawiło to proboszczowi satysfakcję jak stąd do Gostynia. W każdym razie wyszło prawie jak w kawale.

– Janku – powiedział cicho zaraz na schodach – jesteś pewny?

– Na sto procent – odpowiedział beztrosko wikary. – Poza tym do nowego roku akademickiego tyle czasu, może bomba atomowa trzaśnie… Co się będziemy martwić na zapas. – I popatrzył tym swoim szczególnym spojrzeniem, od którego zawsze mu się miękko robiło. – A Jędrzej chyba naprawdę musi się przerobić na Andrew…

„Dziękuję!" – powiedział wzrokiem. „Za wszystko!"

„*My pleasure*" – odpowiedziały kpiąco oczy Janka.

I tylko później, wieczorem, kiedy Jasiek grał na pianinie, wydało mu się, że ciągle czuje na sobie to jego spojrzenie, jakby do czegoś popędzające. Nie wytrzymał, poszedł do niego.

– Synu – zaczął w skupieniu. – Wytłumacz mi, dlaczego…

Jasiek odwrócił się na kręconym krzesełku, popatrzył ciepło.

– Sam nie wiem za bardzo – odpowiedział szczerze. – Nie tylko dlatego, żeby zyskać na czasie, bo a nuż się coś odmieni. I nie tylko dlatego, żeby… – Odchrząknął, popatrzył w sufit – … wpuścić ich

w maliny… Przecież takiej funkcji nie daje się trzydziestolatkowi, nawet tutaj, gdzie kleryka trzeba szukać ze świecą po całej Szkocji!…

„I nawet takiemu bystremu, jak ty” – dopowiedział w myślach proboszcz.

– Poza tym, tak między nami, jakie seminarium! Marzenie ściętej głowy! Przecież każdy rozsądny będzie wolał wyjechać do Rzymu, niż ładować się tu w jakąś nową modernę! Trzy lata to potrwa i dłużej, zanim coś sklecą. Ale teraz już nie mogą się wycofać, nie wykopią mnie stąd.

„Ach, tak…” – pomyślał ksiądz Tadeusz.

– Widzi ksiądz, Ewa miała takie powiedzenie, że Duch Święty ją kopnął lewą nogą. No to właśnie mnie ewidentnie kopnął. Nie wiem czemu. Niech się ksiądz nie martwi, będzie dobrze – zakończył zupełnie jak swój ojciec. – Niechby tylko ksiądz wreszcie do lekarza się wybrał – dodał ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Co ty mi tu będziesz truł, nic mi nie jest – oburzył się i szybko uciekł. Ale zza drzwi słuchał Jaśkowego grania, tyle już się nauczył, że odróżniał Mozarta, tylko za bardzo nie wiedział, co to było tym razem.

Przed samymi świętami zupełnie nie było czasu na myślenie, tyle się wszystkiego nazbierało, i bardzo dobrze; wyprodukowana przez Jankową młodzież seria religijnych kartek świątecznych rozeszła się jak świeże bułki, jemu zaś serce rosło, kiedy na ostatnich roratach chrzcił w sumie osiem osób, w tym rodzinę z dwójką dzieci. Tyle tylko, że kupił sobie w Asda duży ibuprofen i skrupulatnie chował go przed Jaśkiem. A co ma mu smarkacz robić głupie uwagi. Poza tym po dwudziestym pierwszym i tak myśleli tylko o jednym.

Wigilia odbyła się, jak rok wcześniej, w Domu Polskim, dla wszystkich przyjaciół; trochę się bał, co mu Janek powie przy łamaniu opłatkiem, ale nie – szepnął tylko „pociechy z wikarego” i popatrzył znacząco.

A potem pojechali na pasterkę, też dokładnie tak, jak rok temu. Kościół nabity, kolędy polskie i angielskie…

Poza Jaśkiem chyba tylko jedna Elka się zorientowała, że coś jest nie tak. Bo po konsekracji przyklęknął i nie wstawał. Wyglądało to zupełnie normalnie, ot, pobożny ksiądz. Ale trwało już o jakąś minutę za długo.

Całkowicie beznamiętnie i swobodnie Janek ukląkł obok, tak żeby pod osłoną ołtarza proboszcz mógł wesprzeć się na podanym ramieniu i wreszcie dźwignąć. Jak już było powiedziane, nikt poza Elą tego nie zauważył. Po mszy żegnali się z ludźmi i żaden z nich nie pisnął ani słowa o epizodzie, ale było wiadomo, że Jasiek już wie i teraz na pewno nie odpuści.

I faktycznie, rano przy śniadaniu Janeczek ni stąd, ni zowąd zaczął opowiadać kawały.

– Zna ksiądz to? Super-hiper, specjalnie dla księdza! – Proboszcz leciuteńko się zjeżył. – Merry i Pippin znaleźli w Orthanku dwie beczułki fajkowego ziela… – No, mógł się rozluźnić, to było dla niego z innych względów. – Na jednej beczułce było napisane: palenie powoduje raka, a na drugiej: palenie powoduje impotencję. Na to Pippin: bierzemy tę z rakiem! – Więc jednak!

– Ale suchar! – żachnął się, ale nie próbował nawet się zamachnąć na tego małego drania. Jeszcze znowu by się nie zdążył uchylić.

– To teraz dalszy ciąg! – rozochocił się Janek. – Po libacji w Edoras… – Nie chciało mu się protestować, że libację w Edoras wymyślił Jackson – …Merry pyta z niewyraźną miną Pippina: słuchaj, Pip, czy ostatni raz używałeś prezerwatywy? Na to Pippin: co masz na myśli, mówiąc „ostatni raz”?

– Jak ci nie wstyd! – Huknął pięścią w stół. – Przy Bożym Narodzeniu! Ksiądz! Wychowanek Góry! Ładnie!

– Jutro sobota, muszę mieć się z czego spowiadać – odpowiedział bezczelnie Jasiek, ale na wszelki wypadek zmył się do kuchni.

Na obiad byli oczywiście zaproszeni do Bachów, więc znowu był przyczajony, że zaraz zacznie się gadanie i naganianie. Z zadowoleniem przyjął obecność Rafała i Christine – przy nich

chyba tandem Niziołków da sobie spokój? A zaraz potem, ku jego niebotycznej uldze, goście poczęli nabijać się z gospodarzy:

– No i co, kochani – kpił ciepło Rafał. – Słyszałem, że idziecie w ślady ciotki Róży i wuja Roberta, że już o nas nie wspomnę? Grunt to szybka, dobra robota?

Naprawdę? Dobrze zrozumiał?

Elka niby to spiorunowała Christine wzrokiem, ale nie wytrzymała, roześmiała się; w końcu jej piski przy wychodzeniu od lekarza słyszano w połowie szpitala, nie tylko w recepcji.

– Tak – potwierdziła radośnie i zawróciła Angusa, który właśnie próbował włazić na czworakach na schody, jednocześnie spychając z nich Felę. – Urodzi się na początku sierpnia.

– Aa, to jednak ciut gorsze przebiegi od pierworodnego syna wujka i cioci!… – nie dawał spokoju Rafał.

Śmiał się razem z wszystkimi, zadowolony, że to Ela jest główną bohaterką dnia, kiedy David powiedział:

– Jeżeli urodzi się chłopiec, to będzie miał na imię Tadeusz.

A Elka dodała cichutko, tak, żeby tylko on mógł słyszeć, niestylistycznie, ale bardzo, bardzo znacząco:

– Proszę księdza! Proszę…

# JUŻ BARDZIEJ GOTOWY NIE BĘDĘ 18

3 lutego 2016

Po Nowym Roku ksiądz Tadeusz poszedł wreszcie do lekarza; Elkę mógłby pozwodzić jeszcze z miesiąc, ale jego wikary sięgnął do najcięższego argumentu: z całą powagą zagroził, że nie da mu rozgrzeszenia. Cała ta procedura trochę trwała: badania, diagnoza i tak dalej, ale w końcu wszystko stało się oczywiste. Teraz tylko musiał to powiedzieć Jankowi.

Siedzieli twarzą w twarz; mówił spokojnie, rzeczowo, cały czas patrząc mu prosto w oczy. Jasiek odwzajemniał się uważnym, dobrym spojrzeniem, a on nie truł medycznym bełkotem o dziesięcioprocentowej dożywalności do dwóch lat, tylko od razu przyznał się do tego, co z lekarza musiał wyduszać przez całą wizytę: pół roku, plus minus jeden miesiąc.

– Wiem, co ksiądz chce mi powiedzieć – odezwał się Janek po dłuższej chwili milczenia. – Czas dorosnąć, Peregrynie, i zacząć mówić po polsku o pewnych sprawach.

Skinął głową, a wtedy Jasiek bez żadnych wstępów, podchodów i owijania w bawełnę zapytał:

– Boi się ksiądz śmierci?

– Janku – powiedział spokojnie. – Gdybym się bał, zaprzeczyłbym trzydziestu sześciu latom kapłaństwa.

– Ja się nie pytam, co by było gdyby, tylko jak jest – odpowiedział bezceremonialnie Jasiek.

Zastanowił się, sięgając do najgłębszych zakamarków duszy.

– Nie – powiedział stanowczo. – Nie boję się. Może trochę się boję samej fizjologii, ale tylko trochę. W końcu ludzka rzecz. No i mam najlepszą obstawę – dodał, patrząc na niego z lekkim uśmiechem.

Znowu chwilę pomilczeli.

– A ty? – zapytał. – Bałeś się?

Janek pokręcił głową.

– Ze mną to był przypadek szczególny, proszę księdza. Wszystko działo się tak szybko, że nie miałem czasu nawet na to, żeby się bać.

– Ale potem, w domu, kiedy już cię przynieśli… Tylko nie chrzań mi, że pan Bogdan siał panikę!…

– Bo siał – odparował Janek. – Nie, nie bałem się. Jak już mówimy po polsku i po męsku, to powiem, że… – Zawahał się jednak odrobinę, uśmiechnął z zawstydzeniem. – Czułem się… dobrze. Na swoim miejscu. Że wszystko jest tak, jak trzeba.

Patrzyli na siebie, rozumieli się w pół słowa.

– Tylko że ksiądz wie, jak to było, kiedy przejechali Wiolę – dopowiedział nagle Jasiek. – Widział ksiądz, co się ze mną działo. Strach, panika… rozpacz…

– Wiem – szepnął i dodał: – O kogo najbardziej się wtedy bałeś?

Teraz Janek sięgnął do najgłębszych zakamarków duszy.

– O Merry'ego – odpowiedział wreszcie. Może przypomniał sobie, że jak w zwierciadle Galadrieli zobaczył wówczas, co działoby się z Merrym po śmierci Wioli i córeczki.

Ksiądz Tadeusz odetchnął głęboko.

– No właśnie – powiedział. – Tak to już jest, że najbardziej boimy się o tych, co zostają… – I znowu popatrzył znacząco na Jaśka.

Wtedy tamten zrobił coś zupełnie niespodziewanego. W jednej chwili ukląkł przed nim i włożył złożone ręce w jego dłonie.

– Na ręce księdza odnawiam śluby – powiedział całkowicie serio, a on nie zdążył się nawet wzruszyć, bo ten mały drań kontynuował na jednym oddechu: – Nie pójdę na baby… ani na facetów – dopowiedział skrupulatnie. – Co moja zwierzchność nakaże, tak i uczynię… choćby mi nawet zabroniła pójść na księdza pogrzeb. – Ładne uwiarygodnienie! Już to widzi! – Zastrzegam sobie tyko casus Tomasza Morusa, ale wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują, że na razie nie ma takiego niebezpieczeństwa.

„Przeginasz, Janku!” – pomyślał, uśmiechając się w duchu.

– Sutanny nie zrzucę – kontynuował Jasiek. – Chociaż właściwie poniekąd ją zrzuciłem – dodał refleksyjnie – ale w tym miejscu patrz punkt drugi…

„Oj, przeginasz!” – Teraz już proboszczowi całkowicie jawnie drgnęły usta. Ale nie było potrzeby łobuza mitygować, bo ten jak zaczął poważnie, tak i doprowadził do końca:

– Tak mi dopomóż, Panie Boże wszechmogący, w Trójcy Jedyny i wszyscy Święci.

Wstał i dodał z uśmiechem:

– O mnie niech się ksiądz nie boi.

I, otrzepując kolana, dorzucił:

– Strasznie tu brudno. Musi ksiądz pogonić tego obiboka wikarego, żeby się ruszył i trochę posprzątał.

kwiecień

Siedzieli u Bachów, świętując pierwsze urodziny Angusa, a sześćdziesiąte pierwsze jego. Mały chodził już od miesiąca, był drobny, szczuplutki, niesamowicie ruchliwy, coraz bardziej podobny do wujka z ciemną czupryną, oczami jak węgielki i wyraźnymi brwiami. Ciekawe, jaki będzie ten drugi. Albo ta. Patrzył na Elę i Davida i cieszył się, tak bardzo cieszył się ich radością. Zawsze czuł się na Boglily jak w domu, było mu tu ciepło i dobrze.

Przypomniał sobie niegdysiejszy kurs przedmałżeński prowadzony przez Janka. Ten łobuz zakpił sobie wtedy ze swojego profesora i palnął, że jego kapłaństwo można określić antonimem cierpienia, czego i wszystkim w małżeństwie życzy. Wtedy jeszcze wstydził się powiedzieć publicznie i po polsku o radości, więc kombinował z jakimiś łamańcami językowymi. W każdym razie Ela i David musieli zostać obdarzeni rykoszetem tym życzeniem, byli tacy do niego podobni, radośni i uśmiechnięci na każdy zwykły dzień.

Wiedzieli, oczywiście, że jest chory, na jego prośbę Jasiek powiedział im o tym niemal od razu. Zapytał potem o ich reakcję. Cóż, to było dla Jaśka wyzwanie, ale twardo i konsekwentnie mówił, jak było, bez kwiatków i ozdobników.

– Elka poryczała się, jak to ona, rzuciła mi się na szyję i powiedziała do ucha: „Kochany braciszku, tak bardzo ci współczuję". – Popatrzył na proboszcza znacząco. – Ona jest mądra, od razu wiedziała to, co i ksiądz, że trudniej jest tym, co zostają. – Ksiądz Tadeusz musiał włożyć dużo wysiłku, żeby nie uciec ze spojrzeniem; sam chciał, a teraz to on się zawstydził. Jasiek dobrze o tym wiedział, więc już nie dodawał, co szepnął siostrze na sam koniec:

– Elka, to twardy facet, bardziej się bał wyjazdu do Kirkcaldy niż teraz!

– Bo jak jechał do Szkocji, to nie wiedział, co go czeka – dopowiedział David.

Więc Elka otarła łzy i ruszyła do boju z podniesionym czołem, jak prawdziwa wojowniczka Rohanu, a David razem z nią. Bez wyrzekania, bez ponurych min, bez zbędnego gadania. Przez te dwa miesiące, kiedy po konsultacji u Brendana i jego kumpla, najlepszego specjalisty w Cardiff, okazało się zgodnie z oczekiwaniami, że dziesięć procent jest czysto teoretyczne, byli oboje dla niego balsamem, dzielni i pogodni.

David z Jankiem szeptali coś na boku.

– Co knujecie, chłopaki? – zapytał przekornie.

David położył przed nim na stole mapę.

– Co by ksiądz powiedział na maleńką wyprawę po Highlandzie? Pogoda dobra, zazieleniło się wszędzie, dni coraz dłuższe… Przecież chciał ksiądz pojechać już latem, tylko nie wyszło, bo temu księdza wikaremu darł się tyłek z dzieciarami, a ksiądz musiał pilnować geszeftu. To niech teraz odpracuje. – Było trochę inaczej, ale żaden z nich nie chciał prostować.

– Właśnie szwagier mnie instruuje co do trasy i noclegów – wtrącił Janek, a rzuciwszy na niego okiem, jakby wietrzył opór, dodał prędko: – Leki ma ksiądz ustawione, w szkole przerwa świąteczna, codzienną mszę odprawią Piotrowiny, dobrze im zrobi, jak się trochę wykażą. Na tydzień możemy spokojnie się zerwać ze smyczy, no, niech będzie sześć dni, od poniedziałku do soboty.

– Niech się ksiądz zgodzi! – dołączyła Elka. – Tam jest tak pięknie… I małe owieczki się teraz rodzą…

Zgodził się bez wahania, chociaż było w tym nieco szaleństwa, ale Jasiek uciął wszelkie wątpliwości krótko i zwięźle:

– Niech się ksiądz nie martwi, jakby co, to posługa duchowa będzie pod bokiem! – Więc roześmiał się i machnął ręką. W końcu mieli rację, łobuzy. Co jeszcze mogło się stać?

Ruszyli jeepem w poniedziałek rano.

– Właściwie powinniśmy jechać w dwa motory, jak House z Wilsonem – kpił sobie Janek. *House'a* zareklamował mu jeszcze przed wyjazdem do Kirkcaldy, żeby, jak to ujął, „osłuchał się ksiądz z językiem, bo oni tam dużo gadają". On początkowo zżymał się „na to lewackie g….", ale potem tak się wciągnął, że potrafił oglądać cztery odcinki z rzędu i krytykować tłumaczenie!

– I na dodatek w sutannach. Tylko że byłoby to strasznie ostentacyjne i demonstracyjne – dodał, patrząc na niego kątem oka. Bał się go ciągle, drań, symbolicznie, ale bał, i bardzo dobrze!

Noclegów nie rezerwowali, postanowili zostawić sobie wolną rękę i margines na nieprzewidziane ruchy, a w końcu o tej porze roku nie powinno być z tym problemów. Trasę obmyśliła młodzież rozsądnie, bez takich szaleństw jak Elka z Davidem, kiedy to w tydzień zrobili dwa tysiące mil, ale pomysłowo i ciekawie. Celowali tak jak oni pierwszego dnia na Fort William, tylko pojechali zachodnią stroną Loch Lomond, odpuszczając sobie przedłużenia do Inversnaid.

Bardzo szybko zrozumiał, skąd się brały egzaltacje Eli; on też zachłysnął się urodą tej krainy od pierwszego wejrzenia. Kirkcaldy

polubił szczerze, ale tutaj było tak inaczej! Jakby… przedsionek Tajemnicy, zapowiedź Nieoczekiwanego.

Jasiek jechał doskonale, spokojnie i pewnie, zatrzymał się raz i drugi na kawę i lekki posiłek; zadecydowali, że nie bedą żałować sobie małych przyjemności i skąpić forsy na wszystko.

– Kanapki to mogła jeść moja siostrzyczka ze swoim ukochanym – zapowiedział Janek. – My nie możemy nadszarpywać powagi stanu. – I puścił do niego oko, uśmiechając się od ucha do ucha.

W Glen Coe stał, stał i napatrzeć się nie mógł. Przypomniały mu się wirtualne życzenia wielkanocne, jakie dostał od Bachów: najpierw link na przydrożny kościół i cmentarz z krzyżami celtyckimi przy nim – to miał być Wielki Piątek. Potem następowała instrukcja: niech ksiądz odwróci się o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzy na góry. To Wielka Sobota, nadzieja. I wreszcie obrazek trzeci, Baranek na tle zielonej doliny, czyli Zmartwychwstanie.

Teraz oglądał to na własne oczy, powtarzał ruchy, które przedtem wykonywał googlowskim ludzikiem, przejęty i zachwycony; nawet owce były na swoim miejscu takie, jak trzeba.

Wsiadł wreszcie do auta; Jasiek spojrzał na niego bystro i zapytał:

– Nie powinien ksiądz wziąć drugiej dawki?

– Spokojnie, synu – odpowiedział. – Wszystko pod kontrolą. Co to byłaby dla nas za przyjemność, jakbyś wiózł mnie kompletnie naćpanego. – I dodał całkowicie poważnie: – Nie martw się, Janku, nie szarżuję i nie strugam chojraka. Jak będzie trzeba, wezmę.

W Fort William zajechali pod katolicki kościół, chcieli poprosić o pozwolenie na odprawienie mszy. Janek podał mu ramię przy wchodzeniu po schodach, bo nagle zrobiło się ich tak jakby za dużo.

Ksiądz Malcolm, tamtejszy proboszcz, wysłuchał prośby, przyjrzał im się uważnie i zapytał:

– Nie mieliby księża życzenia skorzystać przedtem z sakramentu pojednania?

Brak drugiej porcji lekarstw jednak zrobił swoje, więc skupiony był bardziej na opanowaniu bólu niż na otoczeniu i odpowiedział jak

pierwszy naiwny:

– Dziękujemy, spowiadaliśmy się sobie nawzajem przedwczoraj, w sobotę.

– Tak, ale czy nie zaistniały ku temu jakieś przeszkody? – dopowiedział gospodarz.

Wtedy dopiero dotarł do niego sens pytania; zakipiał gniewem jak, nie przymierzając, dwudziestoletnia Elka, a nie stary, doświadczony praktyk. Gotów był skoczyć tamtemu do gardła i zadusić na miejscu.

Wtedy miał okazję zobaczyć w akcji Jaśka.

– Nie ma absolutnie żadnych przeszkód – powiedział jego wikary spokojnie, ale stanowczo, a całym sobą, wyrazem twarzy i poważnym, głębokim spojrzeniem narzucał tamtemu swoją wolę i autorytet.

Jedno krótkie zdanie, jeden rzut oka, a dziw było patrzeć, jak miejscowy proboszcz zmienia się pod wpływem młodego gościa.

– Mogę celebrować z wami? – zapytał tamten krótko, z wahaniem, jakby chciał w ten sposób przeprosić za podejrzenia i uhonorować jednocześnie.

„Rzeczywiście, dorosłeś, Janku" – pomyślał sobie. „Spokojnie mogę cię zostawić samego".

Odprawili we trzech w intencji wszystkich Bachów, potem zostali zaproszeni na kolację, przy której gospodarz, wypytawszy ich o plany, zaproponował nocleg.

„Okej, niech ksiądz się zgodzi!" – dał mu znać oczami Jasiek. „Będziemy co najmniej o stówę do przodu!" – I mrugnął tym okiem, którego tutejszy proboszcz nie mógł widzieć.

Gospodarz rozgadał się, opowiadał o miasteczku, wreszcie w akcie ekspiacji zaczął ich zapraszać na sierpień na odpust lub coś w tym rodzaju, nie za bardzo zrozumiał.

– Dziękujemy, ale nie będziemy mogli skorzystać – odpowiedział elegancko.

Ksiądz Malcolm posmutniał. „Gardzicie moją prowincjonalną imprezą" – miał wypisane na twarzy.

„Dobrze ci tak” – pomyślał mściwie i postanowił go dobić:

– Bardzo mi przykro, ale jeżeli w sierpniu jeszcze będę żył, to na pewno nie będę się już mógł nigdzie ruszyć – dopowiedział z uprzedzającą grzecznością i perfekcyjnym użyciem trybu warunkowego.

No i z powodu szoku i konsternacji na twarzy gospodarza miał satysfakcję jak stąd do Achtoty, połączoną z natychmiastowymi wyrzutami sumienia, że za takie coś Janek powinien mu zadać brokuły bez zasmażki. Przez trzy miesiące.

Następnego dnia ruszyli w kierunku Mallaig, skąd promem mieli się przeprawić na Isle of Skye. Jasiek nie odmówił sobie przyjemności pokazania mu po drodze mostu Harry’ego Pottera i przedyskutowania, gdzie właściwie położony był Hogwart, a proboszcz, machnąwszy ręką na dekonspirację, błysnął oczytaniem i erudycją. Wyszło im, że Glenfinnan wystąpiło w filmie dla swojej urody, a nie ze względu na lokalizację i tak naprawdę Hogwartu należało szukać w Grampianach.

Na Isle of Skye Jasiek podjechał w pobliże Neist Point i zaproponował spacer do latarni morskiej; ksiądz Tadeusz przystał z ochotą, czuł się dobrze, nawet nie myślał o drugiej porcji lekarstw.

– Świetnie księdzu zrobiło starcie z *father Malcolm* – żartował z niego Janek.

Odrobinę się zawstydził, ale odpowiedział zaczepnie:

– Nie opowiadaj mi, że ciebie nie wkurzył! Zresztą wiesz doskonale ze szkoły, jak upierdliwe były dzieciaki, zaczepiające cię o seks i pedofilię!

– Wiem – odpowiedział Janek z lekkim uśmiechem. – Tak to już jest, że najbardziej złoszczą nas supozycje bezpodstawne. Obie moje siostry zapieniały się o niedyskretne pytania. Gośka znieść nie mogła, jak na spowiedzi przepytywali ją z antykoncepcji, a Elka do oczu mi skoczyła, że sugeruję coś podpadającego pod szóste przykazanie, chociaż słowa na ten temat ode mnie nie usłyszała!

– Tak? – zaciekawił się jak babka różańcowa. – I co, rzeczywiście bezpodstawnie?…

Teraz Janek śmiał się już od ucha do ucha.

– Widzę, że zaczynamy grać w „wyznanie czy wyzwanie”?

– O! – Przypomniał mu się trochę smutny, a trochę śmieszny odcinek *House'a*, w którym doktor Wilson, wzór cnót, został zmuszony w ramach wyzwania do kradzieży jednego dolara. – Umiesz w to grać?

– Ja nie bardzo, Gośkę trzeba by zapytać, u niej w budzie grali w to na okrągło na angielskim. Ich facetka w ten sposób wymuszała konwersację, ze świetnym skutkiem zresztą, sami się dopominali, jak tylko coś wypadło. Ale możemy spróbować. Trzeba mówić prawdę albo przyjąć wyzwanie…

– Ja pierwszy! – wyrwał się po sztubacku, świetnie się bawił, no i była okazja, żeby Janeczka o pewne sprawy wypytać. – Pamiętasz tę tarantulę w szkole? Zasłoniłeś się tajemnicą spowiedzi celowo, żeby nie kablować?

Od pierwszego razu trafił w dziesiątkę, bo Janek się speszył.

– Ptasznika – poprawił. – Ksiądz mnie doskonale zna, aż się boję. Tak, wiedziałem, kto to mógł zrobić, ale nie chciałem kapować. Skaza charakterologiczna. To teraz ja. Jak już zaczęliśmy po tej linii… Kogo ksiądz podejrzewał, że na mnie donosi?

Teraz on się zawahał, a ten mały łobuz to zauważył, bo zaśmiał się:

– Niech ksiądz tylko nie szafuje wyzwaniami. Z tego, co pamiętam, to wolno tylko raz!

– Drugiego anglistę – powiedział z lekkim oporem. – Kombinowałem, że to nauczyciel, który ma kontakt z ministrantami, no i sam bywa często w kościele. A anglista jest lektorem… – Chwilę milczał. – Wiesz, Janku, donosicielstwo jest paskudne, z którejkolwiek strony byśmy na nie spojrzeli. Niszczy donosiciela, bo wyżera mu duszę niechęcią i nienawiścią. Ale niszczy też wszystkich dookoła, przez podejrzenia, żal, rozczarowanie. Dobrze, że tamto tak

się skończyło. Najlepiej, jak mogło. Zostawmy takie ciężkie tematy, zapytam o coś frywolnego – uśmiechnął się. – Czy twój opiekun z seminarium też naraził ci się bezpodstawnymi supozycjami odnośnie do szóstego przykazania?

– Mówiąc też ma ksiądz na myśli siebie? – powiedział słodko Jasiek. – O, przepraszam, nie wolno odpowiadać pytaniem na pytanie. Opiekun był w porządku, a pytanie nas o różne rzeczy to była część jego niewdzięcznej roboty. Tak, pytał parę razy, ale nie wkurzałem się na niego. Szlag mnie trafił na jednego takiego świętocha, dwa lata starszego, jak zaczął robić uwagi, że przez całą mszę przyglądałem się jednej dziewczynie.

– A przyglądałeś się? – wymknęło mu się spontanicznie i natychmiast spostrzegł, że Janeczek go wpuścił, no i że zmarnował następne pytanie. I jeszcze śmieje się z niego ten smarkacz!

– A jakże – przytaknął. – Była piękna jak Madonna El Greca, właśnie tak wyobrażałem sobie zawsze Lúthien. Uroda i cholernie silny charakter jednocześnie, ksiądz na pewno wie, co mam na myśli. A jak zaśpiewała, to ciarki szły po plecach. I od razu zaoszczędzę księdzu kolejnego pytania. – Oczy zaświeciły mu się przekornie. – Tamtemu koledze odpaliłem, że w porządku, od następnego razu będę patrzył tylko na facetów.

Ksiądz Tadeusz już otwierał usta, żeby zapytać: „I co on na to?", ale uczył się szybko i przystopował.

– Zamknąłem mu gębę, ale on był szurnięty tylko na tle sam–ksiądz–wie–czego, nie donosił, więc uszu mi nikt za to nie oberwał… To teraz ja dwa razy z rzędu. Pierwsze: dlaczego ksiądz nie chciał dostać wikarego? I drugie: kiedy zaakceptował ksiądz tego, którego dostał?

Och, ty gadzie!

– Bo miałem przez rok takiego koszmarnego diakona, po którym ciągle trzeba było wszystko, ale to wszystko poprawiać – wyznał ściśle. – Możesz nie wierzyć, ale on nawet pokarmów poświęcić nie potrafił i ludzie mi ruszyli do poprawki na plebanię! To bym jeszcze

strawił, ale raz przyszła jedna taka świeża wdowa prosić o powtórkę pogrzebu, bo jej Stasinek inaczej na pewno nie zazna spokoju… – zawiesił głos, ale Janek był lepszym od niego zawodnikiem i nie wyskoczył z nadprogramowym pytaniem: „No i co, odprawił ksiądz?”. – Co do tego drugiego… – Zaśmiał się sam z siebie. – Miałeś mnie w garści, synu, pierwszego wieczora, jak tylko wyskoczyłeś z Boromirem i pięcioma zasadami dobrej spowiedzi. Od razu chciałem to sobie zapisać, a potem pomyślałem, że nie wolno mi kraść cudzych pomysłów.

– To nie ja, proszę księdza, to moja mama wymyśliła. Wie ksiądz co?… Jak wrócimy, poproszę ją, żeby przesłała księdzu maila ze swoimi zapiskami o *Władcy*. Powinny się księdzu podobać. Ale teraz zróbmy sobie przerwę, dochodzimy. Jak będziemy mieli szczęście, może zobaczymy foki.

Były, naprawdę były, jak na zawołanie! W Kirkcaldy nie mógł na nie natrafić, chociaż wszyscy uparcie twierdzili, że są. Pod klifem wylegiwały się też jakieś inne zwierzaki, według Jaśka wydry morskie. Był zachłyśnięty, chociaż już lekko zmęczony. Janek wyciągnął termos z kawą i kanapki – a jednak! Pokrzepili się i zaczęli wracać.

– Co miałeś na myśli, mówiąc: „Widzę Shire”? – zapytał nagle.

Jasiek szedł, milczał, zerkał pod nogi.

– Wyzwanie proszę – wydusił z siebie wreszcie.

– Co takiego?! – zdumiał się proboszcz. – Przepraszam, synu, nie chciałem ci włazić do duszy, myślałem, że to będzie tylko dalszy ciąg zabawy…

Janek podniósł na niego wzrok.

– Nie, w porządku, skąd ksiądz mógł wiedzieć, że jestem aż tak walnięty… Dobrze, powiem. Kiedy mam w końcu powiedzieć, jak nie teraz. Ksiądz już wie, że wtedy… no, czułem się na swoim miejscu. Spełniony. Aż mi głupio było, że tu wszyscy koło mnie skaczą, płaczą, a ja taki cały w skowronkach… Ksiądz przybiegł przejęty, zdenerwowany… Przepraszam, sam ksiądz chciał, mówię, jak było!

To postanowiłem zakpić z samego siebie i tak mi strzeliło do głowy, o filmie nieraz żeśmy rozmawiali… Frodowi się wydawało, że skończą tam marnie, a widział Shire… No co, miałem przy ludziach gadać, że mi się Pan Jezus objawił? Chciałem powiedzieć księdzu na spowiedzi, ale co ja, Faustyna jestem?… Wstydziłem się… Teraz już ksiądz wszystko wie.

I jakby nigdy nic, ze swoim zwykłym, przekornym uśmiechem zapytał:

– A tym… yhm – odchrząknął dyskretnie – którego ksiądz chciał zabić, to byłem ja czy któryś z tamtych trzech?

Powinien być równie dzielny jak Jasiek, ale czerwony po uszy powiedział tylko cichutko:

– To ja jednak decyduję się na wyzwanie.

– Dobra. – Janek wrócił do normy w dwie minuty, w oczach świeciły mu chochliki. – Pojedziemy teraz do Glendale, znajdziemy kwaterę, żeby ksiądz mógł się na dwie godzinki położyć. No to w ramach wyzwania ksiądz będzie z nimi gadał i gimnastykował się z pytaniami, czy łóżko ma być jedno podwójne czy dwa pojedyncze.

– To byłeś ty, draniu, za twoje głupie dowcipy! – krzyknął z całej mocy. – Tak bardzo się o ciebie bałem!

– Wiem, proszę księdza, i przepraszam! W pensjonacie ja załatwię, proszę być spokojnym, zrobię taką minę jak w Fort William i nikomu nawet na myśl nie przyjdą głupie pytania!

Zatrzymali się w niewielkim, białym domu w ogrodzie pełnym kwiatów (Skąd tyle kwiatów? Tak wcześnie?) z widokiem na zatokę. Faktycznie, padł od razu, Jasiek jak zwykle wiedział, co jest mu potrzebne. Ocknął się o szóstej z wyrzutami sumienia.

– Trzeba mnie było obudzić!…

– A czy my bijemy rekord świata na toporki, jak te szurnięte Bachy? – powiedział beztrosko Janek. – Mamy mnóstwo czasu, słońce zachodzi dopiero o wpół do dziewiątej. Zjedzmy obiad i zawiozę gdzieś księdza. Niespodzianka – powiedział tajemniczo.

Myślał, że pojadą do Portree do kościoła, bo widział, że Jasiek zabiera ich cały służbowy rynsztunek, ale nie, skręcił do wioski Skeabost, wjechał w jakieś straszliwe opłotki i wyciągając torbę, powiedział:

– Już. Dalej na piechotę, ale to bliziutko. – A na jego zdziwione spojrzenie dodał: – Dzisiaj odprawimy w katedrze świętego Kolumbana. Tylko proszę nic nie mówić o pozwoleniu! Nikt nie musi wiedzieć.

Proszę, już myślał, że jego wikary w końcu wydoroślał, a tu ciągle to samo! Musiał jednak przyznać, że msza na wyspie w ruinach z jedenastego wieku miała swój smak. W sumie racja. Nikt nie musi wiedzieć.

Tak mu się to spodobało, że w środę, kiedy tylko ruszyli, poprosił, żeby znowu poszukać podobnego miejsca. Z krzyżami celtyckimi.

– Już się robi – powiedział ochoczo Jasiek. – A w ogóle to dzisiaj mam zamiar się zgubić. Żadnej mapy, żadnego zerkania na drogowskazy. Zresztą tych miejscowości nie sposób spamiętać, może Ela by umiała, ale na pewno nie ja. Benzynę mamy, żarcie mamy, wczoraj jak ksiądz spał, upiekłem kurczaka, przy okazji ewangelizując gospodynię. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Powiedziałem jej, że nazywamy się Evening i Halfling…

– Humor ci dopisuje! – droczył się z gagatkiem.

– Czemu nie? – Jankowi oczy jarzyły się kpiąco. – Tak sobie właśnie wyobraziłem: przychodzi dzisiaj rano Piotrowin Od Smartfonu do Piusa i kogo tam zastaje? Angelę, bo w środę jej dyżur… Aaach!… – westchnął z satysfakcją.

– Jeszcze ją przegoni! – zatroskał się z głębi duszy.

– Kto kogo? – prychnął Jasiek. – Piotrowin Angelę?! Niech mi tu ksiądz facecji nie opowiada! Jak na niego wrzaśnie, że ma myśleć o Panu Jezusie, a nie o dupach, to mu pójdzie w pięty! – A proboszcz tylko pokiwał głową. Miał całkowitą rację, drań.

Jechali głuszą może nawet jeszcze większą niż Bachowie, bo ich jeep w odróżnieniu od staruszka Davida dawał też radę na drogach

gruntowych. Tak jak mówiła Elka, wszędzie było pełno owiec z młodziutkimi jagniętami.

– Merry nie był zły, kiedy Wiola przyszła na studniówkę w wydekoltowanej sukni? – zapytał nagle.

Janek z uciechy aż położył się na kierownicy.

– Gramy dalej, tak? Teraz już wiem, o czym żeście paplali na wigilii, kiedy musiałem pójść do Wieczorka! Tyle że to trochę wbrew regulaminowi, bo pytania muszą być osobiste, nie o osoby trzecie, ale niech tam, Merry by się nie gniewał. Pewnie, że się wściekł, aż mu iskry spod zębów leciały. Kazał Wiolce natychmiast się ubrać!

Ksiądz Tadeusz już wiedział doskonale, że nie można zapytać „no i co?!".

– …żeby powiedział normalnie, po cichu, toby Wiolka marynarkę założyła od razu, ale skoro wydarł gębę, to jeszcze się przespacerowała przed stołem prezydialnym dla grona i dopiero potem… Musiałem mediować przez pół studniówki, zanim się pogodzili! Teraz ja. Ale ostrzegam, że pytanie jest ostre, może mi za nie ksiądz w pysk dać…

„Już się boję!" – spanikował. „Zapyta, co wypaplał kumplom były przyjaciel, i co wtedy? Powiedzieć?"

– Ile kasy dał ksiądz Ani i Romkowi, że potem na festynie został bez grosza?

„Potworze! – jęknął w duchu. „Wiesz wszystko!"

– Dziewięć i pół – powiedział krótko, przyglądając się pilnie bliźniaczym czarnym jagniątkom, zaganianym przez białą matkę. Nie wytrzymał jednak, zerknął w bok na Janka i oczywiście natrafił na jego ciepłe, rozzłocone spojrzenie.

„Poczekaj, wykończę cię!" – pomyślał zawzięcie.

– Jakim cudem umiałeś tak dobrze tańczyć tango? – przygwoździł delikwenta.

– Trenowaliśmy z Merrym i Wiolą przez trzy dni – wyznał Janek. – Wszystko było ustawione, Fred wiedział na sto procent, że jakaś święta pituchna będzie chciała zatańczyć z wikarym. Tylko nie

przewidzieliśmy, że będzie to pani dyrektor Dni Ostatecznych, to jest *sorry*, przejęzyczyłem się… no i że wyłoży taką forsę. – Jeszcze raz zerknął w bok na proboszcza i wypalił: – A z dzieckiem to ksiądz wiedział, że robimy kawał, czy jednak ksiądz uwierzył na chwilkę? A może dłużej niż na chwilkę?

– W pysk to zaraz za to dostaniesz! – warknął na niego, ale raz jeszcze nie wytrzymał i musiał się roześmiać. – Byłem przekonany, że jaja sobie robicie, ale… taki, powiedzmy, pięcioprocentowy margines niepewności… może dziesięcio-… zostawiałem sobie aż do twojego powrotu od biskupa… Czego się śmiejesz, baranie?!

– Nic, nic, tylko tak sobie kalkuluję, kiedy ja bym miał to dziecko zmajstrować, bo przecież nie na łożu boleści, ale czasowo wypada właśnie wtedy… Dobrze liczę, proszę księdza?

– Dwa pytania z rzędu! – wypunktował go szybciutko. – A włosy ogoliłeś sobie specjalnie czy przez przypadek?

– Trochę tak, trochę tak. Udawałem grzecznego, poszedłem do łazienki… W ostatniej chwili zauważyłem, że nakładka jest zdjęta z ostrzy, a już brałem pierwszy zamach. Co tam, pomyślałem, będzie ubaw!… I pojechałem przez całą długość głowy…

– Wiedziałem!… – wyrwało mu się.

– Że aż takim idiotą nie jestem? – dopowiedział Jasiek. – Może to ksiądz zaliczyć jako następne pytanko.

– Decyduję się na wyzwanie! – powiedział impulsywnie, sam się sobie dziwiąc.

– Dobrze – zgodził się błyskawicznie też nieco zdziwiony Janek. – Widzi ksiądz ten napis?

Na przydrożnej furtce nabazgrane było: *FREE EGGS.*[25]

– Niech ksiądz tam idzie i powie, że przyszedł po jajka za darmo! Tylko żadnych kantów, nie wolno brać portfela!

Już chciał się wycofać, jak poprzednio, ale poczuł przypływ męstwa. Pokaże szczeniakowi, kto tu jeszcze jest szefem!

Bez słowa otworzył furtkę, pogłaskał po drodze dwa psy, które przyjaźnie wachlowały się ogonami, i zniknął za żywopłotem. Nie było go jakieś pół godziny, już Jasiek zaczął się niepokoić. Wreszcie proboszcz wrócił, ostrożnie dzierżąc w obu dłoniach dymiące talerze.

– Masz! – Podał mu zamaszyście. – *Bacon and eggs*! Może być? Talerze mamy zostawić przy furtce.

– Genialne!… – westchnął Janek. – Jak to ksiądz zrobił?…

– Trzeba było patrzeć – odpowiedział beznamiętnie jak Kwinto w *Vabank* i pewny bezkarności zaczął z apetytem wcinać tę cholesterolową bombę, układając sobie w myślach następne pytanie.

– Dlaczego, strugając idiotę, jednocześnie żeś się tak dobrze uczył? – zapytał, jak tylko ruszyli. – Jak chciałeś, żeby ci dali święty spokój, trzeba było oblać to i owo…

– Ksiądz powinien ze *Sposobu na Alcybiadesa* wiedzieć, że udawać głupszego, niż się jest to wielka sztuka! – odszczeknął się Jasiek.

„No, ty doprowadziłeś tę sztukę do perfekcji!" – pomyślał sarkastycznie. „Dopiero jak zacząłeś uczyć dzieci matmy, wiedziałem na pewno, że się wygłupiasz! I podziwiałem cię całym sercem! Nie za wygłupy, tylko za rachunek prawdopodobieństwa i siatkę dyfrakcyjną!"

– Asekurowałem się na dwie strony, proszę księdza – kontynuował obiekt adoracji. – Na sekretarza albo w inne paskudne miejsce mnie wziąć nie mogli, bo rozrabiałem. A porozrabiać trochę mogłem, bo się dobrze uczyłem. Kółko zamknięte. – I już chciał dodać tradycyjne „teraz ja", kiedy proboszcz zawołał spontanicznie:

– Janku, tutaj! Zatrzymaj się, proszę!

Na wzgórzu z widokiem na malowniczy fiord, za kwitnącym na żółto żywopłotem, przytaiły się ruiny kościoła. Zarysów katedry Kolumbana trzeba było szukać z nosem w trawie jak archeolog, tutaj tylko dach był całkowicie zrujnowany, mury jeszcze stały, zachował się nawet ołtarz. W trawie pełno było maleńkich, niebieskich kwiatków, rozścielających się jak kobierzec. Ostre, południowe

słońce ozdabiało aureolą królujący na szczycie wzgórza celtycki krzyż.

– Musimy godzinkę przeczekać po tych księdza delicjach – przypomniał dyskretnie Jasiek. – Posiedźmy trochę, pomilczmy.

Nie zasnął, ale czas dziwnie jakoś stanął w miejscu podczas tego oczekiwania, bo kiedy wreszcie Janek zabrał się do urządzania ołtarza, wydawało mu się, że minęło ładnych parę godzin. Odrobinę pokropił deszcz, ale teraz słońce znowu świeciło, a krople wody w trawie skrzyły się jak diamenty.

Kiedy wracali do samochodu, poprosił:

– Janku, czy możemy tu gdzieś w pobliżu się zatrzymać? Ale nie na jeden nocleg, tylko do soboty?… Przepraszam, że psuję ci plany, ale… nie chcę się już stąd ruszać…

Jasiek zrozumiał wszystko w pół słowa, nie musiał się męczyć, tłumaczyć, że ma dosyć jazdy, pośpiechu, pogoni. Że już o nic nie chce pytać, że chciałby po prostu usiąść i patrzeć, tylko patrzeć.

– Jasne, niech ksiądz się mną nie przejmuje! Już księdzu mówiłem, że nie musimy małpować wyczynów mojego szwagra. Zresztą oni też bardzo szybko docenili urok miejsca, do którego można przywiązać serce, i zamiast trasy ekstremalnej po Hebrydach woleli swój domek… Z dobrym rezultatem, co widać po moim siostrzeńcu – zakpił Janek.

Mimo wszystko czuł odrobinę żalu i winy.

– Właśnie, mieliśmy dotrzeć do Achtoty, miałeś mi je pokazać…

– Kiedyś dotrzemy – uśmiechnął się Jasiek.

## 24 czerwca

– Mogę pójść z księdzem? – zapytał Janek. – Niech się ksiądz nie boi, nie zrobię nic wbrew woli księdza! Tylko i wyłącznie jako obstawa, jakby komuś trzeba było przegryźć gardło.

– Ty już lepiej nikomu nic nie przegryzaj – burknął niby to opryskliwie, ale popatrzył na małego drania ciepło. Stali na parkingu

Victoria Hospital, Jasiek przywiózł go na wizytę. – Pewnie, że możesz, w końcu jesteś pełnomocnikiem.

Poszli nieśpiesznie przez dziedziniec, a potem korytarzem. Ciągle jeszcze był samodzielny, tyle tylko że poruszał się powoli. Janek nie narzucał się z pomocą, asystował jedynie dyskretnie dla asekuracji.

Doktor Fraser najpierw długo studiował dokumentację, jakby wszystko nie było oczywiste, potem zaczął gadał coś niezrozumiałym żargonem, z którego tylko słowo „przerzuty" było jasne, aż Jasiek uznał za stosowne wykorzystać swoją pozycję pełnomocnika:

– Panie doktorze, czy mógłby pan łaskawie powiedzieć to samo przystępnym językiem? – A ponieważ doktor dalej zwlekał, wtrącił się on, spokojnym, przyjacielskim głosem:

– Doktorze, w czym problem? Nie ma w tym chyba nic zaskakującego? Krótko i zwięźle: jak długo? – Nie powiedział z rozmysłem „jakie rokowania", bo jeszcze tamten znowu by zaczął ględzić.

Doktor Fraser popatrzył, w oczach mu coś błysnęło i odpowiedział:

– Kilka tygodni. Dwa, trzy.

A potem szybko dodał:

– Przyjmiemy oczywiście księdza na oddział, zapewnimy wszelką opiekę…

– Życzeniem księdza jest pozostać w domu – odpowiedział Janek głosem niedopuszczającym żadnych wątpliwości.

– Ale… – zaczął doktor.

– Panie doktorze, proszę uszanować decyzję pacjenta, poinstruować nas co do spodziewanego przebiegu choroby i zaproponować odpowiednie do domowych możliwości środki zaradcze – powiedział zimno, uprzejmie i z nienaganną dykcją Jasiek, a ksiądz Tadeusz tylko leciuteńko się uśmiechnął. Sam by tego lepiej nie powiedział.

– Ksiądz nie rozumie – zaczął perswadować doktor. – W każdej chwili może nastąpić udar. – No, nareszcie gada po ludzku! – Czy ma

ksiądz doświadczenie w pielęgnacji osób całkowicie unieruchomionych?

– Tak, mam – odparł pogodnie Janek. – Poza tym mamy znajomego rehabilitanta i opiekunkę domową. Damy radę.

– Jednakże… – Doktor ciągle usiłował postawić na swoim.

– Panie doktorze – powiedział ksiądz Tadeusz tym samym życzliwym, opanowanym głosem. – Proszę zrozumieć, ja chcę umrzeć w domu, u siebie…

Wtedy doktor się poddał, zgodnie z dyspozycją Jaśka wytłumaczył im, i to całkowicie przystępnie, czego mogą się spodziewać, a na koniec zadeklarował:

– Proszę mnie wzywać, kiedy tylko będę potrzebny. – I uścisnął obu mocno dłonie. Chyba do niego dotarło.

– Dziękuję, Janku – powiedział proboszcz, kiedy wrócili do Bank West. – Jestem twoim dłużnikiem i nie zdążę ci się już odpłacić…

– Ale ksiądz zasunął! – zaśmiał się kpiąco wikary. – Jak nie ksiądz z trzydziestosześcioletnim stażem! – I spojrzał bardzo, ale to bardzo znacząco. – A jeżeli chodzi o tu i teraz, to cóż… Dla mnie to samo zrobi kiedyś Angus albo ktoś zupełnie inny, kto się może jeszcze nie urodził. Proste i stare jak świat.

– Dobrze, synku – uśmiechnął się. – Powierzam się w twoje ręce.

30 czerwca

Świat zawirował, nie czuł nóg, nie mógł nic powiedzieć. To już?

No i co z tego, niech będzie już. Szkoda tylko, że tak głupio, na podłodze, pozbawiony godności.

Wtedy poczuł, że obejmują go dobre, troskliwe ramiona Janka.

– Spokojnie, proszę księdza. Miał ksiądz udar, spodziewaliśmy się tego, proszę mi się powierzyć, tak jak ksiądz sam powiedział. Może być ksiądz pewien, że absolutnie nie pozwolę go stąd ruszyć. Nikt nie będzie naruszał księdza intymności.

Janek miał wszystko przygotowane pod ręką, rozścielił na podłodze prześcieradło, obmył go, przebrał, potem przełożył na transportowe nosze na kółkach wypożyczone ze szpitala i przewiózł do sypialni. Zadzwonił po lekarza dopiero wtedy, kiedy wszystko było posprzątane i odświeżone.

– Proszę się nie martwić, odzyska ksiądz głos – mówił łagodnie. – A nawet jak nie, to i tak sobie poradzimy. Może mieć ksiądz do mnie stuprocentowe zaufanie.

„Ależ mam!" – powiedział oczami.

Lekarz pojawił się szybko, ocenił sytuację i nie byłby sobą, gdyby raz jeszcze nie spróbował zawalczyć:

– W szpitalu miałby ksiądz do dyspozycji środki przeciwzakrzepowe, kroplówkę, leki dożylne… Proszę się zastanowić!

– Panie doktorze, już o tym mówiliśmy – powiedział spokojnie Janek.

– Ale w takim razie to kwestia kilku dni! – rąbnął doktor prosto z mostu temu irytującemu osobnikowi.

– A w szpitalu ile? – wypunktował go Janek. – O co my się tutaj spieramy? O tydzień? Więc raz jeszcze proszę o zrozumienie!

Doktor długo nie odpowiadał, jakby coś przeżuwał. Wreszcie pokiwał głową i powiedział:

– Rozumiem. I przepraszam za swoje zachowanie. Jesteście wyjątkowi, a ja nie mogę opanować medycznych nawyków.

Podał leki, kolejny raz obiecał zjawić się na każde żądanie i odszedł, oglądając się na nich jeszcze z progu.

– Dziękuję – powiedział ksiądz Tadeusz cichutko.

– No widzi ksiądz? Już ksiądz mówi – uśmiechnął się Jasiek. – A za chwilę każe mi się zaprowadzić do kibla.

– Nie pieprz i zawieź mnie do kibla – burknął niewyraźnie, ale stanowczo.

2 lipca

Była sobota. Mówił zrozumiale, tylko ręce i nogi nie bardzo go słuchały. Jasiek przespał dwie noce na materacu tuż obok jego łóżka, żeby być gotowym na każde najmniejsze westchnienie.

Na Lomond Hill budują pewnie w tej chwili podium, pomyślał. Jamesowie z kolegami na Lednicy zrobili furorę, ale tutaj jakoś nie bardzo mieli ochotę zagrać, zgodzili się dopiero, kiedy ich poprosił w cztery oczy. To jest nie w cztery, oczywiście, tylko w ile? Nie umie policzyć… W czternaścioro?…

– Janku – zagadnął. – To co?… Ostatni raz?…

– Dobrze, proszę księdza – odpowiedział natychmiast Janek, przyniósł stułę, założył ją na ramiona, usiadł obok łóżka i zrobił znak krzyża. Zawsze pierwszy spowiadał się proboszcz, tak sobie to ustalili od samego początku, że jako starszy daje dobry przykład.

Dłuższą chwilę panowała cisza. Czuł pustkę w głowie. A właściwie nawet nie pustkę, nie, to źle powiedziane. Jakby dystans wobec samego siebie. Wszystkie zastarzałe emocje zostawił w tamtej osadzie z ruinami kościoła i krzyżem celtyckim na szczycie, której nazwy nie pamiętał, a która była jego Tol Eressëa, Najdalszym Zachodem, miejscem oczyszczenia. Teraz czuł się… Jak? Dobrze? Na swoim miejscu? I tak, i nie. Zdążył ochrzcić Michalinę, córkę Rafała, ale Tadzika – albo Winnie – ochrzci już Janek… Ale przecież nie w tym rzecz…. Sam poprosił o spowiedź, a teraz nie może zebrać myśli…

– Nie wiem, co powiedzieć – wyrzekł wreszcie bezradnie. – Zawsze wiedziałem, a teraz… Może to, że cholernie wkurzał mnie ten doktorek, jakbym mógł, tobym go zadusił. A przecież on jest dobry, tylko zniewolony rutyną…

Jasiek tylko odchrząknął.

– I jeszcze to, że jestem zarozumiały, bo zachciało mi się ładnej śmierci i poczułem złość, że tak w nieczystościach i na podłodze… Przepraszam cię, Janku, nawet ciebie się wstydziłem i byłem zły, że mnie przewijasz…

– Za pokutę odmówisz *Litanię Loretańską* – nakazał szybko Jasiek, udzielił rozgrzeszenia, wydmuchał hałaśliwie nos, podał proboszczowi stułę i ukląkł u jego wezgłowia. Teraz on milczał i zbierał się w sobie.

– Mnie tak samo drażnił doktor – wyszeptał w końcu. – Zamalowałbym mu jak Ekertowi na Lutyckiej za ten jego małpi upór! I przepraszam księdza za wszystkie głupie odzywki i kawały, i za przekorę… Bardzo żałuję, jeżeli obraziłem księdza, chcący czy niechcący, wszystko jedno… Nie wiem, co jeszcze… Ja też nie wiem, co mówić!…

– Janku – zapytał łagodnie, ale stanowczo. – A czy ty czasami nie prosiłeś o coś Pana Boga, a teraz masz żal, że nie zostałeś wysłuchany?

Jasiek podniósł szybko głowę, popatrzył mu prosto w oczy.

– Ależ ja zostałem wysłuchany! – powiedział dobitnie. – Prosiłem i zostałem wysłuchany! Bardziej, niż mogłem oczekiwać! Niech się ksiądz nie boi, niczego nie zatajam, nawet w sercu, przed samym sobą! Żal mi, to jasne, ale jak przy wyjeździe z Krzesin, nic innego!

– Za pokutę odmówisz *Litanię Loretańską* – zadysponował pośpiesznie, udzielił rozgrzeszenia i z całych sił wzbudził w sobie pokorę, kiedy ten smarkacz wycierał mu oczy i nos. Potem obaj mówili litanię, przez otwarte okno dochodziły zapachy kwiatów i było tak jakoś, jak w *Kwaterze Bożych Pomyleńców*, że modlitwa wbrew wszystkiemu stawała się przyjemnością.

3 lipca

O ósmej rano mszę odprawił ksiądz Błażej, więc Janek nie musiał nigdzie pędzić; spokojnie umył i ogolił proboszcza, ubrał po niedzielnemu, to znaczy nie w piżamę, tylko w koszulkę z krótkimi rękawami i lekkie spodnie, zainstalował w salonie na rozłożonej kanapie i zaaplikował leki, ale wyselekcjonowane, tylko te dwa naprawdę potrzebne. Potem pichcił coś w kuchni, mając go cały czas

na widoku. O dziesiątej, kiedy przyszli Elka i David z Angusem, Jasiek poszedł do St Marie's, a tamci usiedli koło niego; mały Angus tupał energicznie po całym domu. Proboszcz podsypiał i budził się, patrząc na nich z przyjemnością i satysfakcją.

Janek wrócił przed trzecią; Bachowie uścisnęli księdzu Tadeuszowi dłonie i pożegnali się, nie trzeba było dużo mówić, bo wszystko już zostało powiedziane. Wystarczyło to jedno krótkie zdanie, które Elka wyszeptała mu do ucha:

– To na sto procent chłopak, więc tak, jak żeśmy się umawiali…

Jasiek odgrzał pachnącą koperkiem kartoflankę i przyniósł mu ją na tacy.

– Nie gniewaj się, synku – powiedział ksiądz Tadeusz przepraszająco. – Wiem, że gotowałeś specjalnie dla mnie, ale nie mogę…

– Nic nie szkodzi, nich się ksiądz nie martwi, będzie więcej dla mnie na jutro – palnął bezceremonialnie Jasiek i wycofał się z salonu. Po chwili wrócił, niosąc coś na talerzyku.

– Może na to się ksiądz skusi – powiedział z szelmowskim uśmiechem.

Na talerzyku leżał lodowy mars. Ksiądz Tadeusz po raz nie wiadomo który zdumiał się, skąd Janek wie o pewnych rzeczach; kiedy robili objazd po Szkocji, na jakiejś stacji benzynowej ręka sama mu się wyciągnęła do tego specjału, którego smaku już prawie nie pamiętał, ale wtedy dał spokój. Spojrzał odrobinę niepewnie na Janka, a ten powiedział obcesowo:

– No chyba o cukier już się ksiądz martwić nie musi?

Jak don Camillo delektował się kiełbasą i chrupiącym chlebem, przyniesionymi przez Peppona do szpitala, tak on smakował zabronioną słodycz i cieszył się jak łobuz, który zwędził coś ze spiżarni. Zjadł połowę i ze słodkością w ustach zasnął.

Obudził się, kiedy słońce było już niżej, chociaż ciągle świeciło mocno. Na stoliczku obok łóżka topiła się druga cząstka lodowego marsa.

Wikary stał pod oknem i robił coś dziwnego.

– Janku – powiedział z łagodnym wyrzutem ksiądz Tadeusz. – Co ty wyprawiasz?

Jasiek dwoma energicznymi ruchami kułaków wytarł policzki i odpowiedział hardo:

– A co, już nawet popłakać sobie nie można?! Moja prababcia zawsze płakała, kiedy Polacy zdobywali złoty medal!

Zadzwonił alarm komórki. Janek szybko go wyłączył i zbierając się w sobie, powiedział:

– Muszę iść do Piusa… Poczeka na mnie ksiądz, dobrze? Zrobię mszę ekspresową, pół godziny.

– Dobrze – odpowiedział z cieniem uśmiechu. – A jak wrócisz… Odprawisz dla mnie też? Po staremu?

– Jak tylko mój proboszcz załatwi mi w odpowiednim miejscu dyspensę na kwadrynację, to nie widzę przeszkód – zapewnił Jasiek swoim normalnym, beztroskim głosem.

– Załatwione – szepnął proboszcz i przymknął oczy. Znowu zaczynał odpływać.

– Tylko tym razem nie nawal, Wieczorek! – usłyszał i momentalnie się rozbudził. Nigdy jeszcze Janek nie pozwolił sobie na taką bezczelność! Na ty mówił mu tylko przy spowiedzi, normalnie zawsze używał zwrotu „proszę księdza”.

– Co takiego? – zdumiał się.

– O, przepraszam. – Janeczek wyszczerzył zęby. – Wieczorki mi się pomyliły. To bardzo niesłowny gatunek.

I spłynął błyskawicznie, jakby się bał, że proboszcz wykrzesze z siebie siły i przyłoży mu w gębę. A on wiedział, że Janek zrobił to specjalnie, żeby adrenalina mu skoczyła. I żeby doczekał do tej ósmej.

Leżał spokojnie, w końcu zasnął. Obudziły go jakieś machinacje Janka, który właśnie nakładał mu albę. Obok leżały stuła i ornat świętego Andrzeja od Elki.

– Razem sobie odprawimy – zakomunikował wikary pogodnie.

– Janku – próbował protestować. – Nie dam rady…

– Spokojnie, zrobimy powolutku, teraz już nigdzie nam się nie śpieszy – powiedział Jasiek z ciepłym uśmiechem. – Ja wszystko załatwię, ksiądz tylko pomruczy, jak to przy koncelebrze.

– W trydenckiej nie ma koncelebry – zauważył wyjątkowo przytomnie.

– Z wyjątkiem święceń i sakry biskupiej – przytaknął spokojnie Janek. – Ale myślę, że można by pulę poszerzyć o co najmniej jedną okoliczność – dodał, patrząc proboszczowi prosto w oczy. – Poza tym sam mi ksiądz mówił, że jestem tradycjonalistą wybiórczym. No to będzie w pół drogi. – I znowu popatrzył znacząco.

– Ale ja nie umiem, nie pamiętam… – protestował słabo. – Nie, Janku, nie jestem gotowy.

– Już bardziej gotowy ksiądz nie będzie – powiedział stanowczo Jasiek.

I ubrał go do końca, potem przysunął do kanapy stół, przygotował ołtarz z sześcioma świecami, a na kolana położył mu stoliczek z mszałem.

Zaś on zamiast się skupić, zaczął się zastanawiać, skąd zna wypowiedziane przez Janka słowa. „Z listów Tolkiena do Christophera? Nie, to nie to. A może Gandalf tak mówił do Froda? Też nie. Więc może z *Gwiezdnych wojen*? Ach, ten Janek!…”

Jasiek rozpoczął śpiewem *Asperges me Domine hysopo et mundabor, lavabis me et super nivem dealbabor.*[26] Proboszcz stracił poczucie czasu, nie wiedział, czy minęła godzina, dwie czy trzy; starał się uczestniczyć w liturgii, ale nie zawsze mu to wychodziło. Janek rzeczywiście się nie śpieszył, czasami otarł mu czoło, czasami zwilżył usta; pomagał dyskretnie, przewracał karty mszału, a przy konsekracji i komunii podtrzymywał mu ręce. Nikt im nie przeszkadzał; ksiądz Tadeusz nie wiedział, że wikary zamknął Bank West na cztery spusty i odciął telefony.

„Nie, to nie Tolkien!” – dotarło do niego równie nagle, co niestosownie. „To nawet nie *Gwiezdne wojny*. Tak po prostu mówił House przed jakąś operacją. Nic specjalnego. Żadne tam złote myśli. Zwykły cytat dla zwykłego księdza. I dobrze, niech tak będzie”.

Msza się skończyła, Jasiek odczytał początek Ewangelii świętego Jana, a potem zaintonował *O Christe, Domine Jesu*.

Patrzył mu w twarz, a potem przymknął oczy i słuchał tylko jego śpiewu, czując promienny, radosny spokój.

„Już bardziej gotowy nie będę” – pomyślał zwykły ksiądz.

# Drzewo genealogiczne rodziny Niziołków

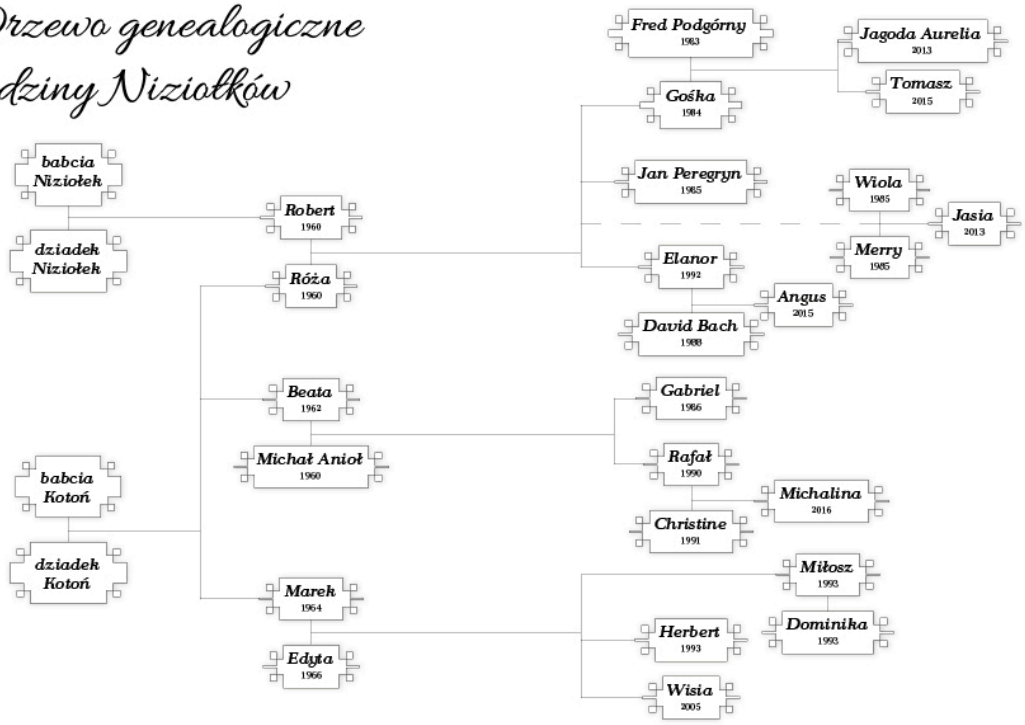

SPIS TREŚCI

Kirkcaldy 1
Jeep 2
Boglily 3
Środek wychowawczy 4
Konflikt stary jak świat 5
Na każdym skrzyżowaniu 6
Rafał 7
Co wynikło z deszczowej pogody 8
Opowieść pewnego emigranta 9
Jeden na dwudziestu 10
Znowu się pani śpieszy 11
Lomond Hills 12
Każdy wschód słońca Ciebie przypomina 13
West Highland Way 14
Co Szkot nosi pod kiltem 15
Glenrothes 16
Jak ty sobie poradzisz 17
Już bardziej gotowy nie będę 18
Drzewo genealogiczne rodziny Niziołków

[1] Jeżeli czytelnik nie rozszyfrował sygnalizowanej anegdoty, narrator pozwoli sobie odesłać go do rozdziału XII *Drogi do Achtoty.*

[2] *I'll give you my gun when you take it from my cold, dead hands* (dostaniesz moją broń, jeśli weźmiesz ją z moich zimnych, martwych dłoni) to slogan obywatelskiego ruchu na rzecz posiadania broni w USA. Janeczek zamienił „broń" na „mundur" i „dłonie" na „ciało".

[3] Tak naprawdę Bond tylko próbował zreanimować sam siebie, zreanimowała go do końca ta panienka, która potem utonęła.

[4] Twój partner to klawy gość (…). – To mój proboszcz!

[5] Biały kolonizator, czyli Anglik, czyli intruz. To drugie tłumaczone nie będzie.

[6] A jeszcze co innego dżdżownica, narratorze.

[7]Czytelnik nie zna tego kawału? Naprawdę? To narrator rozpocznie, a czytelnikowi zaraz się przypomni. Do Pana Jezusa przyprowadzili jawnogrzesznicę i mówią: „Rabbi, Mojżesz kazał takie kamienować, a my co mamy uczynić?". Jezus na to: „Kto bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem"… No, inteligentny czytelnik już wszystko rozumie i nie będzie zmuszał narratora do dokończenia.

[8] Zazdrość kapłańska

[9] Wzgórza nawigacyjne. Albo ładniej: Wzgórza Przewodniego Światła.

[10] Szczęść Boże! Jestem ksiądz Górny, miło mi pana poznać.

[11] Naprawdę tak szedł! A że przy okazji antycypował n(N)iziołkowe zachowania, tego nikt jeszcze wtedy nie wiedział.

[12] Maryjo, królowo Polski, Maryjo, pani Szkocji

[13] To w RSVCE, czyli nowej standardowej poprawionej wersji katolickiej. W czcigodnym tłumaczeniu Franciszka Karpińskiego

będzie to brzmiało tak: Któż na twą górę może wstąpić, Panie?/ Albo na miejscu poświęconym stanie?/ Ten, który krzywdą rąk swych nie poszpeci,/ Ten, co ma serce czyste Bożych dzieci!

14 Trwaj ze mną tutaj, czuwaj i módl się.

15 Jezu, wspomnij mnie, kiedy przyjdziesz do Królestwa.

16 Panie mój, wiesz, że Cię kocham, ty wszystko wiesz, miłuję Cię…

17 Każdy wschód słońca Ciebie przypomina, nie pozwól nam przespać poranka.

18 Tylko orły szybują nad granią.

19 Chce mi pan coś powiedzieć?

20Dałeś mi Panie zbroję/ Dawny kuł płatnerz ją/ W wielu pogięta bojach/ Wielu ochrzczona krwią (…)Bo choć zaginął hełm i miecz/ Dla ciała żadna w niej ostoja/ To przecież w końcu ważna rzecz/ Zbroja! (wg tekstowo.pl)

21 Witaj, Una. Pamiętam cię, rok temu też byłaś druhną. Cieszę się, że cię znowu spotkałam.

22 Jeżeli jednak P.T. Czytelnik dalej nie wie, co to jest mowa niezależna, albo nie chce mu się nigdzie sprawdzać, oto konkretyzacja taka, jak dla Ethana i Przemka: to jest to, co bohater ględzi w danym momencie sam, osobiście, na własną odpowiedzialność. A narrator niekoniecznie musi się z tym zgadzać. Nawet często się nie zgadza. Teraz wszystko jasne? Czytelnik nie będzie już wiercił narratorowi dziury w brzuchu, że robi uniki i nie chce się opowiedzieć?

23 Ten, kto zna obcojęzyczne wersje brewiarza, wie, że narrator nagiął rzeczywistość do polszczyzny. Ano, nagiął. Niech mu to będzie wybaczone.

24 Ksiądz Tadeusz: Tylko Kościół katolicki!

[25] Czyli z wolnego wybiegu. Ale ktoś niedoświadczony może to zrozumieć jako „za darmo”… Właściwie powinno być „Free-range eggs”, tylko, jak widać, farmerowi się nie chciało.

[26] Pokrop mnie, Panie, hyzopem, a stanę się czysty, obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję.